

BRIGID KEMMERER

Trafi w ręce księcia, słynącego z okrutnych metod
rozprawiania się z więźniami.
Czy młody władca okaże jej łaskę?

NA
PRZEKÓR
NOCY

Na przekór nocy #1



BRIGID KEMMERER

NA PRZEKÓR NOCY

NA PRZEKÓR NOCY #1

**TŁUMACZENIE
SYLWIA GOŁOFIT-LEND**

OŚWIĘCIM 2022

Tytuł oryginału
Defy the Night
Copyright © 2021 by Brigid Kemmerer
All rights reserved
Copyright © for Polish edition
Wydawnictwo Nowe Strony
Oświęcim 2022
Wszelkie Prawa Zastrzeżone

Redakcja:
Julia Deja
Korekta:
Magdalena Mieczkowska
Edyta Giersz
Redakcja techniczna:
Mateusz Bartel
Projekt okładki:
Paulina Klimek

www.wydawnictwoniezwykle.pl

Numer ISBN: 978-83-8320-116-0

SPIS TREŚCI

Rozdział pierwszy

Rozdział drugi

Rozdział trzeci

Rozdział czwarty

Rozdział piąty

Rozdział szósty

Rozdział siódmy

Rozdział ósmy

Rozdział dziewiąty

Rozdział dziesiąty

Rozdział jedenasty

Rozdział dwunasty

Rozdział trzynasty

Rozdział czternasty

Rozdział piętnasty

Rozdział szesnasty

Rozdział siedemnasty

Rozdział osiemnasty

Rozdział dziewiętnasty

Rozdział dwudziesty

Rozdział dwudziesty pierwszy

Rozdział dwudziesty drugi

Rozdział dwudziesty trzeci

Rozdział dwudziesty czwarty

Rozdział dwudziesty piąty

Rozdział dwudziesty szósty
Rozdział dwudziesty siódmy
Rozdział dwudziesty ósmy
Rozdział dwudziesty dziewiąty
Rozdział trzydziesty
Rozdział trzydziesty pierwszy
Rozdział trzydziesty drugi
Rozdział trzydziesty trzeci
Rozdział trzydziesty czwarty
Rozdział trzydziesty piąty
Rozdział trzydziesty szósty
Rozdział trzydziesty siódmy
Rozdział trzydziesty ósmy
Rozdział trzydziesty dziewiąty
Rozdział czterdziesty
Rozdział czterdziesty pierwszy
Rozdział czterdziesty drugi
Rozdział czterdziesty trzeci
Rozdział czterdziesty czwarty
Rozdział czterdziesty piąty
Podziękowania

Dla pani Pat Bettridge

i

pani Nancy Vaughan

*– dwóch niezwykłych nauczycielek, które pokazały mi,
jaką siłę może mieć słowo pisane*

Liderzy polityczni Kandali		
Nazwisko	Rola	Sektor
Król Harristan	król	królewski
Książę Corrick	Najwyższy Sędzia Królewski	królewski
Barnard Montague (zmarły)	konsul	Nabrzeże Kupców*
Allisander Sallister	konsul	Księżycowe Równiny
Leander Craft	konsul	Stalowe Miasto
Jonas Beeching	konsul	Artis
Lissa Marpetta	konsul	Emberridge
Roydan Pelham	konsul	Kraina Smutku
Arella Cherry	konsul	Sunkeep
Jasper Gold	konsul	Mosswell

*Zwane także Nabrzeżem Zdrajców po tym, jak poprzedni król i królowa zostali zamordowani przez konsula Montague, pozostawiając władzę w ręku Harristana i jego młodszego brata Corricka.

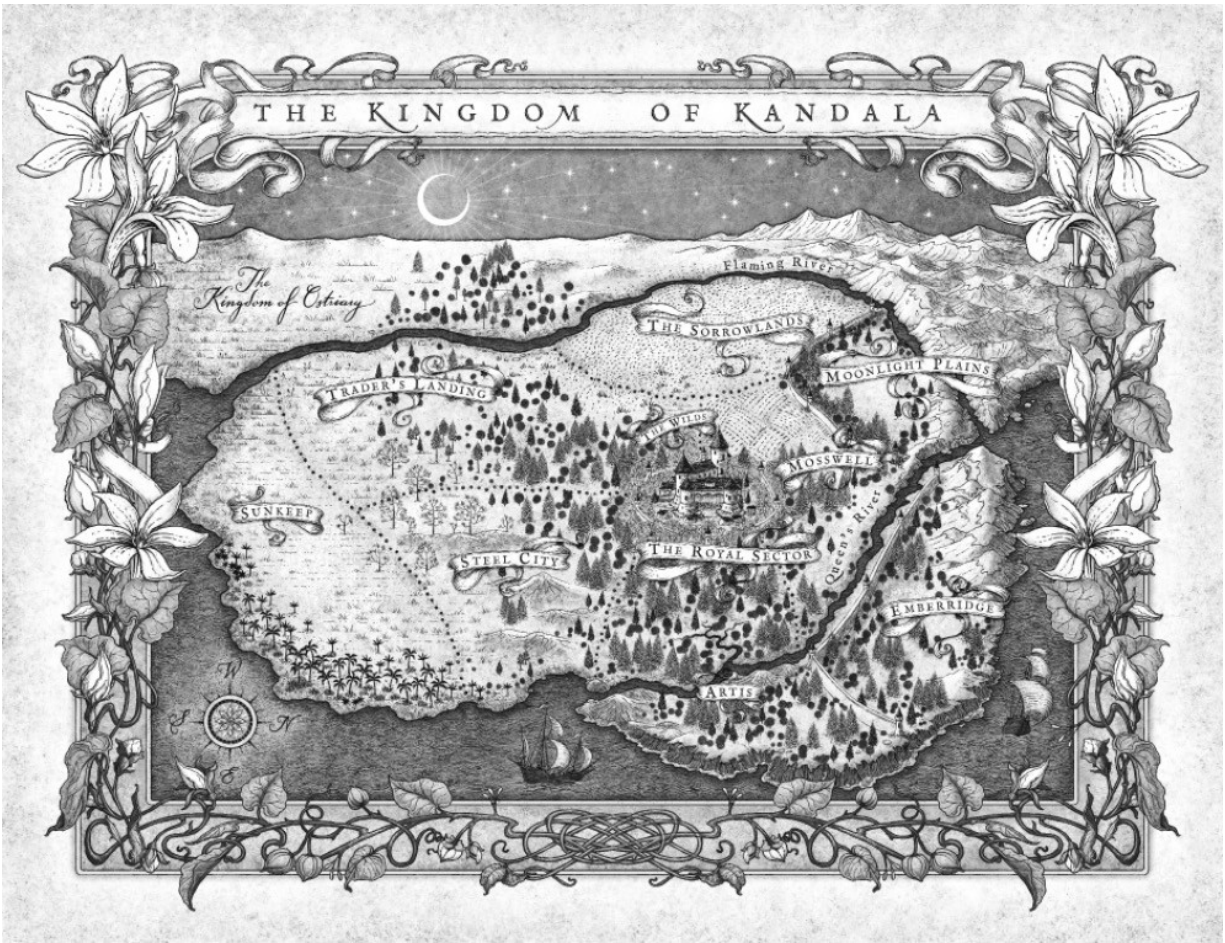
Wyjęci spod prawa	
Nazwisko	Rola
Tessa Cade	zielarka
Weston Lark	pracownik kuźni
Lochlan	buntownik
Benefaktorzy	nieznani

Lek

Jedyny znany lek na chorobę nazywaną „gorączką” to eliksir sporządzany z suszonych płatków Księżycowego Kwiatu, który rośnie tylko w dwóch sektorach – na Księżycowych Równinach i w Emberridge. Każdy sektor dostaje ograniczony przydział płatków Księżycowego Kwiatu.

Ci, których na to stać, mogą je kupić.

Ci, których nie stać – nie mogą.



Rozdział pierwszy

Tessa

Najtrudniejsza w tym wszystkim nie jest sama kradzież. Najtrudniejsza jest ucieczka. Gdy mam dobry dzień, wspięcie się na mur Sektora Królewskiego zajmuje mi dwie minuty, jednak dziś noc jest zimna i palce mi drętwieją. Za godzinę zacznie świtać, a reflektor wartownika prześlizguje się po wysokich kamiennych murach w równych odstępach czasu. Ukryta w ciemności, mocno ściskając pod pachą starą torbę zielarską mojego ojca, czekam na sposobność.

Słyszałam o elektryczności w kilku sektorach, w miejscach zamieszkałych przez najbogatszych, ale i tak zaskakuje mnie intensywność światła patrolujących mur. Są jaśniejsze niż jakakolwiek świeca, jaśniejsze nawet niż stosy pogrzebowe, jakie rozpala się w miastach, by spalić zmarłych. Gdy pierwszy raz je zobaczyłam, byłam jak zahipnotyzowana. Wpatrywałam się w nie bezmyślnie, nie zdając sobie sprawy, że oznaczają one zagrożenie. Przez długi czas bezskutecznie próbowałam znaleźć jakąś prawidłowość w ich ruchu, aż w końcu powiedziałam o tym Westonowi. Chrząknął i stwierdził, że nie ma w tym żadnej reguły, po prostu znudzeni wartownicy kręcą reflektorem wkoło.

Przez ostatnią godzinę kręca nim dość miarowo.

Rozprostowuję palce i próbuję sobie oszacować w głowie czas trzech minut, potem przygryzam wargę i zastanawiam się. Światło powraca na tę część muru nie rzadziej niż co dwie minuty.

Wes pewnie jest już w chacie i czeka na mnie. Potrafi pokonać mur w trzydzieści sekund. Dzięki swojemu wzrostowi może podskoczyć, zahaczyć swoją kotwicą o kolce na szczycie, zaprzeć się o niego nogami i wskoczyć na górę jak kot. Zazdroszczę mu, choć lubię też patrzeć, jak to robi. To naprawdę urzekający widok.

Oczywiście nigdy mu tego nie powiem. Musiałabym wysłuchiwać jego komentarzy do końca życia.

Urzekający, Tesso? To tylko mur. Nic takiego. A potem wszedłby na drzewo albo zrobił gwiazdę na dachu chaty, albo zaczął chodzić na rękach.

I musiałabym go walnąć, żeby nie zobaczył rumieńca wylewającego się spod mojej maski, bo *tak, owszem*, to wszystko jest równie urzekające.

Muszę przestać myśleć o Wesie. A te światła wartowników muszą przestać się obracać. Muszę zrobić swoje, bo stracimy kilka dni kuracji. Niektórzy ludzie nie mają tyle czasu. Niektórzy nie mają nawet kilku godzin.

Tyle że najpierw trzeba się stąd wydostać. Gdyby mnie złapano z torbą pełną płatków Księżycowego Kwiatu, król Harristan i jego brat, książę Corrick, przywiązałyby mnie w pałacowym ogrodzie, żeby ptaki wydziobały mi wszystkie wnętrzności.

Nagle światło zatrzymuje się z dala ode mnie, w zaułku, gdzie mur okrywa cień rzucany przez pagórek. To tamtędy zwykle próbują uciekać amatorzy.

Nie zamierzam zmarnować tej okazji. Wyskakuję z mojej kryjówki jak wystraszony królik, z kotwicą w dłoni gotową do rzutu. Nie potrafię jej zarzucić aż na kolce jak Wes, tylko do metalowych klamer znajdujących się w połowie wysokości. Kotwica leci ze świstem, ruszam jeszcze zanim lina się napnie. Buty skrobią o kamień, gdy wspinam się po murze, ślizgając się nieco na granicie. Chwytam za klamrę – jest niewielka, wystarczająca, by dać oparcie, kiedy odpinam kotwicę i zarzucam jeszcze raz, tym razem już na szczyt. Gdy zahacza o kolce, ruszam w górę.

Światło znów zaczyna się przesuwac.

Wciągam gwałtownie powietrze i zmuszam stopy, by niosły mnie szybciej, wyżej. Torba obija się o żebra przy każdym poślizgnięciu, ale po chwili znów idę w górę muru. Ręce pieką od liny. Światło omiata mur tuż obok, nagle oślepia mnie jego blask.

Już jestem po drugiej stronie, spuszcza się po linie do połowy wysokości, a potem spadam na leśną ściółkę jak worek kartofli. Pociągam za sznur i hak ląduje tuż obok mnie z lekkim brzękiem, zderzając się ze żwirem. Błoto i okruchy skał przylepiają się do mojej

samodziałowej spódnicy, lecz nie mam odwagi nawet drgnąć, a co dopiero się otrzępywać. Serce podchodzi mi do gardła, wali jak oszalałe. Wstrzymuję oddech i czekam, spodziewając się, że wartownicy podniosą alarm.

Ale nie. Blask przesuwają się po krawędzi muru, a snop światła reflektora wędruje dalej.

Przełykam z trudem ślinę i podnoszę kotwicę. Na niebie widać sierp księżyca, jednak horyzont nabiera już purpurowej barwy – to znak, że zwlekałam zbyt długo i zostało mi niewiele czasu. Z wprawą przemykam przez las, stąpając bezgłośnie po sosnowych igłach. Zwykle w tym miejscu czuję już dym z pieca, bo Wes zawsze jest pierwszy w chacie. Mamy taki system: on nastawia kociołek i uciera płatki na eliksir, a ja odważam i porcjuję proszek, by dawka była odpowiednia. Potem on nalewa gotowy płyn do fiolek, ja pakuję je do naszych toreb i każde rusza na swój obchód.

Ale dziś nie czuję zapachu palonego drewna.

Kiedy docieram do chaty, Westona w niej nie ma.

Wracam myślami do momentu, kiedy światło zatrzymało się na murze. Serce znów podchodzi mi do gardła.

Wes nie jest głupi. Nie przechodziłby w zaułku. Zresztą wartownicy nie podnieśli alarmu.

Lecz nadal go tu nie ma, mimo że ja dotarłam później niż zwykle.

Rozpalam ogień i staram się nie martwić. Słyszę w głowie jego głos, który każe mi zachować spokój. *Nie trać ducha, Tesso*. To pierwsze słowa, jakie od niego usłyszałam tamtej nocy, gdy uratował mi życie. Od tamtej pory powtarzał je wiele razy.

Nic mu nie jest. Na pewno nic mu nie jest. Zdarza się, że w ogóle nie udaje nam się spotkać, wtedy jedno z nas czeka kwadrans w chacie, a potem rusza na obchód. Pani Solomon czasem zatrzymuje mnie dłużej przy warzeniu, odmierzaniu i odważaniu leków ziołowych, które, według jej zapewnień, mają pomóc jej klientom, co się rzadko zdarza. Czasem kowal, u którego pracuje Weston, potrzebuje go w kuźni wcześniej, ponieważ jakiś rozpuszczony panicz musi natychmiast dostać nowy miecz albo jego koń zgubił podkowę. To się już zdarzało.

Ale Wes był tu wcześniej. I zawsze wraca pierwszy.

Chata jest mała i po rozpaleniu ognia szybko się nagrzewa. Nie ma tu elektryczności, więc jest dość ciemno, na szczęście nie potrzebuję dużo światła. Staram się skupić na pracy, żeby się nie zamartwiać. Ucieram każdy płatek na proszek, potem dokładnie przesypuję co do okruszka na szalkę wagi. Nawet po wysuszeniu ich zapach jest bardzo intensywny. Bogacze słono płacą za każdy gram, a potem marnują go, pijąc eliksir trzy razy dziennie – nawet ci bez żadnych objawów choroby. Król nazywa to „środkami zapobiegawczymi”. Picie eliksiru tylko raz dziennie jest więcej niż wystarczające. Mam notatki, które to potwierdzają. Nawet Wes na początku rozprawiał zbyt duże dawki, aż mu pokazałam, że mniejsze są równie skuteczne, a możemy w ten sposób pomóc większej liczbie potrzebujących. Mój ojciec nazwałby to marnotrawstwem. Marnotrawstwem dobrego leku, podczas gdy wielu umiera, bo nie stać ich na jego kupno.

Ale mój ojciec dostał karę śmierci za zdradę i przemyt, więc ja w ogóle tego nie nazywam. Po prostu robię, co mogę.

Patrzę w okno. Purpurowy horyzont rozjaśnia się, przybierając kolor bladego różu. Mój wzrok wędruje na drzwi, jakby to miało sprawić, że pojawi się w nich Wes.

Nie pojawia się. Czajnik gwiżdże. Odlewam maleńkie porcje wody i odmierzam po piętnaście gramów sproszkowanych płatków. Dodaję jeszcze po dwie krople olejku różanego na kaszel; odmierzam go niemal tak samo precyzyjnie jak płatki Księżycowego Kwiatu. Staram się nie kraść tego, co można zdobyć legalnie, jednak na olejek różany idzie prawie cała moja tygodniówka, więc nawet Wesowi nie pozwalam go używać samodzielnie.

Gdy proszek z płatków i olejek połączą się już z wodą, dorzucam odrobinę kurkumy, która pomaga obniżyć gorączkę, przez co lekarstwo jest bardziej skuteczne, a na koniec listek mięty i szczyptę cukru. Dorosłych zwykle nie trzeba przekonywać do przyjęcia lekarstwa, co innego dzieci. Nie można ryzykować, że z powodu smaku je wyplują i zmarnują.

W Sektorze Królewskim rozlega się dźwięk syren alarmowych i krzyki. Podskakuję tak gwałtownie, że przewracam czarękę. Złapali kogoś.

Wesa.

Powinnam tam pobiec i zobaczyć. Nie – raczej powinnam uciec i się ukryć.

Moje ciało odmawia jednego i drugiego, zastyga.

Nie trać ducha, Tesso.

Muszę się ruszyć. Muszę dokończyć pracę. Elixir jest skuteczniejszy, kiedy do płatków Księżycowego Kwiatu doda się inne składniki, lecz trzeba go wypić w ciągu kilku godzin od przygotowania. Muszę ruszyć na obchód i roznieść lekarstwo, nawet jeśli będę musiała to zrobić sama.

Syreny nadal wyją. W oddali słysząc krzyki. Obudzą pół sektora. Mój oddech zmienia się w rżenie. Przed oczami mam postać księcia Corricka, wezwanego, by rozprawić się ze zdrajcą. Wartownicy nie są delikatni. Uśmiech Westona zmieni się w grymas bólu. Nawet tu będę słyszeć jego wrzask. Będą kaleczyć jego ciało maleńkimi nożami, najmniejszymi, jakie sobie można wyobrazić. Będą mu wkładać żarzące się węgle do ust. Rzucą go żywcem na pożarcie królewskim lwom. Będą przypalać po kolei ręce i nogi, aż straci przytomność z...

– Na Boga, Tesso, już w ogóle nie jestem ci potrzebny.

Z okrzykiem przerażenia przewracam kolejną czarkę. Jest. Stoi w drzwiach. Z błyskiem w błękitnych tęczęwkach pod maską, z beztroskim uśmiechem na ustach.

Widząc bałagan, jakiego narobiłam, Weston przewraca oczami.

– Może jednak jestem. – Podchodzi do stołu i stawia czarkę. – Był w niej już proszek?

Nie wiem, czy chcę go przytulić, czy mu przyłożyć. Może jedno i drugie.

– Spóźniłeś się. Słyszałam syreny. Myślałam... myślałam, że cię złapali.

– Nie dziś. – Wyciąga ze swojej torby pakunki z płatkami, potem trzy jabłka i kawałek jeszcze ciepłego ciasta posypanego cukrem. –

Proszę. Piekarz był zajęty utyskiwaniem na córkę, więc zwinąłem trochę jedzenia.

Spóźnił się, żeby przynieść mi śniadanie. I to jakie śniadanie. Trudno wyobrazić sobie coś smaczniejszego niż przysmaki z Sektora Królewskiego. Jabłka są nadziewane miodem, ciasto pieczone na prawdziwym maśle, przekładane śmietanką, posypane cukrem.

Otwieram usta. Zamykam. Marszczę brwi i odwracam się. Znow mam ściśnięte gardło, ale z zupełnie innego powodu.

– To bardzo miło z twojej strony, Weston.

– „To bardzo miło z twojej strony”? – obrusza się. – Chyba jesteśmy dziś nie w sosie.

– Muszę dokończyć eliksir.

– Ja dokończę. Ty zjedz.

– Zaraz zjem.

Nadal słyhać wycie syren po drugiej stronie muru, ale teraz mogę się już nimi nie przejmować. To pewnie kolejny przemytnik. Jutro prawdopodobnie zobaczymy jego skórę wywieszoną przy bramie, kiedy król i jego brat skończą się znęcać nad jego ciałem.

– Jak chcesz.

Weston bierze jabłko i rozsiada na jedynym krześle, opierając nogi na stole. Ma kapelusz z szerokim rondem i maskę, która zakrywa twarz na wysokości oczu. Jednak teraz, w chacie, kapelusz odsunął w tył. Oświetla go tylko blask ognia z pieca. Nie jestem w stanie nawet stwierdzić, jakiego koloru ma włosy. Zwykle jest nieogolony. Gdy siedzi blisko świecy, jego delikatny zarost wydaje się rudobrązowy – w kolorze piegów, jakie widać na krawędziach maski. Skórę wokół oczu ma wysmarowaną węglem lub sadzą, przez co błękit tęczówek jest wyjątkowo jasny. Nigdy nie widziałam takich oczu. Ja mam orzechowozielone, a do tego brązowe włosy zaplecione w ciasny warkocz ukryty pod kapeluszem. Wes mówi zawsze, że w mojej masce i czarnej kurtce wyglądam jak kot. Kiedyś, w przypiływie śmiałości i pewności siebie, powiedziałam mu, że powinien zobaczyć mnie bez przebrania, żeby wiedział, jak wygląda młoda kobieta, lecz natychmiast spoważniał.

– Nigdy – powiedział. – To zbyt niebezpieczne. Gdybyśmy wiedzieli, jak wygląda drugie, moglibyśmy zdradzić to na torturach. Nie zrobię ci tego. – Urwał. – I nie chcę, żebyś ty zrobiła to mnie.

Wtedy po raz pierwszy pomyślałam, że naprawdę wcale nie nazywa się Weston Lark. On pewnie myśli, że Tessa Cade też jest wymyślona, ale nie jest. Poznaliśmy się dwa lata temu, w chwili gdy na moich oczach zginęli moi rodzice, a ja byłam zbyt zrozpaczona, by wymyślić fałszywe nazwisko.

– Jesteś dziś milcząca – odzywa się Wes. Głośno gryzie jabłko. Mam ochotę wyrwać mu je z dłoni. – Coś się stało?

– Nie. – Wlewam gotowy eliksir do buteleczek. Zwykle on to robi. Potem znów nalewam wodę do czarek i zaczynam cały proces od nowa.

Za plecami słyszę, jak wstaje z krzesła. Podchodzi do mnie tak blisko, że czuję jego zapach. Pachnie lasem i cynamonem z piekarni – ale też czymś innym, cięższym, czymś, co nie pozwala mieć wątpliwości, że to Wes.

– Tesso.

Uśmiecham się z zadowoleniem, słysząc jęk, kiedy daję mu kuksańca w brzuch.

– A to za co? – mówi z wyrzutem.

– Za to, że przez ciebie się martwiłam.

– Przecież przyniosłem ci śniadanie.

Jego głos, głęboki i silny, słyszę tuż za plecami.

Ignoruję go.

Pochyliła się tak blisko, że czuję jego oddech na odsłoniętym fragmencie szyi między włosami a wysokim kołnierzem kurtki. Przed moimi oczami pojawia się jabłko oplecione jego długimi palcami.

– To naprawdę *pyszne* śniadanie – kusi.

Biorę jabłko. Jest oprószone cukrem. Ciepłe w dotyku. Zastanawiam się, czy miód w środku też jest ciepły.

Wbrew sobie gryzę. Miód rzeczywiście jest ciepły.

– Nienawidzę cię – mamrocę z pełnymi ustami.

– To nawet lepiej. – Przesuwa mój kapelusz parę centymetrów do góry i uśmiecha się szeroko. – Jedz szybko – dodaje. – Robota czeka.

Rozdział drugi

Corrick

Godzinami wsłuchuję się w oddech mojego brata. Za każdym razem, gdy bierze wdech, słyszę nowy dźwięk – subtelne drżenie w płucach. W Dzikich nazywają to śmiertelnym rżeniem, bo zwiastuje rychły koniec.

W jego komnatach nie chcę używać słowa „*śmierć*”. Nawet w myślach.

On nie ma gorączki. Nie ma powodów do obaw.

Sam siebie nie potrafię przekonać.

Przez otwarte okno wpadają promienie słońca, a ptaki wyśpiewują swoje trele wśród drzew. Harristan nie powinien już spać, ale nie chcę go budzić. Wszyscy za drzwiami jego komnat myślą, że od rana siedzimy nad papierami. Dwa razy posyłałem po jedzenie. Starczyłoby go dla kilkunastu ludzi, lecz większość stoi nietknięta. Nad pokrojonymi owocami zaczynają latać muchy, nad ciastem zaś krąży pszczoła.

Harristan lekko pokasłuje, a jego oddech staje się lżejszy. Może tylko coś drapało go w gardle. Nerwowy ucisk w mojej piersi słabnie. Przesuwam ręką po karku i odkrywam, że jest wilgotny.

Do komnaty wpada podmuch wiatru – delikatny, jednak na tyle silny, że rozrzuciłby papiery po stole, gdybym ich w porę nie przygwoździł lampą. Jeden z nas musi się zabrać do pracy. Robiłem notatki na marginesie prośby o fundusze od jednego z miast na wschodzie, wyszukując braki i nieścisłości w uzasadnieniu potrzeby budowy nowego mostu. Myślałem, że przeczytam ledwie parę stron, nim Harristan się obudzi, ale zdążyłem już dotrzeć do końca, więc musiało upłynąć sporo czasu.

Wyciągam mój kieszonkowy zegarek i patrzę na błyszczące diamenty zdobiące tarczę. Już południe. Jeśli Harristan nie pojawi

się na spotkaniu z konsulami sektorów, rozejdą się plotki, których nie zdołam wyciszyć.

Jakby moje myśli go przywołały, mój brat porusza się i mruga oślepiiony promieniami słońca. Spogląda na mnie spod zmarszczonych brwi, siada i przeciąga dłonią po twarzy.

– Jest późno. Dlaczego mnie nie obudziłeś?

Uważnie wsłuchuję się w jego głos, ale nie ma w nim chropowatości. Oddycha także bez trudu. Może mi się wydawało.

– Właśnie miałem to zrobić. – Idę do kredensu i biorę dzbanek. – Herbata wystygła.

Mimo to nalewam mu filiżankę i zanoszę razem z zakrzywioną fiolką eliksiru z Księżycowego Kwiatu, który jest ciemniejszy niż zwykle. W ubiegłym tygodniu, po tym, jak powrócił kaszel, pałacowy zielarz podwoił dawkę, więc może lek zaczyna działać.

Harristan odkorkowuje fiolkę i krzywiąc się, wypija zawartość.

– No już, już – mówię bez cienia współczucia.

Uśmiecha się. Robi to tylko, gdy jesteśmy sami. Poza tymi komnatami żaden z nas nie uśmiecha się zbyt często.

– Co robiłeś cały ranek?

– Analizowałem prośbę z Artis. Przygotowałem odmowę do podpisania.

Jego twarz przybiera poważny wyraz.

– Odmowę?

– Proszą o kwotę dwa razy większą niż koszt budowy nowego mostu. Dobrze się maskują, ale ktoś stał się chciwy.

– Nie jestem ci w ogóle potrzebny.

Mówi to lekkim tonem, jednak te słowa uderzają we mnie jak strzała. Kandala potrzebuje swojego króla. Ja potrzebuję mojego brata.

Odpycham troski i zakładam ręce na piersi.

– Musisz się ubrać i ogolić. Poślę po Geoffreya. Mówiłem, że jesteśmy zbyt zajęci, i prosiłem, żeby nam nie przeszkadzać. Quint już dwa razy prosił o widzenie z tobą, ale będzie musiał poczekać do kolacji, chyba że...

– Cory...

Jego głos jest cichy. Zamieram. Nazywa mnie tak jedynie na osobności. To przypomina mi dzieciństwo, które przeminęło.

Przez wisko z czasów, kiedy byłem mały i niecierpliwy i chodziłem za nim krok w krok. Imię, które z czułością wymawiała nasza matka, którym zachęcał mnie do działania nasz ojciec w czasach, gdy wierzyliśmy, że wszyscy nas kochają. Zanim ktokolwiek usłyszał o gorączce czy Księżycowym Kwiecie, kiedy nikt nie spodziewał się zmian, jakie nastaną w naszym kraju. Kiedy wszyscy myśleli, że miną dekady, nim Harristan obejmie tron, i że będzie rządził stanowczą, a jednocześnie wrażliwą ręką, troszcząc się o swój lud jak jego poprzednik.

Tymczasem cztery lata temu rodzice zostali zamordowani przez zamachowca na naszych oczach. Strzały przebiły im gardła w sali tronowej. Groty wbiły się w oparcia tronu, przytrzymując opadające głowy w górze z zastygłym na twarzach grymasem oraz szeroko otwartymi, zaszklonymi oczami, gdy krztusili się własną krwią. Ten obraz nadal prześladuje mnie czasem w snach.

Harristan miał wtedy dziewiętnaście lat. Ja piętnaście. Strzała trafiła go w ramię, kiedy rzucił się, by mnie osłonić.

To ja powinienem był osłonić jego.

Wpatruję się w jego błękitne oczy, szukając w nich oznak choroby.

Ale ich nie znajduję.

– Co?

– Lekarstwo znów działa. – Jego głos jest cichy. – Nie musisz się bawić w pielęgniarkę.

Uśmiecham się z lekką złośliwością

– Krwawy Cory pielęgniarką? Nigdy.

Harriston wywraca oczami.

– Nikt nie nazywa cię Krwawym Corym.

– Nie prosto w twarz.

Kiedy stają przede mną, jestem dla nich „Waszą Wysokością” albo „księciem Corrikiem”, a czasem, gdy są szczególnie oficjalni, „Najwyższym Sędzią Królewskim”.

Za plecami nazywają mnie gorzej. Dużo gorzej. Harristana też.

Nie przejmujemy się tym. Naszych rodziców kochano i oni kochali swój lud. To skończyło się zdradą i śmiercią.

Strach sprawdza się lepiej.

Podchodzę do szafy. Wyjmuję zdobioną koronką koszulę i rzuca ją bratu.

– Nie chcesz pielęgniarki? To przestań się lenić. Masz kraj, którym trzeba rządzić.

Kiedy wchodzimy do komnaty, na kredensie już stoi obiad. Pieczony bażant ociekający miodem i sosem z jagód, ułożony na zielonych i korzeniowych warzywach. Kilka piór zmyślnie przymocowano do złotego brzegu każdego półmiska błyszczącą kroplą skryzalizowanego miodu. Choć służba stoi w milczeniu pod ścianą, czekając, by zacząć podawać, ośmiu konsulów królewskich stoi przy oknie, prowadząc ożywioną rozmowę. Ja jestem dziewiątym, lecz nie interesują mnie konwersacje.

Konsulów było dziesięciu, jednak Barnard okazał się przywódcą spisku, w którym zginęli moi rodzice. Nas też by zabił. Po tym, jak Harristan ocalił mi życie, zobaczyłem Barnarda zamierzającego się na niego sztyletem.

Mój brat leżał na mnie. W uchu słyszałem jego oddech, pełen paniki i bólu. Wyciągnąłem strzałę z ramienia Harristana i wbiłem ją w szyję zamachowca.

Mrugam szybko, żeby odpędzić wspomnienie. Gdy wchodzimy do komnaty, konsulowie milkną. Każdy lekko skłania się przed moim bratem, po czym rusza do swojego krzesła, ale nikt nie usiądzie, zanim nie zrobi tego Harristan i nikt nie zacznie jeść, dopóki obaj nie weźmiemy pierwszego kęsa.

Stół ma trójkątny kształt: zwęża się w jednym punkcie jak grot strzały. Harristan siada na swoim krześle w końcu stołu, ja siadam na moim, po jego prawej stronie. Ośmiu konsulów także siada; jedno krzesło, bezpośrednio koło mnie, które zwykł zajmować konsul Barnard, pozostaje puste. Sektor Nabrzeża Kupców nie ma nowego konsula. Harristan nie spieszy się z jego powołaniem. Po tym, co zrobił Barnard, ludzie między sobą często nazywają je Nabrzeżem Zdrajców, choć nikt nie mówi tak w naszej obecności. Nikt nie chce przypominać królowi ani jego bratu o tych wydarzeniach.

Mojego brata szanują – i tak powinno być.

Mnie się boją. Nie przeszkadza mi to, a to przed nudnymi konwersacjami.

Każdą osobę obecną w tej komnacie znamy od urodzenia, niestety już od dawna nie panuje tu swobodna atmosfera, jakiej można by oczekiwać przy tak długiej znajomości. Widzieliśmy, do czego doprowadziły naszych rodziców poczucie zadowolenia i zaufanie. Wiemy, jak mogłoby to się skończyć dla nas. Gdy Harristan miał dziewiętnaście lat, z jeszcze krwawiącym ramieniem zwołał pierwsze posiedzenie w tej komnacie. Obaj byliśmy otumanieni bólem i szokiem, a mimo to poszedłem za nim i stanąłem u jego boku. Pamiętam, jak myślałem, że po śmierci rodziców konsulowie okażą nam wsparcie i współczucie. Pamiętam, jak myślałem, że razem będziemy ich opłakiwać.

Ale ledwo weszliśmy do komnaty, konsul Theadosia oświadczyła z drwiną, że Rada Królewska to nie miejsce dla dzieci. Mówiła o mnie, lecz jej ton wskazywał, że miała na myśli także Harristana.

– To dziecko – powiedział Harristan – jest moim bratem, waszym księciem.

Jego głos był jak grom. Nigdy nie słyszałem go takiego. Ten głos dał mi siłę, by stać tam, choć chciałem uciec i skryć się pod łóżkiem, udawać, że mój świat wcale nie został właśnie wywrócony do góry nogami.

– Corrick ocalił mi życie – ciągnął Harristan. – Życie waszego nowego króla. Naraził własne, kiedy żadne z was, także ty, Theadosio, nie kiwnęło palcem. Mianowałem go Najwyższym Sędzią Królewskim i będzie uczestniczył w każdym spotkaniu, w którym zechce.

Zamarłem, słysząc te słowa. Najwyższy Sędzia Królewski był najważniejszym doradcą króla, drugą najistotniejszą osobą w królestwie. Nasz ojciec wspomniał kiedyś, że cieszył się łaską ludu, bo Najwyższy Sędzia Królewski załatwiał za niego wszystkie... nieprzyjemne sprawy.

– Corrick będzie Najwyższym Sędzią Królewskim? Piętnastolatek? – zapytał ówczesny konsul o nazwisku Talec. Mówiąc to, udawał kaszel, by ukryć śmiech.

– Nie wyraziłem się jasno? – syknął Harristan.

– A o jakichże to sprawach będzie rozsądzał? Zabroni deserku? Zabroni się bawić w berka przestępcom w Kandali?

– Musimy być silni – oznajmiła Theadosia z pogardą w głosie. – Hańbisz pamięć swoich rodziców. To nie czas, by władcy Kandali stawali się przedmiotem drwin.

Hańbisz pamięć swoich rodziców. Te słowa zmieniły moje serce w lód. Nasi rodzice zginęli, bo Rada nie zdołała wykryć zdrajcy.

– Wygląda, jakby się miał zaraz rozpłakać – stwierdził Talec. – Myślisz, że z nim u boku zdołasz utrzymać tron?

To prawda, zbierało mi się na płacz. Ale po tych wszystkich słowach nie śmiałem okazać choćby cienia słabości. Moich rodziców zabił ktoś, komu ufali, nie mogliśmy pozwolić, by spotkało nas to samo.

– Nie będzie deserku i nie będzie berka – przemówiłem tonem równie nieustępliwym, jak przed chwilą Harristan. Czuję się, jakbym miał zagrać rolę, której nie miałem czasu się nauczyć. – Ty spędzisz trzydzieści dni przy żniwach. A ty będziesz pościć od południa do następnego ranka.

Przez moment panowała kompletna cisza, potem Theadosia i Talec zerwali się ze swoich miejsc.

– To niedorzeczne! – krzykali. – Nie masz prawa posłać nas w pole z robotnikami!

– Chcieliście wiedzieć, o czym będę rozsądzał – odparłem. – Tylko się uwijajcie. Słyszałem, że nadzorcy lubią używać bata.

Oczy Taleca płonęły gniewem.

– Jesteście dziećmi. Nie utrzymacie tronu.

– Straż – mruknąłem beznamiętnie.

Pamiętam, że nie byłem pewien, czy straż mnie posłuchają. Bałem się, że Rada może zechcieć nas obalić. To faktycznie *mogłoby* zhańbić pamięć naszych rodziców. Po tym, co zrobił Barnard, każda twarz wydawała się skrywać sekretny motyw, który doprowadzi do naszej śmierci.

A jednak straż podeszły i pochwyciły Taleca oraz Theadosię. Drzwi zatrasnęły się za nimi, pozostawiając komnatę w kompletnej ciszy. Każda para oczu przy stole otwarta była szeroko i wpatrzona w mojego brata.

Harristan wskazał na krzesło po swojej prawej stronie, przed chwilą opuszczone przez Taleca.

– Książę Corricku, siadaj, proszę.

Usiadłem. Nikt więcej nie odważył się odezwać.

Harristan zasiada na tronie od czterech lat.

Dziś przyszliśmy później niż zwykle; jedzenie na pewno wystygnie, ale Harristanowi nie spieszy się do talerza. Kiedy mój ojciec prowadził te spotkania, panowała swobodna, wręcz radosna atmosfera. Za obecnych rządów tak nie jest.

Brat odwraca się do mnie.

– Masz odpowiedź dla Artis?

Kładę przed nim na stole skórzaną teczkę, a obok niej wieczne pióro. Harristan robi przedstawienie, jakoby czytał dokument, choć pewnie podpisałby wyrok na samego siebie, gdybym mu go podsunął. Brak mu cierpliwości do długich wywodów prawniczych. Zajmują go wielkie plany i szerokie spojrzenie. Od szczegółów jestem ja.

Składa podpis w teatralny sposób, odkłada pióro i podsuwa teczkę Jonasowi Beechingowi, starszemu mężczyźnie, którego obwód w pasie jest chyba równy wzrostowi. Jestem pewien, że nie może się doczekać posiłku, mimo to żwawo zagląda do dokumentów. Widzę po nim, że spodziewa się pozytywnej odpowiedzi. Niemal ślini się na myśl powrotu do Artis ze szkatułkami pełnymi złota.

Mina mu rzędzie, gdy czyta odmowę, którą napisałem.

– Wasza Królewska Mość – zwraca się ostrożnie do Harristana. – Ten most skróciłby czas podróży z Artis do Sektora Królewskiego o trzy dni.

– I powinien kosztować o połowę mniej – odpowiadam.

– Ale... Moi inżynierowie miesiącami opracowywali ten projekt. – Spogląda na stół, potem znów na nas. – Na pewno nie sposób rozstrzygnąć tej kwestii w mniej niż dzień...

– Twoi inżynierowie się mylą – oświadczam.

– Może uda nam się znaleźć jakiś kompromis. Może... może doszło do jakiejś pomyłki w obliczeniach.

– Więc chcesz szukać kompromisu czy podejrzewasz pomyłkę? – pyta Harristan.

– Ja... – Jonas milknie z otwartymi ustami. Waha się. Jego ton robi się szorstki. – Jedno i drugie, Wasza Królewska Mość. – Zawiesza głos. – Gorączka zabrała wielu mieszkańców Artis.

Na wspomnienie choroby odruchowo chcę spojrzeć na Harristana. Chcę się upewnić, że nic mu nie jest. Że to rżenie w jego oddechu z rana było tylko wytworem mojej wyobraźni.

Zbieram w sobie całą siłę i nie odwracam wzroku od Jonasa.

– Artis otrzymuje swój przydział płatków Księżycowego Kwiatu jak każdy inny sektor. Jeśli twoi obywatele potrzebują więcej, muszą je sobie kupić, tak jak inni.

– Wiem, wiem. – Jonas odchrząkuje. – Wydaje się, że ciepła pogoda powoduje szybsze rozprzestrzenianie się choroby wśród pracowników doków. Mamy problemy z ludźmi od załadunku i załogami statków. Most pozwoliłby nam się uniezależnić od drogi wodnej i odbudować część kontaktów handlowych, które utraciliśmy.

– Zatem należało poprosić o odpowiednią kwotę – stwierdzam.

– Artis nie zbuduje mostu bez zdrowych robotników – wtrąca Arella Cherry siedząca po przeciwnej stronie stołu. Objęła stanowisko po swoim ojcu, kiedy ten w ubiegłym roku postanowił wycofać się z racji podeszłego wieku. Jest z Sunkeep, sektora położonego daleko na południe, którego granicą od zachodu jest Płonąca Rzeka, a od południa i wschodu – ocean. Mieszkańcy jej sektora radzą sobie najlepiej z gorączką. Uważa się, że to gorący, wilgotny klimat Sunkeep sprawia, że są mniej podatni na chorobę. Jednak ten sam uciążliwy gorąc jest też przyczyną najsłabszego zaludnienia tego regionu Kandali. Arella ma delikatny głos, śniadą skórę i czarne włosy do pasa, zawsze spięte w kok z tyłu głowy. – Może w związku z prośbą należałoby uwzględnić kwestię przydziału leku.

– Każde miasto potrzebuje zdrowych robotników do pracy – oznajmia Harristan. – I dlatego każde miasto otrzymuje przydział leku dla swoich mieszkańców. Także twoje, Arello.

– Tak, Wasza Królewska Mość – odpowiada. – Dzięki temu mieszkańcy mojego sektora mają się dobrze. – Urywa. – Tyle że mieszkańcy mojego sektora nie próbują budować mostu przez Rzekę Królowej w morderczym letnim upale.

Jej głos jest cichy i pełen szacunku, ale pod tym łagodnym tonem i delikatnymi dłońmi kryje się serce twarde jak skała. Gdyby zdołała postawić na swoim, Harristan zająłby ziemie Allisandra i innych i z zapamiętaniem rozprowadzał płatki Księżycowego Kwiatu.

Mielibyśmy też przy okazji wojnę domową na całego, bo inni konsulowie odmówiliby oddania części swoich terytoriów, jednak Arella nigdy nie dopuści do siebie tej strony medalu. Mimo to jest jedną z nielicznych osób przy tym stole, z którymi lubię rozmawiać.

Niestety ostatnia kobieta, która starała się mi przypodobać, próbowała także otruć mnie i Harristana przy kolacji. Nie była to *pierwsza* próba zamachu, choć zdecydowanie najbliższa powodzenia od czasu śmierci naszych rodziców.

Tak więc, jeśli o mnie chodzi, romans nie wchodzi w grę.

Allisander Sallister chrząka. Siedzi niemal naprzeciw mnie, ma bladą twarz i różowe plamy na policzkach, które wyglądają jak namalowane. Włosy i brwi ma gęste, brązowe, a do tego nosi kozią bródkę, którą jest najwyraźniej zachwycony, choć moim zdaniem wygląda idiotycznie. Jest tylko rok młodszy od Harristana. Przyjaźnili się w dzieciństwie. Kiedy byliśmy mali, mój brat miał niewielu towarzyszy, a spośród nich to Allisander miał dość cierpliwości, by przesiadywać w bibliotece, przesuwając pionki po szachownicy i słuchać nauczycieli czytających poezję.

Ale gdy byli nastolatkami, ojciec Allisandra, Nathaniel Sallister, poprosił o dodatkowe ziemie z sąsiedniego sektora, twierdząc, że jego pola przynoszą więcej plonów, więc przyniosłyby większe zyski i większe podatki dla Korony. Nasz ojciec, król, odmówił. Wtedy Allisander zwrócił się do Harristana, powołując się na ich przyjaźń, by wstawił się u niego za Sallisterami, lecz mimo to ojciec, człowiek uczciwy i sprawiedliwy, odmówił.

– Nie możemy zmuszać jednego sektora, by oddał ziemię innemu – zwrócił się do nas przy kolacji. – Ziemie podzielono według prawa i nie możemy niesprawiedliwie odbierać jednym, by dać drugim.

Zmusił Harristana, by osobiście odmówił Allisandrowi. Publicznie. Przy kolacji, w której uczestniczyli wszyscy konsulowie.

Z perspektywy czasu myślę, że ojciec chciał w ten sposób dać do zrozumienia, że uważa szukanie protekcji przez dzieci za nieuczciwe i że nie da się wciągnąć w takie gierki.

Niestety Allisander wziął to do siebie. Od tamtej pory rzadko bywał w pałacu. Zmieniło się to dopiero w ubiegłym roku, kiedy jego ciułąjący srebro ojciec ustąpił ze stanowiska. Harristan miał

nadzieję, że Allisander będzie nowym głosem swojego sektora, kluczem do zwiększenia dostępności płatków Księżycowego Kwiatu.

W rzeczywistości okazał się gorszy niż ojciec. Za czasów Nathaniela Sallistera ceny Księżycowego Kwiatu były wysokie, lecz stabilne. Allisander nigdy nie przepuści okazji, żeby negocjować podwyżkę. Harristan nie dopuszcza myśli, że spór z czasów, gdy byli nastolatkami, ma coś wspólnego z nieustępliwością Allisandra w targach, ale ja nie mam co do tego wątpliwości.

Wiele czasu podczas tych spotkań spędzam na wymyślaniu sposobów, jak go zirytować.

– Nowy most i dodatkowy przydział leku dałyby Artis niesprawiedliwą przewagę handlową – ocenia Allisander.

– Niesprawiedliwą przewagę! – oburza się Jonas. – Ty i Lissa kontrolujecie rynek Księżycowego Kwiatu i ty mnie oskarżasz o próbę uzyskania niesprawiedliwej przewagi?

Allisander układa dłonie w piramidkę i milczy.

Jonas się nie myli. Allisander Sallister reprezentuje Księżycowe Równiny, a Lissa Marpetta – Emberridge. To dwa sektory, w których rośnie Księżycowy Kwiat, jedyne znane lekarstwo na gorączkę, która nęka Kandale.

A więc najbogatsze sektory. I najpotężniejsze.

To powód, dla którego wszystkie moje pomysły na zirytowanie Allisandra pozostają w mojej głowie. Mogę go nienawidzić, jednak potrzebuję mieć go po swojej stronie.

– Niezależnie od przewagi – mówię – twoje motywy zawarte w prośbie nie były uczciwe, Jonasie.

Allisander spogląda na mnie i skinieniem głowy wyraża swoje uznanie.

Odpowiadam mu tym samym, choć mam ochotę rzucić w niego piórem.

Roydan Pelham odchrząkuje przy drugim końcu stołu. Dobiaża osiemdziesiątki. Ma wysuszoną skórę, która jakby nie mogła się zdecydować, czy ma być beżowa, czy ziemista. Należał do rady jeszcze w czasach, kiedy królem był mój dziadek. Większość pozostałych wydaje się go tolerować z uwagi na podeszły wiek, acz niezbyt chętnie. Robi wszystko po swojemu, a przy tym jest jedynym spośród konsulów, który wydawał się szczerze zatroskany o nas po

zabójstwie naszych rodziców. Nikt nie hołubił Harristana ani mnie, ale gdyby ktoś miał, to tylko Roydan.

– Moi ludzie cierpią tak samo jak ludzie w Artis – mruży cicho. – Jeśli przychyłisz się do tej prośby, złożę taką samą.

– Ty nie masz rzeki, przez którą musisz się przeprawiać! – woła Jonas.

– Zaiste, nie – odpowiada Roydan. – Ale moi ludzie chorują tak samo.

Mój umysł chce się odciąć. To często podnoszony argument. Temat i tak by wypłynął, jeśli nie przy okazji prośby Artis, to przy innej. Na gorączkę nie ma lekarstwa. Nasz lud cierpi. Allisander i Lissa nie oddadzą władzy i kontroli, jaką dają im ich ziemie i zasoby – choć Harristan dałby wiele, by móc przejąć ich terytoria, inni konsulowie się na to nie zgodzą.

Mój brat pozwala im na kilka minut kłótni. Ma więcej cierpliwości ode mnie. A może jest tylko bardziej wypoczęty. Pozwoliłem mu spać do południa, podczas gdy sam wstałem jeszcze przed świtem.

Wreszcie poprawia się na krześle, bierze wdech i to wystarczy, żeby się pozamykali.

– Twoja prośba została oddalona – odzywa się Harristan do Jonasa. – Możesz złożyć następną przed kolejnym spotkaniem za miesiąc.

Jonas zaczerpuje powietrza, jakby miał zamiar się kłócić, jednak zerka na mnie i zamyka usta. Cierpliwość mojego brata też ma granice i nikt z zebranych nie chce ich poznać.

– Skoro twoi ludzie cierpią – mówi bez cienia lęku Arella – nie byłoby nic niestosownego w tym, by Korona pomogła im wyzdrowieć.

Harristan patrzy na nią ponad stołem.

– Za jaką cenę? Cała Kandala cierpi. Dostawy płatków Księżycowego Kwiatu nie są niewyczerpane. Jakiego dokonałabyś wyboru, Arella? Poświęciłabyś własne dawki? Dawki swojej rodziny?

Arella przełyka z trudem ślinę. Nie zrobiłaby tego. Nikt z nich by tego nie zrobił.

Myślę o porannym kaszlu Harristana, o jego gorączce sprzed miesiąca, i nawet nie mam im tego za złe.

Ja też bym tego nie zrobił.

– Pora coś zjeść – zauważa Harristan. Milczący służący ruszają spod ściany i zaczynają podawać jedzenie. Przez chwilę komnatę wypełnia tylko stukanie sztućców o porcelanę. Ale pomiędzy nimi słyszę cichy głos Jonasa szepczącego do Jaspera Golda, konsula Mosswell.

– Są bez serca – mamrocze.

Zamieram. Kątem oka widzę, że widelec Harristana także się zatrzymuje. Może to przypadek. Czekam, żeby się przekonać, czy zareaguje na te słowa.

Nie reaguje.

A ponieważ *nie jestem* bez serca, ja też nie reaguję.

Rozdział trzeci

Tessa

Kiedy mieliśmy dobry dzień, potrafiłmy z Westonem dostarczyć nawet sto porcji eliksiru. Raz pomyślałam, że może powinniśmy roznosić eliksir oddzielnie, bo wtedy odwiedziłibyśmy dwa razy tyle rodzin, ale Wes upiera się, że zawsze jedno musi zostać na czatach. Zresztą, szczerze mówiąc, napełnione fiołki są tak ciężkie, że wątpię, czy byłabym w stanie sama udźwignąć zapas dla stu rodzin.

Są dni, kiedy to uczucie jest nie do zniesienia. Cierpią tysiące. Może nawet dziesiątki tysięcy. To, co robimy, to kropla w morzu – czasem docieramy za późno, czasem udaje nam się ukraść za mało albo choroba postępuje tak szybko, że lekarstwo nie zdąży zadziałać.

Najgorzej jest, kiedy za pierwszym razem ktoś ma tylko bóle mięśni, a gdy wracamy z następną dawką, już nie żyje.

Dziś zaczynamy nasz obchód dość szybko, bo z wczoraj został nam spory zapas utartych płatków, więc dziś nie musimy zaczynać od kradzieży. Nie przyznam się do tego Wesowi, lecz nadal jestem trochę roztrzęsiona po tym jego spóźnieniu. Dokuczałby mi do końca życia. Jak zwykle idziemy przez las, a on cicho pogwizduje. Pewnie myśli, że nie znam tej melodii – sprośnej tawernowej piosenki o marynarzu zabiegającym o wdzięki panny – jednak się myli. Mój ojciec stale śpiewał takie piosenki, kiedy rozcierał korzenie i odmierzał leki, ponieważ od nich moja mama się rumieniła i chichotała.

Wspomnienie moich rodziców nadal ściska mi gardło, dlatego je przeganiem i zaczynam kopać kamienie.

– Nie powinieneś gwizdać tej piosenki – mówię. – Jest wulgarna.

Spogląda na mnie i opuszcza rondo mojego kapelusza kilka centymetrów w dół.

– Miłość nigdy nie jest wulgarna, Tesso.

– Więc twoim zdaniem to jest piosenka o miłości?

– Jestem pewien, że dziewczyna czuje coś do marynarza. Inaczej nie zdejmowałaby bielizny, prawda?

Teraz moje policzki robią się czerwone. Całe szczęście jest ciemno, a moją twarz dodatkowo zakrywa maska. Nie mam zamiaru dać mu tej satysfakcji i zacząć chichotać.

– Jesteś niemożliwy.

– Przeciwnie. Jestem *bardzo* możliwy. – Wyciąga jabłko ze swojego plecaka i podaje mi. – Może małe śniadanko?

Mrugam zdziwiona. Nie mieliśmy czasu pójść dziś do Sektora Królewskiego. Nie podoba mi się myśl, że Wes był tam bez mojej wiedzy. Czasem zastanawiam się, co bym zrobiła, gdyby po prostu zniknął.

Nie powinnam się tak przywiązywać. Wiem, że nie powinnam. Ale od czasu egzekucji moich rodziców Wes jest jedyną stałą rzeczą w moim życiu. Myśl, że los mógłby mi odebrać i jego, jest niemal nie do zniesienia.

– Zachowałem z wczoraj – dodaje, jakby czytał mi w myślach.

– Aha.

Waham się. W brzuchu mi burczy, lecz wiem, że pracownicy kuźni nie mają zbyt wielu okazji do jedzenia i na pewno Wes też jest głodny.

– Dziękuję, lepiej sam zjedz.

Nie kłóci się ze mną, zamiast tego wbija zęby w jabłko. Chrupanie rozchodzi się echem w porannej ciszy.

– Na pewno? – drąży, wyciągając je w moją stronę. – Miód wystygł, ale nadal jest słodki.

Kiedy dalej się waham, bierze mnie za rękę i wciska w nią owoc.

– Na Boga, Tesso. Po prostu weź.

Czuję ciepło jego palców i staram się nie myśleć o tym, że przed chwilą tego jabłka dotykały jego usta. Obracam je, żeby ugryźć z drugiej strony.

Znów zaczyna gwizdać tę głupią pijacką piosenkę. Przewracam oczami i odgryzam kolejny kęs jabłka.

Granice między większością sektorów Kandali są otwarte, z wyjątkiem trzech: Sektora Królewskiego, gdzie mieszka król, jego brat i wszyscy możni, oraz Księżycowych Równin i Emberridge, gdzie rośnie Księżycowy Kwiat. Te sektory są mocno strzeżone i otoczone

murem, szczytą się też najzdrowszą i najzamożniejszą ludnością. Sektor Królewski mieści się w środkowej części Kandali, otoczony jest pięcioma innymi sektorami. Mosswell, na północy, zajmuje się głównie hodowlą zwierząt i produkcją rolną. Artis, na wschodzie, słynie z handlu drewnem dzięki bliskości Rzeki Królowej. Kraina Smutku to rozległy sektor na zachodzie, w większości pustynny.

Na południe od Sektora Królewskiego leży Stalowe Miasto, które ze względu na liczne kopalnie żelaza jest stolicą kowali i operatorów maszyn. I wreszcie Nabrzeże Kupców – tętniące życiem centrum handlu ciągnące się kilometrami wzdłuż Ognistej Rzeki. Czasem nazywają je Nabrzeżem Zdrajców od czasu, gdy główny konsul tego sektora zabił króla i królową.

Tereny wokół Sektora Królewskiego są mocno zalesione, zarośnięte chaszczami, jeżynami i kolczastymi pnączami, przez które trudno się przedrzeć – idealne miejsce na naszą chatę, w której przyrządzamy lek. Tym bardziej, że jest położone z dala od głównej bramy do sektora, a nasz mały piec na drewno prawie nie dymi.

Za lasem znajduje się teren, gdzie zbiega się większość sektorów okalających Sektor Królewski niczym szprychy w kole. Ze względu na bliskość Sektora Królewskiego jest gęsto zaludniony, lecz też bardzo ubogi, pełen chorób i uzbrojonych strażników, szukających przemytników i wichrzycieli. Mój ojciec mawiał, że dworskie elity z drwiącym uśmieszkiem nazywają te rejony Dżiczą, co uwłacza ludziom zmuszonym tam mieszkać i pracować. Ale ludzie przyjęli tę nazwę za własną i dziś, kiedy granice między sektorami się zacierają, a ludzi łączy wspólna tragedia, mieszkanie w Dżicy jest nawet powodem do dumy.

Zawsze zaczynamy od części Dżicy przylegającej do Stalowego Miasta, bo jest najbliżej naszej chaty i Wes chyba mniej niż ja martwi się, że może zostać złapany przez kogoś, kogo zna. Na zmianę trzymamy straż w kolejnych domach, bo nie da się po prostu zostawić leku i rozpląnąć w ciemnościach. Budzimy każdą osobę, pilnujemy, żeby wypić eliksir do ostatniej kropelki, zabieramy fiołki i wychodzimy. „Nie zostawiaj żadnych dowodów”, powtarza Wes. Żadnych dowodów.

O tak wczesnej porze, jeszcze przed świtem, ulice są puste i ciche, jednak Wes teraz nie pogwizduje. Prześlizgujemy się od budynku do

budynku pod osłoną mroku.

Gdy wchodzę na ganek kolejnego domu, słyszę dochodzący z wnętrza jęk. Stoję z ręką wyciągniętą w stronę drewnianych drzwi, wahając się, czy zapukać.

Weston wyłania się z ciemności i natychmiast jest przy mnie.

– Co się dzieje, Tesso?

Znow rozlega się jęk. Teraz Wes zamiera.

Mieszka tu Kendall z synem, Gillisem. Jej mąż zmarł dwa lata temu, ale ani ona, ani jej syn od tamtego czasu nie mieli żadnych objawów choroby. Czułam, że naprawdę im pomagamy. Gillis ma trzynaście lat i pracuje jako goniec w pobliskiej kuźni. Nie boi się ciężkiej pracy i zawsze szepcze, że kiedy tylko będzie dość duży, chce dołączyć do mnie i Wesa. Nie widzieliśmy go od tygodnia. Jego matka mówiła, że pracuje na poranną zmianę, a to znaczy, że omijają go kolejne dawki eliksiru, które przynosimy.

Wes lekko puka do drzwi i na chwilę zapada cisza. Potem z wnętrza dochodzi do nas urywany szloch.

Spoglądamy z Wesem na siebie. Przełykam z trudem ślinę.

Przyjaciel kładzie rękę na skoblu i otwiera drzwi. Kendall klęczy w ciemności na podłodze, a na kolanach trzyma owinięte kocami ciało. Podnosi głowę, gwałtownie nabierając powietrza.

To Gillis. Ja też robię wdech. Mój towarzysz kładzie palec na ustach i potrząsa głową. Nie jestem pewna, czy ten gest skierowany jest do niej, czy do mnie. Pewnie do nas obu.

– Tesso! – Kendall odzywa się mimo to, na wpół płacząc, na wpół krzycząc. – Wes. On umiera.

Umiera.

Więc nie umarł. Jeszcze nie.

Podchodzę do niej i padam obok na kolana. Gillis ma zamknięte oczy. Jego ciemne włosy są mokre od potu. To zwykle dobry znak, świadczący o przesileniu gorączki, ale mam wrażenie, że w tym przypadku to raczej skutek koców, którymi jest otulony. Nie wiem, jakim cudem nie słyszeliśmy jego oddechu z za drzwi. Śmiertelne rżenie w jego piersi jest wyraźne.

Ból ściska mi serce.

– Może go pani posadzić? – pytam szeptem. – Mamy lek.

Tyle że jest już za późno. Widzę, że jest za późno. Jest nieprzytomny. Nie da rady wypić eliksiru. A nawet gdyby zdołał, raczej już mu nie pomoże.

Kendall kiwa pospiesznie głową. Wes patrzy na mnie. W jego oczach widnieje rezygnacja. Mimo to pomaga jej podnieść chłopca. Drobne ciało Gillisa opada bezwładnie, głowa zaś stacza się na ramię Wesa. Wyciągam z torby jedną z fiolek i odkorkowuję ją drżącymi palcami.

– Gillis? – przemawia cichym, łagodnym głosem Wes. – Gillis, otwórz oczy.

Wszyscy wstrzymujemy oddech. W nadziei na cud modlimy się i czekamy.

Na początku zarazy, gdy gorączka zaczęła zbierać pierwsze żniwo, wszyscy myśleli, że przenosi się przez bliski kontakt z chorym, zwłaszcza że na początku dotykała tylko mieszkańców Dżicy, dopiero później uderzyła także w moźnych z Sektora Królewskiego. Bramy do niego były zamknięte przez długie tygodnie. Jednak mój ojciec prowadził rejestr zachorowań. Kiedy kolejne przypadki zaczęły pojawiać się bez żadnego schematu, nawet wśród tych, którzy się izolowali, szybko okazało się, że kontakt nie ma tu nic do rzeczy. Zachowałam notatki ojca – nie da się dostrzec żadnej prawidłowości w zachorowaniach. Choroba może zabrać jedno życie albo tuzin.

Może pozostawić nietkniętą całą rodzinę albo kilka ciał oczekujących na rozpalenie następnego stosu pogrzebowego.

Znów rozlega się szloch Kendall. Gdy już zaczynam tracić nadzieję, Gillis kaszle mocno, a potem mruga.

– Mamo? – mamrocze zachrypniętym głosem.

Kendall gwałtownie nabiera powietrza.

– Gillis! Och, Gillis! – Bierze jego twarz w dłonie. Chłopiec znowu powoli mruga.

– Ciii – mówi Wes. – Nocny patrol może nas usłyszeć. Tesso?

Biorę głęboki wdech: pierwszy, odkąd wesliśmy do środka.

– Proszę. – Wyciągam przed siebie fiolkę. – Gillis, musisz to wypić.

Jego kaszel jest mokry.

– Tak, panno Tesso.

Wes pomaga mu wypić eliksir, a ja w tym czasie pośpiesznie przeszukuję torbę, szukając między fiołkami buteleczki z żywicą z brzaskowca. Kilka kropel pomaga ocucić pijanego albo osobę z urazem głowy, jednak zauważyłam, że także przyspiesza działanie eliksiru z Księżycowego Kwiatu.

Kendall całuje go w czoło i policzki. Jej oddech drży, jak cała ona.

– Och, Gillis – szepcze z ustami przyciśniętymi do jego skroni.

Z trudem podnosi dłoń, żeby dotknąć jej twarzy. Wyjmuję zakraplacz z olejkiem z żywicą brzaskowca.

– Wypij jeszcze to – mruczę.

Rozchyła spierzchnięte wargi, a ja strząsam trzy krople olejku do jego ust. Przełyka.

– Ciii – powtarza Wes. Bierze rękę Gillisa i ściska ją delikatnie. – Ani się obejrzysz, a będziesz przemykał z nami, kryjąc się w cieniu. – Gillis mruga i uśmiecha się lekko. – Obiecuj mi to.

– Obiecuję.

Kendall znów całuje go w policzek, mamrocząc coś niewyraźnie, lecz miłość w jej głosie jest czysta i wyraźna. Kładę dłoń na jej ramieniu. Spogląda na mnie ze łzami w oczach.

Gillis kaszle mocno, potem próbuje wziąć wdech. Mięśnie szyi napinają się, kiedy walczy o powietrze. Wbija palce w ramię Wesa.

– Powoli – instruuje Wes, choć w jego głosie słyszę niepokój. – Spokojnie, Gillis. Oddychaj.

Chłopiec zaciska szczękę. Wygina kręgosłup w łuk i próbuje chwycić palcami coś niewidzialnego.

Potem bezwładnie opada na ramię Wesa.

Kendall zamiera. Ja także.

Wes się porusza. Kładzie chłopca na podłodze, odsuwając koce. Przykłada dwa palce do szyi Gillisa, potem pochyla się i przykłada ucho do jego ust.

Gillis się nie porusza.

Przyjaciół podnosi wzrok. Jego oczy są jak błękitne jeziora smutku.

– Nie! – Nagły okrzyk Kendall jest pełen gniewu, bólu i strachu, które odbijają się echem we mnie samej. – Nie!

Z oddali dobiega nas szczekanie psa.

A ona dalej krzyczy.

– To przez nich! Przez tego strasznego króla albo jego strasznego brata, przez wszystkich tych strasznych ludzi za murem. Nienawidzę ich! Nienawidzę! Nienawidzę...

Weston chwyta ją za ramię i zasłania jej usta dłonią. Mówi nerwowym szeptem:

– Kendall. Weź się w garść.

– Wes – upominam.

– To zdrada – odpowiada szorstko. – Jeśli usłyszysz to nocny patrol, ciebie też zabiją.

– Nie obchodzi mnie to – oświadcza ze szlochem kobieta. Uwiesza się na Wesie. – Niech mnie zabiją. Niech zobaczą, co zrobili mojemu synkowi.

Biorę długi, drżący wdech.

– Kendall, tak mi przykro.

– Był tylko dzieckiem. – Wzdycha, wyglądając, jakby się na coś przygotowywała. Potem przeciąga dłonią po twarzy syna. – To ich wina, wiesz o tym. – Jej głos znów przepełnia gniew. – Siedzą sobie zdrowi, a resztę nas zostawiają na pewną śmierć.

Słyszeliśmy te słowa sto razy. I usłyszymy je jeszcze następne sto.

Dlatego to robimy. Bo ona ma rację.

Wes wyjmuję z torby fiolkę i wyciąga rękę przed siebie.

– Musisz wziąć swoją dawkę, Kendall.

Bierze fiolkę drżącą dłonią. Spodziewam się, że ją odkorkuje i wypije, ale ona ciska ją w ciemność. Gwałtownie nabieram powietrza.

Wes, szybki jak zawsze, chwyta ją w powietrzu, zanim poleci daleko.

– Nie pozwól, by rozpacz odebrała ci rozsądek.

Choć jego ton nie jest ostry, Kendall wzdryga się, a potem pada na ciało syna.

– Dajcie to komuś, kto chce żyć. Ja nie chcę.

Z wahaniem kładę dłoń na jej.

– Kendall – szepczę. – Kendall, bardzo ci współczuję.

Odwraca rękę i kładzie ją na wierzchu mojej.

– Ty wiesz, jak to jest – oznajmia. – Ty też kogoś straciłaś.

– Tak – potwierdzam.

Mojego ojca. Moją matkę. Nigdy nie wymażę z pamięci momentu ich śmierci. Łzy mimowolnie zaczynają napływać mi do oczu.

– Ktoś musi ich powstrzymać – ciągnie Kendall z drżącym oddechem. – Ktoś musi ich powstrzymać.

– Wiem – odpowiadam. – Na razie robimy, co możemy.

Potakuje głową, potem podnosi dłoń i całuje moje palce.

– Wypij lekarstwo – odzywa się łagodnym głosem Wes. – Gillis by tego chciał.

– Gillis już nie może nic chcieć. – Oddycha z trudem. – Idźcie już. Oboje. Nie marnujcie leku na mnie.

Już chcę zaprotestować, lecz jej twarz wykrzywia wściekłość.

– Idźcie! – krzyczy. – Idźcie już! Tylko mi o nim przypominacie. Idźcie!

Odskakuję w tył.

– Tesso – mruczy Wes. Łapie mnie za łokieć.

Nie chcę iść. Nie powinniśmy jej zostawiać w tym stanie – złamanej, bez nadziei, płaczącej nad ciałem syna.

Ale Wes ma rację.

– Powiadomimy Jareda Sextona – zwraca się do niej cicho. Ma na myśli cieślę mieszkającego kilka domów dalej. Jest wysoki i dobrze zbudowany. Zwykle to on przewozi ciała na stos pogrzebowy. – Zajrzę do ciebie jutro.

Nie odpowiada. Szlocha teraz z głową schowaną w dłoniach.

Wymykamy się w mrok. Potrafimy bezgłośnie poruszać się po ścieżkach. Weston jednak najwyraźniej coś dostrzegł lub usłyszał, bo szybko wciąga mnie w ciemność za rogiem następnego domu. Przyciska mnie plecami do ściany i pochyla się, blokując mi ruch.

– Co? – bąkam. Gwałtownie przenosi na mnie wzrok i niemal niewidocznie potrząsa głową.

Wpatruję się w mrok za nim. Światła jest niewiele, jednak teraz docierają do mnie ciężkie kroki nocnego patrolu. Wes miał rację. Musieli usłyszeć krzyki Kendall i przyszli sprawdzić, co się dzieje. W tym mroku jej nie widzę. Może nic nie zauważą i pójdą dalej.

Ale nie. Kobieta wybiega z domu.

– Zabiliście go! – krzyczy. W ręce ma kamień. RzUCA nim, a po chwili rozlega się krzyk mężczyzny. – Powiedzcie tym świniom, królowi i jego podłemu bratu, że będą się smażyć w piekle za swoje...

Wystrzał z kuszy. Strzała trafia w cel z odraźającym dźwiękiem. Głos Kendall milknie. Ciało opada na ziemię.

Wrywa mi się cichy okrzyk rozpacz. Czuję, jak Wes przyciśnięty do mnie zamiera.

Jeden ze strażników kopie ciało Kendall.

– Zostaw – mówi inny. – Znajdą ją. – Jeszcze inny spluwa na ziemię. A może na nią. – Nigdy się nie nauczą.

– Tesso. – Głos Westona jest jak świst w moim uchu. – Nie trać ducha, dziewczyno. Ciebie też zabiją.

Przyciska mnie do ściany swoim ciałem, a dłonią zakrywa usta. Nie zdaję sobie sprawy, że się z nim siłuję, dopóki nie przestaję. Spoglądam w jego oczy, mrugam, a jego obraz zachodzi mgłą.

– Wiem – szepcze.

Mój oddech jest drżący. Zaciskam powieki. Wes zabiera dłoń z moich ust.

Wtulam twarz w jego ramię i trzęsę się od płaczu jak dziecko.

Mija chwila. Czuję jego rękę na policzku, poniżej maski. Ociera kciukiem łzy spływające mi po twarzy.

– Wiem – powtarza. – Wiem.

W końcu łzy zaczynają płynąć wolniej i uświadamiam sobie, że upadłabym, gdyby Wes mnie nie przytrzymał. Chcę tu zostać, otoczona jego opiekuńczymi ramionami, bo wszystko poza nimi jest zbyt okropne. Ta myśl wydaje się niewyobrażalnie samolubna wobec tego, co właśnie spotkało Kendall i Gillisa, ale nie mogę się jej pozbyć. Wes to ciepło, bezpieczeństwo i... przyjaźń.

Dokładnie w tym momencie się odsuwa, opuszczając rękę. Patrzy w dal; jego oczy wypatrują kłopotów.

– Powinniśmy pójść na zachód. Nocny patrol jest już nakręcony. Nie chcę ryzykować. Jeśli starczy nam czasu, wrócimy tu i załatwimy resztę.

Przełykam ślinę i próbuję jakoś pozbierać oraz uporządkować myśli.

– Tak. Jasne. – Pociągam nosem, żeby zatrzymać ostatnie łzy, i wycieram twarz. Teraz jestem pełna smutku, lecz wiem z doświadczenia, że z czasem smutek przerodzi się w gniew. – Nie powinniśmy... nie powinniśmy zrobić czegoś z jej ciałem?

– Nie – odpowiada Wes. Wyciąga dłoń, żeby poprawić mój kapelusz. – Mają rację. Ktoś znajdzie ciało.

– Weston!

– Ciii. – Przykłada palec do ust i potrząsa głową. – Nie jestem bezduszny. Po prostu już nic nie możemy dla niej zrobić, Tesso. – Poprawia swoją torbę, a fiolki grzechoczą. – Mamy obchód do skończenia.

– Masz rację. – Wzdycham. – Obchód.

Znów ruszamy w mrok, bezgłośnie podążając przez noc. Nie ma dziś żarcików Westona. Nie ma gwizdania. Powietrze jest ciężkie od wspomnienia wydarzeń, których właśnie byliśmy świadkami i które ze sobą niesiemy.

– Nienawidzę króla – szepczę. – I nienawidzę księcia. Nienawidzę tego, co zrobili. Nienawidzę tego, czym stała się Kandala.

Mój głos stał się tak cichy, że nie jestem pewna, czy mnie w ogóle słyszał. Ale po chwili Wes bierze mnie za rękę. Ściska ją nieco dłużej niż to konieczne – jedyny znak, że dotknęło go to równie mocno, jak mnie.

– Ja też – stwierdza.

Puszcza moją dłoń. Skinieniem głowy wskazuje na horyzont. Jakakolwiek oznaka słabości znika.

– Ranek już blisko. Musimy się pospieszyć.

Rozdział czwarty

Corrick

Jako dziecko Harristan był słaby i delikatny. Często chorował. To było jeszcze zanim gorączka zaczęła dręczyć nasz lud, zanim się urodziłem. Słyszałem plotki, że moja matka i ojciec poczuli ulgę, gdy pojawiła się kolejna ciąża, bo martwili się, że Harristan może nie przeżyć i zostaną bez potomka, dziedzica tronu. Nasi rodzice przez lata tak przywykli do chuchania i dmuchania na niego, że nie potrafili przestać, nawet gdy już wyrósł z dziecięcej chorowitości. Tygodniowe polowanie? Harristan zostawał w pałacowych ogrodach, podczas gdy ja z ojcem i jego gośćmi mogłem galopować do woli. Podróż do odległych sektorów? Harristan jechał w powozie, chroniony przed słońcem i chłodnymi podmuchami, a ja konno ze strażami i doradcami. Czułem się dużo starszy, niż byłem, kiedy dopuszczali mnie do swoich żartów i rozmów.

Ktoś mógłby pomyśleć, że takie odmienne traktowanie mogło stać się źródłem wzajemnej niechęci między nami. U Harristana – z zazdrości o swobodę, jaką się cieszyłem, zaś u mnie z zazdrości o uwagę, jaką mu poświęcali rodzice. Ale tak się nie stało. Nigdy nie było między nami żadnej niechęci, bo Harristan był mistrzem w wymykaniu się. W wymykaniu się z pałacu, spod czujnego oka, ze swojej złotej klatki, jak nazywał pałac.

Nie zrodziła się niechęć, bo zawsze zabierał mnie ze sobą.

Czekaliśmy, aż wzejdzie księżyc, potem przebieraliśmy się w najzwyczajniejsze ubrania, jakie mieliśmy, napychaliśmy kieszenie miedziakami i wymykaliśmy się z Sektora Królewskiego. Nauczył mnie orientować się w zasadach patrolowania muru przez strażników, jak niezauważenie wybiegać bramą, kryjąc się w cieniu, jak odróżnić szczery uśmiech od uśmieszku, który zdradza nieuczciwe zamiary.

Niektórzy z możliwych opowiadali, jak niebezpiecznie może być w Dżicy, ale gdy byliśmy młodszy, Dżica oznaczała dla nas magię i przygodę. Muzyka grała tam do późna, ludzie tańczyli przy ogniskach. Rwaliśmy pieczone mięso rękami i piliśmy domowe piwo, o niebo lepsze od wina bez smaku serwowanego w pałacu. Właziliśmy na drzewa, strzelaliśmy z łuku i kryliśmy się przed patrolami. I ci ludzie! Tylu ludzi. Wróżbicy i żeglarze, kowale, tancerki, farmerzy i artyści. Słuchaliśmy opowieści, śpiewaliśmy sprośne pijackie piosenki i choć nikt nie wiedział, kim jesteśmy – bo któż by się spodziewał, że następca tronu i jego brat będą siedzieć i śmiać się przy ognisku w środku nocy – zawsze byliśmy tam mile widziani, ponieważ w Dżicy nikogo nie traktowano jak obcego.

Dziś, jako Najwyższy Sędzia Królewski, widząc czyjąś twarz, zastanawiam się, czy to nie ktoś, kogo znałem jako dziecko. Zastanawiam się, czy złodziejka, którą skazuję na miesiąc ciężkich robót w kamieniołomach, nie dolewała mi kiedyś piwa. Albo czy przemytnik Księżycowego Kwiatu, którego skazuję na śmierć w ogniu, to nie człowiek, który kiedyś przepowiadał mi przyszłość i wyczytał z mojej ręki, że będę żył długo i szczęśliwie, mrugając, gdy obiecywał, że będę miał u boku kobietę z obfitym biustem.

Nie lubię rozmyślać nad przeszłością.

Szczerze mówiąc, nad teraźniejszością też nie.

Są bez serca.

Prześladują mnie słowa Jonasa z wczorajszego posiedzenia rady. Zastanawiam się, czy Harristan je słyszał. Nie chcę go o to pytać. Bo choć jesteśmy blisko, lepiej, żeby niektóre swoje myśli zachował dla siebie, tak jak ja.

Jest późno, a w moich oknach jest ciemno. Mój brat pewnie już dawno temu się położył. A ja, choć codziennie wstaję bardzo wcześnie, nigdy nie mogę zasnąć. Mam jeszcze jedną prośbę do przeczytania, prośbę o pieniądze, tym razem od Arelli. Złożyła ją po odmowie, którą otrzymał Jonas. Jest krótka i dość pospiesznie napisana, więc zastanawiam się, czy to nie jakaś forma odwetu. A może dostrzegła szansę na zagarnięcie srebra dla siebie, zanim Jonas zdoła wnieść poprawki w swojej.

Wzdycham i pocieram oczy.

Kiedy słyszę pukanie, zaskoczony gwałtownie podnoszę wzrok.

– Wejść.

Strażnik pchnięciem otwiera drzwi.

– Wasza Wysokość. Konsul Sallister prosi o rozmowę.

Wyciągam kieszonkowy zegarek i zerkam na tarczę. Mam ochotę zapytać, czy Allisander zdaje sobie sprawę, że już prawie północ, jednak nie ma wątpliwości, że na pewno jest świadom pory i nic sobie z tego nie robi. Jest jednym z niewielu ludzi, którzy mogą domagać się audiencji o tej porze i otrzymać ją.

Wzdycham, potem składam papiery i kładę je odwrócone niezapisaną stroną do góry na swoim biurku.

– Niech wejdzie.

Mimo późnej godziny Allisander nadal jest wystrojony i zapięty pod szyję. Ja już dawno zdjąłem kaftan, a rękawy koszuli mam podwinęte. Patrzy na mój niezobowiązujący strój.

– Wybacz. Nie wiedziałem, że już się położyłeś – mruczy.

– Nie położyłem.

Czeka, bym zaproponował mu krzesło, lecz tego nie robię.

– Przemytnicy się rozzuchwalili – oznajmia. – Docierają do mnie wiadomości o zakłócanych dostawach, kradzieżach na drogach, napadach na transporty. A to tylko za murami Sektora Królewskiego. Sam wiesz, że to od dawna problem także w obrębie sektora.

Popijam łyk herbaty.

– Każdy złapany przemytnik – odpowiadam – jest surowo karany.

– Lato mamy w tym roku deszczowe. Zbiory nie są tak obfite, jak przed rokiem. To w połączeniu z napadami na transporty może doprowadzić do problemów z dostawami.

– Chcesz powiedzieć, że jest problem czy że może być?

– Groźba problemu nie jest wiele lepsza od prawdziwego problemu, Corricku.

Jego ojciec był wyjątkowo męczący, lecz słuchanie tych słów od kogoś, kto jest niewiele starszy ode mnie, jest jeszcze gorsze. Mówi to protekcyjnym tonem. Użycie mojego imienia jest protekcyjne. Jego durna kozia bródka jest protekcyjna. Nie mam pojęcia, jak mój brat mógł się kiedykolwiek przyjaźnić z tym człowiekiem.

Odstawiam filiżankę.

– Mogę ci zaproponować uzbrojoną straż dla dostaw do Sektora Królewskiego.

– Z radością ją przyjmę. Podwyższymy także nasze ceny o dwadzieścia procent.

– Dwadzieścia procent?! – Co za bezczelność. Słyszał, jak odmawiam funduszy Artis, bo już i tak mają kłopoty z powodu niedoboru leku, a teraz podnosi ceny. Nie wiem, czy to zwykła chciwość, czy chce nas upokorzyć, jakby szukał każdej sposobności, żeby odegrać się na Harristanie.

Tak czy siak mam ochotę oblać go swoją herbatą. Ostatecznie tylko unoszę brew i przeciągam palcem po krawędzi filiżanki.

– Uważasz, że twoje zbiory aż tak ucierpiały?

Na jego ustach pojawia się coś, co, w jego mniemaniu, jest porozumiewawczym uśmiechem.

– Musimy chronić nasze dostawy. – Zawiesza głos. – Jeśli, twoim zdaniem, ceny są za wysokie, mogę porozmawiać z Lissą. Możemy próbować jakoś sobie radzić w obliczu aktualnych ograniczeń.

Nie zmienił tonu. Jest nadal życzliwy, ale podszyty groźbą. Kandała potrzebuje większych zbiorów Księżycowego Kwiatu. Wszyscy potrzebujemy.

Przypominam sobie, jak Harristan dziś rano kaszlał przez sen, potem szybko przeganiał tę myśl, zanim w moich oczach pojawił się niepokój.

– Nie ma takiej potrzeby – stwierdzam. – Twoje stanowisko jest zrozumiałe. – Urywam. – Przypuszczam, że konsul Marpetta także podniesie ceny, czyż nie?

Lissa Marpetta rzadko odzywa się na posiedzeniach rady, jednak można przyjąć, że robi to, co Allisander. Jej sektor, Emberridge, dostarcza o połowę mniej płatków Kwiatu Księżycowego niż jego, lecz to wystarczy, by miała duże wpływy.

– Pewnie tak – potwierdza. – Oczywiście z radością odprowadzimy podatki od naszych dochodów, jak zawsze. Jeśli nasze dostawy pozostaną bezpieczne, Sektor Królewski może na tym skorzystać, a tym samym cała Kandała.

Uważa, że wyświadcza nam przysługę. Jakby większość tych podatków nie pochodziła prosto z naszego własnego skarbcza, kiedy płacimy za zaopatrzenie.

Czasem żałuję, że nie mogę zobaczyć, jak mój ojciec poprowadziłby taką rozmowę. Albo raczej jak Micah Clarke, poprzedni Najwyższy Sędzia Królewski, by to zrobił. Ojciec był kochany, znany z opanowania i życzliwości oraz sprawiedliwych rządów. Ale może mógł sobie pozwolić na taki luksus, bo trudniejszymi politycznymi intrygami zajmował się ktoś inny.

Cóż, nie wiem i nigdy się nie dowiem. Micah zginął razem z naszymi rodzicami. A za panowania ojca i matki nasz lud nie był narażony na takie cierpienie. Gorączka dopiero zaczynała się rozprzestrzeniać. Ludzie nie byli zmuszeni wybierać, czy nakarmić rodzinę, czy kupić dla niej lek.

Znów pukanie do drzwi. Wzdycham. Czy nikt w tym pałacu nie śpi?

– Wejść – wołam.

Strażnik otwiera drzwi.

– Wasza Wysokość. Marszałek Quint chciałby...

– Tak, tak, tak – mruczy Quint, wyłaniając się zza jego pleców. Nie czeka nawet na odpowiedź, czy zechcę się z nim widzieć. – Mnie nie trzeba anonsować.

Jego rude włosy są jak zawsze w lekkim nieładzie; wątpię, żeby o jakiegokolwiek porze dnia jego kaftan był zapięty na wszystkie guziki. Zauważa, że nie jesteśmy sami, i zatrzymuje się gwałtownie. Wita mnie lekkim skinieniem głowy, potem w taki sam sposób wita Allisandra.

– Wasza Wysokość. Panie konsulu.

Poza moim bratem Quint jest chyba moją ulubioną osobą w pałacu. Jak na stanowisko marszałka dworu jest raczej młody, jednak był pomocnikiem poprzedniego, więc gdy ten z racji wieku postanowił już zrezygnować z funkcji, powiedziałem Harristanowi, by dał Quintowi szansę. Jest uczciwy do szpiku kości i potrafi dochować sekretu lepiej niż nieboszczyk. Ma też energii za czterech, mówi dwa razy więcej niż to konieczne i nie toleruje pompatyczności i bezczelności. Doprowadza Harristana do szału. W zasadzie wszystkich doprowadza do szału.

Ale ja go uwielbiam.

Allisander ściąga usta.

– Marszałku Quint. Jesteśmy w trakcie *prywatnej* rozmowy.

Quint mruga, jakby to było zupełnie oczywiste.

– Widzę.

Nie ma zamiaru się ruszyć. Allisander nabiera powietrza z wyraźnym zamiarem wypowiedzenia do Quinta słów, które go stąd przepędzą.

Podnoszę filiżankę z herbatą.

– W zasadzie już chyba skończyliśmy, czyż nie, konsulu?

Allisander zamyka gwałtownie usta. Widzę, że ma ochotę rzucić mi gniewne spojrzenie, lecz tego nie robi. Uśmiecham się pobłaźliwie.

– Wierzę, że doszliśmy do porozumienia.

To najlepsze zdanie w moim arsenale dworskich frazesów, ponieważ nie znaczy zupełnie nic, ale z jakiegoś powodu sprawia, że ludzie wierzą, że przyjmuję ich punkt widzenia.

Tym razem też tak działa, jako że wyraz twarzy Allisandra łagodnieje.

– Miło mi to słyszeć.

– Wydam rano strażom rozkaz, by strzegli twoich dostaw.

– Z samego rana, Corricku – mówi z naciskiem. – Chcielibyśmy ruszyć w kierunku Równin przed południem.

Zamieram. Może podnosić ceny i narzekać na zagrożenie dla transportów, ale moja cierpliwość, tak jak mojego brata, ma granice. Allisander Sallister może mieć pieniądze i wpływy, jednak nie rządzi Kandalą ani mną.

Musiał dostrzec zmianę na mojej twarzy, bo mówi:

– Jak tylko znajdziesz chwilę, naturalnie. Dziękuję. – Następnie dodaje: – Wasza Wysokość.

Odstawiam filiżankę.

– Rozkaz dostaniesz rano.

Kiedy drzwi zamykają się za nim, Quint opada na krzesło naprzeciwko mnie.

– Chcesz, żeby nim nakarmić królewskie lwy?

– Nie kuś mnie.

Choć perspektywa wcale nie jest kusząca. Wydałem taki wyrok raz, na człowieka, który zamordował całą rodzinę, żeby ukraść ich zapas płatków Księżycowego Kwiatu. Widok lwów rozszarpujących go, kiedy błagał o litość, był najbardziej przerażającą rzeczą, jaką

w życiu widziałem. Nawet Harristan, zachowujący stoicki spokój od czasu morderstwa naszych rodziców, powiedział do mnie później, żebym więcej tego nie robił.

– Sallister chce więcej straży? – pyta Quint.

– Między innymi. – Patrzę na jego niechlujny wygląd i zastanawiam się, czy jest bardziej umęczony niż zwykle. Quint może nawet nie zdawać sobie sprawy, jak jest późno.

– Jadłeś kolację? Mogę kazać coś podać.

– A, nie. Jadłem z konsul Marpettą o... – Wyciąga z kieszeni zegarek i patrząc na tarczę, marszczy brwi. – To niemożliwe.

Uśmiecham się.

– Śpisz jeszcze mniej ode mnie.

– Nikt nie śpi mniej od ciebie.

To fakt.

– Poślę po jedzenie, wino także? – Wstaję i ruszam w stronę drzwi.

– Czy może sprawa, z którą tu wtargnąłeś, wymaga pełnej trzeźwości?

– Właśnie przybył do pałacu goniec. Nocny patrol w Stalowym Mieście odkrył grupę przemytników. Dwóch zginęło w walce. Pozostałych ośmiu zabrano do Twierdzy.

Zatrzymuję się i spoglądam na niego.

– Sporo ich.

– Z tego, co wiem, była to całkiem duża operacja.

Duża operacja. Rzadko się zdarza, by przestępcy czy przemytnicy działali w dużych grupach. O dziesięcioosobowej nigdy nie słyszałem. Ryzyko wpadki jest zbyt duże. Kary zbyt surowe.

Może Allisander jednak nie przesadzał w sprawie zagrożenia dla transportów. Miałem go trochę przetrzymać, ale teraz dopilnuję, żeby rozkaz został wydany, zanim pójdę spać.

– Harristan wie? – pytam.

– Nie.

Mój brat będzie chciał z rana wydać oświadczenie. Będzie oczekiwał ode mnie ich przykładowego ukarania.

Przynajmniej jeden z nas śpi.

– Każę przynieść jedzenie – oświadczam. – Poślij wiadomość do Twierdzy. Chcę porozmawiać z patrolem, który ich złapał. Powiedz, że zaraz po wschodzie słońca zamierzam spotkać się z więźniami.

Niech ich rozdziela, jeśli jeszcze tego nie zrobili. Nie chcę, żeby ustalili wersję.

Quint trzyma w ręku kawałek papieru i notuje, odkąd zacząłem mówić. Jest w tym dobry.

– Jakies publiczne obwieszczenie?

– Jeszcze nie. – Myśli kłębią mi się w głowie. Osiem osób naraz. Będziemy mieli szczęście, jeśli nie wybuchną zamieszki. – Jutro. W południe.

Podnosi na mnie wzrok.

– Mam obudzić króla?

Myślę o kaszlu Harristana. O gorączce. Potrzebuję snu.

Mrugam, żeby odpędzić te myśli.

– Nie.

Quint potakuje głową i wstaje, zabierając swoje notatki ze sobą.

– Zajmę się tym.

Idę za nim do drzwi. Zatrzymuje rękę na klamce i odwraca się do mnie.

– Pytałeś o wino...

– Każę przynieść dużo.

Rozdział piąty

Tessa

Nie powinnam śnić na jawie o Westonie. To najmniej produktywny sposób spędzania czasu. Powinnam skupiać się na odmierzeniu porcji zawilca na maść pani Solomon albo na tym, ile domów dziś rano ominęliśmy, bo Wes uznał, że niebezpiecznie było zakradać się do Sektora Królewskiego. Powinnam myśleć o tym, ile monet mam w portfelu i czy kupienie paru ciastek w piekarni byłoby ekstrawagancją.

Powinnam opłakiwać panią Kendall i Gillisa. Ale myśl o ich śmierci przepełnia mnie raczej wściekłością niż smutkiem. Ręce zaczynają mi się trząść tak, że z trudem powstrzymuję się przed tym, by nie zacząć rzucać kamieniami w patrol.

Myśli o Wesie dają poczucie bezpieczeństwa, a to ekstrawagancja porównywalna z ciastkami. Wczoraj wieczorem jego ciało było tak mocno przyciśnięte do mojego. Czułam jego dłoń na moim policzku. Słyszałam jego delikatny głos tuż przy uchu.

Byliśmy w niebezpieczeństwie, podszeptuje mi rozum. To nie było romantyczne uniesienie.

Nieważne.

Karri, druga pomocnica, uśmiecha się do mnie szeroko znad swojej wagi. Jesteśmy w tym samym wieku. Tylko zamiast opalonej piegowatej cery i brązowych włosów, jak ja, ona ma intensywnie ciemną skórę i błyszczące czarne włosy sięgające do pasa, zebrane w jedno grube pasmo oplecione tasiemką.

– Co się tak rumienisz? – zagaduje.

Przygryzam wargę.

– Nic.

Pochyla się przez stół i ścisza głos, bo pani Solomon nie lubi, jak plotkujemy.

– Tesso, masz ukochanego?

Staram się nie reagować, jednak moje zdradzieckie policzki same robią się jeszcze czerwiejsze.

– Ależ skąd.

Weston nie dałby mi spokoju z docinkami, gdyby się dowiedział, że oblewam się rumieńcem na myśl o nim, o tym, że mógłby być moim ukochanym. Nigdy.

– Jak ma na imię? – pyta Karri.

Mrugam niewinnie.

– Kto?

– Tesso!

Dodaję ziele zawilca i zaczynam je ucierać tłuczkiem w moździerz.

– To nic. Nie ma o czym mówić.

Karri robi nadąsaną minę, choć jej brązowe oczy aż się iskrzą.

– Opowiedz o jego dłoniach.

Bezwiednie przywołuję w myślach obraz jabłka oplecionego jego palcami. Wzdycham. Nie jestem w stanie się powstrzymać.

Karri wybucha śmiechem.

– Jednak masz ukochanego.

Spoglądam, co dzieje się z przodu sklepu.

– Ciii.

– Jeśli nie chcesz powiedzieć, jak się nazywa, to chociaż powiedz, jak wygląda.

Słowa przychodzą mi do głowy tak szybko, że to cud, że nie wysypują się od razu z moich ust. *Wygląda jak rewolucja. Wygląda jak współczucie. Błękitne oczy i delikatne dłonie. Szybki krok, siła i opanowanie.*

Mocno ucieram ziele w moździerz i Karri znów wybucha śmiechem. Zastanawiam się, jak mocno czerwone są moje policzki. Może są już purpurowe?

– Nie mogę się doczekać, aż go poznam – oznajmia.

To się nigdy nie stanie. Wzdycham teraz z zupełnie innego powodu.

– Jest z Artis? – dąży.

Muszę jej coś zdradzić, bo nie da mi spokoju.

– Ze Stalowego Miasta – odpowiadam.

– Ze Stalowego Miasta?! W takim razie to pewnie kowal.

– Yhmm. – Dodaję więcej kłacza ostu do mózdzierza.
– Stalowe Miasto? – powtarza pani Solomon. Usłyszała kawałek naszej rozmowy i teraz przyszła na zaplecze sprawdzić, co robimy. – Rozmawiacie o przemytnikach?

– Jakich przemytnikach? – dziwi się Karri.

– Dziś w południe Sektor Królewski wydał obwieszczenie. Złapali grupę przemytników ze Stalowego Miasta. Dziesięciu z tej samej kuźni.

Krew we mnie zastyga.

Pani Solomon ścisza głos do szeptu.

– Na szczęście nocny patrol szuka takich ludzi, no wiecie. Ci przestępcy zasługują na to, co ich spotyka. Wszyscy dostajemy przydział leku. Nie ma powodu być zachłannym.

Przygryzam język. Nie każdy dostaje przydział płatków Księżycowego Kwiatu i ona doskonale o tym wie. Tylko ci, których na to stać. To dlatego jej maści i mikstury tak świetnie się sprzedają. Są tańsze niż eliksir. Są tańsze, bo nie działają, ale nie mogę tego powiedzieć, jeśli chcę zachować pracę. Kiedy odkryto lecznicze właściwości Księżycowego Kwiatu, pojawiły się setki szarlatanów, którzy próbowali wciskać ludziom liście i płatki innych podobnych roślin, ale gdy król wprowadził za oszustwo równie surową karę jak za przemyt, fałszywe płatki szybko zniknęły. Łatwiej jest po prostu kraść, niż uprawiać coś, co wygląda prawie tak samo.

Jest jednak wielu sprzedawców takich, jak pani Solomon. Ludzi, którzy nie mają lekarstwa na gorączkę, a mimo to twierdzą, że pomagają zwalczyć objawy. Nie pracowałabym dla prawdziwego oszusta, a pani Solomon wydaje się mieć szczerą chęć. Większość naszych mikstur ma niepoważne zastosowania – mają zapewnić gładką cerę, błyszczące włosy czy pomagać na kłopoty ze snem. Czasem jej mikstury są zupełnie nieskuteczne, ale ja wiem, czego im trzeba, by zadziałały, i odpowiednio zmieniam proporcje.

W notatnikach mojego ojca notuję, co pomaga na gorączkę – Księżycowy Kwiat, a co nie pomaga: wszystko inne.

W uszach nadal dzwonią mi słowa pani Solomon o dziesięciu złapanych przemytnikach. Wszyscy z tej samej huty.

Weston. On pracuje sam. Wiem to.

Przecież to nawet nie jest jego prawdziwe imię. A jeśli ono nie jest prawdziwe... Może tak naprawdę nic o nim nie wiem. Może tych dziesięciu to ludzie tacy jak Wes, którzy tylko udają przed nieznanymi prawdy przyjaciółmi z innych sektorów, że pracują sami.

Nie wiem, jak mogłabym go szukać. Jak o niego pytać.

Przełykam ślinę.

– Podali nazwiska?

– Nie. Sześciu mężczyzn. Cztery kobiety. Dwóch zginęło przy zatrzymaniu.

Kręci mi się w głowie.

– Kiedy... – Muszę odkaslnąć. – Kiedy ich złapali?

– Nie powiedzieli. Wczoraj, dzisiaj, jakie to ma znaczenie? – prychnęła wyniośle. – Za bardzo rozetrzesz ten zawilec, Tesso.

– Och, przepraszam. – Nie ma racji, jednak nie spodobałyby się jej moje słowa. Nie spodobałyby się jej pouczenie przez zarozumiałą młodą kobietę, która wymądrza się, jak ma prowadzić własny biznes. Tak właśnie straciła pracę dziewczyna, na której miejsce zostałam przyjęta. Potrzebuję tej pracy. Nikt nie posądza osiemnastolatki z Diczycy o znajomość tajników zielarstwa. Mój ojciec uznałby te jej nalewki i mikstury za niedorzeczne, o czym powiedziałaby pani Solomon prosto w twarz. Ale nie ma go tu i nie zapłaci za mnie czynszu, więc posłusznie odkładałam tłuczek na blat i wyskrobuje proszek z mózdzierza.

Kiedy pani Solomon wychodzi, Karri wbija we mnie wzrok.

– Twój ukochany jest przemytnikiem? – pyta bardzo cicho.

– Co? Skąd! – Jestem pewna, że moja twarz jest bardziej czerwona niż płomień.

Wraca do swoich ziół, wrzucając małą garść do mózdzierza.

– Moja matka mówi, że wielu z nich próbuje po prostu wyżywić swoje rodziny. Słyszała historie o mężczyznach, którzy obiecują złote góry, zwodzą młode dziewczyny i namawiają je do pomocy, a wszystko po to, żeby nakarmić gromadkę dzieci w domu.

Marszczę czoło pochylone nad mózdzierzem. Żołądek mi się ściska. Nie wiem, co gorsze. Wes ginący z ręki Najwyższego Sędziego Królewskiego czy Wes, na którego w domu czeka gromadka dzieci.

Też coś. Śmierć jest gorsza. Przecież to oczywiste.

Zawsze myślałam, że jest w moim wieku, jednak być może się myliłam. Widziałam go tylko po ciemku, z oczami osmolonymi węglem i maską na twarzy. Równie dobrze mógłby być dwa razy starszy ode mnie.

– Uważaj na siebie, Tesso – dodaje Karri.

Podnoszę na nią wzrok.

– Zawsze uważam – stwierdzam. A potem idealnie odmierzam lekarstwo, żeby to udowodnić.

Gdy na ulicy rozlegają się dzwonki obwieszczające porę obiadową, ja i Karri możemy iść. Znajoma mieszka w domu ze swoją rodziną, a ja od śmierci rodziców w wynajmowanym pokoju. Przyglądała mi się całe popołudnie i zaprosiła na kolację. Pewnie myśli, że wśród złapanych przemytników jest mój „ukochany”. Nie wytrzymam jej pełnego litości spojrzenia ani minuty dłużej, więc odmawiam i wracam do siebie.

Po drodze wstępuję do cukierni – uznaję, że wysłuchanie dodatkowych plotek nie będzie nadmierną ekstrawagancją.

– Nie do wiary, że złapali tylu przemytników – mówię, kładąc pieniądze na ladzie.

Sprzedawca potakuje głową ze smutkiem i odpowiada:

– Pewnie jutro odbędzie się egzekucja. – Czuję, jakby lodowata dłoń chwyciła mnie za kark. Po jego kolejnych słowach to wrażenie tylko się wzmacza. – Zdaje się, że chcą ją urządzić przed bramami do Sektora Królewskiego, żeby przyciągnąć tłumy.

Tak chciałabym móc się dowiedzieć, czy Wes jest wśród nich. Na pewno nie.

Ale... Stalowe Miasto. Kuźnia. Tyle szczegółów się zgadza.

Próbuję to po prostu przeczekać. Jednak powietrze jest zbyt duszne, a ja zbyt roztrzęsiona. Na pewno nie dam rady zasnąć. Ruszam do chaty o wiele wcześniej niż zwykle i rozpalam w piecu. Myślałam, że tak będzie mi łatwiej. Że po prostu będę tu siedzieć i czekać, lecz jest gorzej. Każdy centymetr tej przestrzeni jest wypełniony wspomnieniami o Wesie z ostatnich dwóch lat. *Tam siedzi, kiedy odmierzam proszek. To miejsce, gdzie oparzył sobie palec*

o piec. To okno, które uszkodziła burza śnieżna i które naprawiał wśród wirujących płatków śniegu.

Zasypiam na krześle, na siedząco, ze łzami płynącymi po twarzy. A gdy już śpię, śnię. Śnią mi się moi rodzice. Noc, gdy zostali schwytani przez nocny patrol. Pamiętam, jak gotowa byłam wybiec z kryjówki i sama zmierzyć się ze strażnikami. Tamtej nocy Wes złapał mnie i zatrzymał w ukryciu – ale w moim śnie on też zostaje złapany, wije się, kiedy przebijają go strzały. Śni mi się ciało Wesa zwisające z bram, jego głowa nabita na pal. Widzę go złamanego, płonącego na stosie wśród innych ofiar, podczas gdy gapie wrzeszczą, a niektórzy wiwatują. Śni mi się, jak do mnie krzyczy, ostrzega mnie, a oni biją go kijami, łamią kości.

– Tesso. Tesso.

Otwieram oczy i widzę go. Jest. Przez chwilę wydaje mi się, że to sen, że tak bardzo się zamartwiałam, że go sobie wymyśliłam, a kiedy się naprawdę obudzę, chata będzie pusta. Ale tak nie jest. Jest prawdziwy, jego błękitne oczy są pod maską jaśniejsze niż kiedykolwiek. Moje zapewne przepełnia ulga. Nawet nie próbuję powstrzymać łez.

– Płaczesz? – mamrocze. Wydaje się tak zdumiony faktem, że płaczę z jego powodu, że mam ochotę dać mu pięścią w twarz.

Zamiast tego zrywam się i rzucam mu na szyję.

– Tesso – mruczy. – To takie niespodziewane.

– Zamknij się, Wes. Nienawidzę cię.

– O tak. To od razu widać.

Śmieję się przez łzy, wtulona w jego ramię. Powinnam go puścić. Ale nie puszczam. On też nie.

Chcę zapytać, czy wie coś o aresztowanych, lecz mówię zupełnie coś innego.

– Czy masz żonę i gromadkę dzieci do wykarmienia?

– Nie, a ty?

Pociągam nosem i odsuwam się, żeby na niego spojrzeć. Mimo żartów jego oczy są poważne, badawcze.

– Miałaś rację – szepcze.

– Z dziećmi?

Uśmiecha się.

– Nie, nie z dziećmi. – Potrząsa głową, jakby gadał z wariatką. – Miałaś rację, że powinienem cię zobaczyć bez maski.

Gwałtownie nabieram powietrza i chwytam się za nieosłonięte policzki.

Uśmiech Westona staje się dziki.

– Żałuję, że wcześniej nie skorzystałem z twojej propozycji.

Opieram się o krzesło i zakrywam rękami oczy, choć teraz jest już oczywiście za późno. Zresztą to on nigdy nie chciał mnie zobaczyć.

– Ja... Martwiłam się. Nie myślałam jasno. Bałam się, że... – Głos mi się łamie.

Siada naprzeciw mnie.

– Powiedz mi, czego się boisz.

– Myślałam, że byłeś wśród tych złapanych przemytników.

Jego twarz nieruchomieje, a oczy jakby przesłoniły zasłony.

– Nie jestem przemytnikiem, Tesso.

– Wiem. Wiem, że nie jesteś. *My nie jesteśmy.* – Muszę potrzebować oczy. – Ja po prostu... Byli ze Stalowego Miasta, więc pomyślałam, że może...

– Widzisz każdy płatek, który wynoszę z Królewskiego Sektora. – Jego tęczyówki zrobiły się zimne. – Nigdy nie sprzedałem niczego, co wzięliśmy. To, co robimy...

– Wes! Wiem.

– *To, co robimy* – powtarza głosem ostrym, jakiego nigdy nie słyszałam – to nie to samo, co robią przemytnicy. Nie robię tego dla pieniędzy.

– Wiem – powtarzam przez łyżę. – Wiem to, Wes. – Pociągam nosem. – Ja też. Ale dla króla czy jego brata to żadna różnica.

Bierze długi wdech i przeciąga dłonią po twarzy. Kiedy znów podnosi na mnie wzrok, jego spojrzenie nie jest już tak surowe.

– Masz rację. Wybacz mi.

Przyciskam palce do oczu.

– Wiem, że stale mi przypominasz, żebym się nie przywiązywała, ale jesteś moim jedynym prawdziwym przyjacielem, zwłaszcza odkąd... odkąd... – ściska mnie w gardle – odkąd moi rodzice...

Wes łapie mnie delikatnie za nadgarstki.

– Tesso.

Gdy przyciąga mnie do siebie, nie opieram się. Tuli mnie przez długą chwilę. Tulimy się nawzajem. Jest zupełnie inaczej niż wczoraj, kiedy przyciśnięci do ściany domu ukrywaliśmy się w mroku przed nocnym patrolem. Teraz jesteśmy tylko my, ja i Wes, w ciepłej chacie, naszej chacie, przyciśnięci do siebie, jakbyśmy mogli w ten sposób ochronić się przed całym złem tego świata.

– Zostaną straceni. – Jego głos jest cichy. – W południe.

Potakuję z wtuloną w niego głową.

– Słyszałam. – Odsuwam się i podnoszę na niego spojrzenie. – Sądysz, że na to zasługują?

Waha się, a jego oczy znów zasnuwa jakaś mgła. Nigdy o tym nie rozmawialiśmy. Nasze rozmowy dotyczą głównie tego, jak nie dać się złapać. Jak skuteczne są leki i czy lekkie zbrązowienie na płatkach robi różnicę. Jak beztroscy są możni, jakiego marnotrawstwa się dopuszczają. Rozmawiamy o tych, których nie udało nam się uratować, i o tych, którzy żyją dzięki nam.

Nie rozmawiamy o tym, co może się stać, bo mam rację. Dla króla nie będzie miało znaczenia, że kradniemy, żeby pomagać. Jeśli nas złapią, zostaniemy straceni razem z innymi przemytnikami.

– Sądzę... – zaczyna, a potem potrząsa głową. – Sądzę, że tracimy czas. Masz swoją maskę? Podwojono patrole z powodu...

– Wes. – Przełykam ślinę i łapię go za ramię. Kiedy mówił: „Nie jestem przemytnikiem, Tesso”, jego głos był taki szorstki. – Uważasz, że na to zasługują?

– Uważam, że bardzo niewielu ludzi zasługuje na to, co ich spotyka, Tesso. – Urywa. W jego wzroku dostrzegam smutek. – Obojętnie, czy spotyka ich coś złego, czy dobrego.

Myślę o moich rodzicach, straconych na ulicy za to samo, co robimy z Wesem. Myślę o Gillisie, który umarł z powodu braku leku, i o zabitej dla przykładu Kendall. Myślę o nadchodzących egzekucjach i co będą znaczyć dla ludzi, którzy tutaj pozostaną.

Myślę o Westonie ryzykującym własne życie, by mnie ocalić, kiedy pewnego razu powstrzymał mnie przed sprowadzeniem na siebie tego, co spotkało moich rodziców. Myślę o tym, jak każdej nocy naraża się na niebezpieczeństwo, zanosząc lek tym, którzy go potrzebują.

– Ty zasługujesz tylko na to, co dobre – szepczę.

Odpowiada śmiechem, w którym nie ma cienia rozbawienia, i odwraca wzrok.

– Tak myślisz?

Biorę jego twarz w dłonie i odwracam do siebie. Jak zawsze jego szczeka jest trochę szorstka i trochę ciepła, a materiał maski miękki pod placami.

– Tak – odpowiadam.

Spodziewam się, że się odsunie, lecz tego nie robi. Może oboje jesteście tak samo poruszeni. Może to, co stało się z Kendall i Gillisem, wstrząsnęło nami obojgiem. Powietrze między nami jakby się zmieniło, jego spojrzenie zatrzymuje się na moich ustach. Bierze wdech i lekko rozchyła wargi.

– Na Boga, Tesso...

Wsuwam kciuk pod jego maskę, unosząc ją wyżej.

Weston ze świstem nabiera powietrza i błyskawicznie chwyta mnie za nadgarstek. Zaskoczona tą niespodziewaną reakcją wydaję cichy okrzyk.

Zaciska powieki. Puszczam mnie. Cofa się o krok.

– Przepraszam – szepczę.

Jaka ja jestem głupia. Zawsze jasno stawiał sprawę. Na czym stoimy, na czym *on* stoi.

– Załóż maskę – nakazuje twardym głosem. – Tracimy czas. Świt się zbliża.

Przełykam ślinę i odwracam się. Grzebię między książkami w mojej torbie zielarskiej, aż znajduję to, czego szukam. Zawijam z tyłu maskę drżącymi palcami. Gdy sięgam po mój kapelusz wiszący na haku przy oknie, Wes chwyta mnie za ramię i odwraca do siebie.

Wciągam powietrze. On kładzie dłonie na moich policzkach i pochyla się, a ja zupełnie się rozpląwam. Uderzam plecami w ścianę chaty, w dodatku kręci mi się w głowie.

Usta Wesa są tuż przy moich, tracę zdolność racjonalnego myślenia. Przeciągam kciukiem po mojej dolnej wardze.

– Nie nigdy, Tesso – mruży, a jego głos jest tak głęboki i intensywny, że mógłby mówić prosto do mojego serca. – Ale nie w ten sposób.

Patrzę w jego oczy, szeroko otwarte, szczerze, proszące.

A ja, głupiutka jak zawsze, kiwam głową.

Przyciąga mnie do siebie i całuje w czoło.

Wzdycham.

– Naprawdę cię nienawidzę.

– Tym lepiej, jak zawsze. – Robi krok w przód i mocno wciska mi kapelusz na głowę, odrobinę zadzierając do góry rondo swojego. – W południe zostanie straconych osiem osób. Zobaczmy, czy wystarczy nam leku, żeby dziś rano ocalić co najmniej dwa razy tyle żyć.

Rozdział szósty

Corrick

Harristan nie bywa w Twierdzy. Jeśli chce przesłuchać więźnia, przyprowadzają go skutego do pałacu i rzucają do jego stóp. O ile mi wiadomo, jego noga nie stanęła w więzieniu od czasu śmierci naszych rodziców. Wcześniej pewnie też nie.

Za to ja znam je dobrze. Znam każdego strażnika, każdą cegłę, każdą cegłę. Gdy miałem piętnaście lat i byłem pogrążony w smutku tak wielkim, że z trudem oddychałem, szybko nauczyłem się blokować emocje po przekroczeniu ciężkich dębowych drzwi. Nie mogliśmy sobie pozwolić na choćby chwilę słabości, a ja nie chciałem być przyczyną upadku mojego brata. Z kamienną twarzą znosiłem każdy rodzaj krzyku. Wysłuchiwałem obietnic i gróźb, przekleństw i kłamstw, a czasem nawet prawdy.

Zawsze bez wahania robiłem to, co należało.

Dziś do Twierdzy idzie ze mną Allisander. Kiedy dowiedział się o akcji z przemytnikami, opóźnił powrót do domu. Oboje z Lissą oświadczyli, że pozostaną w pałacu, aż będą pewni, że dostawy nie są zagrożone.

Często wyobrażałem sobie Allisandra idącego tymi korytarzami, tyle że w mojej wyobraźni jest zwykle zakuty w łańcuchy, a strażnik szturcha go ostrzem miecza, a nie taki, jak teraz – poirytowany i naburmuszony, z chusteczką przyciśniętą do nosa i ust.

– Nie da się nic zrobić z tym *zapachem*? – pyta.

– To więzienie – odpowiadam. – Mieszkańcy jakoś szczególnie się nie starają, żeby było tu miło.

Wzdycha, potem wzdryga się, jakby to wymagało więcej oddechów, niż był na to przygotowany.

– Trzeba ich było zawlec do pałacu.

– Ostatnie, czego mi trzeba, to przemarsz ośmiu męczenników przez Sektor Królewski. – Spoglądam na niego. – Mówiłem ci, że

wzbudzają wśród ludzi współczucie.

Allisander patrzy na mnie. Oddycha płytko, chyba przez usta. Z trudem powstrzymuję się przed przewróceniem oczami.

– Podali nazwiska innych przemytników? – mamrocze.

– Nie. – Dotarliśmy do końca korytarza zwieńczonego prowadzącymi w dół schodami. Strażnicy stają na baczność i salutują. Smród będzie jeszcze gorszy, ale nie mam zamiaru ostrzegać Allisandra.

– Nic? – drąży. – Przesłuchałeś ich drobiazgowo? Byłeś przekonujący?

– Chcesz wiedzieć, czy ich torturowałem?

Waha się. Większości konsulów – co ja mówię, większości możliwych, a pewnie nawet większości mieszkańców Kandali, nie podoba się to, co robię, lecz nic nie mówią, bo uważają, że dzięki temu są bezpieczni. Nie przeszkadza im to, dopóki nie muszą o tym mówić. Ubierają to w piękne słówka, unikają określeń takich jak „tortury” i „egzekucja”. Zamiast tego pytają, czy „zachęcam ich do szczerych odpowiedzi” albo czy „usuwam zagrożenie dla ludności”.

Allisander ma jednak więcej śmiałości niż większość z nich i jego wahanie nie trwa długo.

– Tak. Właśnie o to pytam.

– Nie.

– Dlaczego nie?

Bo, wbrew pozorom, nie jestem okrutny. Bo nie znajduję przyjemności w zadawaniu bólu. Nic z tego, co robię, nie sprawia mi przyjemności.

Zresztą i tak wszyscy są skazywani na śmierć. Kary za kradzież i przemyt są wszystkim dobrze znane, każdy więzień wiedział, czym ryzykuje, zanim ukradł pierwszy płatek. Połowa z nich jest przerażona. Wystarczyło przesłuchać jednego, by się dowiedzieć, że pracowali razem w najluźniejszym rozumieniu tego słowa. Jedna ze schwytanych kobiet zemdląła, gdy tylko strażnik wpuścił mnie do jej celi.

Obcinanie palców czy co tam sobie Allisander wyobraża to przesada.

– Z mojego doświadczenia wynika – mówię – że ci, których i tak czeka egzekucja, nie są skorzy do udzielania informacji pomocnych

tym, którzy ich pojмали.

Allisander marszczy brwi za chusteczką.

– Może ich być więcej. Nasze transporty mogą być bardziej zagrożone, niż myśleliśmy.

– To sterani robotnicy, konsulu, nie wojskowi strategowie. Z tego, co się zorientowałem, nie są specjalnie zorganizowani.

Pewnie dlatego udało się ich wszystkich złapać tak szybko.

Dochodzimy do końca schodów. Podczas gdy pałac i wiele domów w Sektorze Królewskim ma elektryczność, najniższy poziom Twierdzy – nie. Na zewnątrz jest ranek, ale tu, na dole, jest ciemno i zimno. Jedyne źródłem światła są lampy oliwne rozwieszane w nieregularnych odstępach. Ściany są szare, a kraty czarne. Cel jest dwadzieścia, jednak nigdy nie są zajmowane na długo.

– Proszę bardzo – rzucam. – Przesłuchuj, kogo chcesz.

Zerka na mnie, jakby oczekiwał... czegoś więcej. Jakby chciał, żebym prowadził go od celi do celi i przedstawiał każdemu więźniowi.

Opieram się plecami o ścianę z założonymi rękami i unoszę brwi.

– Równie dobrze możesz to zrobić już po ich śmierci.

Allisander wzdycha. Zaczyna się zastanawiać, a potem odwraca się do pierwszej celi.

Siedzi w niej mężczyzna o nazwisku Lochlan. Ma najwyżej dwadzieścia pięć lat, czarne włosy, bladą cerę z licznymi piegami i przedramiona pokryte bliznami od oparzeń z kuźni. Kiedy go przesłuchiwałem, jedynie spoglądał na mnie bez cienia lęku i nie powiedział słowa. Takiego więźnia Allisander poddałby torturom, z kolei ja wiem, że to by nic nie zmieniło. Widywałem już takich facetów jak Lochlan, którym wydaje się, że mogą przeżyć egzekucję siłą woli.

Nie mogą.

Lochlan siedzi w głębi celi, patrząc na nas gniewnie, lecz gdy konsul zbliża się do krat, wstaje i podchodzi. Ma taki wyraz twarzy, jaki miałbym ja, gdybym mógł okazać swoje prawdziwe uczucia do konsula Sallistera.

Allisander odchrząkuje, jakby miał powitać gości na obiedzie.

– Chciałbym poznać nazwiska twoich ewentualnych pomocników.

Lochlan spluwa mu prosto w twarz. Trafia częściowo w chusteczkę, ale przede wszystkim dokładnie między oczy Allisandra.

Bełkocząc, ociera twarz, potem robi krok w przód, a wściekłość wykrzywia mu twarz.

– Zapłacisz za to, ty głupi...

– Konsulu! – Ruszam do przodu, niestety jestem zbyt daleko. Lochlan zdołał już przez kraty chwycić poły kaftana Allisandra. Szarpnięty uderza twarzą o metalowe pręty. Zalewa się krwią.

– Dobrze wiem, kim jesteś – warczy Lochlan. Pozostałych więźniów w głębi korytarza do krat ich cel przyciągnął odgłos zamieszania. – Ci, którzy widzą, co się dzieje, zaczynają krzyczeć.

– Zabij go! – krzyczą. – Zabij go!

Lochlan znów uderza Allisandrem o kraty. Widać, że wcale nie potrzebuje zachęty.

– Jesteś mordercą. Wiem, co robisz swoim ludziom.

Straże już przybiegły, ale Lochlan zbiera się do kolejnego szarpnięcia i uderzenia twarzą Allisandra o kraty. Tym razem to naprawdę może być zabójczy cios. Wyciągam rękę i uderzam pięścią w nadgarstek Lochlana wystający zza krat. Kość pęka z nieprzyjemnym chrzęstem. Lochlan puszcza Allisandra i opada na ziemię, wrzeszcząc i przyciskając rękę do piersi.

Allisander pada na kolana, krztusząc się od krwi, śluzu i swojej arogancji. Rdzawe błoto z posadzki przykleja się do jego nieskazitelnego stroju. Oddech ma urywany, co kilka wdechów jęczy. Przyglądam mu się o sekundę za długo.

Może jednak potrafię odnaleźć przyjemność w *cudzym bólu*.

Kucam przed nim.

– Spójrz na mnie – odzywam się. – Złamał ci nos?

– Ma umrzeć – duka, choć nie podnosi głowy.

– Umrze – potwierdzam – ale nie mogę go zabić dwa razy. Teraz spójrz na mnie.

Wypluwa krew na podłogę, potem nabiera z trudem powietrza i podnosi na mnie wzrok. Nad jego lewym łukiem brwiowym już rośnie guz. Oboje oczu będzie miał posiniaczone. Ma też pękniętą wargę, choć nos nie wygląda za złamany. Szkoda.

Korytarz jest już wypełniony strażnikami, którzy przeganiają pozostałych więźniów w głąb ich cel. Lochlan leży skulony na

podłódze ze złamaną ręką, krztusząc się z bólu. Jeden ze strażników trzyma już dłoń na drzwiach do celi. Patrzy na mnie, oczekując rozkazu, czy ma coś zrobić, czy nie.

Potrząsam głową, na co strażnik przytakuje i cofa się. Wyciągam z kieszeni chusteczkę i podaję ją Allisandrowi.

– Proszę.

Bierze ją z pewnym zakłopotaniem i przyciska do ust. Chyba już sam wie, że nie powinien był zbliżać się do krat, więc oszczędzę mu wykładu.

Prostuję się.

– No – mówię dziarsko. Mruga i patrzy na mnie przytępionym wzrokiem. – To kogo chciałbyś teraz przesłuchać?

Harristan wpada w furję.

– Po co go tam zaprowadziłeś? – pyta wzburzony. – Co sobie myślałeś?

– Pomyślałem, że kiedy nasz najbogatszy konsul ma jakieś życzenie, powinienem je spełnić.

– Cóż, teraz życzy sobie przedstawienia.

Mój brat chodzi w tę i z powrotem wzdłuż ściany okien w swojej komnacie. Zachmurzyło się. Ciężkie chmury zwiastują deszcz i są równie ponure, jak jego oblicze.

– Żąda, byśmy dali jasny komunikat wszystkim, którzy wpadną na pomysł podobnego spisku.

W przeciwieństwie do mojego nadaktywnego brata ja siedzę nieruchomo na krześle.

– Przeprowadzimy egzekucję ośmiu więźniów. To będzie spektakl.

Zatrzymuje się i spogląda na mnie. Niewypowiedziane emocje przemykają między nami – mieszanka poczucia żalu, straty i gniewu. Harristan mruga i wszystko znika. Ścisza głos.

– Jak masz zamiar ich stracić?

W takich chwilach zastanawiam się, czy brat żałuje tego zdarzenia sprzed lat, jakby to, że nasz ojciec uległby wtedy prośbie Nathaniela Sallistera, mogło ochronić go dziś przed gierkami Allisandra.

Wątpię. Myślę, że byłoby jeszcze gorzej. Myślę, że bylibyśmy zmuszeni do jeszcze okrutniejszych rzeczy.

Biorę wdech, żeby odpowiedzieć, ale rozlega się gwałtowne pukanie do drzwi. Harristan się nie odwraca.

– Wejść – woła.

Drzwi otwierają się szeroko i strażnik anonsuje:

– Wasza Królewska Mość, marszałek Quint chciałby...

– Nie – przerywa Harristan. Nadal nie odwraca ode mnie wzroku.

– Ależ wpuść go – oznajmiam.

Mój brat wzdycha i zerka na drzwi.

– Masz dziesięć minut, Quint.

Quint, który podskakiwał za drzwiami jak niesforny szczeniak, z dokumentami i teczkami przyciśniętymi do piersi, teraz wpada jak burza do komnaty. Kaftan rozpięty, włosy zmierzwione. Nie ogolił się rano i jego blada szczęka przyprószona jest krótkim rudym zarostem.

– Zmieszczę się w dziewięciu.

– Liczę.

Quint kładzie swoje papiery i zaczyna litanie pałacowych spraw: od braku słomy na podściółkę dla pałacowego bydła i konieczności decyzji o użyciu drewnianych wiórów, po kłótnię między personelem kuchennym o to, czy Harristan woli obrusy w kolorze kości słoniowej obszywane zieloną nitką, czy obrusy w kolorze burgunda obszywane nitką szarą. Brat rzuca mi miażdżące spojrzenie, kiedy Quint przechodzi do prośby z Sektora Królewskiego, aby poranne dzwony były dwie godziny po wschodzie słońca i ludzie nie byli budzeni tak wcześnie.

– Wtedy chyba nie będzie ich już można nazywać porannymi? – wtrącam.

Harristan wzdycha.

– Jestem pewien, że dziewięć minut już minęło.

– Dopiero osiem i pół – stwierdzam. Tak naprawdę nie mam pojęcia.

Quint notuje w swoich papierach.

– Muszę jeszcze poruszyć kwestię próśb o ułaskawienie, które otrzymaliśmy rano.

Harristan macha ręką.

– Twój czas już minął, Quint. Odpowiedz tak, jak zawsze.
– Ale...
– Idź już.
– W takim razie zostawiam je tu. – Quint rzuca większość dokumentów na środek stołu i odwraca się w stronę drzwi.
– Czekaj – zatrzymuje go król – zostawiasz co?
Pochyliam się i biorę kartkę z wierzchu stosiku. Jest pobazgrana i bez podpisu. Obywatele mają prawo składać prośby przy pałacowych bramach.

*Wszyscy umieramy. Tylko przyspieszysz ich śmierć.
Okaż łaskę.*

Przechodzę do następnego listu.

Oszczędź buntowników ze Stalowego Miasta.

Przeoglądam kilka kolejnych. Niektóre napisane są pospiesznie, inne bardziej elokwentnie, jednak wszystkie proszą o to samo.

– Prośby o ułaskawienie – mamroczę głucho. Zawsze jakieś wpływają, lecz nigdy tyle.

– Ile ich jest? – pyta Harristan.

Quint nadal stoi w drzwiach.

– Sto osiemdziesiąt siedem.

Odkładam listy i spoglądam na brata.

– Jak już mówiłem: spektakl.

– Jedna z nich jest od konsul Cherry – dodaje Quint.

To zwraca uwagę Harristana.

– Od Arelli? – dziwi się. – Myślałem, że przemytników złapano w Stalowym Mieście.

To terytorium Leandera Crafta, Arella reprezentuje Sunkeep daleko na południu.

– To prawda.

Odsuwam pergaminy i gryzmoły, a następnie sięgam do teczek na spodzie. Teczka Arelli jest z czarnej skóry, na okładce widnieje złoty odcisk godła Sunkeep: pół tarczy słonecznej znikającej w morskich falach.

Do Jego Królewskiej Mości, Szanownego Króla Harristana,

Piszę do Waszej Wysokości w sprawie mężczyzn i kobiet pojmanych pod zarzutem przemytu i nielegalnego handlu. Zgadzam się, że przestępstwa należy przykładowo karać, ale ci ludzie nie są przestępcami. Desperacko starają się chronić swoje rodziny w tych ciężkich czasach. Pokornie proszę, by Wasza Królewska Mość spojrział w swe serce i ułaskawił ich.

My, obywatele Sunkeep, chętnie udzielimy im gościny, jeśli otrzymają Twoją łaskę.

*Pozostaję do Twoich usług,
Konsul Arella Cherry*

Odczytuję list na głos. Harristan spogląda na Quinta.

– Opowiadasz mi o jakichś bzdurach, gdy masz coś takiego?

Głos mojego brata jest ostry jak brzytwa, lecz na Quincie nie robi wrażenia. Co najwyżej wydaje się trochę zaskoczony tą reakcją.

– Przyszedłem z listą spraw, których starczyłoby na cały dzień, i próbowałem je zmieścić w dziewięciu minutach. Tak, jak Wasza Królewska Mość sobie życzył.

Harristan zabiera z moich rąk skórzaną teczkę, choć nadal gniewnie patrzy na Quinta.

– Dałem ci *dziesięć*.

Quint otwiera usta, by zaprotestować, jednak nie chce, żeby został dziewiątą ofiarą dzisiejszej egzekucji.

– A Leander złożył prośbę? – odzywam się.

– Nie – odpowiada Quint.

Harristan zerka na list, który właśnie przeczytałem, potem zamyka teczkę i spogląda na marszałka dworu.

– Jeszcze ktoś ważny? Czy może zamierzałeś mi o tym powiedzieć jutro?

– Ci sami możni z Sektora Królewskiego co zawsze – oświadcza Quint. Jest kilka rodów, które proszą o ułaskawienie za każdym razem, kiedy kogoś złapiemy. Zawsze dostają odpowiedź odmowną, ale i tak wnoszą kolejne prośby.

Quint spogląda na stos dokumentów.

– Kilka innych pochodzi od wpływowych rodów. Jest wiele próśb z Dzikich. Żadnych od pozostałych konsulów.

Przyglądam się teczce w rękach Harristana. Jestem zaskoczony, że Arella złożyła prośbę tą drogą, zamiast przyjść i porozmawiać bezpośrednio ze mną.

– Arella nadal tu jest? – pytam.

– Wyjechała o świcie – wyjaśnia Quint. Zawiesza głos. – Pojechała jednym powozem z Roydanem.

Harristan nieruchomieje, słysząc te słowa. Po chwili się odzywa:

– Dość, Quint.

Kładzie teczkę na stole.

– Wasza Królewska Mość. – Marszałek kłania się szybko, potem szybko wychodzi, zanim napięcie w komnacie sięgnie zenitu.

Przez chwilę siedzimy w ciszy, aż Harristan siada naprzeciw mnie. Bierze jedną z próśb o ułaskawienie, czyta, potem odkłada za bok. Później łapie kolejną. I kolejną.

Czekam.

Czyta wszystkie.

Jest surowym królem od tak dawna, że czasem zapominam, że kiedyś był ukochanym księciem, chłopcem otoczonym opieką i czułością, hołubionym przez wszystkich. Pamiętam, jak kiedyś powiedział mi, że cieszy się, że to mnie ojciec zabierał na polowania, bo on pobladłby na widok krwi i nienawidził myśli, że można wbić strzałę w żywą istotę.

Gdy wreszcie podnosi wzrok, widzę w jego oczach cień tamtego małego chłopca.

Pochylam się nad stołem.

– Allisander zapowiedział wzrost cen, jeszcze zanim to się stało. Masz tu prawie dwieście próśb o ułaskawienie, ale założę się, że dostałbyś trzy razy tyle listów wyrażających potępienie dla sprawców.

Podtrzymuje moje spojrzenie.

– Arella złożyła prośbę o ułaskawienie przemytników w tym samym dniu, gdy Allisander wyraził zaniepokojenie bezpieczeństwem dostaw. Nie będzie zachwycony. Arella stawia się po stronie jego przeciwników.

Odchrząkuję.

– A kto nie jest jego przeciwnikiem?

– Ty – oznajmia.

Tracę dobry humor.

– Tylko publicznie. – Marszczę brwi. – Dobrze o tym wiesz.

– Tylko to, co dzieje się *publicznie*, ma znaczenie. – Urywa.

– Stawia się także po stronie przeciwników Lissy Marpetty. To ciekawe, że pojechała jednym powozem z Roydanem.

Roydanem Pelhamem. Niektórzy na dworze myślą, że staruszek ugania się za Arellą, bo jest młoda, piękna i ma ogładę, lecz znam Roydana całe życie i wiem, że nie ma mężczyzny bardziej oddanego swojej żonie niż on. Zajmuje się też dworską polityką na tyle długo, że nie dopuściłby, by widziano go wsiadającego do powozu z Arellą, gdyby nie chciał tym czegoś zakomunikować.

– Ich sektory ze sobą graniczą.

– Właśnie – podkreśla. – Wystąpienie przeciwko Allisandrowi jest ryzykowne. Zwłaszcza teraz.

– Lud Arelli zawsze najlepiej radził sobie z gorączką – zauważam.

– Może sądzi, że ma mniej do stracenia.

Harristan przeciąga dłonią po twarzy. Chce ułaskawić więźniów. Widzę to po ułożeniu jego szczęki. Nie wiem, co wzbudziło jego współczucie, czy liczba więźniów, czy stos próśb o ułaskawienie, czy po prostu jest już zmęczony przemocą i zdradą jak ja, więc bardzo chce okazać komuś życzliwość. Komukolwiek.

Życzliwość zabiła naszych rodziców.

Harristan kaszle, zakrywając usta ręką. Natychmiast skupiam na nim całą swoją uwagę. Nieruchomieję.

Jego oddech brzmi dobrze. Koloryt twarzy prawidłowy. Nic mu nie jest.

Znów się zastanawiam, z większą empatią, jakbym siłą woli mógł sprawić, że to prawda. *Nic mu nie jest*.

– Jeśli ich uwolnisz – mówię wolno – Allisander uzna, że Korona także opowiada się przeciwko niemu. – *Znowu*, myślę. – Nie chodzi tylko o to, jak to wpłynie na zaopatrzenie pałacu, Harristanie.

– Wiem.

– Mówimy o całym Sektorze Królewskim. Mówimy o całej Kandali.

– Wiem.

– Nie możemy brać strony przestępców – zaznaczam. – Pierwszy raz mamy do czynienia z próbą zorganizowanej akcji. Jeśli będziemy pobłażliwi, będzie więcej napadów, więcej kradzieży, więcej...

– Cory – wtrąca cicho. – Wiem.

Nie dodaję już nic. W takim razie ustalone. Doszliśmy do porozumienia. Wzdycham. On też.

Mój brat wyjmuję z kieszeni zegarek.

– Za dwie godziny południe. Nie powiedziałeś mi, jak zamierzasz to zrobić.

Moje myśli robią się mroczne; czarna zasłona spowija mój umysł, by pohamować emocje. Robię to, co trzeba zrobić.

– Przekonasz się.

Rozdział siódmy

Tessa

Nie mam ochoty patrzeć, jak wieszają, duszą garotą, ćwiartują albo mordują ośmiu skazańców w jeszcze inny przerażający sposób, jaki królowi i jego bratu przyjdzie do głowy, ale pani Solomon chce obejrzeć egzekucję i oczekuje od Karri i mnie, że będziemy jej towarzyszyć.

– Słuszną rzeczą jest patrzeć, jak przestępcę spotyka kara – zwraca się do nas. – Wszystkim przyda się przypomnienie, że ci, którzy wyciągają rękę po cudzą własność, będą ukarani. Powinniśmy być wdzięczni rządzącym za wszystko, co dla nas robią.

Pamiętam, jak zabito moich rodziców za to, że próbowali zdobyć więcej leku dla ludzi. Rozmyślałam o pani Kendall, zamordowanej na ulicy za to, że wykrzyczała swoją rozpacz, o biednym Gillisie, który zdecydowanie nie zasługiwał na to, by przedwcześnie umrzeć tylko dlatego, że jego matki nie było stać na zakup lekarstwa dla nich obojga.

Nie jestem pewna, co czuję do rządzących, jednak na pewno nie wdzięczność.

W stronę bram do Sektora Królewskiego zmierzają wozy wypełnione ludźmi, więc obie z Karri podnosimy nasze samodiałowe spódnice i gramolimy się na pierwszy, na którym są jeszcze wolne miejsca, podczas gdy pani Solomon dopłaca, by usiąść z przodu, koło woźnicy. Z tyłu, na beli siana, gdzie siedzimy, jest ścisk, lecz nie przeszkadza mi to. Dzień jest pochmurny i chłodny, powietrze jest lekko przymglone.

Karri pochyła się do mnie.

– Widziałaś się ze swoim ukochanym? – mamrocze. – Jest jednym z nich, prawda?

Spoglądam na nią.

– Nie. – Przypominam sobie oczy Wesa, kiedy mówiłam mu, jak bałam się, że złapali go razem z innymi ze Stalowego Miasta. Wyglądał, jakby czuł się zraniony. – Nie jest przemytnikiem.

– Czyli wszystko u niego w porządku?

Przypomina sobie Westona w blasku ognia. Przesuwał kciukiem po moich ustach, jakby były czymś cennym. Przyciskam palce do warg. Prawie czułam smak jego oddechu, gdy mówił: „Nie nigdy, Tesso. Ale nie w taki sposób”.

Karri uśmiecha się i trąca mnie ramieniem.

– Na pewno wszystko u niego w porządku.

Zastanawiam się, czy będzie dziś w tym tłumie. Mówił, że na pewno przyjdzie wielu robotników z kuźni, ale nie wiem, czy miał na myśli, że przyjdą z poczucia solidarności ze schwytanymi, czy żeby ich potępić.

Pewnie czują to samo, co większość ludzi podążających dziś do bram – mieszankę strachu i ciekawości. Po części także ulgę, że nie są na miejscu tamtych, że to nie ich koniec nieuchronnie się zbliża.

Nie odpowiadam na uśmiech Karri, bo wydaje mi się czymś niestosownym, skoro za chwilę mam oglądać czyjąś śmierć. Wesa nie było wśród złapanych, jednak zastanawiam się, czy zna kogoś z nich lub z ich bliskich. Każdy w Kandali wie, co czeka przemytników, lecz zwykle działają w pojedynkę lub parami, jak ja i Wes. Nigdy w grupie.

Pierwsze śmiertelne ofiary zarazy nazywanej gorączką pojawiły się niedługo po tym, jak tron objął król Harristan i mianował swojego brata, księcia Corricka, Najwyższym Sędzią Królewskim. Mój ojciec był wtedy prawdziwym zielarzem, robił skuteczne lekarstwa i eliksiry, nie jak mikstury i zioła pani Solomon. Wiedział, jak ukoić ból, czym posmarować oparzenie, jak ulżyć w kolce niemowlęciu. Matka i ojciec nie byli zaniepokojeni nowym królem, przynajmniej na początku. Wprawdzie król Harristan i jego brat byli bardzo młodzi, ale lud kochał rodzinę królewską. Zamach wszystkich zszokował – cała Kandala opłakiwała zamordowanych razem z braćmi.

To znaczy... opłakiwaliśmy ich do czasu, aż ludzie zaczęli chorować i umierać. Ojciec próbował różnych nalewek i okładów, każdej mieszanki ziół, jaka przyszła mu do głowy, tyle że nic nie działało – aż znachor z Emberridge odkrył, że płatki Księżycowego

Kwiatu zmniejszają gorączkę i pomagają organizmowi przezwyciężyć chorobę. W ciągu dwóch tygodni plotka rozeszła się po wszystkich sektorach. Ludzie zaczęli walczyć o kwiat. Napady i kradzieże były na porządku dziennym. Targu dobijano w zaułkach i mrocznych pokojach – za kilka dziennych dawek płacono bronią, złotem i wszystkim, co miało jakąś wartość. Emberridge i Księżycowe Równiny – jedyne sektory, w których rósł Księżycowy Kwiat – szybko postawiły na swych granicach strażę, a później wybudowały mury.

Początkowo król Harristan próbował utrzymać jako taki porządek, jednak zrozpaczeni ludzie podejmowali desperackie kroki, bo leku nie starczało dla wszystkich. Poddani przychodzili do nas o każdej porze dnia i nocy, błagając mojego ojca o pomoc. Mieszałam eliksiry, mikstury i napary w nadziei, że może coś innego pomoże.

Nie pomagało.

W akcie desperacji mój ojciec znalazł przemytnika, który zgodził się dostarczać nam wszystko, co zdoła zdobyć, za połowę zysków ze sprzedaży leku pacjentom ojca.

Ojciec brał od ludzi połowę ceny i wszystko oddawał przemytnikowi. Zawsze mówił, że najważniejsze, żeby ocalić każdego, kogo zdołamy, że parę dodatkowych monet w kieszeni nie było warte kilku ciał na stosie pogrzebowym. Już wtedy odkrył, że mniejsza dawka jest równie skuteczna, a pozwala ocalić więcej żyć. Próbował podzielić się swoimi obserwacjami z królem, lecz było zbyt wielu zielarzy, zbyt wiele teorii, zbyt wiele lęku, śmierci i bólu. Każdy bał się brać mniej leku.

Król Harristan dobił targu z Emberridge i Księżycowymi Równinami, dlatego za królewskie fundusze kupował dawki, które były rozdzielane pomiędzy sektory. Leku nadal było za mało; zawsze za mało, choć lepsze to niż nic. Władca ogłosił także, że kradzież, przemyt i nielegalny handel będą karane śmiercią.

Jego brat, księżę Corrick, Najwyższy Sędzia Królewski, dotrzymywał tej obietnicy.

Brutalnie. Publicznie. W przerażający sposób. Za to skutecznie. W ciągu miesiąca znów zapanował porządek.

Wielu ludzi miało dostęp do leku.

Wielu, ale nie wszyscy.

Ojciec próbował dalej pomagać, a matka stała u jego boku.

Aż zostali złapani. Czasem się zastanawiam, czy to nie było szczęście w nieszczęściu, że się bronili i zginęli od razu, wczesnym świtem, z rąk nocnego patrolu, zamiast trafić do Twierdzy. Że nie czekali na śmierć ze świadomością, że ich córka będzie musiała na to patrzeć.

Szczęście.

Karri ściska mnie za rękę. W jej spojrzeniu widzę litość.

– Mnie też to zasmuca – szepcze.

Nie tak jak mnie. Jej rodzice nigdy nie zrobili nic złego. Niemal boją się brać lekarstwo, które mają z przydziału, jakby to znaczyło, że są zachłanni. Niemniej Karri ma dobre intencje, więc oddaję uścisk.

Bramy do Sektora Królewskiego są zamknięte, jednak przed nimi ustawiono potężny drewniany podest. Jestem zbyt daleko, by dostrzec szczegóły, ale podest jest na tyle wysoki, by każdy dobrze widział. Ośmiu strażników w zbrojach stoi w szeregu z kuszami w dłoniach. U ich stóp kłęczą ośmiu więźniów. Wszyscy w muślinowych tunikach, z workami na głowach zawiązanymi wokół szyi, tak że nie sposób odróżnić kobiet od mężczyzn. Muszą być jakoś spętani, bo dwoje z nich jest pochylonych, z głowami zwisającymi pod nienaturalnym kątem.

Zastanawiam się, czy po prostu nie są martwi. Na worku jednego z nich widać plamę, coś przesiąka przez materiał. Krew, a może wymioty.

Muszę odwrócić wzrok. Mam ściśnięte gardło.

Na drodze są nieprzebrane tłumy, już straciłam z oczu panią Solomon. Ludzie kręcą się i kłębą, nieustannie plotkując. Emocje wśród ludzi są ogromne, przytłaczają mnie, jakby były czymś żywym.

– Patrz – mówi do kogoś mężczyzna niedaleko mnie – tamten się zsikał.

Nie chcę patrzeć, tyle że moje zdradzieckie oczy wędrują w stronę podestu, nim zdołam zmusić je do spojrzenia w inną stronę. Mężczyzna ma rację. Zastanawiam się, jak wielkie przerażenie musi czuć taka osoba.

Dzień nie jest upalny, a i tak jestem spocona i mam mdłości.

Worki są straszne. Strażnicy są straszni.

Król jest straszny. Książę jest straszny.

Mam ochotę wskoczyć na podest. Chwycić za kuszę. Zaczaić się i każdemu z nich posłać bełt.

Co za nedorzeczna myśl. Zabiliby mnie, nim zdążyłabym się zbliżyć. Przełykam z trudem ślinę, a gniew zagłusza część kłębiących się we mnie uczuć. Zastępuje je ślepa furia, która pozwala mi podnieść wzrok i patrzeć na więźniów.

Jeśli muszą umrzeć, ja mogę patrzeć na tę chwilę, mogę ich zapamiętać. W moim sercu rodzi się gorąca obietnica, że wszystko zmieni się na lepsze, musi zmienić się na lepsze.

Chciałabym, żeby był tu ze mną Weston. Lepiej znam się na lekach, na dawkowaniu i leczeniu naszych podopiecznych, za to on radzi sobie lepiej w obliczu przemocy i zagrożenia. Potrafi zachować spokój i dystans, podczas gdy we mnie się gotuje.

Rozglądam się wokół. Zebrały się tu setki ludzi, na pewno jest gdzieś wśród nich. To mnie trochę uspokaja. Spoglądam na twarze wokół, szukając zimnego błękitu jego oczu, bladych piegów, którymi przyprószono są jego policzki poniżej maski.

W pobliżu jest wielu mężczyzn. Niebieskie oczy nie są rzadkością. Piegi też nie.

Zamykam oczy i szepczę modlitwę. *Och, Wes. Potrzebuję cię.*

Nie zjawia się. Rozlega się dźwięk rogów, a wszelkie rozmowy milkną niemal natychmiast. Po drugiej stronie podestu widać postacie idące w górę – więcej strażników w zbrojach z fioletową i niebieską lamówką, która wskazuje, że jest to straż pałacowa. Jeden niesie laskę, drugi – flagę Kandali, podzieloną ukośnie na dwa kolory: fioletowy i niebieski. Pośrodku flagi znajduje się wizerunek siedzącego lwa otoczonego białym okręgiem. Za strażą pałacową kroczy kolejnych dwóch mocno uzbrojonych strażników.

Potem pojawia się król Harristan, ale jak zawsze jest zbyt daleko, bym dostrzegła coś więcej niż tylko ciemne włosy, wysokie buty i długi czarny kaftan królewski, sięgający prawie do kolan. Na głowie ma srebrną koronę błyszczącą w słońcu.

Rozlega się wołanie:

– Jego Królewska Mość, Wielce Poważany Król Harristan.

Przez chwilę widzę trochę więcej, bo ludzie przyklękają na jedno kolano. Karri pociąga mnie w dół za rękę.

Nie chcę przed nim klękać. Chcę go opluć.

Wyobrażam sobie, co powiedziałyby teraz Wes. *Nie trać ducha, Tesso*. Opadam na brukowaną ulicę. Karri ściska moją dłoń.

– Wstać – odzywa się król Harristan głosem donośnym i dźwięcznym. Potem bez słowa staje między swoimi strażami. Pewnie jest tym znudzony. Zirytowany, że ta kłopotliwa egzekucja odciąga go od jego partyjki szachów, luksusowej kąpieli albo czegoś równie niedorzecznego, na czym beztrąsko spędza czas, podczas gdy my, w innych sektorach, walczymy o przeżycie.

Wstajemy. Czuję, jak żołądek podchodzi mi do gardła. Myślę o tym, żeby nie złamać Kerri palców, które trzymam prawą dłońią. Lewą zaciskam w pięść tak mocno, że paznokcie wbijają się w jej wnętrze.

Na podeście pojawia się następna osoba. Włosy ma jaśniejsze niż jego brat, raczej rude niż brązowe. Z tej odległości jego oczy są mroczne, nieodgadnione. Także ma wysokie buty i długi kaftan, za to nie ma korony. Nie potrzebuje jej. Jego funkcja spowija go jak całun. Jest jak niewidzialny ciężar, przyklejony do jego sylwetki, odbijający się echem w każdym jego kroku. To książę Corrick, Najwyższy Sędzia Królewski. To nie on podnosi miecz, nie on podpala ogień, nie on wypuszcza strzałę, lecz to on wydaje rozkaz pozbawiający kogoś życia. To on jest katem.

– Są bardzo przystojni, nie sądzisz? – szepcze Karri.

NIE SĄDZĘ.

– Są odrażający – odpowiadam również szeptem.

Gwałtownie odwraca głowę i rozgląda się wkoło. Widzę, jak badawczo zerka to na mnie, to na twarze otaczających nas ludzi, w obawie, że ktoś mógł mnie usłyszeć.

– Tesso.

Przełykam ślinę, nie mając zamiaru cofnąć tych słów.

Zapowiedziany przez herolda książę Corrick robi kilka kroków w przód i staje równolegle do więźniów. Jego głos jest zimny, ale nie beznamiętny.

– Oskarża się was o przemyt i...

– Nie pozwólcie im tego zrobić! – rozlega się krzyk jednego z więźniów. To męski głos, jednak dopiero po chwili dociera do mnie,

do którego z nich należy. – Są was setki! Tysiące! Benefaktorzy dadzą wam lek! Nie pozwólcie im tego zrobić!

Czuję, jak Karri obok mnie nieruchomieje. Strażnik stojący za wrzeszczącym więźniem uderza go w tył głowy, na co ten pada twarzą na podest; ręce ma związane za plecami. Mimo to nie milknie.

– Powstańcie! – woła. – Zbuntujcie się! Nie widzicie, co robią? Nie...

Strażnik strzela z kuszy. Jestem zbyt daleko, by usłyszeć, jak strzała trafia w cel, tylko jak ciało z gwałtownym tępieniem bezwładnie upada. Tłum wstrzymuje oddech.

Odzywa się inny więzień. Tym razem to głos kobiety.

– Możecie to zatrzymać! Słuchajcie Benefaktorów! Możecie to zatrzymać! Możecie...

Strażnik uderza teraz ją. Łąduje na drewnianych deskach. Pozostali więźniowie także zaczynają wykrzykiwać, nawołują do sprzeciwu, do oporu.

Nikt nie błaga o litość.

– Oni tylko próbują przeżyć! – ryczy jakiś mężczyzna z tłumu.

– Potrzebujemy leku, który nam dostarczają! – wrzeszczy kobieta.

Dołączają kolejne krzyki, aż tłum ożywa, zaczyna się przemieszczać i już nie sposób dojść, skąd dochodzą. Fala ludzi prąca naprzód rozdziela mnie z Karri.

– Walczcie z nimi! – krzyczy z furią kobieta z podestu. – Stawcie im opór!

Kolejny strażnik strzela z kuszy. Jej ciało się przewraca, tak samo jak w przypadku pierwszego mężczyzny. Ale strzał najwyraźniej nie był śmiertelny, bo więźniarka zaczyna pełzać do przodu. Inni muszą wyczuwać, że coś się zaczyna dziać, ponieważ próbują wyrwać się z pęt, ruszyć. W tej samej chwili ludzie rzucają się w stronę podestu. Wszystkie dźwięki zlewają się w ryk złożony z okrzyków gniewu i paniki potrąconych i popychanych ludzi. Dostaję łokciem w skroń, potem czyjeś ramię uderza mnie w klatkę piersiową. Kompletnie tracę z widoku Karri. Wzniesienie wypełniają teraz strażnicy, zasłaniając króla i jego brata – o ile nadal tam są. Strzały latają gęsto, jednak więźniowie mieli rację – na podeście jest może dwudziestu strażników, a ludzi są setki.

Jakiś mężczyzna przeciska się przez tłum, odpychając mnie na bok. Czuję, że upadam, szukam jakiegoś oparcia, lecz go nie znajduję. Dostaję butem w szczękę, w ustach czuję posmak krwi. Ktoś staje na moją nogę.

Nagle jakaś ręka chwyta moją z zaskakującą siłą. Myślę, że to Wes.

Ale się mylę. To Karri. Pociąga mnie w górę. Gdy znów jestem już na nogach, odciąga mnie na bok. Też ma rozciętą wargę, a w oczach błyszczy jej łzy.

– Musimy się stąd wydostać.

Nie potrzebowała powtarzać dwa razy.

Rozdział ósmy

Corrick

Sześć miesięcy przed śmiercią naszych rodziców doszło do innej próby zamachu. To był dopiero początek gorączki, nie bardzo zdawałem sobie sprawę ze skali problemu. W tamtym czasie lud kochał moich rodziców, a ja dopiero zacząłem uczestniczyć w naradach z konsulami. Mój brat uczestniczył w nich już od kilku lat. Dużo o nich słyszałem. Ojciec Allisandra, Nathaniel Sallister, był mistrzem zwodzenia oraz udawania i przy każdej okazji sprzeciwiał się mojemu ojcu.

Pamiętam, jak otrzymałem własną teczkę i pióro. Siedzący obok mnie Harristan rysował na marginesie swojej konie i psy, choć widziałem, że uważnie wszystkiego słucha. Każde słowo czytałem po dwa razy w nadziei, że nadarzy się okazja, bym mógł wyrazić swoje zdanie na jakiś temat. Jakikolwiek.

Ale po dwóch godzinach takiej narady byłem już znudzony i tylko szukałem wymówki, żeby wyjść. Na marginesie mojej teczki zacząłem rysować karykatury konsulów, których zwieńczeniem był rysunek Nathaniela sikającego na stos dokumentów. Harristan spojrział na moje dzieło i żeby ukryć chichot, sięgnął po szklanę z wodą. „Przestań” – odczytałem z ruchu jego ust i uśmiechnąłem się szeroko.

Matka zerknęła na nas karcąco z drugiej strony stołu, jednak w jej oczach był błysk.

Potem rozległ się trzask i echo krzyków w korytarzu; wesołość w jej spojrzeniu zgasła. Wszyscy przy stole zamilkli. Następny krzyk, a po nim kolejne. Mój ojciec przycisnął matkę do ściany, zasłaniając ją własnym ciałem. Harristan chwycił mnie za rękę i wepchnął za siebie, choć ja szarpałem się, żeby być z przodu.

– Ty jesteś następcą tronu – wyszeptałem, jakby trzeba mu było o tym przypominać.

Coś uderzyło w drzwi z ogromnym hukiem i już nie miało znaczenia, który z nas dziedziczy koronę, bo na rozkaz ojca otoczyło nas dwóch strażników. Serce podeszło mi do gardła, jednak bardziej niż tego, co działo się dookoła, bałem się, że konsul Sallister zobaczy mój rysunek.

Drewno trzasnęło i drzwi rozsypały się w drzazgi. Do komnaty wpadła gromada ludzi. Kusze wystrzeliły niemal natychmiast. Napastnicy padli na ziemię – wszyscy poza jednym.

Micah Clarke, mój poprzednik na stanowisku Najwyższego Sędziego Królewskiego, złapał jednego za ramię. Wykręcił mu je do tyłu, potem rzucił go twarzą na stół, dokładnie w miejscu, gdzie siedziałem. Oczy miałem szeroko otwarte, słyszałem oddech Harristana.

Moja matka wyrzała zza ojca.

– Dlaczego? – spytała szeptem. – Dlaczego tu wtargnęli?

Micah spojrzał na mojego ojca. Nie wiem, czy czekał na pozwolenie, czy jakiś rozkaz, czy coś zgoła innego.

Lecz mój ojciec odwrócił wzrok.

Mężczyzna zdołał poderwać twarz znad teczki, do której Micah przyciskał jego głowę, i wziął wdech. Później Micah tłumaczył, że chciał opluć moich rodziców, ale mnie wydawało się, że chciał coś powiedzieć.

Nie zdołał zrobić ani jednego, ani drugiego. Micah wyciągnął sztylet i podciął mu gardło. Na moje rysunki popłynęła krew.

Nigdy się nie dowiedzieliśmy, kto za tym stał. Przez długi czas krążyły pogłoski, że to była pierwsza próba zamachu zorganizowana w Nabrzeżu Kupców, jednak nigdy tego nie udowodniono.

Czasem wspominam tamten dzień. Konsternację na twarzy mojego ojca. To, jak odwrócił wzrok. To, jak mój brat próbował osłonić mnie własnym ciałem.

To, jak wszyscy byli przerażeni. Wszyscy z wyjątkiem Najwyższego Sędziego Królewskiego, który był zmuszony działać.

Dziś spodziewałem się, że z powodu zamieszek Harristan wpadnie w furję. Nie wpadł.

Za to ja tak.

Słuchajcie Benefaktorów.

Nie wiem, co to znaczy, ale te słowa brzmią w moich uszach od momentu, gdy strażę sprowadziły nas z podestu.

Konsulowie zażądali narady, kiedy tylko wróciliśmy do pałacu, mimo to mój brat każe im czekać. Od kilku godzin jest milczący. Zamyślony. Refleksyjny. Im dłużej rozmyśla w ciszy, tym bardziej nerwowo się staje, aż zaczynam chodzić w kółko po komnacie.

Podczas zamieszek uciekło trzech więźniów. Pięcioro zostało zabitych, a pozostali zdołali się wymknąć i wmieszać w tłum napierający na podest, gdy strażę wycofały się, by chronić Harristana i mnie. Jednym z nich był Lochlan, który zmasakrował twarz Allisandra o kraty celi.

Teraz konsul pewnie aż kipi z wściekłości. Jestem zdziwiony, że zza drzwi nie bucha para.

Jak na zawołanie ktoś puka.

– Wejść – woła Harristan.

Strażnik otwiera drzwi.

– Wasza Królewska Mość, marszałek Quint pragnie wam przypomnieć, że zebrali się konsulowie i...

– Mogą poczekać – oświadcza Harristan.

Strażnik odpowiada skinieniem głowy. Drzwi się zamykają.

– Nie możesz się tu chować cały dzień – mówię do niego. – Musimy zająć się tą sprawą.

– Nie chowam się. – Harristan stoi w bezruchu. – Myślisz, że to było zaplanowane?

– Co konkretnie?

Patrzy na mnie.

– Wszystko. – Urywa. – Niektórzy z tłumu nawoływali do rewolucji, Cory.

Możecie to zatrzymać!

Walczcie z nimi! Stawcie im opór!

Z westchnieniem przeciągam ręką po karku.

– Słyszałem, co wykrzykiwali.

– Wszyscy słyszeli. – Zawiesza głos, jakby chciał jeszcze coś powiedzieć, ale już się nie odzywa.

Jest tak cicho, że słyszę tykanie zegara na jego biurku. Po chwili rozlega się kaszlenie Harristana. Gwałtownie odwracam głowę w jego stronę. W odpowiedzi posyła mi gniewne spojrzenie.

– Przestań to robić. Nie potrzebuję pielęgniarki.

Przyglądam mu się w poszukiwaniu charakterystycznych oznak gorączki. Nie ma zaczerwienionych policzków ani zamglonego spojrzenia. Mimo to wsłuchuję się w jego oddech.

Mruży oczy.

– Jeśli koniecznie szukasz powodów do zmartwień, martw się tym, co powiemy konsulom.

– Myślałem, że właśnie to robisz przez cały ten czas.

– Allisander wpadnie w furję.

– Bez wątpienia.

– Lissa też.

– Już zaoferowałem dodatkową ochronę dla ich transportów – odparowałem.

– Będą chcieć więcej. Więcej zapewnień. Więcej obietnic. Więcej... więcej.

Wtedy uświadamiam sobie, na co czekał. Czego nie mówi. Poprosił dziś rano o spektakl i dostał go. Nie taki, jakiego oczekiwał, lecz na pewno spektakl. Teraz chce kolejnego. Chce czegoś, co udobrucha konsulów i powstrzyma lud przed nabraniem przekonania, że rewolucja to łatwa droga.

Czeka na mój ruch.

Przestaję wreszcie chodzić w kółko po komnacie i spoglądam na niego.

– Więc dajmy im więcej.

Allisander ma podbite tylko jedno oko, za to siniaki na szczęce i czole doskonale to rekompensują. Chyba ogolenie się wokół wypielęgnowanej koziej bródki było zbyt bolesne, bo wygląda, jakby próbował, ale zrezygnował. Biedaczek.

Ból jednak nie przeszkadza mu wyżywać się na mnie podczas narady konsulów.

– Wszyscy mieli dostać to, na co zasłużyli – rzuca ostrym tonem.

– A ty pozwoliłeś uciec trzem z nich.

– Nikomu nie pozwoliłem uciec – stwierdzam spokojnie. – Nie byli pierwszymi, którzy uciekli, i zapewniam cię, że nie będą ostatni.

– Mogą się przeorganizować – ciągnie. – Będą napadać na nasze transporty. Zobaczysz. – Uderza pięścią w stół. – Obiecałeś mi, Corrick.

– Zaoferowałem dodatkowe straże do ochrony twoich transportów. – Zerkam na Lissę Marpettę siedzącą w milczeniu naprzeciwko, podczas gdy Allisander kipi ze złości. – Dla twoich transportów także.

– Kim są ci Benefaktorzy? – pyta, przyglądając mi się chłodno.

– Nie mam pojęcia.

– *Nie mam pojęcia* – grzmi Allisander. – Nie masz pojęcia, a i tak nie czułeś potrzeby poddania ich torturom podczas przesłuchania...

– Martwi nas – odzywa się Lissa, a jej ton jest zupełnym przeciwieństwem tonu Allisandra – że twoje straże nie zdołały w porę wykonać swojego zadania.

– Tych strażników należałoby oskarżyć o zdradę – oznajmia gniewnie Allisander.

– Ci strażnicy chronili życie waszego króla – wtrąca Harristan głosem tak zimnym, że od razu wszyscy przypominają sobie, kto tu rządzi. Atmosfera trochę się rozluźnia, choć nadal wyczuwalne jest rozdrażnienie.

Przy drugim końcu stołu Roydan odchrząkuje.

– Konsulu Sallister, chcesz ukarać tuzin strażników za to, że nie powstrzymali tysięcznego tłumu przed wtargnięciem na podest?

– Rozumiem, że karzesz swoje straże za napady na twoje transporty? – dodała Arella Cherry.

Allisander kieruje w jej stronę gniewne spojrzenie.

– Mój sektor to moja sprawa. – Przerywa, żeby odetchnąć z wściekłością. – O ile się nie mylę, zwracałeś się o łaskę dla tych przemytników?

Arella nawet nie drga. Wpatruje się w niego lodowato.

– Ludzie w tych sektorach umierają, konsulu Sallister. To nie są przestępcy, tylko desperaci.

– Nie jesteśmy w stanie pomóc im przeżyć, jeśli złoczyńcy napadają na nasze dostawy – odpowiada Jasper Gold, konsul Mosswell. – Czytałem raporty o dawkach znikających w Sektorze Królewskim. Zbiegli więźniowie ośmielają innych. Zwłaszcza gdy finansuje ich ktoś zamożny.

Te słowa padają niczym kamień. Większość bogatych ludzi w Kandali albo siedzi przy tym stole, albo ma bliskie związki z tymi, którzy siedzą przy tym stole.

– Sugerujesz, że ktoś z nas ma coś wspólnego z tymi napadami? – mamrocze Roydan. W jego głosie pobrzmiwa szczerza troska, jakby dopiero teraz zaświtała mu w głowie myśl, że inspirator powstania może być wśród nas.

Arella wzdycha z nieukrywaną irytacją.

– Uważasz, że ci buntownicy mają możnych protektorów? To ledwie podrostki!

Jonas Beeching odchrząkuje.

– Te *podrostki* były wystarczająco dorosłe, by popełnić przestępstwo. – Spogląda na Allisandra. Jonas nadal jest urażony odrzuceniem jego prośby dotyczącej mostu i wyraźnie widać, że chciałby mieć przy tym stole sojuszników. – Należy ich za wszelką cenę powstrzymać.

Allisander spogląda na niego z furją.

– Czy to aby nie ty prosiłeś ostatnio o dwa razy więcej srebra, niż potrzebowałeś? Może powinniśmy zbadać twoje finanse, konsulu.

Mam ochotę przewrócić oczami.

– Dosyć – ucina Harristan. – Podwoiliśmy liczbę patroli w Dzikim. Wydaliśmy pozwolenie na przeszukania kuźni w Stalowym Mieście i zaoferowaliśmy znaczącą nagrodę za informacje o tożsamości trzech zbiegłych przemytników czy kogokolwiek biorącego udział w przemyśle płatków Księżycowego Kwiatu.

Quintowi oczy niemal wyszły z orbit, gdy zobaczył rozkazy. Nagroda wystarczyłaby na kupno zapasu lekarstwa dla całej rodziny na rok.

– Czy nadal oferujecie im schronienie w Sunkeep? – rzuca Allisander do Arelli. – Może to tu powinniśmy zacząć szukać.

– Proszę bardzo – odpowiada spokojnie Arella. – Nie udzielam schronienia przestępcom.

– Musimy działać szybko – zauważa Lissa. – Prawda, Wasza Królewska Mość?

– Tak – potwierdza Harristan. Zerka na mnie.

W mojej głowie kłębi się szok i złość od momentu, kiedy straciliśmy kontrolę nad tłumem, ale uświadamiam sobie, jakie są

oczekiwania wobec mnie i chłodne opanowanie bierze górę.

– Działać szybko? – pytam. – Czy może szybko wymierzyć sprawiedliwość?

Allisander patrzy na mnie z naprzeciwka. Widzę, że wraca myślami do zdarzenia w Twierdzy, gdy Lochlan walnął jego głową o kraty, a ja gołymi rękami złamałem mu nadgarstek.

Zastanawiam się, na ile furia Allisandra wynika z faktu, że Lochlan jest wśród zbiegów.

– Jedno i drugie – oświadcza z wściekłością.

Nigdy nie wahałem się używać brutalnej siły i nie zawaham się teraz. Przytrzymuję wzrok Allisandra i potakuję głową.

– Załatwione.

Rozdział dziewiąty

Tessa

Tym razem, idąc do chaty, mam oczy szeroko otwarte, mocno zawiązaną maskę na twarzy, a skórę wokół oczu dokładnie poczernioną sadzą. Staram się nie myśleć o obolałej szczęce. Płonie we mnie wściekłość i gniew na króla, na księcia, na to, jak potwornie traktują nas za to, że robimy, co musimy, żeby przeżyć.

Przemożna potrzeba działania rozsadza mi głowę.

Patrole nocne podwojono i choć nie mam przy sobie nic poza moimi książkami zielarskimi, przemykam przez las ze wzmożoną ostrożnością. Nie będę rozpalać ognia w oczekiwaniu na Wesa, bo nie chcę ryzykować. Serce wali mi w piersi całą noc.

Gdy docieram do chaty, nie muszę czekać. Wes już tam jest. Stoi oparty o drzwi i wygląda jak cień.

Zatrzymuję się zaskoczona, na co on prostuje się i oddycha z ulgą.

– Tesso.

Kiedy widzę go bezpiecznego, przerażenie, jakie czułam przez cały ten dzień, jakby wyparowało.

– Widziałeś? – pytam cicho. – Byłeś tam?

Nie muszę wyjaśniać, co mam na myśli. Wes potakuje głową.

– Widziałem – odpowiada ponurym głosem. Milknie i spogląda w mrok dopiero budzącego się poranka. – Wszędzie są patrole. Przeszukują kuźnie.

Nigdy nie widziałam Wesa tak zmartwionego. Jego niepokój udziela się także mnie. Przelykam ślinę.

– Słyszałam.

Patrzy w moje oczy.

– To nie jest dobry moment na wykradanie płatków i dostarczanie eliksiru.

– Żaden nie jest dobry – stwierdzam szeptem.

– Podobno trzech zdołało uciec. Za ich schwytnie wyznaczono wysoką nagrodę. – Urywa. – Za schwytnie każdego wyjętego spod prawa.

– O tym też słyszałam.

Wszyscy w sklepie rozmawiali dziś tylko o tym.

Wes się nie odzywa, jedynie mnie obserwuje.

Dopiero po chwili dociera do mnie, co ma na myśli. Cofam się gwałtownie. Ta świadomość jest jak cios w twarz.

– Myślisz, że ktoś mógłby nas wydać?

Odchrząkuje, a potem przesuwając dłoń po szczęce.

– To dużo pieniędzy, Tesso. – Przez jego twarz przemyka znajomy uśmiech. – Dziwię się, że sama tu nie czekasz, żeby na mnie donieść.

– Skąd wiesz, że nie? – drażnię się, choć atmosfera jest tak poważna, że słowa wcale nie zabrzmiały zadziornie.

Cień uśmiechu znika, ale w głosie Wesa pojawia się delikatne ciepło.

– Bo wiem, że byś tego nie zrobiła.

Rumienię się. Na szczęście mam maskę i jest ciemno. Nie myli się. Biorę do ręki mój sznur z kotwicą i kręcę nim w powietrzu.

– Tracimy czas. Niedługo zaczną świtać.

Wes łapie zwinnymi palcami mój hak, zatrzymując go w miejscu. Stoimy tak w absolutnej ciszy przez dłuższą chwilę, połączeni krótkim kawałkiem liny. Jego spojrzenie jest intensywne, mroczne, skupione. Żałuję, że nie potrafię czytać w jego myślach. Cieszę się, że on nie potrafi czytać w moich.

Chrzękam i próbuję skupić się na konkretach.

– Wiesz, kim są Benefaktorzy?

– Nie. – Zawiesza głos. – Myślałem, że może dowiem się od ciebie.

Potrząsam przecząco głową.

– Możemy poprosić, roznosząc lek.

Wes przez chwilę milczy, aż wreszcie odzywa się cicho:

– Niektórzy nawołują do rewolucji. Król na to nie pozwoli. Każdego, kogo złapią, przykładnie ukarzą.

– Zawsze tak robią.

Chrzęka.

– Chyba jeszcze nie widzieliśmy ich najgorszego oblicza.

– Boisz się – szepczę.

Odwraca wzrok i zaciska zęby.

– Nie o siebie.

O mnie? O innych z kuźni? Boję się zapytać.

– Wes?

– Widziałem okropności, do jakich są zdolni, Tesso. I niejedno słyszałem. – Jego oczy znów wpatrują się w moje, lecz teraz jest w nich jakaś mgła i mrok. – Widziałem, co zrobili przed bramami. To nic w porównaniu z tym, co zrobią następnym razem.

Ja widziałam te same okropności. Słyszałam te same opowieści. Serce bije mi nierówno. Myślę o pani Kendall i wszystkim, co straciła. Myślę o dziesiątkach innych rodzin, którym przynosimy lek, o wszystkich, którzy umrą, jeśli go od nas nie dostaną.

– Nie możemy się wycofać, Wes. Ludzie... na nas liczą.

Zamyka oczy.

– Nie mówię, że mamy z tym skończyć na zawsze. Ale może...

– Nie!

– Tesso...

– Nie możemy – oznajmiam stanowczo. – W ten sposób to my skazalibyśmy ich na śmierć! My...

Pociąga za hak, żeby przysunąć mnie do siebie, po czym zakrywa mi dłonią usta.

– Wiesz, że podwoili patrole, prawda?

Odpowiadam skinieniem głowy. Oczy mam szeroko otwarte. Wes opuszcza rękę.

– Nie możemy przestać – powtarzam szeptem, choć z nie mniejszą determinacją w głosie. – Nie możemy...

– Możemy. – Spogląda intensywnie w moje oczy. – Martwi nie pomożemy nikomu. Bunt nie powstrzyma gorączki.

Przełykam ślinę i myślę o moich rodzicach. Mój ojciec robił wszystko, co w jego mocy, by każdy miał dostęp do leku. To przywiodło go do zguby. Może powinna to być dla mnie nauczka?

Nie. To nie nauczka, tylko dziedzictwo.

– Jeśli nie chcesz iść, zostań. – Wyrywam mu hak. – Ja muszę pomóc ludziom, którzy na mnie polegają.

– Tesso! – syczy za moimi plecami, jednak się nie zatrzymuję.

Gardło ściskają mi emocje. Gniew. Strach. Obawa.

Rozczarowanie.

Nic nie słyszę, ale nagle Wes jest przy mnie; szybki i zwinny jak kot.

– Oboje przez ciebie zginiemy – mówi szeptem.

– Jeśli tak się boisz, wracaj do domu.

– Nie boję się. – Chwyta mnie za ramię i zatrzymuje w miejscu.

Patrzę w jego oczy, w których odbija się rozgwieżdżone niebo.

– Jeśli ktoś nawołuje do rewolucji – ciągnę – to my powinniśmy stać na jej czele, a nie kryć się w cieniu.

– Przecież my nie robimy nic innego, tylko stale się ukrywamy, Tesso – przypomina. Jego głos jest taki szorstki.

– Więc może pora przestać. Nie wiemy, kim są ci Benefaktorzy, ale może wybrali właściwą drogę. Może robią coś słusznego.

Wes milczy. Nie porusza się, jedynie się we mnie wpatruje.

– Może przyszała pora, by próbować coś zmienić w inny sposób – dodaję cicho, bo mam wrażenie, że każde słowo wypowiedziane na głos może stanowić zagrożenie.

Kiedy Wes nie odpowiada, podnoszę dłoń, by dotknąć krawędzi jego maski. Stoi zupełnie nieruchomo, nawet gdy przeciągam palcem tuż poniżej materiału.

Już myślę, że pozwoli mi ją zdjąć, lecz wtedy on otwiera gwałtownie oczy i robi unik.

– Idź do chaty – rozkazuje cichym, szorstkim głosem. – Zagrzej wodę, a ja pójdę po płatki.

– Wes...

– Jestem szybszy. Nie patrz tak na mnie. Wiesz, że jestem. – Wyciąga ze swojej torby mały pakunek i wciska mi go. – Masz. Zostało trochę z wczoraj. Znalazłem też trochę dodatkowego olejku różanego. Nastaw wodę i zrób tyle dawek, ile się da. Jeśli się pospieszymy, zdołamy przygotować eliksir i roznieść go jeszcze przed świtem.

Jego oczy wwiercają się w moje, więc szybko potakuję głową.

Zaciskam palce na pakunku i robię krok w tył. Nie wiem, czy jest zły, czy zdeterminowany, a może tylko oboje się okłamujemy, myśląc, że to, co robimy, ma jakieś znaczenie.

– Idź już – mamrocze prawie łamiącym się głosem.

Coś w jego oczach pęka.

– Na Boga, Tesso, nie rozumiesz? Nie boję się o siebie, tylko o ciebie.

Serce wali mi tak, że muszę przycisnąć rękę do piersi.

Bez ostrzeżenia podchodzi do mnie, chwyta mnie w pasie i przyciska usta do moich.

Na chwilę tracę dech i świadomość. Ale moje ciało szybko się otrząsa. Pragnę jego dotyku, rozpuszczam się otoczona jego ramionami. Wypełnia mnie ogień, rozchodzi się żyłami po całym ciele. Jest silny, jest jak skała, no i jest Wesem. Wyobrażałam sobie tę chwilę tyle razy, jednak moja wyobraźnia nie dorównywała temu przeżyciu.

Odsuwa się ode mnie o minuty, godziny, dni za wcześnie. W jego oczach znów odbijają się gwiazdy. Stuka palcem w mój nos.

– Nie trać ducha i uważaj na siebie. Wracam za godzinę.

Przyciskam dłoń do warg. W głowie mam mętlik. Mogłam prawić o staniu na czele, ale teraz chciałabym tylko zawołać go z powrotem i znaleźć cień, w którym moglibyśmy skryć się na najbliższe dni.

Tymczasem jego kotwica już leci ze świstem w powietrzu, żeby zaczepić się o krawędź muru. Nie oglądając się za siebie, Wes przeskakuje na ogrodzenie, a ja zostaję sama.

Rozpalam ogień i ustawiam wagę, lecz myślami jestem w lesie. W kółko odtwarzam w głowie chwilę, gdy jego usta przyciśnięte były do moich. Brzmienie jego głosu, kiedy mówił: „Na Boga, Tesso”, nim zrobił krok wprzód i przyciągnął mnie do siebie. Albo sposób, w jaki wypowiedział: „Nie boję się o siebie”, wpatrując się w moje oczy.

Wprawdzie uchylił się, gdy chciałam zdjąć mu maskę, jednak mnie pocałował. Od chwili zamieszek przed bramami do Sektora Królewskiego czułam wściekłość, żal i strach. Pewnie nadal powinnam, tyle że... Wes. Och, Wes. Jego dłonie były takie ciepłe, jego głos taki cudowny i głęboki, a jego wargi po prostu... Wzdycham. Całe to gadanie o rewolucji i byciu na jej czele... A teraz, kiedy mieszam lek, mam ochotę tylko kręcić się w kółko.

Ale nadal działamy. Nie cofamy się przed tym strasznym królem i jego okropnym, okrutnym bratem. Ratujemy ludzi, którzy tego

potrzebują.

„Walczcie”, krzyczał jeden z więźniów.

Przecież walczymy. Nie jestem dość silna, by wdrzeć się na podest, zaatakować króla czy zabić patrol w lesie, mimo to potrafię ratować ludzkie życie. Wes powiedział, że jedynie się ukrywamy, i ma rację, ale ważne jest to, co robimy, gdy jesteśmy w ukryciu. To, co robimy razem, ma znaczenie.

Razem. Przyciskam rękę do piersi, żeby uspokoić walące serce.

Rozlega się gwizd czajnika. Zdejmuję go z ognia w samą porę. Ostrożnie nalewam wody do przygotowanych fiolek.

W oddali rozlega się dźwięk syren alarmowych w Sektorze Królewskim. Zamieram. Stawiam czajnik i podchodzę do okna. Widzę stąd światła błyskające za załamaniem muru.

Wszystko w porządku. Nic mu się nie stało. Naprawdę jest szybszy ode mnie, choć bardzo nie chcę się do tego przyznać. Wszędzie szukają przemytników, więc alarm mógł wzbudzić każdy. Poprzedniego dnia nic mu się nie stało, zatem dziś też tak będzie.

Wycieram w samodziałową spódnicę dłonie, które nagle stały się wilgotne od potu, i wracam do stołu. Kiedy podnoszę czajnik, pokrywka zaczyna dzwonić i uświadamiam sobie, że drzę.

Biorę głęboki wdech i staram się uspokoić. Za chwilę będzie z powrotem z tym swoim beczelnym uśmieszkiem. Szturchnie mnie w bok i przewróci oczami, każe się pospieszyć, żebyśmy mogli utrzymać więcej proszku z płatków, które ukradł. Zamyślimy się na chwilę nad biedakiem, którego złapali, i podziękujemy szczęśliwej gwiazdzie za jeszcze jedną noc razem, żebyśmy mogli pomagać ludziom.

Razem. Moje serce znów zaczyna bić nierówno. Ale teraz to przerażenie, które mnie ogarnia. Ile to już czasu minęło? Godzina? Może mniej? Alarm w Sektorze Królewskim nadal wyje, światła reflektorów prześlizgują się po murze w poszukiwaniu ofiary.

Wes. Och, Wes.

Eliksir gotowy. Wolno napełniam fiołki i zamykam je. Alarm cichnie.

Słyszę swoje bijące jak oszalałe serce. Podchodzę do drzwi. Wsłuchuję się w chłodną, wczesnoporanną ciszę. Wes porusza się bezszelestnie, więc spodziewam się, że wyjdzie zaraz zza drzewa albo zeskoczy z dachu, albo zrobi coś równie niedorzecznego, żeby

mnie nastraszyć. A potem będę się tylko śmiała i dam mu kuksańca w brzuch.

Nic takiego się nie dzieje.

Żołądek kurczy mi się ze strachu. Nie jestem w stanie wziąć pełnego wdechu. Zaciskam palce na futrynie, aż czuję ból.

Między drzewami pojawiają się pierwsze promienie słońca. Gardło mam ściśnięte. Teraz już w ogóle nie mogę oddychać.

Minęło już więcej czasu niż godzina. Dużo więcej.

Palce mam zdrętwiałe. Nie wiem, czy to od ściskania futryny, czy od braku powietrza, które nie może przedostać się do płuc. Pochyliłam głowę i wchodzę z powrotem do chaty. Muszę iść za nim. Muszę go znaleźć. Najpierw na pewno zabrali go do więzienia. Do Twierdzy. Mogę go stamtąd wydostać. Mogę – muszę – chcę – muszę.

Przez okno wpada światło; wrywa mi się krzyk rozpacz. Słońce wstaje, zaczyna się nowy dzień, nie zważając na moje przerażenie. Linę z kotwicą mam już zawiniętą wokół dłoni, torbę przewieszoną przez ramię.

Nie trać ducha, Tesso.

Z oczu wymyka się łza i wsiąka w maskę. Zamieram w drzwiach. Nie mogę tak wyjść. Nie za dnia.

Nie mogę iść go szukać.

Padam na ziemię. Coś we mnie pęka i nagle wybucham płaczem, trzęsę się oparta o futrynę.

Zobaczy mnie taką i nigdy nie przestanie ze mnie żartować. Z radością przyjmę wszystkie złośliwości, byleby się tylko wreszcie zjawił.

Proszę, Wes. Nie zdaję sobie sprawy, że szepczę te słowa, dopóki nie słyszę swojego głosu. *Proszę, Wes.*

Nie zjawia się. Promienie słońca zaczynają przebijać się przez korony drzew.

Nie mogę tak tu siedzieć na progu. To odległy zakątek lasu, jednak myśliwi i traperzy nie są tu rzadkością.

Zdejmuję szybko kapelusz i wciskam do torby. Zmoczoną w wodzie maską wycieram sadzę z policzków i oczu. Zaplatam od nowa warkocz, poprawiam spódnice. Chowam lek, naczynia i czajnik w skrytce pod podłogą.

Proszę, Wes.

Zatrzymuję się w drzwiach.

Nic.

Może musiał uciekać prosto do kuźni. Może nie mógł ryzykować pójścia tą drogą. Jutro rano będzie czekał z niezłą opowieścią.

„– Co mówiłaś? – powie, drażniąc się ze mną. – Że miałem rację? Że powinniśmy poczekać kilka dni?”

Gardło i serce mam ściśnięte, jakby znalazły się w imadle.

Nie mogę tu zostać. Pani Solomon będzie na mnie czekać. Karri domyśli się, że coś jest nie tak. Oczy mnie pieką.

Ruszam, uważając, by mój krok był spokojny i pewny. Po prostu dziewczyna spacerująca w Dziczy, idąca wcześniej do pracy. Nikt ważny. Nasłuchuję odgłosów nocnego patrolu, ale miasto zaczyna budzić się do życia. Okolica wokół robi się coraz bardziej zaludniona i nagle już nic mi nie grozi.

Kobieta z córką rozwiesza pranie na sznurze między dwoma drzewami. Kiedy je mijam, słyszę fragment rozmowy. Dziewczyna strzepuje parę spodni i podaje matce.

– Tata powiedział, że księżę zostawi go wiszącego na bramie, aż złapią wszystkich.

– Może powiesić każdego, kogo zechce – mówi kobieta. – Ty pilnuj swojego nosa. Nic nam do tych opryszków.

– Tak, mamó.

Księżę zostawi go wiszącego na bramie.

– Zgubiła się panienka?

Podnoszę gwałtownie głowę. Zatrzymałam się z ręką opartą o drzewo. Kobieta wpatruje się we mnie. Muszę iść dalej. Nie mogę tu zostać.

– Księżę kogoś złapał? – pytam łamiącym się głosem.

– To nie nasza sprawa – odpowiada szorstko, lecz jej córka wrywa się do przodu z relacją.

– Tak! Mój tata mówi, że powiesili go na bramie, tyle że nie chce mi pozwolić pójść i zobaczyć...

Biegnę. Pędzę w stronę bram do Sektora Królewskiego, zostawiając za sobą głębokie ślady na miękkiej ścieżce, slalomując między drzewami. Nie mogę złapać tchu. Nie mogę się zatrzymać. Ludzie się gapią, zdziwieni podnoszą głowy, kiedy tak gnam przez

Dzicz. Ktoś mnie zaraz złapie, zatrzyma, powie, że nie powinno mnie tu być.

Nic takiego się nie dzieje. I nagle tam jestem, przed bramami.

Dziewczynka miała rację. Na bramie wisi ciało ze sznurem wokół szyi, ze zwieszoną głową. Twarz napuchnięta, fioletowa, do tego ciemne ubranie.

Na twarzy maska. Kapelusz, który tak dobrze znam. Torba, którą widziałam setki razy przewieszoną przez jego pierś.

Kotwica zwisająca z liny zawiązanej wokół jego dłoni kołysze się lekko na wietrze.

Z obu oczodołów wystają rękojeści sztyletów. Maska jest przesiąknięta krwią, co znaczy, że wbito je, gdy jeszcze żył.

Między sztyletami znajduje się rozpostarty Księżycowy Kwiat.

To się nie dzieje naprawdę. To się nie dzieje naprawdę.

Nie chcę na to patrzeć, jednak nie mogę odwrócić wzroku.

Nie oddycham. Nie mogę. Moje serce musi przestać bić. Muszę przestać czuć.

Nie chciał iść. Miał rację. Ryzyko było zbyt duże.

Zrobił to dla mnie.

Strażnicy przy bramie mnie zauważyli. Jeden woła:

– Chyba nie wróci do domu na kolację, co, panienko?

Wszyscy wybuchają śmiechem.

Palce zaciskają mi się w pięści. Chcę uderzyć na nich z całą swoją siłą i furią. Chcę ich podpalić. Chcę spalić to miejsce do gołej ziemi. Chcę ukraść wszystkie płatki Księżycowego Kwiatu, jakie są w Kandali, i patrzeć, jak moźni słabną i umierają na gorączkę. Chcę wbić sztylety w oczy króla i jego brata.

Nie trać ducha, Tesso.

Jakbym słyszała w głowie jego głos. Wyrzywa mi się szloch. Jeden ze strażników musiał mnie usłyszeć, bo odkleja się od bramy.

Muszę biec. Wes chciałby, żebym uciekła.

Ta myśl wyzwala działanie. Ruszam i biegnę najdłużej i najdalej, jak się da, znacząc drogę łzami.

Rozdział dziesiąty

Corrick

Zważywszy na to, jaki z niego narwaniec, Quint jest całkiem niezły w szachy. Mogłoby się wydawać, że taka gra powinna być dla niego frustrująca przy tym, ile czasu spędza się w niej na siedzeniu w ciszy w oczekiwaniu na ruch przeciwnika, ale może w ten sposób ma wymówkę, by móc pobyc trochę w bezruchu. Dziś to ja potrzebuję czegoś, co zmusi mnie do siedzenia w miejscu. Jestem niespokojny, podenerwowany, zmartwiony.

Okna mojej komnaty są ciemne, a ogień ledwie się tli, co znaczy, że powinienem już spać. I Quint też. Mój brat położył się wiele godzin temu.

Rzadko mam żal do Harristana, jednak czasem chciałbym, żeby to on dźwigał ciężar tej funkcji, żeby to on patrzył w oczy każdemu więźniowi, był świadkiem jego ostatniego tchnienia, ostatnich słów, ostatniego błagania o wszystko, czego nie jestem w stanie mu dać.

Ruszam wieżą do przodu i czekam, a Quint uważnie przygląda się szachownicy.

Wygra. Zwykle wygrywa, lecz dziś jestem zdekoncentrowany i niespokojny, więc ma dodatkową przewagę. Allisander i Lissa wyjechali po kolacji. To powinno mnie trochę uspokoić. Ale to niemożliwe, skoro przemytnicy są na wolności, a po mieście krążą pogłoski o groźbie rewolucji. Nie pamiętam momentu, kiedy cały Sektor Królewski wstrzymałby oddech w oczekiwaniu, tak jak teraz. Pałac także wypełnił niepokój, przez który wszyscy z trudem panują nad emocjami.

Rozlega się pukanie. Wyciągam z kieszeni zegarek. Jest wpół do dwunastej.

– Wejść – wołam.

Strażnik otwiera drzwi.

– Wasza Wysokość, konsul Cherry prosi o audiencję.

Quint podnosi wzrok znad szachownicy.

– Mam ją odprawić?

Kusząca propozycja, tyle że Arella nigdy nie odwiedzała mnie w moich komnatach i jestem ciekaw, czego chce.

– Nie. – Przeciagam dłonią po szczęce i wzdycham. – Niech wejdzie – mówię do strażnika.

Jestem przyzwyczajony do Allisandra wpadającego zawsze do mojej komnaty jak burza, ubranego w swoje jedwabne łąszki, stawiającego żądania pod płaszczykiem próśb. Dlatego widząc Arellę, wchodzącą lekko i cicho jak bryza, jestem zaskoczony. Ma rozpuszczone ciemne włosy. Ubrana jest w prostą aksamitną suknię, która podkreśla każdą jej krągłość, lecz pozostawia wiele wyobraźni. Wita mnie dygnięciem, z gracją unosząc brzeg materiału.

– Wasza Wysokość.

Nie poruszam się.

– Arello.

Quint wstaje i wita ją skinieniem głowy.

– Pani konsul Cherry.

Allisander by go zignorował, natomiast Arella odpowiada skinieniem głowy.

– Marszałku Quint. – Jej wzrok pada na szachownicę. – Proszę wybaczyć, że przerywam grę.

Przesuwam palcem po krawędzi kieliszka z winem.

– Zobaczymy.

Quint czeka, czy go nie odeślę. Wie o wszystkim, co się dzieje w pałacu, nie ma między nami żadnych tajemnic, jednak wielu konsułów traktuje go jak natręta i domaga się spotkania w cztery oczy. Ale nie Arella.

– Widziałam wystawę, jaką urządziłeś na bramach, Wasza Wysokość.

– Mam nadzieję, że wszyscy ją zobaczyli. Po to tam jest. – Zerkam na Quinta. – Twój ruch.

Quint siada z powrotem na krześle. Spogląda na mnie i znów na szachownicę.

Jest pewnie jedyną osobą w pałacu, która wie, jak bardzo tego nienawidzę. Tego wszystkiego. Arellę niełatwo zbić z tropu czy zniechęcić.

- Ktoś może się wdrapać na bramy i ukraść kwiat.
- Proszę bardzo. Wtedy zawisnie obok. Mój brat jest zawiedziony, że nie wiszą tam już wszyscy trzej.

Szczerze mówiąc, myślę, że Harristan był zawiedziony, że tak szybko kogoś złapaliśmy. Choć zależy mu na udobruchaniu konsulów i demonstracji siły, nie podoba mu się myśl o możliwej rebelii. Gdy przemytnicy kryli się w ciemności, łatwo było ich uważać za przestępców, za oczywistych złoczyńców.

Trudno jednak kierować ostrze sprawiedliwości przeciwko tysiącom obywateli nawołującym do buntu i żądającym łaski w biały dzień.

Arella ostrożnie dobiera słowa, korzystam więc z jej milczenia i odzywam się pierwszy:

- Dużo czasu spędzasz ostatnio z konsulem Pelhamem.

Czekam na jej reakcję, lecz nie ma żadnej poza lekko uniesioną, idealnie wyregulowaną brwią.

- Czyżbyś był zazdrosny, Corricku?
- O osiemdziesięcioletniego starca? – Uśmiecham się. – Kto wie.

Nie odpowiada uśmiechem na mój uśmiech.

- Okazuje się, że mamy podobne cele.
- Ty i Roydan? Może powiesz coś więcej?
- Nie.

– Szach – oświadcza Quint.

Spoglądam na szachownicę. Jego koń zagraża teraz mojemu królowi, ale to da się łatwo naprawić. Przesuwam się jedno pole w prawo i przenoszę wzrok na Arellę.

- Allisander i Lissa uważają, że działasz przeciwko nim.
- Całe szczęście, że nie muszę ulegać konsulowi Sallisterowi i konsul Marpetcie.

Ta uwaga jest przesadnie złośliwa. Mój uśmiech znika.

- Czego chcesz, Arello?
 - Twój lud cierpi – oznajmia. – Te szeptki o rebelii to nie atak na ciebie czy twojego brata.
 - To nie są szeptki – zaznaczam.
 - Ludzie są zdesperowani. Umierają.
 - Szach – powtarza Quint.
- Wzdycham i znów uciekam królem.

– Wiem, że ludzie umierają.
– Twój brat może i nosi koronę, jednak wszyscy wiedzą, że to tych dwoje konsulów rządzi Kandalą.

Mój głos staje się ostry.

– Lepiej waż słowa.

– Bo co? Wtrącisz mnie do Twierdzy?

Biorę wściekły wdech.

– Szach – mruczy Quint.

– Do diabła, Quint! – Uciekam królem o jedno pole w lewo, potem wstaję i odwracam się do Arelli. – Wiem, że nasz lud umiera. Harristan też to wie. Robię, co mogę, by temu zapobiec.

– Hmm. Ciekawe, czy człowiek wiszący na bramach by się z tobą zgodził.

Byłbym pod wrażeniem jej pewności siebie, gdyby nie była wymierzona we mnie.

– Prosiłaś o ułaskawienie ośmiu uwięzionych przemytników.

– Tak. Prosiłam. – Wytrzymuje moje spojrzenie. – Myślisz, że przedstawienie, jakie urządziłeś przed bramami sektora, zakończyłoby się nawoływaniem do rewolucji, gdybyś ich ułaskawił?

Zastygam w bezruchu.

Za moim oknem rozbłyskają światła i słaby dźwięk alarmu niesie się po nocnym niebie.

– Kolejny więzień – syczy Arella. A raczej ciska we mnie tymi słowami. – Kolejne ciało do powieszenia na twoim murze.

– Kolejne ostrzeżenie dla innych przemytników – rzucam ze złością. – Obietnica dla ludu, że zapasy leku dla nich będą bezpieczne.

– Leku, który dostaje tylko niewielu wybrańców?

Mój ton robi się surowy.

– Dobrze wiesz, że zapewniamy tyle leku, ile możemy.

– Miarą prawdziwej siły nie jest skala brutalności, do jakiej jesteś się w stanie posunąć – oświadczam. Jej ton jest nadal spokojny, ale zimny jak stal. – Miarą prawdziwego przywództwa nie jest liczba zabitych oponentów.

– Miarą prawdziwego przywództwa nie jest też zakradanie się do komnat księcia w środku nocy – ripostuję. – Mogłaś widzieć się z Harristanem, kiedy tylko byś zechciała, Arello. Jednak czekałaś, aż

wszyscy się rozejdą, i przychodzisz ze swoimi prośbami do mnie, zamiast do mojego brata.

Ku mojemu zdziwieniu zaczyna się śmiać.

– Mówiłam ci, że nic mnie nie obchodzi Lissa i Allisander. – Przerzywa, potem znów ścisza głos. – Za to obchodzi mnie mój lud. Obchodzi mnie twój lud. – Ponownie urywa i robi krok w moją stronę. – Jesteś Najwyższym Sędzią Królewskim, nie królewskim katem. Chyba ktoś powinien ci o tym przypomnieć.

Zaciskam zęby. Wszystko, co chciałbym powiedzieć, byłoby zdradą kogoś, kto jest dla mnie ważny.

Nie mówię nic.

Arella unosi brwi, a następnie dyga.

– Dziękuję, że zechciałeś mnie przyjąć.

Gdy znika za drzwiami, biorę głęboki wdech i przeciągam rękami po włosach. Patrzę na Quinta, który siedzi niewzruszony przy szachownicy.

– Co? – pytam.

Nabiera powietrza, jakby chciał coś odpowiedzieć, jednak tylko potrząsa głową. Wyciąga rękę i zbija mojego króla.

– Szach i mat.

Rozdział jedenasty

Tessa

Straciłam rachubę, ile to już dni. Cztery, pięć, może cały miesiąc? Chodzę do pracy, przygotowuję mikstury dla pani Solomon, potem na nogach sztywnych jak drewniane kołki wracam do swojego wynajmowanego pokoju i padam na łóżko. Fiolki, waga i buteleczki na prawdziwy lek stoją nietknięte na moim stoliku nocnym. Zioła, liście i płatki wysychają i rozpadają się w bezwartościowy pył.

Nie wróciłam do chaty. Za każdym razem, gdy próbuję, brakuje mi tchu, a kolana robią się jak z waty. To zbyt wiele... Wes.

Nie słuchałam nazwisk ofiar gorączki odczytywanych na koniec każdego tygodnia. Ale lista jest długa. Kiedy Weston i ja przestaliśmy dostarczać codzienną dawkę leku, liczba ofiar na pewno wzrosła.

Poczucie winy jest niemal tak samo wielkie, jak poczucie straty. Prawie nie jem. Prawie nie śpię. A gdy już zasnę, śni mi się Wes, ciepło jego dłoni, blask w jego oczach, obietnica w jego słowach. A potem sny zamieniają się w koszmary. Mężczyzna w czerni wbija sztylety w oczy leżącego Wesa, wykrzykującego błagania o litość.

Mam nadzieję, że nie błagał. Mam nadzieję, że nie dał satysfakcji temu okrutnemu księciu. Tylko ta myśl jest w stanie choć odrobinę zagłuszyć smutek, robiąc miejsce dla wściekłości.

Śmierć Westona jest inna niż śmierć moich rodziców.

Śmierć Westona jest inna niż wszystkie.

Żałuję, że go nie posłuchałam. Żałuję, że nie zostaliśmy w chacie.

Chciałabym żałować, że mnie pocałował. Jednak nie potrafię. Do dziś czasem dotykam ust, jakbym nadal mogła poczuć tam jego dotyk. Zaczynam czuć ścisk w gardle i płakać, lecz nie potrafię zabrać ręki, jakbym się bała, że to wspomnienie za chwilę także zniknie.

– Tesso. Tesso. – Potrzeba kilku chwil, by szept Karri przebił się przez moje myśli.

Odchrząkuję.

– Przepraszam.

Przygląda mi się szczerze zatroskana. Pytała mnie dziesiątki razy, co się stało, ale już i tak zbyt wiele ryzykowałam. Nie mogę jej nic powiedzieć. Nocne patrole są nadal podwojone. Słyszałam plotki o kolejnych ciałach wywieszonych na bramach, mimo to nie mam zamiaru oglądać tego, co pozostało z Wesa, więc nie poszłam zobaczyć.

Tyle że Karri wie, że coś się stało.

Opuszcza wzrok na korzenie zawilca, które rozcieram. Ma z nich być nalewka na problemy z cerą. Tak jakby wygląd skóry miał znaczenie, kiedy tylu ludzi umiera.

– Za dużo – mówi Karri cicho. – W końcu kogoś zabijesz.

I dobrze. Może w ten sposób ochronię tego kogoś przed gorączką. Albo królem.

To niebezpieczna myśl, jednak ostatnio często mnie nawiedza. Opróżniam mózdzierz, żeby zacząć od nowa.

– Tesso! – krzyczy z drugiego końca pomieszczenia pani Solomon.

– To moje najlepsze ziele zawilca!

Nie jestem w stanie sprawić, żeby mnie to obchodziło. Wes nie żyje. Moi rodzice nie żyją. Świat jest szary, pusty i zimny. Odcinam nowy kawałek korzenia.

Pani Solomon biegnie przez sklep, żeby stanąć nade mną.

– Słowo honoru, dziewczyno, co ty masz ostatnio w głowie? Chyba nie jesteś przy nadziei?

Prawie wybucham płaczem i krztuszę się, próbując powstrzymać łzy. Przy nadziei. Jasne. Jasne. Znienacka parskam śmiechem, a po policzku spływa mi łza.

Pani Solomon gapi się na mnie z rozchyłonymi ustami. Tak samo Karri. Niedbale ocieram twarz.

– Przepraszam. Nie. Słucham?

– To zamówienie z Sektora Królewskiego! – huczy pani Solomon.

– Lepiej zacznij myśleć, co robisz!

Słyszając, że to dla kogoś z Sektora Królewskiego, mam ochotę wrzucić wszystko do ognia. Ucieram korzeń od niechcenia.

Aż nagle docierają do mnie słowa wypowiedziane przed chwilą przez Karri. *W końcu kogoś zabijesz.* Spoglądam na wyrzuconą kupkę

startego ziela. Ma rację. Wystarczy pomylić proporcje i nalewkę bez trudu można zmienić w truciznę. Nie bez powodu upierałam się zawsze przy dokładnym odważaniu i odmierzaniu składników eliksiru, który rozprowadzaliśmy z Wesem.

Nie mam pojęcia, co z tym zrobię, lecz zmiotam wyrzucony proszek na kawałek muślinu, zawijam i chowam do torby.

Nie mam planu. Żadnego pomysłu, naprawdę. Mam tylko gniew i smutek, które palą mnie od środka.

– To na nic – mruczy pani Solomon. – Przez resztę miesiąca będę ci potrącać z pensji.

Gwałtownie podnoszę głowę. Mogę być w rozpaczy, ale jestem wystarczająco przytomna, żeby wiedzieć, że nie mogę sobie pozwolić na utratę więcej niż połowy miesięcznego dochodu.

– Proszę mi pozwolić dostarczyć lek – odzywam się. – Proszę mi nie potrącać z pensji za ziele zawilca.

– Nie bądź nedorzeczna, Tesso – odpowiada i odchodzi.

– Proszę – wołam za nią. – Na pewno posłaniec do Sektora Królewskiego będzie panią kosztował więcej.

Odwraca się do mnie. Zrobi wszystko, byleby nie musieć za coś płacić.

Na chwilę kładę dłoń na brzuchu, aż jej oczy zauważą mój ruch, potem natychmiast zabieram rękę i odchrząkuję.

– Och, Tesso – szepcze Karri. – Mogłaś mi powiedzieć.

Przełykam ślinę. Nie zamierzałam okłamywać Karri. Jest taka dobra, życzliwa i ciepła, że czuję się, jakbym popełniła straszne przestępstwo.

– Opuścił cię, tak? – dodaje ze zrozumieniem, a ja przypominam sobie naszą rozmowę o tym, jak przemytnicy wykorzystują naiwne młode dziewczyny.

Opuścił mnie. Nie, Wes mnie nie opuścił. To raczej ja opuściłam jego. Znow mam ściśnięte gardło.

Karri łapie moją dłoń.

– Przyjdź do nas jutro, mama zaparzy ci specjalnej herbatki na poranne mdłości. Zarzeka się, że jest skuteczna.

Może tak będzie bezpieczniej. Niech wierzy, że jestem naiwnym dziewczątkiem, które popełniło głupi błąd, a teraz to się skończyło. Wciągam nosem zbierające się łzy.

– To bardzo... bardzo miło z twojej strony. Dziękuję.

Pani Solomon zatrzymuje się. Ma pewnie parę przemyśleń o niezamężnych dziewczętach wpędzających się w taką sytuację, lecz po tym, jak Karri okazała swoją życzliwość, jest szansa, że przystanie na moją propozycję.

– Dobrze, Tesso – oznajmia. – Jeśli na pewno jesteś w stanie.

Proponując dostarczenie leku do Sektora Królewskiego, nie pomyślałam, że będę musiała przejść przez bramę, na której wisi ciało Wesa. Nie przemknęło mi to przez głowę, dopóki nie uderzył mnie ten zapach.

Zatrzymuję się gwałtownie. Zasycha mi w ustach. Nie dam rady.

Nawet nie pamiętam, co miałam zrobić.

Dostarczyć przesyłkę. Po to tu jestem. To muszę zrobić.

Wyrzucony proszek zawinięty w muślin nie może tak po prostu leżeć w mojej torbie zielarskiej obok notatników i paczki, którą mam zanieść. Najchętniej cisnęłabym wszystko w ogień. Najchętniej sama skoczyłabym w ogień.

Obok mnie przechodzi staruszek prowadzący mały wóz zaprzężony w osiołka. Spogląda na mnie.

– Z czasem człowiek się do tego przyzwyczaja – rzuca.

Ja nie. I nikt nie powinien. Nie powinniśmy się do tego przyzwyczajać.

Wes by się nie wahał. *Nie zawahał się* wtedy. Przeskoczył mur, bo tego potrzebowałam. Bo chciałam, żeby to zrobił.

Prostuję ramiona i ruszam. W powietrzu słychać przeraźliwe bzyczenie, które dociera do moich uszu, zanim ja docieram do bram. Dopiero gdy znajduję się za załamaniem ogrodzenia, uświadamiam sobie, co to za dźwięk. Muchy. Są wszędzie: w powietrzu, na drzewach. Żerują na martwych ciałach, których oczywiście jest już teraz więcej.

Sześć. Nie wiem, które z nich to kobiety, a które mężczyźni.

Wiem za to, które jest Wesa. Zaczęło się już rozkładać, a sztylety wysuwają z luźnej tkanki oczu. Kwiatu już nie ma. Sznur kotwicy wpija się w poszarzałą skórę nadgarstka.

– To nie jest Wes – szepczę do siebie. – To nie jest Wes.

Bo przecież to prawda. To zwłoki. Ciało. Nie ten łobuz, który się ze mną drażnił, pomagał mi i chronił mnie. Nie chłopak, który przyciągnął mnie do siebie i obiecał wrócić za godzinę.

Nie płacz. Nie płaczę.

Muchy obsiadają mnie, gdy z wielkim wysiłkiem stawiam kolejne kroki. Opędzam się od nich wściekle. Jeden ze strażników robi krok w moją stronę, sam odganiając owady. Jego brwi błyszczą od potu; wygląda na znudzonego i poirytowanego. Ja na jego miejscu też bym była.

– W jakiej sprawie? – pyta.

Wyciągam zamówienie, które dała mi pani Solomon.

– Z dostawą do Sektora Królewskiego.

Ledwo rzuca okiem, a następnie skinieniem głowy daje znak w stronę bram i wraca na swoje miejsce.

Cóż, nie od dzisiaj wiem, że łatwiej tu wejść, niż stąd wyjść. Po drugiej stronie bramy w lśniącym fioletowym powozie czeka kobieta, tymczasem strażę przeszukują jej rzeczy. Ma potwornie bladą cerę, a do tego gęste rude włosy zaplecione w niewiarygodne wręcz warkoczyki. Stoi z boku, zerkając wyniośle na swój kieszonkowy zegarek. Diamenty błyszczą w promieniach słońca.

Już za sam ten zegarek rodzina mogłaby kupić lek na wiele miesięcy. Mam ochotę wcisnąć jej garść proszku z mojej torby prosto do gardła.

Szybko otrząsam się z tej myśli. Nie. Nie mam ochoty tego zrobić. To nie jej wina. To nie ona powiesiła Wesa. To nie jej wina, że urodziła się w rodzinie należącej do klasy uprzywilejowanej.

Jeden ze strażników otwiera drzwi do powozu i kłania się jej.

– Proszę, wybaczyć opóźnienie, pani konsul Marpetto.

Konsul! Nigdy nie widziałam konsula z bliska. Mam ochotę gapić się na nią. Pewnie to właśnie *robię*. Próbuję odwrócić wzrok.

Kobieta rzuca mu monetę – migocze w powietrzu i znika w jego dłoni.

– Wolę, żebyście przeszukiwali każdego, niż przepuścili choćby jednego przemytnika – oświadcza głosem tak delikatnym, że ledwo ją słyszę. Wsiada do powozu, a strażnik zatrząskuje za nią drzwi.

Kiedy powóz z terkotaniem odjeżdża, strażnik mnie dostrzega.

– Chyba masz tu coś do załatwienia, panienko?

– Och! Tak. – Ruszam pośpiesznie.

Sektor Królewski nie jest dla mnie nowy, ale dotąd bywałam tu nocą, gdy ulice są puste, ciemne i ciche. W pełnym słońcu wszystko błyszczący, nawet rynsztoki. Framugi drzwi zdobione są złotem. Przed większymi domami radośnie tryskają fontanny. Witryny sklepowe lśnią kryształową czystością, bruk jest świeżo zamieciony. W co wymyślniejszych rezydencjach widać światło elektryczne, w innych – olejowe latarnie. Gałki drzwi srebrzone, powozy i wozy ze stalowymi okuciami i skórzanymi siedziskami. Konie rozbrykane i lśniące, w bogato zdobionej uprzęży.

A do tego ci ludzie! Kobiety w sukniach z gorsetami wyszywanymi klejnotami, ze srebrnymi lamówkami u dołu spódnic. Mężczyźni w kaftanach z brokatu, jedwabiu albo miękkiego zamszu, w mocno podbitych, wysokich, wypolerowanych butach. Tkaniny we wszystkich kolorach tęczy. Barwy są intensywniejsze niż jakiegokolwiek spotykane w Dzicy, gdzie barwniki są albo zbyt drogie, albo uważane za przesadny zbytek. Nocą te wszystkie róże, fiolety i pomarańcze są tylko odcieniami szarości.

Są też zwykli ludzie – robotnicy, jak ja, ukryci, niewidzialni w swoich burych samodziłach i szarych spodniach, które wydają się wtapiać w bruk lub mury frontowych ścian sklepów. Mimo tego tu także dostrzegam różnice – od wysokich butów z grubymi skórzanymi podeszwami, przez pasy zdobione misternymi ornamentami tłoczonymi na skórze, po metalowe guziki zamiast wycinanych z drewna.

Jednak widząc całe to bogactwo i przepych, tęsknię do ludzi umierających w Dzicy, do ludzi walczących o przetrwanie w Stalowym Mieście, Nabrzeżu Kupców czy w Artis. Tutaj wszystkiego jest tak wiele. Tak wiele bogactwa, tak wiele zdrowia; czuję, jakby ktoś dał mi w twarz.

To, co kradliśmy z Wesem... tych ludzi stać było, żeby to stracić.

Teraz on nie żyje, a oni tutaj paradują po ulicach, jakby za tymi bramami lud Kandali nie umierał.

Muszę zajrzeć do jednego ze sklepów, żeby zapytać o drogę do miejsca, gdzie pani Solomon kazała dostarczyć zamówienie. Im bliżej jestem centrum miasta, tym większe są tu domy, tym więcej

wkoło złota, tym więcej srebra, tym więcej zmarnotrawionego bogactwa.

Nigdy nie wchodziłam do żadnego z tych domów, dzwoniąc do frontowych drzwi. Wydaje mi się to nienaturalne, jakby jedynym właściwym sposobem było wślizgiwanie się przez otwarte okno albo odblokowywanie zamka wytrychem. Drzwi otwiera lokaj. Bierze ode mnie pakunek, patrząc na mnie wyniośle.

– To miało być dostarczone godzinę temu – burczy.

Jakby to miało jakieś znaczenie. Dygam pospiesznie, choć pewnie nie jest nikim ważnym, kto by na to zasługiwał.

– Bardzo przepraszam – dukam. – Proszę nie mówić o tym mojej pani.

Prycha i zatrzaskuje mi drzwi przed nosem. W odpowiedzi pokazuję niekulturalny gest.

Co teraz?

Muszę stąd odejść. Jeśli tego nie zrobię, lokaj może wrócić i wezwać patrol. W tej części miasta jest mniej sklepów, a więcej domów. Próbuje wrócić do miejsca, gdzie pytałam o drogę.

Ale skręcam za rogiem i oto nagle gapię się na pałac.

Jeśli domy wyglądają bogato, pałac prezentuje się ostentacyjnie i odrażająco bogato. Jest olbrzymi, szeroki na cztery przecznice, z białych cegieł o lawendowym odcieniu, które pną się wysoko aż do nieba. Front jest szeroki i płaski, z dwiema wieżami po bokach. Dwie olbrzymie fontanny tryskają wysoko, bulgocząc i rozpryskując wodę na boki. Mijają mnie powozy, z których po chwili zeskakują lokaje i zabierają się do pracy – otwierają drzwi, noszą pakunki, rozwijają dywany.

Pałac nie powinien być biały. Powinien być czerwony jak krew albo czarny jak śmierć, a może raczej powinien być kupą zgliszczy, którą ledwo bym zauważyła. I dobrze.

Wsuwam dłoń do torby. Starte ziele zawilca ciasno zawinięte w muślin cały czas tam jest.

To za dużo. W końcu kogoś zabijesz.

Nogi niosą mnie dalej wbrew mojej woli. Nie chcę tu być, lecz ciało jakby buntowało się przeciwko mnie. Plotki głoszą, że eliksir z Księżycowego Kwiatu, który przyrządzają w pałacu, jest dziesięć razy mocniejszy niż kruszone płatki, które wykradaliśmy z Wesem.

Nie wiem, co chcę zrobić – przecież nie wejdę tak po prostu do środka i nie poproszę o lek.

Nadal przepełnia mnie poczucie winy i straty. Ściska moje serce tak mocno, jak muślin ziele zawilca. Tak wielu ludzi choruje. Pozostawiłam tak wielu bez dostępu do lekarstwa. Odrobina płatków z pałacu mogłaby wystarczyć do wyleczenia dziesięć razy większej liczby ludzi.

Tak jak w dzielnicy handlowej, przez chwilę przyglądam się miejscowym – robotnikom, kobietom i mężczyznom pracującym w bitych ubraniach, zamiatającym ulice, czyszczącym rynsztoki, szczotkującym konie. Gdy ich mijam, zaczynam się czuć tak samo niewidzialna jak oni. Zastanawiam się, czy to dlatego możliwym z Sektora Królewskiego tak łatwo ignorować ludzi, którzy mieszkają po drugiej stronie murów. Czy jesteśmy dla nich niewidzialni?

Grupka młodych kobiet w samodziałowych spódnicach i wełnianych spodniach idzie w stronę pałacu. Z ciekawości ruszam za nimi. Strażnicy przy bramie zwrócili na mnie uwagę, kiedy gapiłam się na panią konsul, jednak może nie przyciągnę ich spojrzeń, gdy będę wyglądać na znudzoną i niezainteresowaną.

Serce wali mi w piersi jak młot kowalski, kiedy zbliżamy się do wschodniego skrzydła pałacu. Patrząc przed siebie, na plecy dziewcząt plotkujących o jakimś skandalu z udziałem konsul Cherry i konsula Pelhama, którzy odbywają tajemne spotkania pod nosem króla. Jedna z nich szczebiocze, jakoby buntowników miał potajemnie finansować jeden z konsulów. Nie wiem, o kim mówią, więc nie jestem w stanie śledzić tej rozmowy, ale to i tak bez znaczenia. Jestem pewna, że za chwilę strażnik zawoła mnie, zatrzyma albo że któraś z dziewczyn zauważy, że za nimi idę, jednak nikt nie reaguje.

I tak oto, jak gdyby nigdy nic, wchodzę do pałacu.

Z całych sił staram się nie dopaść ściany i nie przycisnąć rąk do piersi.

Jestem w pałacu.

I co dalej?

Drzwi prowadzą do pomieszczeń dla służby. Widzę to po wytartej podłodze i poplamionych tapetach, choć tu także widać przepych.

Dziewczęta weszły do pomieszczenia, gdzie na wieszaku wzdłuż ściany wiszą ubrania dla służby, i szybko zaczynają się rozbierać.

To absurd. Przecież ktoś się zaraz zorientuje. Będą mnie wlec ulicami za koniem albo powieszą na bramach do sektora, albo jeszcze coś innego.

Jedna z dziewczyn musiała zauważyć, że się przyglądam, bo zaczyna się odwracać. Szybko wybiegam na korytarz.

Wszędzie pełno ludzi zajętych swoją pracą: jedni przygotowują rzeczy do sprzątnięcia, drudzy naprawiają jakieś drobne elementy maszyny, inni polerują skórę, cerują odzież, haftują odświętne stroje. Parę osób spogląda na mnie, ale większość jest tak zajęta swoimi obowiązkami, że nie zwraca na mnie uwagi.

Muszę się stąd wydostać, póki mogę.

Tyle że tego nie robię. Cały czas myślę o eliksirach i płatkach, które muszą być gdzieś w pałacu, które mogą uleczyć tylu ludzi.

Cały czas myślę o truciźnie, którą mam w torbie, o tym, że król i jego brat najpewniej są gdzieś w tych murach, planując egzekucję następnego przemytnika.

Ta myśl sprawia, że wzbierają we mnie wściekłość i strach. Oddycham głęboko, żeby nie zacząć krzyczeć.

Nie trać ducha, Tesso.

Och, Wes. Łzy napływają mi do oczu. Zakrywam usta dłonią, żeby nie wyrwał mi się głośny szloch.

Muszę się gdzieś ukryć. Pomyśleć. Zastanowić się nad własną poczytalnością.

I nagle, jak na zawołanie, dostrzegam mały składzik z pościelą. Wydaje się szeroki, ciemny i chłodny. Bez chwili wahania, kiedy nikt nie patrzy, zamykam się w środku i chowam najgłębiej, jak mogę.

Rozdział dwunasty

Tessa

Kiedy zamykałam się w składziku, na początku słychać było hałasy dochodzące z korytarza, gdzie pracowało wiele osób. Czasem ktoś wchodził po coś do środka i musiałam wstrzymać oddech, ale od dłuższego czasu panowała zupełna cisza, więc zaczęłam się zastanawiać, czy może nie mogłabym już stąd wyjść. Przez brak okien nie jestem w stanie ocenić, jak długo już tu siedzę. Myślę o kieszonkowym zegarku tej konsuli, którą widziałam, wchodząc do Sektora Królewskiego, oraz o tym, że ci ludzie nawet nie zdają sobie sprawy, jaki to luksus wiedzieć, która jest godzina.

Mam wrażenie, że tkwię tu całą wieczność.

Podkradam się pod drzwi i przykładam do nich ucho.

Cisza. Zupełna cisza.

Mimo to jeszcze przez kilka minut zbieram się na odwagę, żeby otworzyć drzwi. Wszystko jest teraz inaczej. Wcześniej przepełniała mnie wściekłość i wyczerpanie pomieszane z euforią, jak łatwo udało mi się dostać do pałacu. Za to teraz myśli zajęły miejsce emocji i została tylko panika, że mnie znajdą i że Wes będzie miał towarzystwo na bramie.

Burczenie w brzuchu przypomina mi, że mam potrzeby, o których zaspokojeniu dziś nie pamiętałam. Muszę stąd wyjść.

Wreszcie pociągam za zasuwkę i drzwi otwierają się.

Korytarz jest pusty i ciemny. Po obu stronach palą się tylko małe latarnie. Za oknami jest całkiem ciemno. Musi być już bardzo późno.

To dobrze.

Nie, to niedobrze. Gdy docieram do końca korytarza, odkrywam, że drzwi są zamknięte na kłódkę.

A czego się spodziewałaś? Jest środek nocy. Robotnicy poszli do domu.

Nagle, gdzieś w oddali, słyhać jakieś głosy. Chowam się w pomieszczeniu, gdzie przebierały się dziewczyny. Uszy wypełnia mi dudnienie własnego serca. W korytarzu pojawiają się cienie, wobec czego cofam się w głąb przebieralni. Nie mam się gdzie schować.

Tam. Drzwi w rogu. To pewnie kolejny składzik. Chwytam za klamkę, modląc się, by nie były zamknięte na klucz.

To nie składzik. Drzwi prowadzą do wytwornej klatki schodowej z czerwonym aksamitnym dywanem i malowidłami na ścianach, przedstawiającymi sceny polowań. Stopnie wydają się prowadzić do korytarza na górze. Światła są jasne, ale powietrze jest ciężkie i ciche.

W mojej samodziiałowej spódnicy zdecydowanie nie byłabym tu niewidzialna o tej porze.

Zastygam w bezruchu. Nie wiem, co robić, dokąd iść. Na pewno nie mogę zostać tutaj. Część mnie chce natychmiast wrócić do przebieralni, lecz druga boi się, że ci ludzie znów tam będą i że wejdą prosto na nich.

Muszę się ruszyć. Zaczynam iść schodami.

Na samej górze wyglądam zza rogu. Nie ma nikogo. Żadnych straży. Mimo to dalej stąpam na palcach. Moje stopy mają wprawę w skradaniu się. Żałuję, że nie mam swojej maski i kapelusza.

Na końcu korytarza znów wyglądam i znów nikogo nie widzę. Nie mam pojęcia, w którą stronę powinnam się kierować, żeby się stąd wydostać. Pamiętając, z której strony weszłam, oceniam, że idąc w prawo, powinnam znów trafić na tyły pałacu. Ściany i podłogi są tu bardziej zdobione, ale nie mam wątpliwości, że nadal jest to przejście dla służby. Może znajdę inną klatkę schodową i uda mi się dotrzeć z powrotem na dół, do miejsca, gdzie nie będzie kłódek. Może – choć tylko może – uda mi się znaleźć miejsce, gdzie trzymają zapasy Księżycowego Kwiatu.

Może uda ci się znaleźć króla i zakończyć tyranię.

Myśl uderza we mnie tak mocno i szybko, że się zatrzymuję. Jestem sama. Przejście nie jest strzeżone. Mogłabym znaleźć króla i pozbawić go życia.

Choć z całego serca chciałabym pomścić rodziców i Wesa, nie mogę ruszyć się z miejsca. Przez ostatnie kilka lat narażałam życie,

by ratować innych. Nie wiem, czy byłabym w stanie kogoś zabić, stojąc z nim twarzą w twarz – nawet gdyby tym kimś był król czy jego brat.

Przypominam sobie o sztyletach wbitych w oczy Wesa. Nikt ich nie powstrzymał.

Nawet ja.

Przełykam ślinę. Mam ściśnięte gardło.

Przecież nawet nie musiałabym użyć przemocy. Proszku jest dość, by zatruć królewski dzban z wodą, gdybym tylko chciała.

Lecz moje stopy odmawiają posłuszeństwa. Myślę o Wesie stojącym w chacie, tłumaczącym, że nie jest przemytnikiem, że nie robił tego dla zysku.

Nie jestem zabójcą.

Kiedy ta myśl przemyka mi przez głowę, znów mogę wziąć wdech. Moi rodzice narażali życie, by ratować innych. Ja robię to samo.

Nie jestem zabójcą. Leczę ludzi, a nie krzywdzę.

Niedaleko mnie otwierają się drzwi. Wychodzi mężczyzna. Wygląda na dwadzieścia parę lat. Ma intensywnie rude włosy, kilkudniowy zarost na twarzy oraz do połowy zapięty zielony, brokatowy kaftan. W rękach ma jakieś książki i papiery; jeden z nich czyta, wychodząc z komnaty.

Przez sekundę wydaje mi się, że pójdzie w drugą stronę i nie zauważy mnie, że moje absurdalne szczęście mnie nie opuści. Wtedy podnosi wzrok. Jego zaskoczenie jest tak wielkie, że upuszcza kilka dokumentów.

Robię krok w tył i podnoszę dłoń.

– Ja... przepraszam... ja...

– Straż!

Zdziwienie na jego twarzy błyskawicznie zamieniło się w obawę. RzUCA książki i otwiera szeroko drzwi, z których właśnie wyszedł, ale nie spuszcza ze mnie oczu.

– Straż! Chronić króla! Chronić księcia!

– Nie! – krzyczę przez łyzy. – No... pan nie... to... to pomyłka...

Uciekaj, Tesso, słyszę w uszach szept Westona.

Mocno zapieram się stopami o aksamitny chodnik i zaczynam biec. Za mną są schody, jednak prowadzą do korytarza zamkniętego na kłódkę, więc biegnę prostu na rudego mężczyznę. Próbuje mnie

złapać, lecz uderzam go pięścią w klatkę piersiową i jego uścisk słabnie.

Udaje mi się wyrwać i biegnę; mam zamiar wpaść za pierwsze drzwi, które zobaczę. Jeśli wcześniej wydawało mi się, że serce mocno mi bije, to teraz wali jak oszalałe i pcha mnie naprzód.

W korytarzu otwierają się jakieś drzwi: wyłaniają się zza nich dwaj uzbrojeni strażnicy.

Nie potrafię powstrzymać okrzyku zaskoczenia. Moje stopy ślizgają się na dywanie.

Jest ich zbyt wielu. Już są przy mnie i chwytają mnie za ramiona, nim zdołam upaść. Podciągają mnie w górę i stawiają na nogach.

Zabiją mnie. Zabiją mnie od razu. Tu i teraz. Wbiją mi sztylety w uszy albo utną mi głowę, albo będą mnie powoli przysmażać, kawałek po kawałku. Słyszałam wiele takich historii. Widziałam, co spotyka zdrajców i przemytników. Panika skraca mój oddech, nie jestem w stanie wydusić słowa. Przez chwilę mam mroczki przed oczami. Czuję, jakbym zaraz miała zemdleć. To wrażenie przynosi pewne uczucie ulgi. Nie chcę być przytomna. Nie chcę, żeby to wszystko się stało. Ale moje ciało ma swoje potrzeby. Tylko dlatego jeszcze się nie posikałam, że w ostatnich chwilach życia z całych sił pragnę zachować choćby resztę godności. Gwiazdy znikają mi sprzed oczu.

Mężczyzna z rudymi włosami staje naprzeciw mnie, jednak patrzy na strażę.

– Przeszukać pałac. Na pewno nie działa sama. Czy król jest bezpieczny?

Strażnik przytrzymujący moje prawe ramię potakuje głową.

– Tak, marszałku Quint.

– Jestem sama – mówię, z trudem łapiąc dech. Mój głos brzmi jak zawodzenie. – Jestem sama. Proszę. Proszę. Proszę. To była pomyłka.

– Mnie nie masz co błagać. – Nawet na mnie nie zerka. – Przeszukać jej rzeczy. Zabierzcie ją do sali tronowej. Ja porozmawiam z księciem Corrickiem.

Z księciem Corrickiem. Moje mięśnie wiotczeją. Zwycięża strach, nie zostawiając szans na uniknięcie upokorzenia.

Marszałek Quint spuszcza na mnie wzrok. Spogląda na zabrudzony dywan i wzdycha.

– Przyślę zaraz kogoś, żeby tu posprzątał.

Moja bielizna jest mokra, pachnie uryną. Strażnicy związali mnie mocno i zostawili z twarzą na zimnej kamiennej podłodze, najpewniej w sali tronowej. Spodziewałam się, że do tej pory będę już pobita i połamana. Strażnicy nie byli specjalnie delikatni, za to wprawni i skuteczni. Szybko związali mi nadgarstki za plecami.

Leżę z głową na posadzce, z drżącym ciałem, drżącym oddechem, ale strażnicy nie mówią i nie robią nic. To czekanie i niepewność są najgorszą torturą.

Choć nie, najgorsze na pewno jeszcze przede mną.

Byłam taka głupia. Gdyby to teraz widział Wes, dokuczałby mi do końca życia. Może odnajdę go na tamtym świecie, a on przewróci oczami i powie: „Na Boga, Tesso. Ty rzeczywiście nie umiesz beze mnie wytrzymać, co?”.

Do oczu napływa mi świeża fala łez.

Słyszę zbliżające się lekkie kroki i próbuję zwinąć się kłębek. Nie chcę się bać. Chcę wpaść w furję i walczyć. Niestety jestem unieruchomiona i nie mam dokąd uciec. Zaciskam oczy.

– Nie – szepczę załamany i surowy, chrapliwym głosem. – Proszę, nie.

– Mnie nie musisz się bać, dziewczyno – przemawia kobiecy głos. Słysząc w nim frustrację i zawód. Gdy jej kroki są już blisko, podnoszę wzrok i widzę olśniewającą ciemnoskórą kobietę w szmaragdowozielonej sukni sięgającej podłogi. – Jednak za nikogo innego w tym pałacu nie mogę się wypowiadać.

– To była pomyłka – tłumaczę jej. – Nie wiedziałam... Nie wiem, co robiłam.

– Trudno jest przez pomyłkę znaleźć się o północy w samym środku pałacu – komentuje surowy męski głos. Znowu z całych sił zaciskam powieki. Od lodowatego chłodu i surowości tych słów przenika mnie dreszcz.

Odzywa się inny męski głos, tonem pełnym szacunku, wskazującym na strażnika.

– Przeszukaliśmy pałac, Wasza Wysokość. Nie znaleźliśmy niczego niepokojącego.

Wasza Wysokość. Więc to musi być książe Corrick.

Byłam taka głupia. Stałam tam i przekonywałam Wesa, że powinniśmy przestać się ukrywać, a teraz jedynie o tym marzę.

– To tylko dziewczyna. To oczywiste, że nie jest wyszkoloną zabójcą – orzeka kobieta, prostując się.

– Myślisz, że dziewczęta nie są zdolne do przemocy i zdrady?

Nogi w wysokich butach podchodzą bliżej, lecz mężczyzna stoi za mną, więc nie mogę na niego spojrzeć. Widziałam go z daleka tamtego dnia, gdy miała się odbyć egzekucja ośmiu więźniów. Jego oczy były jak czarne jeziora. Nie chcę ich oglądać z bliska. Reakcja mojego ciała mogłaby być znacznie gorsza niż zsikanie się.

– Jak się tu dostała? – pyta mężczyzna.

– Nie wiemy – odpowiada strażnik z wyraźnym wahaniem w głosie. – Nie udało nam się ustalić, którędy weszła do pałacu.

– Co tu robisz?

Dopiero po chwili orientuję się, że ten zimny głos zwraca się do mnie. Najwyraźniej chwila ta trwała zbyt długo, bo książe chwytam mnie za włosy i pociąga w górę.

– Odpowiadaj!

Szarpięcie wywołuje mój pisk.

– Nie wiem. Nie wiem.

Trzymanie za włosy zaczyna być bolesne.

– Przestań powtarzać, że nie wiesz.

Nie jestem pewna, czy to przez jego władczy ton, czy przez szarpanie za włosy, a może po prostu z czystej nienawiści, jaką do niego czuję, zaciskam zęby i powstrzymuję łzy. Mój głos brzmi jak łamany szept.

– Zabiłeś... zabiłeś mojego...

– Kogo zabiłem? – mruczy beznamiętnie.

Myliłam się. Powinna być spróbować go otruć. Wyświadczyłabym światu przysługę. Łza spływa mi po policzku.

– Mojego przyjaciela.

– Jak się nazywasz?

Wstrzymuję oddech. Chciałabym, żeby mnie po prostu zabił i żeby się to skończyło. Drzę tak bardzo, że na pewno to czuje. Zachowuję się jak ostatni tchórz, ale tu nie da się być dzielnym.

Jeszcze mocniej ściska w garści moje włosy. Na pewno już jakieś wyrwał.

– Jak się nazywasz?

Nie chcę mu tego mówić. W głowie dzwonią mi ostrzeżenia Wesa, żeby nie zdradzać swojej tożsamości. Tyle że i tak umrę, w związku z czym to bez znaczenia.

– Tessa. – To słowo zostaje niemal wyrwane z mojego gardła.

Znów odzywa się kobieta:

– Jak zdesperowanym trzeba być, żeby łamać twoje surowe prawo? Jeśli będziesz zabijał każdego, kto ma ci za złe twoje czyny, książę Corricku, wkrótce twój brat nie będzie miał poddanych.

Ten puszcza mnie i cofa się. Wreszcie mogę odwrócić głowę, jednak widzę tylko jego wypastowane wysokie buty.

– Przekracza pani swoje kompetencje, konsul Cherry – oświadcza, a jego głos staje się zimniejszy. Mroczniejszy.

– Czyżby?

– Czego ode mnie oczekujesz? Mam puszczać wolno każdego zamachowca z sakiewką srebra i ciasteczkami na drogę, żeby zrekompensować mu trudy?

Ku mojemu zdziwieniu kobieta zaczyna się śmiać.

– Ależ to oczywiste, że ta dziewczyna nie zagrażała nikomu w tym pałacu – burczy. – Twoje strażę nie znalazły przy niej broni.

– Znaleźli proszek w jej torbie – oznajmia mężczyzna. – Sądziś, że chciała poprawić aromat królewskiej herbaty?

Gdy odpowiada, w jej głosie nie ma już śmiechu.

– Podczas egzekucji ośmiu ludzi na ulicach zaczęto wzywać do rewolucji. Jeśli powiesz na bramie śliczną młodą dziewczynę, zapewniam cię, że będziesz miał do czynienia z czymś znacznie poważniejszym, niż to sobie wyobrażasz.

Przez chwilę książę się nie odzywa. Pewnie się zastanawia. Przez moje ciało przebiega kolejny dreszcz.

– Dobrze – mówi głosem, w którym pobrzmiewa nuta rezygnacji.

– Daruję jej życie.

Nagle całe powietrze uchodzi z moich płuc. Nie wiem, czy to dla mnie lepiej, czy gorzej.

– Mamy ją zabrać do Twierdzy, Wasza Wysokość? – pyta jeden ze strażników.

– Nie – mamrocze księżę Corrick. Wciąga nosem powietrze, a ja wzdrygam się zawstydzona i znów próbuję zwinąć się kłębek. – Niech służba ją umyje i przebierze. Ma zostać skuta. Zawiążcie jej worek na głowie, żeby konsul Cherry nie musiała patrzeć, jaka jest śliczna i młoda.

Krew zastyga mi w żyłach. Nie mogę myśleć. Nic nie widzę. Nie mogę złapać tchu.

– Wasza Wysokość – odzywa się konsul Cherry.

– Prosiłaś, bym ją oszczędził – odparowuje ze złością. – I tak zrobię. Przykuć ją w mojej komnacie. Żywa czy martwa, możemy się nią posłużyć, by jasno zakomunikować, że szybko rozprawiamy się ze zdrajcami.

– Nie... – Nie wiem, czy wypowiadam to słowo na głos, czy tylko w myślach. Sądziłam, że nie może mnie spotkać nic gorszego niż to, co spotkało Wesa. Ale się myliłam. Niemal podświadomie moje ciało próbuje się odsunąć od księcia. – Nie...

– Wasza Wysokość. – Tym razem konsul Cherry mówi z większym naciskiem. – Co masz zamiar z nią zrobić?

– Na pewno możesz się domyślić – cedzi. Jego ubrane w wysokie buty nogi oddalają się. – Straż. Słyszeliście rozkazy.

– Nie! – krzyczę za nim, lecz strażę biorą mnie pod rękę. Bezskutecznie szarpię się z łańcuchami. – Nie!

Widzę tylko czerń jego kaftana, gdy odchodzi.

Pluję w jego stronę. Chcę, żeby mój głos brzmiał mocno, ale jest słaby i łamiący się.

– Nienawidzę cię.

– Jak wszyscy – woła.

Strażnicy ciągną mnie za sobą. Na szczęście tracę przytomność.

Rozdział trzynasty

Tessa

Kiedy odzyskuję przytomność, przez jedną cudowną chwilę wydaje mi się, że to był tylko sen, że gdy otworzę oczy, promienie słońca rozgonią wszystkie te koszmarne wytwory mojego umysłu.

Ale mrugam i nie mogę rozgonić mroku, bo mam coś na głowie. Nie mogę ruszyć rękami, ponieważ nadal są skute, a prawa chyba trochę zdrętwiała.

Serce znów zaczyna mi walić. Próbuję usiąść, jakoś się wyprostować, lecz chyba leżę na stosie poduszek i nie mogę złapać pionu, stale zsuwając się to na jedną, to na drugą stronę. Strażnicy zrobili dokładnie to, co im kazał książę. Na głowie mam jakiś kaptur zawiązany wokół szyi, taki sam jak więźniowie na podeście. Nie wiem, co mam na sobie, jednak nie czuję ciężaru i ciepła mojej spódnicy samodziałowej. Nie jestem też naga. Mimo to myśl, że ktoś mnie rozebrał, kiedy byłam nieprzytomna, o tym, że jestem zdana na łaskę i niełaskę księcia Corricka w takich okolicznościach... budzi we mnie wstręt. Żołądek podchodzi mi do gardła, robi mi się niedobrze.

Ale poza bólem, jaki sprawiają kajdany, moje ciało nie zdradza żadnych oznak, że mogłam zostać wykorzystana. Czuję, że jestem ubrana, tyle że w nie swoje rzeczy. Wydaje mi się, że oprócz mnie nie ma w komnacie nikogo innego.

Staram się powoli opanować panikę i pozbierać myśli. Muszę mieć jakiś plan.

Jestem skuta i nic nie widzę. Żaden plan nie przychodzi mi do głowy.

Myśl, Tessa. Gdzieś na lewo ode mnie pali się ogień, słyszę trzaskające płomienie. Nie wiem, skąd to przecucie, jednak komnata wydaje się... duża. Może mogłabym się gdzieś przeturlać i znaleźć...

Znaleźć co? Klucz? Nie wiem, kogo chcę oszukać, za to Westona na pewno szczerze rozbawiłyby te pomysły.

Co teraz zrobisz?

Na pewno możesz coś wymyślić.

Mogę. Już wymyśliłam. Za każdym razem, gdy przemyka mi to przez umysł, prawie wymiotuję w worek zawiązany na mojej głowie. Już na samo wspomnienie jego przerażającego głosu przeszywa mnie kolejny dreszcz.

Nie. Plan. Muszę mieć jakiś plan.

Szczęknięcie zamka w drzwiach. Zamieram.

Nie pojawiają się żadne inne dźwięki, a może po prostu zagłusza je dudnienie walącego serca w moich uszach. Całe moje ciało się napina jak łańcuch, który mnie trzyma.

Coś muska moje posiniaczone, bolące nadgarstki; odskakuję tak gwałtownie, że prawie łamię sobie rękę. Spuszczam nogi w dół w poszukiwaniu podłogi, ale natrafiam na kolejne poduszki, które nie dają oparcia.

– Nie! – krzyczę, kiedy ręka zaciska się na moim przedramieniu. Każde słowo wypowiadam z trudem, gwałtownie potrząsając głową.

– Nie! Nie! Nie!

– Nie trać ducha, Tesso. – Głos jest cichy i miękki, tak znajomy, że natychmiast zastygam w bezruchu. Nic innego nie byłoby w stanie mnie teraz do tego zmusić. – Chyba nie chcesz tu sprowadzić strażników.

Nieruchomieję. Śnię. To się nie dzieje naprawdę. To się nie może dziać naprawdę.

– Wes? – szepczę słabo.

– Rozkuję cię, jednak musisz być zupełnie cicho.

To jego głos. To jego *głos*. Może mam halucynacje, lecz niemal bezwiednie potakuję. Nie wiem, jakim cudem żyje, jak zdobył klucz, jak się tu dostał, ale to wszystko jest bez znaczenia. Jego dłonie, zawsze takie ciepłe i zdecydowane, chwytają mnie za nadgarstki, a kajdany puszczaają.

– Tesso – mówi delikatnie – muszę ci powiedzieć...

Rzucam się wprzód na oślep i zarzucam mu ramiona na szyję. Nadal mam worek zawiązany na głowie, a jedna ręka jakby spała, ale przepełnia mnie nagłe i najszczersze poczucie ulgi.

– Proszę, powiedz, że to ty – mamroczę. – Proszę, powiedz, że to nie sen.

Kładzie ręce na moich plecach i przytula mnie lekko.

Czuję jego zapach, znajomy i kojący. Przed chwilą drżałam z przerażenia, a teraz z nadmiaru adrenaliny i poczucia ulgi. Wes tu jest. Chcę się skryć w jego ramionach.

– Spokojnie – mruczy łagodnie. – Spokojnie.

Miliony pytań krążą w moim umyśle, walcząc ze sobą o to, które z nich powinno paść pierwsze. Odsuwam się. Z trudem udaje mi się mówić szeptem.

– Jak to możliwe? Jak uciekłeś? Kto wisi na bramie? – Zaczynam walczyć z supłem z tyłu worka, ale zdrętwiałe palce sobie z nim nie radzą. Muszę go zobaczyć. Wes tu jest, wszystko inne jest bez znaczenia, gdy jesteśmy razem. – Jak się stąd wydostaniemy? Ile mamy czasu, zanim się zorientują? Jak...

– Na Boga, Tesso. – Odsuwa moje ręce ze swoją typową „Wesową” niecierpliwością. – Nie ruszaj się.

Słyszę, jak sztylet przecina linę i worek się rozluźnia. Teraz to mnie brak cierpliwości i natychmiast sięgam, żeby go ściągnąć z głowy. Mrugam, zanim wzrok przyzwyczai się do światła. Muszę zobaczyć jego błękitne oczy, kilkudniowy zarost i piegi poniżej maski, i...

Mój umysł zastyga.

Człowiek przede mną to nie Wes.

To nie może być Wes.

Każda isierka ulgi przygasa i znika. Zaczyna mnie ogarniać paniczny strach. Próbuje odskoczyć w tył, ale nogi nadal mam spętane, a moje ciało jeszcze nie jest gotowe na gwałtowne ruchy.

To i tak bez znaczenia, bo on wcale nie próbuje mnie złapać. Siedzi w kucki przede mną, a poły jego czarnego kaftana leżą na podłodze tuż obok czarnych wysokich butów. Rudobrazowe włosy ukosem spływają z czoła. Rozpoznaję znajomy układ piegów. Nóż zwisa z jego dłoni.

Przypominam sobie, co Karri powiedziała tamtego dnia, gdy wybuchły zamieszki. „Są bardzo przystojni, nie sądzisz?”

Książę Corrick.

Zaschło mi w ustach. W uszach słyszę dudnienie swojego serca. Nie mam pojęcia, skąd znał te słowa, skąd znał tembr głosu, po co w ogóle zadał sobie tyle trudu. Wiem za to, że to podstęp. Manipulacja. Bo cóż by innego? Jego oczy w ogóle nie przypominają oczu Wesa. Są zimne, zasnuwane mgłą, nieodgadnione.

A do tego intensywnie niebieskie.

Kiedy się nie ruszam, podnosi nóż i sięga do moich kostek. Znów odsuwam się w tył; teraz jest mi łatwiej, ponieważ odrętwienie mija i ręce są bardziej chętne do współpracy, jednak za poduszkami jest tylko ściana. Nie mam dokąd uciec.

– Nie dotykaj mnie – mówię ostrym tonem.

– Prosiłem, żebyś była cicho. – Jego głos też nie jest teraz cichy jak Wesa. Pobrzmiwa w nim władczość, której nie miał mój przyjaciel. I coś jeszcze. Zniecierpliwienie.

Znów sięga do moich kostek.

– Nie! – Kopię go. Bez wysiłku łapie za łańcuch i przytrzymuje moje stopy w miejscu, lecz dłonie mam już oswobodzone, więc pochylam się w przód i wymierzam cios prosto w jego twarz.

Chyba naprawdę go zaskoczyłam. Przeklina i odchyła się w tył. To daje mi kilkanaście centymetrów wolności. Niestety szybko ponownie mnie chwyta, zatem odwracam się z przygotowaną już pięścią. Tym razem trafiam w brzuch, ale się uchyla.

– Tesso! Dość.

Ma rozciętą wargę.

I dobrze. Co mi tam. Uderzam go w krocze.

Celnie. Zgina się wpół. Ruszam w stronę drzwi.

Nadal mam spętane nogi, przez co potykam się i padam na podłogę. Corrick wraca do siebie za szybko, chwyta mnie za ramię i odwraca na plecy. Krzyczę i znów zaczynam kopać.

Rozlega się szczęknięcie zamka w drzwiach, jednak nagle czuję go na sobie. Jego biodra przyciśnięte do moich, jego sztylet – przynajmniej *mam nadzieję*, że to sztylet – wciska się w mój brzuch. Odpycham go, lecz łapie mnie za ramię i przyciska je do posadzki. Krzyczę i próbuję się wyrwać. Nie jestem w stanie go z siebie zrzucić, ale udaje mi się trochę wysunąć spod jego ciała. Słyszę trzask rozdieranego materiału.

– Miałaś być cicho – warczy. Jego twarz jest przerażająco blisko mojej. Próbuję się wyszarpnąć. Materiał rozdziera się bardziej, odsłaniając moją pierś.

Czuję skurcz żołądka i mam mroczki przed oczami, gdy przypominam sobie lodowaty ton, jakim odpowiadał na pytanie konsul. „Na pewno możesz się domyślić”. Oddycham głośno, a łzy napływają mi do oczu.

– Nie – mamrocze przez łzy, jednocześnie starając się znaleźć jakiś punkt oparcia, żeby móc znów go zaatakować. – Nie.

– Wasza Wysokość – rozlega się męski głos. Zamieram. Gorsza od napaści Corricka może być tylko napaść na oczach innych. – Czy Wasza Wysokość potrzebuje pomocy?

– A wyglądam, jakby potrzebowałam? – odpowiada ze złością Corrick. – Wynoś się stąd.

Drzwi się zamykają. Corrick patrzy na mnie. Jego twarz jest ledwie kilka centymetrów od mojej. Na policzku ma krew. Nadal przyciska mnie swoim ciężarem do podłogi. Niewielki dystans między nami wypełnia tylko mój gwałtowny oddech.

– Zakradłaś się tu, żeby zabić mnie i mojego brata – mówi odmienionym głosem. – Jeśli dalej będziesz ze mną walczyć, strażnicy wciąż będą sprawdzać, czy nie potrzebuję pomocy. Ich dowódca chciał postawić strażnika w mojej komnacie. Rozumiesz, co mówię?

Przełykam ślinę i potrząsam głową. Nic nie rozumiem.

– Każdy w tym pałacu, Tesso, spodziewa się po mnie wszystkiego najgorszego. – Kiedy sięga po rozdarty materiał na moim ramieniu, wzdrygam się i drżę, lecz on tylko przykrywa nim moją nagą skórę. – Moja komnata to jedyne miejsce, gdzie mogę ci zapewnić bezpieczeństwo.

Albo ja postradałam rozum, albo on. Nie wiem, co o tym myśleć.

Wcale nie czuję się tu *bezpiecznie*.

Może to wyczuwa, bo wpatruje się we mnie intensywnie. Wzdycha.

– Jeśli cię puszczę, obiecujesz, że już mnie nie uderzysz?

Kręcę zdecydowanie głową, na co on przewraca oczami. Nagle, przez ułamek sekundy, wygląda jak Wes.

– Przynajmniej wiem, że nie kłamiesz.

Mimo to puszcza mnie i zwinnie wstaje. Rzuca na podłogę koło mnie pęk kluczy.

– Sama się rozkuj.

Próbuję podnieść klucze, tyle że za bardzo trzęsą mi się ręce. Brzęczą w mojej dłoni. Corrick na pewno to słyszy, ale odchodzi w stronę kredensu stojącego przy drzwiach. Stoi tam masa butelek i szklanek, które mienia się w świetle. Bierze kieliszek i napełnia go bursztynowym napojem.

Uwalniam stopy i staram się związać materiał na ramieniu, jednak gdy się do mnie odwraca, owijam łańcuch wokół dłoni i spoglądam na niego wyzywająco.

Unosi brew, a potem duszkiem wypija zawartość kieliszka.

– Wolisz być wtrącona do Twierdzy?

Nie. Tak. Może. Nie wiem.

Chyba widzi moje niezdecydowanie, ponieważ potakuje głową

– W porządku. – Nalewa drugi kieliszek. – Odłóż łańcuch.

Zaciskam mocniej palce na ogniwach.

Kącik jego ust się unosi, choć wygląda raczej na zawiedzionego niż rozbawionego. I znów przez krótką chwilę przypomina Wesa.

– Na Boga, Tesso. – Znów jednym haustem wypija zawartość kieliszka.

– Czy przez cały czas to byłeś ty? – szepczę.

– Na pewno przez połowę tego czasu to nie byłem ja. – Znowu uzupełnia szkło. – Odłóż łańcuch. No już.

Po raz kolejny w jego głosie pobrzmiwa ten zimny, władczy ton, od którego przeszywa mnie dreszcz, a jednocześnie rodzi się bunt. Ręce mam już wilgotne od ściskania łańcucha, ale nie puszczam go. Może na razie mi odpuści; w sali tronowej nie był wcale delikatny, choć na pewno wiedział, kim jestem.

Przepełnia mnie palące poczucie zdrady, a towarzyszą mu szok i niedowierzanie. W Wesie jest zbyt dużo życzliwości, współczucia, zbyt dużo... kogoś innego niż ten człowiek.

– Udowodnij to – mruczę z wahaniem w głosie. Mimo to prostuję ramiona i nie odwracam wzroku. – Udowodnij, że ty to Wes. Udowodnij, że mnie nie zwodzisz.

Spodziewam się, że odmówi, bo raczej nie jestem w sytuacji, w której można stawiać warunki, jednak on odstawia kieliszek i idzie przez komnatę w stronę niskiej skrzyni. Grzebie w niej przez chwilę, potem wyciąga pasek czarnej tkaniny i kapelusz.

Zawiązuje maskę na twarzy i wkłada kapelusz, pociągając za rondo tak, jak tylko Wes to robił. Tracę dech. Łańcuch wyslizguje mi się z ręki i z łoskotem upada na posadzkę.

Nie wiem, co to znaczy. Nie wiem, co robić. Przyciskam dłonie do ust, żeby nie płakać na głos. Targa mną teraz zbyt wiele emocji. Ulga. Wściekłość. Rozpacz. Przez wiele dni opłakiwałam śmierć Westona, a teraz okazuje się, że to wszystko było tylko sztuczką.

To zupełnie inny rodzaj rozpacz. To zupełnie inny rodzaj straty.

Kiedy umarł Wes, straciłam nadzieję na... jakąkolwiek przyszłość z nim.

To odkrycie odbiera wszystko, co razem przeżyliśmy.

Zdejmuje kapelusz i maskę, po czym zagrzebuje je z powrotem w skrzyni. Potem wraca do kredensu i bierze kieliszek z bursztynowym napojem. Spodziewam się, że ten także wypije duszkiem jak poprzednie, ale podchodzi i podaje szkło mnie.

– Chyba ty bardziej teraz tego potrzebujesz.

Nie chcę go wziąć, lecz nie myli się. Kiedy wkłada kieliszek w moje dłonie, płyn w środku drży. Zaciskam palce na chłodnych ściankach i biorę wdech. Mam ochotę rzucić nim w niego.

Jakby czytał w moich myślach, odzywa się:

– Jeśli rzucisz we mnie tym kieliszkiem, utnę ci rękę.

Kurczowo trzymam naczynie. Gdyby to był Wes, wiedziałabym, że żartuje. Ale to nie Wes. To człowiek, który budzi przerażenie niemal wszystkich mieszkańców Kandali i wiem, że robił już gorsze rzeczy niż obcięcie ręki. Wystarczy pomyśleć o ludziach wiszących na bramach sektora. Patrzę na niego i zastanawiam się, kogo zabił, żeby jego sekret nie wyszedł na jaw.

I po co w ogóle był mu ten sekret? Po co robił to wszystko? Po co zabił kogoś, by sfigować śmierć Westona Larka? Poczucie zdrady jest ogromne, choć chyba jeszcze większe jest poczucie zagubienia w tym wszystkim.

Co chciał w ten sposób osiągnąć?

Przygląda mi się bez cienia emocji. W jego twarzy nie znajduję żadnej podpowiedzi. Dlatego, nadal trzymając alkohol w dłoni, pociągam łyk. Pieczenie czuję aż w żołądku.

I żeby dać upust tej całej wściekłości, poczuciu straty, gniewowi i rozczarowaniu, jakie mnie przepełniają, unoszę rękę i rzucam

w niego kieliszkiem.

Rozdział czternasty

Corrick

Przez ostatnie dwa lata za każdym razem, gdy złapano jakiegoś przemytnika, ogarniało mnie skrywane przerażenie, że to może być Tessa. Kiedy wzywano mnie do Twierdzy, przez całą drogę musiałem walczyć z myślą, że zastanę ją tam złamaną i błagającą o łaskę. Albo jeszcze gorzej: że dotrze do mnie wiadomość o zwłokach pozostawionych w błocie jak pani Kendall.

Ostatnie kilka dni były piekłem.

A teraz jest tu. W mojej komnacie.

Tessa ma dobre oko. Brandy rozprysnęła się na środku mojego kaftana, ale zdołałem złapać szklanę w powietrzu, nim roztrzaskała się na podłodze.

Patrzy na mnie gniewnie, chyba czekając, aż spełnię swoją groźbę.

Nie mam pojęcia, co dalej robić.

Wzdycham i idę do kredensu. Stawiam szklanę koło butelki, rozpinam kaftan i rzucam go na oparcie krzesła.

Teraz wszystko pachnie brandy. Pocieram dłońmi twarz.

Nie rozumiem, jakim cudem to wszystko potoczyło się tak szybko. Za chwilę wpadnie tu Harristan i będzie pytał, co myślę, a ja naprawdę nie wiem, co mógłbym mu odpowiedzieć.

Rozlega się brzęk stali o posadzkę. Odwracam głowę. Znów ma obręcz wokół nadgarstków. Stoi z zaciśniętymi zębami.

Uff. Ona *naprawdę* myśli, że utnę jej dłonie.

Przywykłem do strachu i pokory, tyle że to jest Tessa. Taka reakcja z jej strony zupełnie mi się nie podoba. Wzbiera we mnie poczucie wstydu. Gwałtowne, palące, niespodziewane. Padam na krzesło. Walczę ze sprzecznymi emocjami. Złością, że zdołała dostać się do pałacu. Radością, że ją znów widzę. Poczuciem zdrady, bo ewidentnie nie przyszła tu szukać Wesa.

Strach. Weston Lark starał się ją chronić. Księżę Corrick nie może okazać jej łaski.

Opieram łokcie na kolanach i zaczynam przesłuchiwać ją, jakby była zwykłym więźniem.

– Jak się dostałaś do pałacu? – odzywam się.

– Jak udało ci się mnie oszukać?

– Czy ciebie w ogóle obchodzi twój własny los? Powiedz. – Zamyka usta i spogląda na mnie gniewnie. – Co planowałaś zrobić? – pytam stanowczo. – W twojej torbie znaleziono proszek. – Myślę o tym, co mówiła, gdy ostatni raz widzieliśmy się w Dzicy: że powinniśmy stać na czele, zamiast kryć się w cieniu. Tessa nie chwyciłaby za broń, jednak ma swoje buteleczki, fiołki, proszki i... ogromną wiedzę. Zawsze bałem się, że może zostać złapana za przemyt, lecz w nagłym ataku paniki zastanawiam się, czy nie przyszła tu po coś zgoła innego. By dokonać zamachu.

Czuję zawód, a jednocześnie podziw. Moje emocje nie potrafią się zdecydować, a głos staje się mroczniejszy.

– Po co tu przyszłaś?

W jej oczach niemal błyszczy bunt. Nie odpowiada.

Chciałbym zgasić światła, założyć na twarz maskę i cofnąć czas. Chciałbym znów być z nią w chacie, gdzie się mnie nie bała, gdzie odpowiadałaby na moje pytania bez cienia zawahania.

Zapytałbym ją: „Dlaczego to zrobiłaś? Na Boga, Tesso, mówiłem ci, że to niebezpieczne. Pokazałem ci, jak wielkie jest ryzyko”.

Czasem, kiedy byliśmy w chacie, dzielił nas ledwie oddech. Tak bardzo znów chciałbym czuć tę bliskość. Tę... przyjaźń. Chciałbym, żeby znów wszystko było tak proste, jak tam.

Dziś dystans między nami jest tak wielki, że równie dobrze moglibyśmy być teraz na dwóch przeciwległych krańcach Kandali. Ale tamta bliskość już nigdy nie wróci.

Rozlega się pukanie do drzwi, a potem głos strażnika:

– Jego Królewska Mość, król Harristan.

Wstaję i gwałtownie odwracam wzrok w jej stronę. Jest milion rzeczy, które mogą sprawić, że to wszystko potoczy się źle, i ledwie kilka, które mogą mieć pozytywny skutek.

– Jeśli rzucisz szklanką w mojego brata, naprawdę będę musiał obciąć ci dłonie. Trzymaj buzię na kłódkę.

Oczy ma szeroko otwarte, pełne niepokoju, wpatrzone w drzwi. Może więc to ostrzeżenie nie było potrzebne. Nie mam czasu, by powiedzieć coś więcej, bo mój brat wpada do środka jak tornado.

– Corrick. Co ty... – urywa w pół zdania, ledwie przekroczywszy próg, gdy tylko dociera do niego zapach rozchodzący się po pokoju.
– Ile wypięłeś?

– *O wiele* za mało.

Wędruje wzrokiem po pokoju i zatrzymuje go na Tessie. Znow siedzi w rogu komnaty, jednak ma dość rozumu, by być na kolanach. Wzrok ma wbity w podłogę, a do piersi przyciska poduszkę, jakby to mogło ją w jakikolwiek sposób ochronić.

Wygląda, jakby jeden głośny dźwięk wystarczył, by jej serce przestało bić. Na krótką chwilę do przepelniającego mnie poczucia wstydu dołącza współczucie, lecz wtedy uświadamiam sobie, że nigdzie nie widzę łańcucha. Pewnie go chowa pod poduszką.

Proszę, Tesso. Jeśli zaatakuje mojego brata, nie będę w stanie zrobić dosłownie nic, by ją ocalić. Harristan prawie nie zwraca na nią uwagi. Z powrotem kieruje na mnie swoje pełne niedowierzania oczy.

– Co ty wyprawiasz?

– Allisander żąda przykładowej kary. Arella żąda łaski. Wydaje mi się, że znalazłem złoty środek. – Podchodzę do kredensu, napełniam kieliszek i podaję go bratu.

Nie bierze go.

– Arella bynajmniej nie uważa, że to, co tu robisz, jest aktem łaski.
– Szuka mojego spojrzenia. – I szczerze mówiąc, ja też nie.

Mija chwila, nim dociera do mnie, co ma na myśli. Harristan daje mi wolną rękę tam, gdzie trzeba zrobić, co trzeba, ale nie lubi tortur dla samego zadawania bólu i przemocy. Nie lubi odwlekania tego, co nieuniknione.

Opróżniam szklanekę, którą nalałem dla niego, i ściszam głos, by tylko on mnie słyszał.

– Jak sam powiedziałaś, bracie, najważniejsze są pozory.

Harristan marszczy brwi.

– Cory, nie podoba mi się to.

Mnie też nie. Odwracam wzrok.

Przygląda mi się uważnie, próbując mnie rozgryźć. To do mnie niepodobne. Ja to wiem. I on to wie. Będzie naciskał, domagał się odpowiedzi i – co gorsza – decyzji. Będę musiał mu wszystko powiedzieć, a wtedy Tessa najpierw trafi do Twierdzy, a potem na stryczek. A ja zawisnę obok niej.

Wtedy Harristan kaszle. Nie lekko, jak w ostatnich dniach. To ostry kaszel, przy którym wdech robi się świszczący, jakby nabierał powietrza przez mokre sito. Kaszle jeszcze raz.

– Harristan – dukam zaniepokojony.

Po kolejnym krótkim kasznięciu spogląda na mnie.

– Nic mi nie jest. – Odchrząkuje. – Jeśli ucieknie z twojego pokoju, trafi do Twierdzy.

– Jeśli ucieknie z mojego pokoju, nie zdoła dotrzeć do Twierdzy – oznajmiam twardo tonem, jakiego się po mnie spodziewa.

Oczekuję, że powie coś jeszcze, jednak tylko potakuje głową i odwraca się. Porusza się sztywno, plecy ma spięte, jakby powstrzymywał kaszel. Po jego wyjściu stoję w drzwiach tak długo, jak długo znajduje się w zasięgu mojego słuchu, potem odwracam się do jednego ze strażników.

– Niech kuchnia pošle królowi dzbanek herbaty i eliksir.

– Tak jest, Wasza Wysokość. – Strażnik kłania się, a ja sam zamykam drzwi do moich komnat.

Tessa nadal tkwi w kącie, patrząc na mnie znad poduszki szeroko otwartymi oczami.

– Co? – pytam obojętnym głosem.

– Król jest chory – szepcze.

– *Nie* jest – odpowiadam ze złością. Idę w jej stronę. Tessa mruży oczy w sposób, który mówi mi, że za chwilę odrzuci poduszkę i zaatakuje mnie łańcuchem.

Jestem zły, zmęczony, spięty, a przede wszystkim mam dość ataków. Kiedy wreszcie rzuca łańcuchem, chwytam jego koniec, pociągamy mocno i błyskawicznie owijam wokół jej jednego, potem drugiego nadgarstka. Rozlega się jej okrzyk, ale nim zdąży stawić opór, przyciskam ją do ściany, przytrzymując jej rękę nad głową.

Oddycha ciężko, jej pierś gwałtownie unosi się i opada tuż przy mojej.

– Nie jesteś pierwszą osobą, która mnie atakuje – mruczę.

Policzki ma czerwone. Spodziewam się, że będzie ze mną walczyć, lecz tego nie robi. Spogląda w moje oczy, oddychamy tym samym powietrzem, aż nagle wszystko się zmienia. Atmosfera staje się inna, spokojniejsza, choć nie w taki sposób, jakiego oczekuję.

– Żałuję, że mnie wtedy pocałowałeś – mamrocze cicho.

Prawie się wzdrygam. Powinienem był zostawić jej ten łańcuch. Tamto uderzenie zabolaloby mniej.

– Teraz rozumiem, dlaczego nie chciałeś pokazać twarzy – dodaje.

Jej ton sprawia, że czuję się jak tchórz. Nie podoba mi się to. Z trudem udaje mi się wytrzymać jej spojrzenie.

– Szkoda było twojego zachodu – ciągnie. Mówi niskim, pełnym wyrzutu głosem. – Widziałam cię tylko z daleka. – Zawiesza głos. – To znaczy *tego* ciebie.

– Nie mogłem ryzykować.

– Bo to zdrada – rzuca gniewnie.

Nie mówię już nic. To *jest* zdrada.

– I co? – mówi. – Znudziłeś się mną? Swoją gierką?

Wracam myślami do naszego ostatniego spotkania w Dzikicy, gdy była tak zdeterminowana, by zaangażować się w rewolucję, tak zdeterminowana, by dać się zabić. Były w niej taka zawziętość, zuchwałość i pasja, że przez jedną szaloną chwilę chciałem stanąć u jej boku, wierzyć, że mamy szansę wszystko zmienić.

Ale oczywiście nie mogłem. Nie mogę.

I ona też nie. A już na pewno nie teraz.

Jej serce bije miarowo. Czuję je tuż przy swoim.

– Nie znudziłem się tobą, Tesso – oświadczam. Marszczę brwi i mrużę oczy. – Jak się naprawdę nazywasz?

Waha się.

– Tessa Cade. – Przełyka ślinę. – To moje prawdziwe imię.

Śmieję się, choć w moim śmiechu nie ma śladu rozbawienia.

– Oczywiście.

– Przykro mi, że nie potrafię udawać kogoś innego tak dobrze jak ty. – Zawiesza głos, odwracając wzrok w stronę drzwi. – Król nic nie wie, prawda?

Milczę, lecz to chyba wystarczająca odpowiedź. Nie podoba mi się, z jaką łatwością potrafi mnie przejrzeć. Próbuje uwolnić nadgarstki

z mojego uścisku, jednak nie odpuszczam nawet odrobinę. Wreszcie przestaje, przewiercając mnie wzrokiem. Podnosi zuchwale głowę.

– W porządku. Rób, co masz robić.

– To znaczy co?

– To, co sobie zaplanowałaś. – Jest taka bezpośrednia. Naprawdę, aż dziw bierze, że do tej pory nie dała się zabić. – Postaw na swoim. Połam mi kości. Obetnij dłonie. Podpal. Wyryj sztyletem swoje imię na mojej...

– Każda z tych rzeczy narobiłaby straszego bałaganu.

– Zrób to.

– Nie. – Spoglądam w górę, na jej dłonie. Jedna nabiera niepokojącego odcienia. – Zapytam jeszcze raz. Jeśli cię teraz puszczę, czy możesz obiecać, że mnie nie zaatakujesz? – Nie odpowiada, więc dodaję: – Większość ludzi nie dostaje nawet drugiej szansy, dlatego nie licz na trzecią.

Słyszając te słowa, nieco blednie. Widzę walkę w jej oczach między tym, kim dla niej *byłem* i kim *jestem* teraz.

– Dobrze – mówi lekko zachrypniętym głosem. – Nie uderzę cię.

Uwalniam jej ręce i robię krok w tył. Łańcuch zawijam sobie wokół dłoni. Tessa stoi oparta o ścianę i pociera nadgarstki.

Mimo całej tej jej hardości nadal się mnie boi. Widzę to w jej oczach, w tym, jak wciska się w ścianę, czekając, aż zrobię jedną z rzeczy, o których mówiła. Jako księżę Corrick nie jestem w stanie tego zmienić.

Znów marzę o masce, mroku, blasku ognia, ścieżkach w księżycowej poświacie i wszystkim tym, czego już nie będziemy razem robić.

Tyle że z marzeń nie ma żadnego pożytku. Zrozumiałem to tamtej nocy, gdy zginęli moi rodzice.

– Jesteś głodna? – pytam.

Gapi się na mnie ze zdumieniem, potem z podejrzliwością, wreszcie z rezygnacją.

– Nie.

– Wątpię. Wyglądasz, jakbyś nie jadła od tygodnia. – Jej twarz zasnuwa się mrokiem.

– Trudno mieć apetyt, kiedy Najwyższy Sędzia Królewski zabija twojego najlepszego przyjaciela.

Przywykłem do obelg, ale jej słowa są jak strzała z kuszy wbita w serce, szybka i bolesna. Muszę odwrócić wzrok. Chciałem ją chronić. Nawet teraz to robię, a patrzy na mnie, jakbym przyciągnął ją tu z lasu za włosy i własnoręcznie powiesił na bramie.

Powinienem być jej powiedzieć. Tamtej nocy powinienem być jej powiedzieć.

Może jestem tchórzem.

Jako znieawidzony książę mam mniejsze szanse, by to wszystko naprawić, jednak tak łatwiej mi pozbyć się z głowy wątpliwości i smutku. Zaciska ręce na brzuchu. Jestem przygotowany na jej oskarżycielskie spojrzenie. Może mnie nienawidzić, jeśli chce. Przywykłem do tego.

Idę do krzesła, na którym zostawiłem kaftan, i wyciągam kieszonkowy zegarek. Zdobiona kamieniami tarcza wskazuje pierwszą w nocy.

Otwieram drzwi – strażnicy najwyraźniej myśleli, że śpię albo jestem zajęty czym innym, bo rozmawiali szeptem pochyleni do siebie. Natychmiast stają na baczność, wymieniając między sobą spojrzenia.

Zapewniłem całemu pałacowi dość tematów do plotek na cały tydzień, więc ich nie ukarzę.

– Poślij po jedzenie – nakazuję. – Dla dwóch osób.

– Tak, Wasza Wysokość.

Drzwi się zamykają. Odwracam się i pocieram oczy. Ten dzień się chyba nigdy nie skończy. Nie mogę spać, gdy ona tu jest. Obudzę się z łańcuchem wokół szyi. Albo, co gorsza, już się nie obudzę.

Opuszczam ręce i przyglądam się jej uważnie. Nadal nie powiedziała, co robiła w pałacu. Zresztą część mnie chyba nawet nie chce tego wiedzieć.

Jej twarz stała się obojętna, oczy nieprzeniknione. Stoi wciśnięta między kąt pokoju a palenisko, skryta w cieniu. Po tylu nocach, kiedy byliśmy tak blisko, ten dystans wydaje się nie do zniesienia.

Rozlega się pukanie do drzwi, na co podskakuję zaskoczony. Jedzenia nie przygotowano by tak szybko. Rozlega się wołanie strażnika:

– Marszałek Quint prosi o...

Otwieram, zanim tu wpadnie.

– Quint. Nie teraz.

Ale on już mnie minął i zatrzaskuje za sobą drzwi.

– Kapitan straży powiedział, że odmówiłeś strażnika w swojej komnacie. Corrick, naprawdę powinno ich tu być co najmniej dwóch...

– Quint.

– Konsul Cherry już napisała oficjalną skargę. Dotrze do Sektora Królewskiego rano, o ile już nie dotarła. – Wzdycha. – Będą zachwyceni takim skandalem.

– Quint.

– Muszę wiedzieć, co zamierzasz, żebym mógł im coś odpowiedzieć.

– Sam nie wiem, co zamierzam.

– Kiedy masz w komnacie skutą dziewczynę, nie trzeba wiele wyobraźni... – Urywa w pół zdania, gdy jego wzrok pada na Tessę kulącą się w kącie pokoju. Potem gwałtownie spogląda na mnie. – Zakradła się do pałacu, żeby cię zabić, a ty ją rozkułeś? Oszalałeś?

– Bardzo możliwe.

Bierze głęboki wdech i wiem, że zaraz zawoła strażę, więc szybko zakrywam mu usta dłonią.

– Zamknij się wreszcie.

Zamyka się. Nigdy nie miałem przed Quintem tajemnic i teraz też nie zamierzam.

– Quint. – Opuszczam rękę z westchnieniem. – Pozwól, że ci przedstawię... To jest Tessa.

Rozdział piętnasty

Tessa

Przez ostatnią godzinę dotarło do mnie tak wiele informacji, że moja głowa ledwo jest w stanie to pomieścić. Czuję się, jakbym ostatnie kilka lat spędziła pod wodą i Weston... *Nie, nie Wes* – księżę Corrick właśnie wyciągnął mnie na powierzchnię. Gdybym zastygła w kompletnym bezruchu, bez trudu mogłabym sobie wyobrazić, że to okropny sen, z którego zaraz się obudzę.

Ale jeśli się obudzę, Wes nadal będzie martwy, a ja nadal będę w rozpacz. Ludzie nadal będą umierać. Kandala będzie przepełniona cierpieniem. Księżę i król wciąż będą podłymi ludźmi, którzy nie robią nic, by pomóc swoim poddanym.

Tyle że przecież tak właśnie jest. Wes nigdy nie istniał. To chyba trudniej zaakceptować niż jego śmierć.

Mężczyzna, który wszedł do komnaty, jest tym, który schwytał mnie w korytarzu. Quint. Wygląda na dwadzieścia kilka lat. Ma rude włosy i mnóstwo piegów, które nadają mu chłopięcy wygląd. Golenie przydałoby mu się jeszcze bardziej niż księciu Corrickowi. Stoję z plecami przywartymi do ściany, jakbym się spodziewała, że uda mi się przez nią przeniknąć na zewnątrz i wrócić do Dżicy, do pani Solomon i do przyjaźni z Karri.

Jaka ja jestem głupia. Nigdy stąd nie wyjdę.

Kiedy księżę mówi: „Pozwól, że ci przedstawię – to jest Tessa”, mężczyzna zamiera, wzdycha, a potem przeciąga dłonią po szczęce.

– Tessa – mówi wolno, mierzając mnie wzrokiem. Odwraca się z powrotem do Corricka. – Twoja współniczka?

Corrick potakuje głową.

Wtedy dociera do mnie, że Quint musiał wiedzieć o Wesie.

Nie wiem, czy fakt, że nie byłam jedyną osobą, która wiedziała o istnieniu Wesa, o oszustwie księcia, to powód do wściekłości czy ulgi. Biorę głęboki wdech, żeby zaprotestować, jednak Quint podnosi

palec. Niedowierzenie na jego twarzy zmienia się w zamyślenie i kalkulację. Idzie w moją stronę, przyglądając mi się uważniej niż przedtem. Czuję, jak jego wzrok przesuwa się po rozerwanej tkaninie na ramieniu. Przyciskam materiał z całej siły do skóry, jakby miało mnie to przed czymś ochronić. Lecz jego spojrzenie nie jest lubieżne, tylko... oceniające.

Quint spogląda na Corricka.

– Arella szaleje. Myśli, że właśnie siłą zaciągasz dziewczynę do łóżka...

Na te słowa czuję ścisk w żołądku. Corrick nic mi nie zrobił – nie bezpośrednio – ale to nie znaczy, że nie może albo że nie robi.

Przez wszystkie moje obawy przebija się jednak nadzieja płynąca ze słów, które powiedział: „Moja komnata to jedyne miejsce, gdzie mogę ci zapewnić bezpieczeństwo”.

Mam tyle pytań.

Corrick na pewno nie odpowie. Podchodzi do kredensu, żeby nalać sobie kolejny kieliszek, jakbym nie była nikim ważnym.

– Arella ostatnio wścieka się o wszystko, co robię.

Arella to kobieta, która rozmawiała ze mną, gdy byłam skuta. Zanim dowiedziałam się, kim jest Corrick. Nie rozumiem, dlaczego musiał być przy niej i przy strażach taki okropny, nawet jeśli w żaden sposób mnie nie skrzywdził, odkąd jestem w jego komnacie.

Po raz drugi otwieram usta i znów Quint podnosi palec.

– Czekaj – rzuca. – Myślę.

Zatrzymuje się przede mną z głową lekko przechyloną w bok, jakbym była jakąś zagadką, którą stara się rozwiązać. Choć sam nie wygląda zbyt porządnie, czuję, że powinnam poprawić ubranie i stanąć prosto.

– Uważaj – mruczy Corrick. – Ona potrafi uderzyć.

Zerkam na niego zmrużonymi oczami.

– Tylko kłamców i niegodziwców.

Unosi w moją stronę kieliszek.

– Zdrówko.

– Umiesz śpiewać? – wypala Quint.

Mrugam.

– Czy umiem... co?

– Śpiewać. Albo tańczyć? A może umiesz robić jakieś sztuczki?

– Ja... – O co tu chodzi? – Nie.

– Quint. – Corrick przewraca oczami.

– Król nie pozwoli ci jej tu zatrzymać jako... torturowanej konkubiny – mamrocze Quint.

– Ja też na to nie pozwolę – cedzę przez zęby.

Nie zwraca na mnie uwagi.

– W takim razie musimy wymyślić coś innego. Coś, co zadowoli Allisandra, ale też udobrucha Arellę.

– Muszę wiedzieć, po co zakradłaś się do pałacu – oznajmia Corrick. Jego głos znów stał się zimny, jak wtedy, kiedy chwycił mnie mocno za włosy. Przetykam ślinę.

– Mówiłam ci. To była pomyłka.

– Spróbuj jeszcze raz.

Nic dziwnego, że ludzie tak się go boją. Nie chodzi tylko o jego reputację. Gdy skupi na kimś swoją uwagę, nie sposób myśleć o niczym innym. Chciałabym cofnąć czas do tej krótkiej chwili, gdy znów był Wesem, gdy rozkuł mi dłonie i pozwolił wtulić się w siebie jak dawniej.

Muszę się z tego otrząsnąć. Wes nie istnieje.

A Corrick nadal czeka na odpowiedź.

Spoglądam to na niego, to na Quinta. Nie ma sensu kłamać, nie kiedy odpowiedź jest tak banalna.

– Miałam dostarczyć przesyłkę do Sektora Królewskiego. Pomyliłam drogę i znalazłam się przed pałacem. Wiedziałam... – Głos mi się łamie, muszę odchrząknąć. – Wiedziałam, że płatki Księżycowego Kwiatu, które tutaj trafiają, mają silniejsze działanie niż te dostarczane do innych sektorów, i chciałam, chciałam...

– Chciałaś ukraść płatki z pałacu? – pyta Corrick. – Nawet ja tego nie robiłem, Tesso.

– Tak, wiem. Nie myślałam jasno. Nawet tego nie planowałam. Pojawiły się te dziewczyny... Tam były dziewczyny. Chyba służące. Poszłam za nimi. Byłam pewna, że strażę mnie zatrzymają, ale chyba wszystkie kobiety w samodziałowych spódnicach wyglądają tak samo. Po prostu z nimi weszłam.

To wzbudziło niepokój u Quinta. Całą postać Corricka ogarnia mrok. Jego towarzysz podnosi dłoń, nim zdoła się odezwać.

– Rano dowiem się, kto był wtedy na służbie. Do śniadania będziesz znał nazwiska.

Nie spuszcza wzroku z księcia.

– Zabijesz strażnika, który mnie przepuścił?

– Na pewno nie wręcę mu listu gratulacyjnego.

Nie odpowiadam, choć przerażenie, które czuję, muszę mieć wymalowane na twarzy, bo Corrick wzdycha i odwraca wzrok.

– Wiem, co o mnie mówią, jednak nie zabijam *każdego*, kto się nawinie, Tesso. – Urywa. – Zresztą dziwi mnie, że chcesz go bronić. Gdyby zrobił, co do niego należy, teraz byłabyś w chacie, napełniałabyś fiolki i pakowała torbę.

Słyszając, jak mówi o chacie takim beznamytnym tonem, czuję ścisk w gardle. Jakby to było powód do szyderstwa, a nie miejsce, gdzie przez ostatnie dwa lata działy się najważniejsze chwile w moim życiu. Przyciskam dłonie do oczu, żeby powstrzymać łzy.

Kiedy już udaje mi się wyrównać oddech, opuszczam rękę, próbując mruganiem przegonić łzy. Widzę, że Quint wyciąga w moją stronę haftowaną chustkę. Na jego twarzy nie ma wrogości. To tak zaskakujące, że część emocji znów powraca. Biorę chustkę i ściskam ją w dłoni. Pachnie cynamonem i pomarańczami. W dotyku jest jak jedwab. To pewnie najbardziej wartościowa rzecz, jaką w życiu trzymałam. Poza płatkami Księżycowego Kwiatu. Prawie mi jej szkoda do wytarcia policzków.

– Dziękuję.

Rozlega się pukanie do drzwi, lecz Corrick się nie rusza.

– To pewnie kolacja – stwierdza. – Wejść – woła.

Służąca, która wygląda na trochę zmęczoną i rozczochraną, wnosi tacę. Stawia ją na kredensie i dyga przed księciem.

– Wasza Wysokość, marszałku Quint. – Jej wzrok ląduje na mnie, ale szybko go odwraca. – Czy Wasza Wysokość życzy sobie coś jeszcze?

– Nie – odpowiada księżę Corrick.

– Tak – wtrąca Quint. – Przygotuj komnatę dla naszego nowego gościa. Dopilnuj, żeby w szafie i łazience niczego nie brakowało. Przynieś też świeżą pościel.

– Oczywiście. – Znów dyga i wychodzi.

– Zjedzcie – mówi Quint. – Porozmawiam z kapitanem o przydziale odpowiednich strażników. Myślę, że czterech wystarczy, żeby zapobiec kolejnym... spacerom, że tak powiem.

Patrzy na mnie wymownie.

– Zaraz. Pokój dla mnie? – pytam piskliwym głosem. Nic z tego nie rozumiem.

Ignorują mnie.

– Co ci chodzi po głowie? – zagaduje Corrick.

– Myślę, że nie powinna zostać w twojej komnacie dłużej niż to konieczne. Jest środek nocy, więc plotki jeszcze nie zdążyły się rozejść. Powiedziałaś, że modyfikowała dawki leku, który roznosiliście. Może wniosłaby trochę wiedzy zielarskiej do pałacu? Na pewno możemy wymyślić coś lepszego niż kara przykucia do twojego łóżka.

– Na pewno – powtarza drętwó Corrick.

Quint wyciąga małą książeczkę ze swojego kaftana i notuje.

– Do południa przedstawię ci projekt obwieszczenia.

I już go nie ma. Znów zostaję sama z księciem. Corrick podchodzi do kredensu, gdzie przeróżne parujące półmiski wywołują u mnie ślinotok. Czuję zapach czegoś słodkiego i aromatycznego, jest też na pewno świeże pieczywo, bo wprost niebiańsko pachnie drożdżami. Żołądek przypomina mi, że dawno nie jadłam. Nie mam zamiaru się do niego zbliżyć, ale biorę głęboki wdech.

Corrick bierze owoc i podnosi go do światła. Czerwona skórka się błyszczy.

– Masz ochotę na jabłko z miodem, Tesso?

Mój głód znika.

– Nienawidzę cię – cedzę przez zęby.

Rzuca do mnie owoc, a ja odruchowo go łapię. W przeciwnym razie dostałabym nim w twarz.

– Jak już nieraz mówiłem – odpowiada – to nawet lepiej.

Duży, bogato zdobiony ornamentami stół stoi po przeciwnej stronie komnaty. Nie ruszyłam się ze swojego miejsca, dlatego książę Corrick napełnił dwa talerze i teatralnie ustawił je na dwóch

przeciwległych końcach blatu, a nie obok siebie. Wskazuje ręką na jedno z krzeseł i wymownie na mnie spogląda.

Naprawdę jestem głodna. Każdy oddech przypomina mi, że prawie nic dziś nie jadłam. Odłożenie na podłogę jabłka, które mi rzucił, kosztowało mnie dużo silnej woli.

Nadal stoję przyciśnięta do ściany.

– Nie.

– Odrzucasz zaproszenie na kolację z bratem króla – mruczy z udawanym oburzeniem. – Co *sobie pomyśli* służba w kuchni, jeśli twój talerz wróci nietknięty?

– Chyba nie chciałbyś, żebym znalazła się w pobliżu noża?

Ta odpowiedź wywołuje zawadiacki uśmiech i przez chwilę tak bardzo przypomina Wesa, że moje serce zaczyna przepełniać coraz większy ból, który rozsadza je na milion kawałków. Może potrafi to odczytać z mojej twarzy, bo ściąga usta.

– Siadaj. Jedz. Wiem, że jesteś głodna. Co ci da, że odmówisz?

Zupełnie nic. Nie mam dobrej odpowiedzi. A pytanie brzmi jak prowokacja. Biorę głęboki wdech i podchodzę do stołu. Na pewno istnieje jakaś dworska etykieta, której powinnam przestrzegać, lecz nie mam o tym pojęcia, więc jeśli oczekuje dygnięcia, to się nie doczeka. Serce wali mi w piersi i muszę sobie przypominać, że to nie Wes, tylko Najwyższy Sędzia Królewski. To nie mój przyjaciel – wyjęty spod prawa. To okrutny człowiek zupełnie pozbawiony empatii.

Siadam na krześle, na co on robi to samo. Kręgosłup mam sztywny jak metalowy pręt. Nie potrafię się rozluźnić. Podnoszę z talerza bułkę. Jest jeszcze ciepła, oprószona solą. Odrywam kawałeczek i wkładam do ust.

To nie sól. To cukier. Smakuje nieziemsko. Mam ochotę pożreć całą naraz.

Czuję, że na mnie patrzy, zatem skupiam wzrok na innych rzeczach. Filigranowych elementach wystroju. Haftowanym obrusie. Małej kałuży sosu obok czterech solidnych kawałków drobiu.

Mam tyle pytań, jednak zadając je, ujawniłabym uczucia do człowieka, który nawet nie istnieje. Nie dam tej satysfakcji księciu Corrickowi. I tak wziął już za dużo. Odrywam kolejny mały kawałek pieczywa.

– Quint zna prawdę. O tobie. O mnie – odzywam się.
– Tak. – Zawiesza głos. – Jest marszałkiem dworu. I przyjacielem.
Wie prawie o wszystkim, co się dzieje w pałacu.
– Ale... ale król nie wie.
– Nie. – Corrick odwraca wzrok. – Nie chciałem stawiać Harristana w sytuacji, w której musiałby temu zaprzeczać.
– Gdyby cię złapano.
– Tak.
– Ja mogłam powiedzieć każdemu – oświadczam, wreszcie spoglądając z gniewem w jego oczy. – Wyjawić twój sekret. Najwyższy Sędzia Królewski jest przemytnikiem, który potajemnie okrada możnych z Sektora Królewskiego.
– Proszę bardzo – mówi spokojnie. – Nie byłabyś pierwszym więźniem, który wymyśla niestworzone historie. – Kroj kawałek mięsa. – Gdybyś uznała, że jednak nie chcesz tu być, to dobry sposób, żeby załatwić sobie wycieczkę do Twierdzy.
– Gdybym *uznała*? To ma być żart?
– Nie zwabiłem cię do pałacu. – Jego głos stał się szorstki. – Przeciwnie, kiedy naciskałaś na mnie, starałem się, jak mogłem, żeby przekonać cię, że sytuacja jest bardzo napięta i lepiej by było, żebyś trzymała się z dala od Sektora Królewskiego przez jakiś czas.
Kiedy na niego naciskałam. Kiedy byliśmy w lesie, a on nie chciał iść po płatki. Próbował mnie od tego odwieść, a ja kwestionowałam jego argumenty i nawoływałam do rewolucji.
Rewolucji, w której nigdy nie mógłby uczestniczyć. Teraz to wiem.
Oczywiście, że musiał uśmiercić Westona Larka. Równie dobrze mogłabym zrobić to sama.
– I oto jesteśmy – szepczę. Choć wcale tego nie chcę, moje oczy znów wypełniają się łzami. Pociągam nosem i wkładam do ust kawałek bułki. – Kogo powiesiłeś na swoje miejsce?
– Prawdziwego przemytnika – oznajmia jakby nigdy nic. – Może udałoby mu się uciec z płatkami Księżycowego Kwiatu, tyle że postanowił poświęcić kilka minut na wykorzystanie pani domu. Syn usłyszał hałas i wszczął alarm. Słyszałem, że mocno ją pobił, zanim go nakryto.
Wpatruję się w niego. Nie wiem, co powiedzieć.
Corrick pociąga łyk ze szklanki.

– Chyba nie myślałaś, że tylko my zakradaliśmy się do Sektora Królewskiego, żeby kraść lek. Nie było trudno podrzucić mu maskę.

Pamiętam syreny i światła tamtej nocy, gdy Wes nie wrócił. Myślałam, że to jego złapali.

Siedzę z otwartymi ustami. Zamykam je gwałtownie.

– Mówiłeś... mówiłeś, że pracowałeś w kuźni. Że jesteś ze Stalowego Miasta.

Wzrusza ramionami i przeciąga ręką po karku. Wydaje się zmieszany.

– Miejsce dobre jak każde inne. Interesuje mnie obróbka metali, więc potrafię co nieco o tym powiedzieć.

Tak trudno stale przypominać samej sobie, że to nie Wes. Znów wygląda i zachowuje się inaczej. Odkąd zostaliśmy sami, a ja nie walę go w krocze, jest bardziej rozluźniony. Zastanawiałam się, jak mógł mieć dwa oblicza, lecz widząc go z różnymi ludźmi, stwierdzam, że ma wiele twarzy i dobiera je do okoliczności. Nie mam pojęcia, która jest prawdziwa, ale jego sposób bycia sprawia, że nie umiem być przy nim spięta albo się go bać. Gdybym zamknęła oczy, moglibyśmy być znów w chacie, siedzieć przy ogniu i przekomarzać się.

Nie, nie mogę. Nie mogę zapominać, że to księżę Corrick. Wystarczy jedno jego skinienie, żebym trafiła na stryczek.

Biorę drżący wdech.

– Co... – Muszę odkaszląć. – Kiedy byłam skuta... kiedy ty... kiedy tamta kobieta stanęła w mojej obronie...

– Konsul Cherry. Z Sunkeep. – Bierze kolejny kęs jedzenia, jakby nie widział, że właśnie rozsypuje się przed nim na kawałki.

Nie mogę wydusić słowa. Przełykam ślinę. Był taki brutalny. To najtrudniej mi sobie poukładać. Jako Wes był zabawny i prostolinijny.

Księżę odkłada widelec i patrzy na mnie. To jest jeszcze gorsze. Jego oczy są tak przenikliwe. Nic dziwnego, że więźniowie błagają o śmierć.

Nagle się odzywa:

– Zadaj wreszcie to pytanie, Tesso. – Jego ton jest łagodny i znajomy, nie brzmi zimno jak stal.

Biorę wdech.

– Wiedziałaś, że to ja – mamroczę. – Gdy leżałam tam skuta łańcuchami. Ja cię nie widziałam, ale ty mnie tak. Musiałeś wiedzieć.

– Wiedziałem.

– Mimo to... byłeś tak okrutny. – Przy całej tej mojej buntowniczej brawurze teraz nie potrafię zdobyć się na nic więcej niż szept. Muszę to zrozumieć. Musi mi to wytłumaczyć.

– Już ci mówiłem – odpowiada. – Oczekuje się ode mnie brutalności. A w obecności konsula Cherry jest ona nawet konieczna. – Spogląda na drzwi, potem jego wzrok wraca do mnie. – Podobnie jak w obecności strażników, którzy będą rozpowiadać o wszystkim, co zobaczą i co usłyszą.

Przyglądam mu się. Przypominam sobie, jak rzucił mnie na podłogę, kiedy strażnik wpadł do jego komnaty. Jak poprawiał materiał na moim ramieniu, gdy drzwi się zamknęły. Ten, który wisi na bramie, został powieszony za przemyt, jednak złapano go, gdy bił i gwałcił kobietę. Czyż nie tak powiedział Corrick? Ale tych informacji nie podano do wiadomości publicznej. Mówiono tylko, że był przemytnikiem.

W międzyczasie Corrick pozwala, by ludzie myśleli, że wykorzystuje mnie, choć przecież nie tknął mnie od chwili, kiedy obudziłam się na stosie poduszek. Myślę o jedzeniu, które przede mną stoi, i o tym, że Quint szykuje dla mnie pokój.

– Dlaczego chcesz, by ludzie uważali cię za potwora? – dukam.

Wzdycha, jakby chciał coś powiedzieć, lecz najwyraźniej po przemyśleniu zmienia zdanie i jedynie potrząsa głową.

– Dlaczego naprawdę zakradłaś się do pałacu? – pyta cicho.

– Mówiłam ci. Miałam nadzieję... miałam nadzieję, że uda mi się ukraść trochę eliksiru. Miałam nadzieję, że będę mogła pomóc ludziom, których zostawiliśmy bezbronnych, gdy Wes... gdy ty... gdy *my* przestaliśmy im dostarczać lek.

– Skorzystałaś z przejścia dla służby, żeby móc szybko dostać się do naszych komnat. – Urywa. – Wiesz, co znaleziono w twojej torbie. Chciałaś zabić króla?

Milczę. Zasycha mi w ustach. Już samo przyznanie się, że taka myśl przemknęła mi przez głowę, jest zdradą. A przecież pomyślałam o tym, nawet jeśli tylko przez chwilę.

Ciekawe, co powiedziała by teraz o mnie ojciec. Czy zawiodłam? Czy może jednak dokonałam właściwego wyboru?

– Chciałaś zabić *mnie*? – drąży Corrick.

Oblizuję usta. Nie powiem, że tak, a jednocześnie nie mogę też zaprzeczyć.

– Nie mogłabym tego zrobić – szepczę.

– Nie jesteś zabójcą.

Potakuję głową. Wie, że nie jestem.

Jego oczy znów stają się surowe. W blasku księżyca są jak dwie kostki lodu.

– Życzliwość sprawia, że stajesz się bezbronna, Tesso. Nauczyłem się tego dawno temu. Dziwi mnie, że ty nie.

Lata temu. Kiedy zginęli moi rodzice?

Nie, to absurd. To nie miało z nim nic wspólnego. Wtedy uświadamiam sobie, że znów zapominam, że należy do rodziny królewskiej i że sam też mierzył się ze stratą.

A więc... wtedy, gdy zginęli jego rodzice? Co to znaczy? Jego twarz znów wygląda inaczej. Nie jestem pewna, co mogę teraz powiedzieć.

Corrick wyciera ręce w serwetkę.

– Zjedz kolację. Zaprowadzę cię do twojej komnaty, żebyś mogła się przespać. Przyda ci się trochę snu. Quint będzie walił do twoich drzwi już o świcie.

Rozdział szesnasty

Corrick

Nie chcę odprowadzać Tessy do innej komnaty. Chcę, żeby została tu, gdzie mam pewność, że nikt jej nie skrzywdzi. Gdzie ona nie zrobi nic, co zmusiłoby mnie do zrobienia czegoś, czego nie chcę.

Chciałbym ją po cichu wyprowadzić z pałacu, przez mur, do chaty, gdzie moglibyśmy siedzieć przy ogniu jako Wes i Tessa.

Gdzie mogę pomagać swoim poddanym, zamiast ich krzywdzić.

Ale to, czego ja chcę, nie ma znaczenia, więc prowadzę ją cichym korytarzem wyłożonym aksamitnym dywanem, na którym ledwie słyhać nasze kroki. Tessa jest bosa, jej długie włosy są rozpuszczone, a dłonią przyciska rozerwany kawałek materiału do ramienia. Strażnicy wiedzą, że powinni patrzeć przed siebie.

Quint wybrał Komnatę Szmaragdową, której wystrój – wbrew nazwie – od satynowej pościeli po ciężkie zasłony jest w odcieniach różu i czerwieni. Jedynym zielonym elementem jest ogromny klejnot zwisający z szyi kobiety na portrecie wiszącym nad kominkiem. Kobieta na obrazie jest moja babka. To dobry pokój, niezbyt wytworny dla kogoś, kto pozornie jest więźniem, lecz wyraźnie wskazujący, że Tessa nie jest kimś, kto ma trafić do Twierdzy.

Drzwi pilnuje czterech strażników, co wydaje się grubą przesadą, jednak zważywszy na to, z jaką łatwością dostała się do pałacu, nie protestuję.

Zatrzymujemy się przy wejściu do jej komnaty. Gdy spogląda na strażników, jej oczy otwierają się szeroko.

– Nic ci z ich strony nie grozi – odzywam się. – Chyba że będziesz próbowała wyjść.

– To wszystko? – szepcze.

– Jeśli obudzisz się wcześniej, możesz kazać strażnikom posłać po jedzenie.

– Zostawiasz mnie tu samą?

– Nie powinienem?

Szybko potrząsa głową, potem przechodzi przez próg i odwraca się do mnie, jakby myślała, że zaraz złapię ją za ramię i wyciągnę z powrotem.

– I mogę zamknąć drzwi? – pyta.

– Tak bym radził.

Przygląda mi się przez dłuższą chwilę, a następnie chwyta za klamkę i cicho zamyka za sobą drzwi. Niedługo potem słyszę, jak przekręca klucz w zamku.

Zerkam na strażnika stojącego najbliżej. Nie znam imion wszystkich, jednak znam porucznika Molnara. Jest starszy, dobrze po sześćdziesiątce. Ma gęste siwiejące włosy. Był w służbie jeszcze za czasów moich dziadków, później moich rodziców, a teraz służy nam. Jest małomówny, ale zna swoją pracę i dobrze ją wykonuje. Wypełnia rozkazy i nie plotkuje. A dzięki swojej randze potrafi dopilnować, by inni też tego nie robili.

– Masz klucz? – pytam go.

– Tak, Wasza Wysokość.

– Dobrze.

Powinienem wrócić do swoich komnat, tyle że jestem zbyt zdenerwowany, niespokojny. Czuję, jakbym miał już nigdy nie zasnąć.

„Nienawidzę cię”.

Kiedy mówiła tak do Wesa, tylko się droczyła.

Kiedy powiedziała to do księcia Corricka, w każdej sylabie czuć było przekonanie, z jakim to mówiła. *Nienawidzę. Cię.*

Mijam swoje komnaty i idę dalej korytarzem, a za mną straż. Zwykle nie chodzą za mną wszędzie, jednak nagłe pojawienie się Tessy pewnie napędziło stracha ich kapitanowi.

Zatrzymuję się przed pokojem Harristana. Strażnicy mówią, że śpi, ale jestem jedyną osobą, którą wpuszczą do niego bez protestów. Przekraczam próg niczym duch. Zamykam ostrożnie drzwi, uważając, żeby zamek nie szczęknął. Jedyne źródło światła w pomieszczeniu to palenisko, które już tylko się żarzy. Taca z filiżankami do herbaty i spodkami stoi na stole, a jedną dostrzegam przy łóżku Harristana. To dobrze.

Nawet stąd słyszę jego oddech.

To niedobrze.

Pocieram dłońmi twarz i siadam w fotelu przy jego biurku. Na stosie dokumentów leży skórzana teczka z pieczęcią Artis. Biorę ją i otwieram. Złożyli poprawioną prośbę o fundusze. Jonas nie traci czasu. Ściskam przegrodę nosa.

– Cory?

Podnoszę wzrok. Harristan patrzy na mnie, mrugając, ze swojego łóżka.

– Powinieneś spać – zauważam.

– Ty też. – Zawiesza głos. – Co zrobiłeś tej dziewczynie?

– Śpi w Szmaragdowej Komnacie. Pod mocną strażą.

– Nie o to pytam. – Przygląda mi się wymownie. – Co ty zrobiłeś?

– Nic. Dałem jej kolację i odesłałem do łóżka.

Obserwuje mnie. Ja obserwuję jego.

Chcę mu powiedzieć. Chcę mu powiedzieć, że go kocham. Zrozumiałby moją potrzebę wyrwania się z pałacu, z Sektora Królewskiego. To on nauczył mnie, jak się wykradać, jak przeskakiwać mur, jak zatracać się w przyjemnościach Dzikich. To on zawsze pragnął wolności, która czeka za murami pałacu.

Ale to mnie było dane jej zasmakować, nawet jeśli przez bardzo krótką chwilę. Mówienie mu o tym wydaje się nie fair.

Nawet jeśli to już koniec. Jeśli z tym skończyłem.

Pomijając fakt, że trudno byłoby sobie wymyślić czyn bardziej zdradziecki. Okradałem własnych poddanych. Działiałem wbrew jego rozkazom, wbrew rozkazom, których wypełnianie ja powinienem egzekwować. Gdyby ktoś się o tym dowiedział, wybuchłby niebywały skandal.

Spojrzenie Harristana jest ciężkie, jakby potrafił oczami wydobyć ze mnie wszystkie moje sekrety. Muszę odwrócić wzrok.

Odchrząkuje.

– Trudno mi uwierzyć, że okazujesz łaskę komuś, kto zakradł się do pałacu, żeby mnie zabić.

To prawda, lecz ja mam dla niego inną.

– Zakradła się tu, żeby ukraść lek. Nie chciała zrobić nikomu nic złego.

– Przemytniczka?

– Niezupełnie. – Myślę o książkach w jej torbie, o wersji zdarzeń, jaką planował wymyślić Quint. – Ma wiele teorii na temat modyfikacji dawek eliksiru, żeby był bardziej skuteczny. – To nie jest kłamstwo, mimo to czuję się, jakbym kłamał. – Kradnie lek i rozprowadza go wśród tych, których na niego nie stać.

Słyszając to, Harristan milknie na dłuższą chwilę, tak jak się spodziewałem. Niezależnie od opinii ludzi nie jest bez serca. Ciszę mąci trzask ognia dogasającego w palenisku.

– Myślisz, że jest wielu takich jak ona?

Potrząsam głową.

– Nie mam pojęcia.

– Kiedy strażnicy powiedzieli, że ktoś wtargnął do pałacu, sądziłem, że dopadła nas rewolucja.

Myślę o prawdziwych przemytnikach, którzy uciekli, o tym, jak tłum nawoływał do rebelii.

– Jeszcze może.

Znów milknie, jednak tym razem zamyka oczy.

– Śpij – mówię łagodnie. Wstaję. – Pójdę już.

– Cory. – Jego głos zatrzymuje mnie w drodze do drzwi.

Odwracam się.

– Co?

– Ukrywasz przede mną coś na temat tej dziewczyny.

Mój brat rzadko zagłębia się w szczegóły i zwykle dobrze na tym wychodzi. Ale są chwile takie jak ta, gdy coś zwraca jego uwagę, a wtedy trudno go zbyć.

Długo milczę, a cisza między nami gęstnieje.

– Wiem, że niektórzy mają przede mną tajemnice – ciągnie. – Nie sądziłem, że ty też.

Jeśli w jego głosie była szorstkość lub potępienie, udaję, że tego nie dostrzegam. Harristan rzadko rozmawia ze mną w ten sposób, zwłaszcza kiedy jesteśmy sami. Niewiele osób w pałacu może cieszyć się jego pełnym zaufaniem. Może tylko ja. Przez krótką chwilę myślę, że może zaczynam je tracić.

– Nie mam przed tobą sekretów, które mogłyby cię narazić na jakiegokolwiek ryzyko – oświadczam.

– Wiem – odpowiada stanowczo.

Oczywiście, że wie. To mnie uspokaja.

Jednak zaraz po tym dodaje:

– Chciałbym z nią porozmawiać.

Ciekawe, co z tego wyniknie. Wyobrażam sobie, jak Tessa wali mojego brata pięścią albo oblewa go brandy. Jest milion rzeczy, które mogłaby powiedzieć, a które skończyłyby się dla niej Twierdzą albo czymś jeszcze gorszym. Jest milion pytań, jakie może jej zadać Harristan, i milion złych odpowiedzi, jakich może udzielić Tessa, sprowadzając na siebie niebezpieczeństwo.

Tyle że to on jest królem i jak wielka nie byłaby moja władza, jego jest większa. Potakuję głową.

– Załatwię to.

Rozdział siedemnasty

Tessa

Powinnam być w więziennej celi.

Szczerze mówiąc, powinnam wisieć na murze ze sztyletami w oczach jako ostrzeżenie dla każdego, kto chciałby się zakraść do pałacu.

Tymczasem jestem w komnacie sześć razy większej od pokoju, w którym mieszkam. Mam własną łazienkę – pierwszy raz w życiu – pełną prześcieradeł kąpielowych i ręczników, słoiczków z mydłem, balsamów i kruszonych płatków o zapachu róży i lawendy. Nad wanną są dwa krany, na dodatek z jednego płynie ciepła woda. W pensjonacie, gdzie wynajmuję pokój, jeśli chcę wziąć kąpiel, muszę zagotować wodę w saganie i korzystać z balii za kuchnią.

Światło tu także jest jaśniejsze od tego, do którego przywykłam. Wiem, że w Sektorze Królewskim jest elektryczność, ale patrzenie na nią z cienia to co innego niż siedzenie pod elektryczną latarnią ze świadomością, że nigdy się nie wypali i nie będzie potrzebowała dolewki oleju. Na ścianie przy łóżku znajduje się sześć małych dźwigni. Ostrożnie wypróbuję każdą i odkrywam, że wszystkie lampy mają własny oddzielny włącznik.

Szafa nie jest pełna, za to jest w niej bielizna, miękkie jedwabiste pończochy oraz pół tuzina sukien uszytych z kilometrów jedwabiu, koronki, brokatu i satyny. Do tego wysokie sznurowane buty, aksamitne kapcie, błyszczące pantofle w trzech różnych rozmiarach, ustawione w rzędzie. Wszystko aż cuchnie bogactwem i ekstrawagancją, jednak nie przekracza granic przyzwoitości. Rękawy są gustowne i pełnej długości. Żadnych głębokich dekolców. Wszystkie są piękne, z gorsetami zapewniającymi odpowiedni kształt figury. Po tym, jak Corrick niemal zdarł ze mnie sukienkę na oczach straży, nie tego się spodziewałam. Czy to Quint wybrał te ubrania? Jak on to powiedział?

„Król nie pozwoli ci jej zatrzymać tu jako jakiejś torturowanej konkubiny”?

Tego też nikt się nie spodziewa. W każdym razie nie w takich ubraniach.

Przy każdym ruchu obawiam się, że do komnaty wpadnie strażnik i powyrywa mi ręce. Drzwi zamknęłam na klucz, więc będę miała chwilę, zanim wkroczą do środka.

Jakbym dzięki temu była w stanie zrobić coś więcej, niż tylko wpaść w panikę.

Zdejmuję rozdartą sukienkę i zakładam jedną z koszul nocnych, które znajduję w szafie, a na nią szlafrok, który przewiążuję paskiem. Kładę się na łóżku i wyłączam wszystkie światła. Wpatruję się w sufit, na którym od blasku ognia błyszczą złote ornamenty.

Nigdy tu nie zasnę. Ciekawe, czy w ogóle jeszcze kiedykolwiek zasnę. Powinnam teraz myśleć o wszystkim, czego dowiedziałam się o Corricku i jego pokrętnym sekrecie, który pozwala mu torturować poddanych za dnia, a ratować ich nocą. Powinnam teraz myśleć o Karri i pani Solomon oraz o tym, jak zareagują, kiedy nie wrócę. Powinnam myśleć, jak długo będą mnie tu trzymać, nim ostatecznie trafię do Twierdzy.

Powinnam myśleć, jak się stąd wydostać.

Zamiast tego mój umysł zielarki koncentruje się na królu Harristanie. Myślę o tym, jak zaczął kaszleć i nie mógł przestać. Myślę o nucie lęku w głosie Corricka, gdy mówił: „*Nie jest chory*”.

Miałam wtedy w głowie mętlik wywołany paniką, lecz wiem, co znaczy taki kaszel.

Nie powinno mnie to obchodzić. Nie powinno.

Ale nic na to nie poradzę, że obchodzi. Mają w pałacu najlepszej jakości lek. Przyjmują go trzy razy dziennie – tak mówił Wes i pewnie to prawda, skoro Wes to Corrick i sam też przyjmował te dawki.

Czy eliksir przestaje działać? A może król jest bardziej podatny na gorączkę? A może ktoś celowo osłabia działanie Księżycowego Kwiatu? Może dodaje coś w rodzaju antidotum, które blokuje działanie składników potrzebnych, by być zdrowym. Nie mam jak się tego dowiedzieć i na pewno nikt nie da mi na to odpowiedzi.

Wystarczy, że wślizgnęłam się do pałacu. Tylko tego by brakowało, żebym teraz zaczęła rozpytywać, jak sprawić, by król zachorował.

Tyle że moja głowa nie przestanie pracować. Mój ojciec często mówił, że przyjęcie zbyt dużej dawki leku może mieć gorszy skutek niż nieprzyjęcie go wcale. Może król bierze za dużo? Ale przecież mają tu najlepszych ziołarzy i medyków. Na pewno jego dawka jest ściśle monitorowana.

A jeśli lek traci skuteczność... Nawet nie chcę się zastanawiać, co to by mogło oznaczać.

A jeśli Harristan umrze, to Corrick zostanie królem.

O konsekwencjach tego też nie chcę myśleć. Nieważne, co mówił w swoich komnatach ani co robił jako Weston Lark – nadal jest odpowiedzialny za ogromne cierpienie. Corrick nie cofnie tego, co zrobił. Jako Najwyższy Sędzia Królewski jest przerażający. Zauważyłam, że król Harristan ma granice. Nie podobał mu się pomysł, że Corrick mógłby... mnie wykorzystać.

Nie wiem, gdzie są granice księcia.

I chyba nie chcę się tego dowiedzieć. Chyba nikt w Kandali by nie chciał.

Mam pełny żołądek, pokój jest cichy i ciepły. To ogromny kontrast w porównaniu z chwilą, gdy byłam unieruchomiona na podłodze, a Corrick trzymał mnie mocno za włosy. Na to wspomnienie przeszywa mnie dreszcz.

Lecz kiedy siedział ze mną przy stole, kiedy byliśmy tylko my, przez krótką chwilę znów był taki jak Wes, trochę zabawny, a trochę dziki i zapalczywy.

Przyciskam rękę do piersi, a łzy znów napływają mi do oczu. Każde uderzenie serca sprawia ból.

Wes nie zginął. Mój umysł chce się cieszyć.

Tyle że Wes nie był prawdziwy. Po moim policzku spływa łza.

– Panienko. – Ktoś kładzie rękę na moim przedramieniu. – Panienko...

Podrywam się i siadam na łóżku. Najwyraźniej jednak zasnęłam. Ciało wydaje się ociężałe i nieskore do współpracy. Pokój wypełnia światło wczesnego poranka – nie zaciągnęłam zasłon. Nadal jestem w koszuli nocnej i w zawiązanym szlafroku, choć na pewno sama nie przykryłam się kocem.

Pokojówka w niebieskiej sukience i jasnoszarym fartuszką stoi nade mną. Ma kruczoczarne włosy ciasno spięte z tyłu, ciemną oliwkową cerę i brązowe oczy. Jest w niej coś znajomego, ale nie wiem co. Może była wśród dziewcząt, za którymi weszłam wczoraj do pałacu.

– Przepraszam, panienko – odzywa się. – Marszałek Quint kazał mi panienkę ubrać i przygotować na ósmą trzydzieści. Kąpiel już czeka.

– Drzwi były zamknięte na zamek – zauważam.

– Pukałam – odpowiada – ale panienska spała. – Zawiesza głos. – Strażnicy mają klucz.

Jeszcze nie do końca się obudziłam. Mrugam z niedowierzaniem. Pokojówka jest młoda, może młodsza ode mnie. Teraz zauważam, że w pomieszczeniu jest dwóch strażników. Stoją bez ruchu przy drzwiach. Zastanawiam się, czy pilnują, żebym nie uciekła. Nie wyglądają na przejętych. Co najwyżej znudzonych. Pewnie nie jestem ekscytującym widokiem, gdy śpię.

– Jaka... – zaczynam. – Która...

– Jest wpół do ósmej – wtrąca dziewczyna. – Mam na imię Jossalyn. Mamy mało czasu.

– Przecież... nie potrzebuję godziny na kąpiel.

– Nie, panienko. Ale przed południem ma panienska widzieć się z królem, więc...

– Z królem? – Pocieram dłońmi twarz. Ze zdenerwowania czuję skurcz żołądka. – Czekaj, powiedziałaś, że z królem?

– Tak. – Waha się, pocierając ręką o rękę. – Posłałam po śniadanie. Jeśli panienska teraz weźmie kąpiel, to akurat zdąży się osuszyć, nim przyniosą.

Nie wiem, jak mogła jednym tchem oznajmić, że mam spotkać się z królem i że posłała po śniadanie. Odgarniam włosy z twarzy.

– Nie mogę... – Głos mi się łamie, muszę odchrząknąć. – Nie mogę spotkać się z królem.

– Taka jest wola Jego Wysokości – oświadcza, jakby to tłumaczyło wszystko.

Spoglądam na strażników stojących przy drzwiach. Obaj zachowują stoicki spokój, lecz jestem pewna, że uważnie się wszystkiemu przysłuchują. Jeden jest starszy, pewnie koło

sześćdziesiątki, drugi – młodszy, spojrział na mnie przeciągle, kiedy powiedziałam, że nie mogę widzieć się z królem.

Nie jestem pewna, z czego to wnioskuję, ale wiem, że stanę przed władcą, nawet gdyby musieli mnie siłą zawlec przed jego oblicze.

Moje serce na chwilę staje, a potem znów zaczyna walić.

Wes. Pomóż mi.

Ale Wesa nie ma. Jest tylko Corrick.

Nie spodziewałam się, że przeżyję tę noc, tymczasem dotrwałam do poranka. Przyciskam palce do oczu i biorę głęboki wdech. Dałabym wszystko, żeby – gdy je otworzę – znów być w sklepie pani Solomon i zobaczyć krzywy uśmiech Karri.

– Panienko? – odzywa się Jossalyn. Pochyla się w moją stronę i mówi ledwie słyszalnym szeptem. – Strażnicy dostali polecenie, by pomóc, jeśli panienka nie będzie chciała się przygotować.

Szybko opuszczam rękę.

– Tak. – Oczywiście. Kąpiel.

Nikt nie pomagał mi w kąpieli, odkąd byłam dzieckiem, jednak Jossalyn raczej nie zamierza zostawić mnie samej. Zdaje się, że mam dwie opcje – albo ona, albo strażnicy, więc wybór jest dość oczywisty. Nurkuję w wodzie, a gdy wynurzam głowę, Jossalyn już czeka, żeby umyć mi włosy.

– Mogę to zrobić sama, naprawdę – protestuję.

– Tak, panienko – mruczy, nie przerywając. Jej palce wmasowują w moje splątane pasma pianę o zapachu wanilii i słodkiej śmietanki. W innych okolicznościach byłoby to bardzo przyjemne: niesamowicie ciepła woda, kojące zapachy, lekki masaż. Tyle że jestem naga w obecności obcej osoby, w pokoju obok są uzbrojeni strażnicy, a za kilka godzin zobaczę króla Harristana.

W Dżicy wielu nazywa go Harristanem Straszliwym. Ciekawe, czy o tym wie.

Kiedy ta myśl przebiega mi przez głowę, ogarnia mnie przerażenie, że mogłabym to powiedzieć na głos. Przed nim.

Jeśli rzucisz szklanką w mojego brata, naprawdę będę musiał obciąć ci dłonie.

Czuję ucisk w piersiach. Siedzę nieruchomo, a Jossalyn płucze mi włosy. Myślę o tym, że oczy pieką mnie od mydlin, a nie od czegoś innego.

Czego ode mnie chce? Dlaczego chce mnie widzieć?

Jossalyn sznuruje suknię. Nigdy nie czułam na skórze nic równie delikatnego, jak tkanina, z której jest uszyta. Gorset i halka mają intensywnie fioletowy kolor, jednak przykrywa ją kilkanaście warstw białego prześwitującego materiału, przez co całość ma odcień lawendy. Dekolt delikatnie odsłania kości obojczykowe.

Jossalyn przykrywa mi ramiona ręcznikiem i rozpuszcza moje mokre włosy.

– Chodźmy, panienko – mówi. – Śniadanie czeka.

Jedzenie wygląda tak samo smakowicie jak wczoraj. A może nawet jeszcze bardziej. Niestety żołądek mam tak ściśnięty, że nie jestem w stanie przełknąć nic więcej poza kawałkiem owocu. W pokoju panuje niemal absolutna cisza. Jossalyn czesze moje wilgotne włosy, a strażnicy nadal stoją przy drzwiach.

To chyba gorsze niż więzienie.

Nie. Co za głupia myśl. Twierdza byłaby straszna. Na pewno.

– Proszę nie zapomnieć o eliksirze – zwraca uwagę Jossalyn. Mój wzrok zatrzymuje się na małym kieliszku stojącym obok talerza. Ma ciemny bursztynowy kolor, o wiele intensywniejszy niż ten, który robimy w chacie. Tamten ledwo barwi wodę.

Biorę łyk. Zawsze smakuje okropnie, ale skoncentrowany jest jeszcze gorszy. Nie do wiary, że piją to trzy razy dziennie. Mam nadzieję, że mnie nie każą tego robić.

Co za marnotrawstwo.

Jossalyn zaplata mi skomplikowany warkocz, upięty w zwoje z tyłu głowy. Następnie, mimo że jem, zaczyna wcierać w moje policzki kremowy balsam. Zastanawiam się, czy zawsze szykuje kobiety w pałacu, gdy one w tym czasie robią zwykłe czynności, jak jedzenie. Mam wrażenie, że mogłabym kręcić się w kółko albo prowadzić ożywioną rozmowę, a ona i tak spokojnie nakładałaby kosmetyk.

Niewidzialna, jak wczoraj ludzie na ulicy.

Spoglądam na nią i staram się nie ruszać, żeby jej nie przeszkadzać. W zasadzie jestem tu więźniem, lecz ona mnie tak nie traktuje. Ochroniła mnie przed ostrym potraktowaniem przez

strażników, które byłoby nieuniknione, gdybym dalej zwlekała z kąpielą.

– Dziękuję – mamroczę cicho. – Za twoją życzliwość.

– Tak, panienko – odpowiada jakby nieobecna, choć czuję zawahanie w jej dłoni, jakbym ją zaskoczyła tymi słowami.

– Czy... – odchrząkuję. – Czy wiesz może... Czy będę widzieć się z królem na osobności? – Spogląda na mnie pytająco, więc dodaję: – Czy będzie też Corricket?

Jej ręce zastygają w bezruchu. Zerka na strażników, potem z powrotem na mnie.

– Nie wiem, jaki plan dnia ma *Jego Wysokość książę Corricket*. – Ostatnie słowa mówi z lekką emfazą. – Ale zapewne marszałek Quint tak, więc może go panienka zapytać, kiedy przybędzie. – Muska moje powieki koniuszkami palców.

Jego Wysokość książę Corricket. Nigdy nie musiałam przejmować się dworskim protokołem i choć wiem, że Weston Lark był zwykłą farsą, trudno mi pamiętać, że nie mogę go teraz nazywać tak po prostu po imieniu. Przętykam ślinę.

– A... jak mam zwracać się do króla?

Jossalyn przeciąga małym pędzelkiem po różowym pudrze w słoiczku i odpowiada ściszym głosem:

– Zwraca się do niego panienka słowami „Wasza Królewska Mość”, jednak dopiero gdy on pierwszy odezwie się do panienki. – Jej spojrzenie na chwilę spotyka się z moim. – Nikt nie zwraca się do króla po imieniu, chyba że on sam to zaproponuje.

Szybko potakuję głową.

Przysuwa się bliżej i jeszcze bardziej ścisza głos.

– To bardzo intrygujące, że jest panienka zielarką. Dziewczyny od samego rana gadają, że przyniosła panienka wiadomość o nowym eliksirze.

– Że co? – Przypominam sobie słowa Quinta z ubiegłej nocy, że musi wymyślić jakąś historię.

– Przecież to żadna tajemnica. Zresztą strażnicy i tak są większymi plotkarzami. Moja siostra mówi, że dostają dodatkową monetę za każdą wiadomość, jaką przyniosą kapitanowi.

Nie wiem, co powiedzieć. Kiedy szłam za tymi dziewczynami wczoraj, rozprawiły o jakiejś skandalicznej przejażdżce konsul

Cherry i konsula Pelhama.

Teraz uświadamiam sobie, że już wiem, kim jest konsul Cherry. Corrick nazywał ją Arellą – to kobieta, która wstawiła się za mną, gdy był taki okrutny. Wydawała się szczerą i zaangażowaną. Skandal jakoś mi do niej nie pasuje.

Występowała w mojej obronie – w obronie rzekomej przemytniczki. Może tutaj to wystarczy, by wybuchł skandal.

– Jossalyn – burczy starszy ze strażników przy drzwiach.

Ani drgnie, po prostu dalej nakłada róż na moje powieki.

– Tak, poruczniku?

– Marszałek Quint pyta, czy długo to jeszcze potrwa.

– Już kończymy. – Odstawia na bok słoiczek z pudrem i sięga po kolejny.

Drzwi i tak się otwierają, a po chwili wchodzi Quint. Niesie coś, co przypomina złożony plik papierów. Dziś rano jego kaftan jest zapięty prawie pod szyję, choć nadal przydałoby mu się golenie, a rude włosy są w nieładzie.

– Tesso – mówi. – Mam nadzieję, że zjadłaś śniadanie.

– Ja... – Prawie nic nie tknęłam. – Tak.

Jossalyn pochyła się i maluje moje usta.

– Wstań – szepcze.

Zrywam się tak gwałtownie, że przewracam stołek, na którym siedziałam.

– Przepraszam. Wasza... – Nie, zaraz. On nie jest z rodziny królewskiej – Yyy... marszałku Quint.

Mężczyzna marszczy brwi. Służąca chichocze i poprawia stołek. Spogląda na nią.

– Doskonała robota, Jossalyn. Trudno w niej rozpoznać zielarkę z Dżicy.

Dziewczyna chowa dłonie w spódnicy i dyga z wdziękiem.

– Dziękuję, marszałku Quint.

Czuję, że chyba powinnam robić notatki. Może mogłaby pójść ze mną na spotkanie z królem. Mam ochotę złapać ją za rękę i nie puścić.

Zwłaszcza gdy słyszę słowa Quinta:

– Zostaw nas. Tessa wróci do swoich komnat po zachodzie słońca, żeby przygotować się do kolacji.

Jossalyn znów dyga i wychodzi.

– Dziękuję! – wołam za nią, ale już jej nie ma.

Strażnicy wymieniają spojrzenia, potem także wychodzą i zamykają za sobą drzwi.

Zostaję z Quintem. Wpatruję się w niego. W Jossalyn było tyle spokoju, że zapomniałam, że jestem tu więźniem. Suknia wydaje się tak obcisła, że trudno w niej oddychać. Mam ochotę biec, wypaść przez drzwi, popędzić przez korytarz i modlić się o ucieczkę. Przyciskam rękę do brzucha i biorę drżący wdech.

– Spokojnie – odzywa się marszałek. – Tessa, o której tyle słyszałem, potrafiła bez lęku pokonywać mur i otwierać zamki okien bez choćby zadrapania. Chyba nie jestem aż tak straszny.

Nie. To prawda. Nie rozumiem, jak człowiek taki jak on może być przyjacielem człowieka takiego jak książę Corrick. Jego głos jest tak łagodny, że łzy zaczynają napływać mi do oczu.

Wyciąga chusteczkę i podaje mi ją.

– Bo zepsujesz efekt pracy Jossalyn.

Pociągam nosem, żeby powstrzymać płacz.

– Tak.

Potem dociera do mnie, co powiedział. *Tessa, o której tyle słyszałem.*

Corrick o mnie opowiadał? Za każdym razem, kiedy już wydaje mi się, że zaczynam go rozumieć, zdarza się coś, co pozbawia mnie tego złudzenia.

Quint otwiera księgę, którą przyniósł ze sobą. Strony wypełniają pośpiesznie sporządzone notatki. Na jego palcach widzę plamy atramentu.

– Zapewne Jossalyn wspominała, że masz się widzieć z królem na jego życzenie.

– Dlaczego?

– Jest królem. Nie musi podawać powodu. Prawdopodobnie stało się tak ze względu na twoją wiedzę zielarską. – Patrzy na mnie wymownie, tak że prawie się zakrztusiłam, jednak udaje mi się kiwnąć głową. – Następnie – ciągnie – konsul Cherry chciałaby się upewnić, że nic ci nie jest, jeśli król się zgodzi, a pewnie tak będzie. Poza tym wydaje mi się, że dziś rano masz się całkiem dobrze.

– Zaraz, ja nie...

– Mam jeszcze sporo do powiedzenia, moja droga. – Quint nie podnosi wzroku znad notatek. – O dziesiątej zaczynasz lekcje z panią Kent.

– Lekcje? Lekcje czego?

Tu zatrzymuje się z palcem przyciśniętym do strony i spogląda na mnie.

– Etykiety.

Otwieram usta. Zamykam.

Może jednak wolałabym Twierdzę.

– Następnie lunch w hallu – kontynuuję – a potem odwiedzisz krawcową. Później lekcje z panem Verity...

– Znów lekcje? – piszczę.

– Na temat aktualnej sytuacji politycznej w Kandali. Jeśli masz zamieszkać w pałacu, musisz wiedzieć, kto jest kim. Zaraz po tym wrócisz tu, żeby przebrać się na kolację. Będzie to prywatne spotkanie z księciem Corrickiem, choć doradziłem mu, by odbyło się w miejscu publicznym...

Mówi dalej, lecz ja już nie słucham.

Prywatne spotkanie z księciem Corrickiem. W miejscu publicznym.

Zaschło mi w ustach. Wczorajsza noc w jego komnatach była wystarczająco trudna. Gdy byliśmy całkiem sami, nie był tak przerażający, ale to jakby uznać, że wygłodniały wilk jest mniej straszny, bo jest właśnie w trakcie posiłku.

Mogę sobie tylko wyobrazać, jaki Najwyższy Sędzia Królewski jest publicznie, w obecności swoich poddanych.

Zaraz uświadamiam sobie, że wcale nie muszę sobie tego wyobrazać. Oglądałam egzekucję, która zakończyła się nawoływaniem do buntu.

Nie chcę jeść kolacji z księciem Corrickiem.

– Tesso. – Quint patrzy na mnie. Nie wiem, ile informacji mnie ominęło, choć pewnie sporo.

Nieważne. Zerkam na niego.

– Jak możesz być jego przyjacielem? – szepczę.

Quint zamyka swój notes i przygląda mi się uważnie.

– Ty też byłaś jego przyjaciółką, czyż nie?

– Nie. Byłam... Byłam przyjaciółką kogoś, kto nie istnieje. Kto był... tylko sztuczką, złudzeniem.

– Jesteś pewna?

Oczywiście, że jestem.

Jednak potem myślę o tych chwilach, kiedy książę się uśmiechał, kiedy jego głos robił się łagodny, kiedy przestawał być gwałtowny i traktował mnie z życzliwością i troską. „Zadaj wreszcie to pytanie, Tesso”. W tych momentach miałam wrażenie, że to Weston Lark w przebraniu księcia Corricka.

Już niczego nie jestem pewna.

Może potrafi to odczytać z mojej twarzy, ponieważ Quint wyjmuje z kieszeni zegarek.

– Możemy iść?

Moje serce jest tak ciężkie, że chyba zaraz runie na podłogę.

– Czy Twierdza nadal wchodzi w grę?

– Zawsze. – Podaje mi ramię.

Waham się. Nadal mam ochotę rzucić się do panicznej ucieczki. Gdyby przede mną stał teraz Corrick, pewnie tak bym zrobiła.

Quint pochyla się lekko w moją stronę.

– Nie polecam – mówi delikatnie.

Dlatego prostuję się i biorę go pod ramię.

Rozdział osiemnasty

Corrick

Przywykłem do budzenia się grubo przed świtem. Robię to od kilku lat, bo spotykałem się z Tessą i roznosiliśmy lek. Ostatnio budziłem się jeszcze wcześniej i nasłuchiwałem syren, bojąc się, że może wpaść w ręce nocnego patrolu.

Ale kiedy dziś otwieram oczy, słońce jest już wysoko na niebie, ogień wygaś, a mój pokój skąpany jest w świetle.

Tessa jest tutaj.

Nienawidzi mnie, jednak jest tu. Jest bezpieczna.

To przynosi uspokojenie, a jednocześnie strach. Biorę zegarek z nocnej szafki. Jest prawie dziewiąta.

Dziewiąta! Zaraz będzie się widzieć z Harristanem. Muszę z nią porozmawiać. Muszą jej powiedzieć, co ma mówić. Jak się zachowywać. Jak się chronić.

Szybko ruszam do drzwi.

Kiedy je otwieram, widzę Allisandra Sallistera. Kłóci się z moimi strażami. Jego głos jest niski, przypomina mordercze syczenie.

– Słyszałem o dziewczynie, którą wziął do siebie. Zapewniam was, że księżę już nie śpi i...

Przerywa, gdy otwieram drzwi. Obserwuję go, a on patrzy na mój nagi tors i luźne lniane kalesony. Zdecydowanie potrzebuję się ogolić, a fryzurą obecnie dorównuję Quintowi.

– Owszem, spałem – burczę. – Sam.

Chrząka i prostuje się.

– Przepraszam – zwraca się do mnie, nie do strażników, których beształ. – Nasz transport został napadnięty. Strażnicy, których nam dałeś, zdołali ująć napastników. Są w Twierdzy. Chciałbym, żebyś mi towarzyszył podczas ich przesłuchania.

Doprawdy, chciałby? Przeciągam dłonią po szczęce. Powiedziałbym, że za wcześnie na to, lecz wcale nie jest za wcześnie.

– Poślijcie po śniadanie – nakazuję strażnikom. – I przekażcie Geoffreyowi, że wstałem. Powiadomcie króla, że pilne sprawy wezwały mnie do Twierdzy. – Zerkam na Allisandra, który wygląda, jakby miał zamiar wejść do moich komnat i poczekać, aż się ubiorę, ale nie jestem w stanie znieść więcej jego towarzystwa zaraz po przebudzeniu. – Poczekaj w hallu – mówię do niego.

Bierze wdech, żeby zaprotestować. Zatrząskuję mu drzwi przed twarzą.

Powiniennem się martwić, co to za przemytników zawlókł do Twierdzy albo co powie o wczorajszej nocy, jednak potrafię myśleć tylko o spotkaniu Tessy z moim bratem.

Jest sprytna, bystra i szybka. Oby umiała też dobrze kłamać. Jeśli powie mu całą prawdę, Harristan jej nie uwierzy. Wiem, że nie.

Mam taką nadzieję.

Przyciskam dłoń do ust i szepczę przez palce. Tessa.

Coś przychodzi mi do głowy; szybko podchodzę do biurka, biorę kawałek papieru i chlapiąc atramentem, pośpiesznie piszę. Składam pergamin i idę do drzwi, po czym otwieram je na oścież jak poprzednio, kiedy właśnie zbliża się mój lokaj, Geoffrey, z zestawem do golenia.

On i strażnicy gapią się na mnie zdziwieni. Zadzieram głowę i wciskam złożoną kartkę najbliższemu strażnikowi.

– Zanieś to Quintowi. Powiedz, że to dla Tessy.

– Tak, Wasza Wysokość. – Bierze pergamin ze skinieniem głowy.

Geoffrey odchrząkuje.

– Uwinę się szybko, Wasza Wysokość. – Zawiesza głos. – Konsul Sallister uprzedził mnie, że Wasza Wysokość ma pilne sprawy do załatwienia.

Mam ochotę powiedzieć Geoffreyowi, żeby lepiej poszedł zgolić tę kretyńską kozią bródkę Allisandra, lecz tego nie robię. Już słyszał o Tessie i nie jest zadowolony. Z westchnieniem robię krok w tył.

– Nie możemy pozwolić, by konsul czekał.

Rozdział dziewiętnasty

Tessa

Quint musi być przyzwyczajony do wypełniania niezręcznej ciszy. Kurczowo trzymam się jego ramienia, jakbym bez niego nie była w stanie utrzymać się na nogach. Oddech mam płytki i przyspieszony, a on rozprawia o historycznym znaczeniu gałek do drzwi.

– I jak zobaczysz – mówi, prowadząc mnie przez centralną część pałacu – tutaj zamiast okuć z brązu są okucia pozłacane. Ta część pałacu uległa w dużym stopniu zniszczeniu podczas pożaru przed stu laty, ale wtedy to właśnie był początek rozkwitu Stalowego Miasta, więc król Rodbert nakazał, by wszystkie...

– Panie marszałku. – Przed nami staje strażnik. Zaciskam palce na ramieniu Quinta.

Może ksiązę Corrick zmienił zdanie. Może ten strażnik przyszedł po mnie. Może zawlecze mnie na poćwiartowanie. Przed obliczem króla. Albo na podeście, gdzie miała odbyć się egzekucja ośmiu osób. Albo...

Strażnik wyciąga w jego stronę rękę, w której trzyma nierówno złożony kawałek papieru.

– Od Jego Wysokości księcia Corricka.

Quint bierze od niego liścik.

– Dziękuję, Lennardzie.

– Jego Wysokość powiedział, żeby pan marszałek przekazał to Tessie – dodaje strażnik, nie patrząc na mnie.

Quint podaje mi papier. Ściskam go kurczowo. Nie mam pojęcia, co tam może być.

Nieprawda. Wyobrażam sobie. Pewnie jest tam groźba, że połamię mi kości, jeśli powiem coś nie tak. Mam ochotę zмяć kartkę bez czytania.

Quint rusza, a strażnik odsuwa się na bok, robiąc nam przejście. Dłoń, w której trzymam wiadomość, robi się wilgotna od potu, jednak nie chcę do niej zaglądać.

– Nie przeczytasz? – pyta Quint.

Robię minę.

– Pewnie napisał coś w stylu: „Jeśli się wygadasz, napalę tobą w piecu”.

– Szczerze wątpię. Na pewno spodziewał się, że strażnik ją przeczyta.

Staję jak wryta. W życiu nie przyszło mi do głowy martwienie się o coś takiego. Zaciskam palce na kartce i przełykam ślinę.

Quint ścisza głos.

– Nie umiesz czytać?

Podnoszę gwałtownie głowę.

– Co?

– Nie ma się czego wstydzić. Mogę zorganizować dyskretnego nauczyciela. – Nadal mówi bardzo cicho. – Delegat z Nabrzeża Kupców ożenił się z kobietą, która nie umiała ani pisać, ani liczyć i w kilka tygodni...

– Umiem czytać! – Na litość boską. Pośpiesznie rozkładam kawałek papieru i wpatruję się w napisane na nim słowa. Serce mi staje, a potem znów zaczyna bić.

– Nie trać ducha – szepczę. Przez ułamek sekundy chcę przycisnąć kartkę do piersi.

Weston Lark nie istniał.

I nie istnieje.

Ale skoro tak, to te słowa – dokładnie takie, jakich potrzebowałam, i dokładnie w chwili, w której ich potrzebowałam – posłał mi książkę Corrick. To słowa, które mogą być ostrzeżeniem, groźbą, a jednocześnie znaczyć coś zupełnie innego.

Biorę długi wdech, żeby się uspokoić. Prostuję plecy i składam kartkę w prostokąt.

– Już w porządku? – zagaduje Quint. Wpatruje się w moją twarz.

Ta jego nieustanna paplanina to tylko przykrywka. Marszałek widzi więcej, niż można by przypuszczać. Muszę o tym pamiętać.

– W porządku – odpowiadam i ku mojemu zdziwieniu naprawdę tak czuję.

– Cudownie! W takim razie pozwól, że zwrócę twoją uwagę na gobeliny.

Pałac jest ogromny i choć dotarcie do miejsca, gdzie oczekuje mnie król, zajmuje trochę czasu, nie mam wątpliwości, że jesteśmy już blisko. Po drodze mijaliśmy już strażę i służbę, lecz przy tych drzwiach stoi aż ośmiu uzbrojonych ludzi – po dwóch po obu stronach drzwi i czterech naprzeciwko. Mają dodatkowe zdobienia na rękawach mundurów, jakich nie widziałam u innych strażników: haftowaną złotą nitką koronę otoczoną połączonymi ze sobą fioletowymi i niebieskimi okręgami. Z boku stoi także lokaj w bogato zdobionej liberii. Strażnicy stoją nieruchomo, ale czuję, że mnie obserwują od chwili, gdy nas dostrzegli. Wszystkie włoski na karku stają mi dęba.

Znów ściskam mocniej ramię Quinta, jednak idę pewnym krokiem.

– Zostaniesz? – odzywam się szeptem.

– Jeśli król o to poprosi.

Lokaj nas anonsuje. Spodziewam się, że będziemy musieli poczekać, ale zza drzwi rozlega się głos:

– Wejść.

Drzwi otwierają się szeroko. Czuję, że nie mogę złapać tchu. Quint puszcza mnie przodem. Dzisiejszy lęk jest inny niż wczorajszy, gdy myślałam, że czeka mnie egzekucja. Jest owinięty w jedwab i przewiązany wstążkami przetykanymi złotą nitką.

Komnata jest mniejsza, niż się spodziewałam. Pośrodku, na marmurowej podłodze, stoi stół ze szklanym blatem. Okna sięgają od podłogi prawie do sufitu. Zasłony rozsunięto, dzięki czemu wnętrze wypełnia naturalne ciepło i światło ożywiające cienie na błękitnych ścianach. W olbrzymich donicach kwitną kwiaty, wypełniając przestrzeń ciepłem i zapachami. W rogu znajduje się prawdziwe drzewo, w donicy sięgającej do połowy wysokości stołu. Pień oplata pnącze wczepione w ścianę, obsypane na całej długości maleńkimi różowymi kwiatami. Gdyby można było przenieść ogród do wnętrza, myślę, że tak właśnie by wyglądał.

W tym momencie mój wzrok pada na króla stojącego przy rogu stołu. To, że nie zauważyłam go od razu, tylko potwierdza niezwykłość tej komnaty. Widziałam go ubiegłej nocy, jednak wtedy moje myśli i uczucia były zdominowane przez przerażenie i instynkt przetrwania, nie mówiąc o poczuciu zdrady.

Teraz mogę się przyjrzeć jego sylwetce – jest chyba trochę wyższy od Corricka, choć nieco węższy w ramionach. Ma czarne włosy, błękitne oczy, twarz usianą znajomymi piegami, takimi jak u jego brata, lecz skórę bledszą. Przez brak choćby śladu uśmiechu na ustach piegi sprawiają wrażenie, jakby były namalowane, jakby ktoś chciał nadać surowemu mężczyźnie chłopięcy wyraz twarzy. Czterech kolejnych strażników stoi pod ścianą za jego plecami, a jeszcze jeden lokaj czeka w kącie przy stoliku zastawionym napojami i frykasami.

Nie wiem, czy mam uklęknąć, dygnąć, czy paść na podłogę i błagać o życie. Zasycha mi w ustach. Szkoda, że nie ma tu Jossalyn, mogłabym ją naśladować. Czuję na sobie wzrok króla i nie jestem w stanie się ruszyć.

– Wasza Królewska Mość – oznajmia Quint – przedstawiam...

– Wiem, kto to jest, Quint.

– A, tak. Pozwolę sobie tylko przypomnieć Waszej Królewskiej Mości, że nie jest obeznana z dworskim protokołem.

– Nie musisz mi tego przypominać. – Król spogląda na lewo ode mnie. – Wyjdź.

Wciążam powietrze, a ramię Quinta wysuwa się spod mojej dłoni, nim zdołam wbić w nie palce.

– Tak, Wasza Królewska Mość.

I już go nie ma. Jestem sama z królem. Drzwi cicho zatrzaszczają się za Quintem.

Mimo wszystkich porannych zabiegów Jossalyn i stroju, w jaki mnie ubrała, czuję się jak wyrzutek w łachmanach, którego widział wczoraj w komnatach Corricka. Niespokojnie przesuwam rękami po spódnicy, nie wiedząc, co ze sobą zrobić.

Tyle słów ciśnie mi się na usta.

Proszę o wybaczenie. Nie wiem, co powinnam zrobić.

Proszę mnie nie zabijać.

Proszę nie pozwolić Corrickowi mnie zabić.

Proszę wezwać tu z powrotem Quinta.

Proszę pozwolić mi wrócić do domu.

W uszach słyszę ostrzeżenie Jossalyn, że mam czekać, aż król się do mnie zwróci. Przygryzam wargę do tego stopnia, że czuję smak krwi.

Poprzedni król był kochany przez lud. Kandała była kwitnącym krajem. Spotkanie z ojcem Harristana i Corricka byłoby zaszczytem. Nie byłabym przerażona, co najwyżej onieśmielona. I wszyscy, których znam, by mi zazdrościli.

Ale przecież za panowania poprzedniego króla nie zakradałabym się do pałacu przez pomieszczenia dla służby. Nie przemyślałabym leku z Sektora Królewskiego. W ogóle by mnie tu nie było. I byłabym w dużo lepszej sytuacji niż teraz, bo król Harristan zdecydowanie nie jest kochany przez poddanych.

– O czym właśnie pomyślałaś?

Podskakuję.

– Co?

Jego twarz się nie zmienia.

– Przecież słyszałaś.

Mogę z całym przekonaniem powiedzieć, że nie jest nawet lubiany.

– Ja... Ja... – Mój głos jest jak świszczący szept. Odchrząkuję, jednak to nie pomaga. Król budzi takie samo przerażenie jak Corrick.

– Myślałam o tym, jak kochany przez lud był król Lucas.

Harristan wpatruje się we mnie. Wyraz jego twarzy zmienia się w taki sposób, jakby czytał mi w myślach.

– Był, to prawda. – Wskazuje ręką na krzesło. – Siadaj.

Zmuszam stopy do ruchu. Król przygląda mi się uważnie. Po tonie, jakim powiedział „Przecież słyszałaś”, nie chcę mu znów kazać czekać. Opada wolno na krzesło u szczytu stołu, a ja siadam tak gwałtownie, że muszę przytrzymać się krawędzi blatu, żeby się nie przewrócić.

Jakby na niewidzialne skinienie, lokaj wychodzi z kąta. Tkwił tam tak cicho, że prawie o nim zapomniałam. Stawia przed nami po szklanym kielichu, potem po porcelanowej filiżance na delikatnym spodku. Najpierw przed królem, następnie przede mną. Do kielichów nalewa wodę, a do filiżanek herbatę. Napar ma ciemnoszary kolor

i pachnie niebiańsko. Lokaj nalewa mleko do herbaty króla i wsypuje łyżeczkę cukru, potem zerka na mnie.

– Mleko i cukier dla panienki?

Nie mam pojęcia, lecz pójdzie za królewskim przykładem wydaje się dobrą taktyką.

– Tak, poproszę, proszę pana.

Gdy lokaj wraca na miejsce, król Harristan przeciąga palcem po krawędzi filiżanki, ale nie pije.

– Znałaś mojego ojca?

Co za nedorzeczne pytanie. Mimo wszystko brzmi szczerze, więc potrząsam głową.

– Nie, skąd, Wasza Królewska Mość.

– Łatwo jest kochać króla, gdy wszyscy są najedzeni i zdrowi – oznajmia. – Trochę trudniej, kiedy tak nie jest...

Nie mówi tego w arogancki sposób. Raczej refleksyjny. Jest tak surowy, że ten sentymentalizm bardzo mnie zaskakuje. Nie jestem pewna, jak zareagować.

Wreszcie pociąga łyk herbaty.

– Corrick mówi, że kradniesz lek i rozprowadzasz go wśród ludzi.

Zastygam z ręką na uchu filiżanki.

– Zakradłaś się do pałacu i darowano ci życie – ciągnie król Harristan. – Za mówienie tym bardziej nic ci nie grozi.

– Czy darowano mi życie na... yy... zawsze? – wykrztuszam chrypiącym głosem.

– *Na zawsze?* Takiej władzy chyba nie mam. Tak czy siak, nie wezwałbym cię tu, gdybym chciał słuchać kłamstw podszytych strachem. – Urywa. – Czy mój brat myli się co do twojego „zajęcia”?

Nie trać ducha. Mój mózg zaczyna mi podsuwać obrazy, zanim jestem na nie gotowa. Wes w chacie, pomagający mi w odważaniu i odmierzaniu. Dzieci, które musimy podstępem skłaniać do wzięcia lekarstwa. Kobiety wypłakujące się na moim ramieniu, gdy pojawiają się z fiolkami, bo bały się, że stracą całą swoją rodzinę. Mężczyźni, którzy chcą pominąć swoją dawkę, żeby było więcej dla innych.

– Powiedz mi – naciska król.

To nie jest rozkaz. To prośba.

Mrugam ze zdziwienia. Powracają do mnie wspomnienia z ostatniej nocy. Rozmowa Harristana i Corricka. Są blisko, rozmawiają ściszonymi, za to pełnymi emocji głosami. Nie słuchałam. Chciałam tylko uciec. Ale mój umysł zarejestrował tamte słowa, żeby później je odtworzyć. Żeby odtworzyć je teraz.

„Cory. Nie podoba mi się to”.

Nie myliłam się. Król Harristan ma granice. Nie tak po prostu. Ma słabość do swojego ludu.

Wracam pamięcią do dnia, kiedy ośmiu przemytników miało zostać straconych przed bramą do Sektora Królewskiego. Władca wyglądał na zimnego i nieobecnego. Myślałam, że jest obojętny na nasze cierpienie, znudzony karą, która nas spotyka. Myślałam, że to znaczy, że jest okrutny, tak jak wielu z nas wierzy.

Lecz może ten chłód i dystans wynikały z tego, że wcale nie chciał tam być?

Jak to powiedział Corrick? *„Życzliwość czyni cię bezbronną, Tesso. Nauczyłem się tego dawno temu”.*

Harristan też musiał się tego nauczyć. On też stracił rodziców – i odziedziczył królestwo, które było na granicy rozpadu.

Nie chcę czuć żadnej więzi, żadnego współczucia ani dla niego, ani dla jego brata. Są okrutni i zimni, uczynili tak wiele zła. Jednak widok ciał zwisających z bram to jedno, a księżę Corrick opowiadający mi o ich występkach to zupełnie co innego.

Biorę głęboki wdech.

– Corrick... to znaczy księżę Corr... to znaczy Jego Wysokość...

– Wiem, kogo masz na myśli.

– Tak. Oczywiście. – Zawieszam głos. – On ma rację. Kradnę lek. Ale nie jestem przemytnikiem. Daję go tym, których na niego nie stać.

– Czy uważasz, że ludzie, którzy lek uczciwie kupili, mają do niego prawo?

Waham się. Jego oczy wwiercają się w moje.

– Powiedz, co naprawdę myślisz, Tesso. Jeśli nie powiesz mi prawdy, resztę swoich dni możesz spędzić w Twierdzy i życzenia mojego brata na nic się zdadzą.

Wpatruję się w niego. Stałam przed Wesem i mówiłam mu, że nadszedł czas rewolucji. Że powinniśmy wyjść z cienia. No

i wyszłam. Jestem przed obliczem króla, a on pyta mnie o prawdę.

W takim razie dam mu ją.

– Wasze dawki są za duże – oznajmiam. – Bierzecie więcej lekarstwa, niż potrzebujecie.

– Skąd możesz to wiedzieć?

– *Wiem*. Mój ojciec był zielarzem i nauczyłam się od niego odmierzać dawki. Ludzie, których leczymy, są tak samo zdrowi, jak ludzie przyjmujący sześciokrotnie większą porcję. – Mówię za dużo, ale gdy już zaczęłam, nie potrafię przestać. – Mój ojciec powtarzał, że za duża dawka leku może być tak samo szkodliwa jak za mała. Zastanawiam się czasami, czy Wasza Królewska Mość nie zdołałaby wyleczyć wszystkich poddanych, gdyby bardziej restrykcyjnie dysponować lekiem. A gdy do eliksiru doda się odrobinę olejku różanego...

– Kradniesz razem z ojcem?

– Ja... Słucham? Nie. Mój ojciec... moi rodzice nie żyją. – Przełykam ślinę. – Od dwóch lat.

Ku mojemu zdziwieniu wygląda na wstrząśniętego. Odchyła się w tył na swoim fotelu.

– Moje wyrazy współczucia.

– Ach tak? – rzucam bez zastanowienia. – Zostali zabici przez nocny patrol. *Twój* nocny patrol, Wasza Królewska Mość.

– Więc twój ojciec był przemytnikiem? Nielegalnie handlował lekiem?

– Nie! – Równie dobrze król mógł mi wymierzyć policzek. Chwytam się krawędzi stołu. – Mój ojciec... był... był dobrym człowiekiem.

– Robił to, co ty?

– Tak.

– Czyli, zasadniczo, kradł?

Spoglądam na niego z gniewem.

– To nie to samo.

– Dla nocnego patrolu to żadna różnica.

Popija łyk herbaty z filiżanki. Mam ochotę chlusnąć mu nią w twarz.

Może Corrick nie obciął mi dłoni, lecz mam wrażenie, że strażnicy stojący pod ścianą by to zrobili.

– Nie chciałem cię zdenerwować – mruczy Król Harristan. – Ale jeśli chcesz mnie obwiniać za to, co spotkało twoich rodziców, może powinnaś wziąć także pod uwagę życiowe wybory, jakich dokonali. Każdy przemytnik ma jakieś usprawiedliwienie. Kara jest wszystkim znana. Jak mogę przymykać oko na jedno złodziejstwo, a na inne nie?

Zaciskam palce na krawędzi stołu tak mocno, że aż czuję ból. Myli się.

A jednocześnie... ma też rację. Dokładnie taki sam spór toczyłam z Wesem po drugiej stronie muru. *Dla króla i jego brata to żadna różnica.*

– Jakie mamy inne wyjście? – prychem ze złością. – Ludzie umierają.

– Wiem.

Zamieram. Znow ta nuta w jego głosie. On wie. I przejmuje się tym.

– Może dla nocnego patrolu to żadna różnica – dodaję szorstko – jednak dla kogoś, kto próbuje przetrwać, owszem.

– Moim zdaniem ludzie, którzy kupują lek legalnie, robią to, bo też chcą przetrwać.

– Jeśli ktoś z głodu kradnie bochenek chleba...

– To nadal jest kradzież.

Jego głos się nie zmienia.

– Czy ty, królu, kiedykolwiek zaznałeś głodu? – pytam zuchwale.

Zapada cisza. Nagła i gwałtowna. Nie. Oczywiście, że nie. Nie spuszcza ze mnie wzroku.

– Skoro miałaś tę teorię o płatkach Księżycowego Kwiatu i o dawkach, dlaczego jej nie ujawniłaś?

– Komu? – wypalam stanowczym głosem. – Właśnie to mówię, a ty, królu, mi nie wierzysz!

Wpatruje się we mnie niewzruszony, przesuwał palcem wokół krawędzi filizanki. Opieram się z zakłopotaniem o oparcie krzesła.

– Wasza... hm... Królewska Mość.

– Powiedziałaś „my”.

– Co? – Przez całą tę rozmowę nie mogę złapać tchu.

– Masz na myśli Benefaktorów?

– Nie! Nie mam pojęcia, kim są.

– Powiedziałaś: „ludzie, których leczymy, są tak samo zdrowi”.
My, czyli kto?

Marszczę czoło. Wiele osób w różnych sektorach ma króla za niezbyt rozgarniętego i gburowatego nieroba, spędzającego czas na błahostkach, ale siedząc naprzeciw niego widzę, jak bardzo się mylą. Nie mam wrażenia, że można go łatwo zbyć byle kłamstwem. Przeciwnie, zauważam, że zależy mu na szczerej rozmowie. To jest dla mnie bardziej zaskakujące niż wszystko, co mnie spotkało, odkąd znalazłam się w pałacu.

Biorę głęboki wdech.

– Byłam przy tym, kiedy zabito moich rodziców. Widziałam wszystko. Nocny patrol... oni nie... nie są subtelni. Byłam w rozpacz. Chciałam biec za nimi. Tyle że w cieniu krył się mężczyzna, który mnie złapał, zatrzymał w ciemności. Myślałam, że był wyjęty spod prawa. I rzeczywiście był. Ale nie był przemytnikiem. Ratował życie innych, kradnąc dla nich lek. Ocalił mi życie. – Ku mojemu zdziwieniu, czuję ścisk w gardle. Czuję, jakbym znów opłakiwała Wesa, choć w zupełnie inny sposób. –

Zostaliśmy... przyjaciółmi. Partnerami. Razem pomagaliśmy ludziom.

– I co stało się z twoim przyjacielem?

Szkoda, że nie mam już chusteczki Quinta. Trę oczy palcami.

– Następnej nocy po nieudanej egzekucji chciał przestać. Mówił, że to zbyt niebezpieczne. Ale błagałam go, żebyśmy robili to dalej. Ja nie... ja nie... – Głos więźnie mi w gardle. Nie mogę złapać tchu. Przyciskam rękę do piersi i przymykam powieki.

On nie istniał. Wes nie istniał naprawdę. Nie zawisł na murach. Wcale nie istniał.

– Został schwytany – dokańcza król Harristan.

Przełykam ślinę. Odpowiadam skinieniem głowy. Oddycham.

– Spójrz na mnie.

Zmuszam się do otwarcia oczu. Znów wpatruje się we mnie, lecz jego głos nie jest już beznamiętny.

– A co z ludźmi, którym pomagaliście? Co się z nimi stanie?

Ocieram policzki.

– Zachorują i umrą – dukam. – Albo nie. To samo, co z każdym, kto nie przyjmuje eliksiru.

– Finn – woła król. Dopiero po chwili uświadamiam sobie, że nie mówi do mnie.

Lokaj odkleja się od ściany.

– Wasza Królewska Mość.

– Sprowadź Quinta.

Marszałek musiał być w pobliżu, bo zjawia się w mniej niż minutę. Król Harristan nawet nie daje mu się odezwać, choć widać, że Quint jest do tego przyzwyczajony, ponieważ już czeka z piórem.

– Zorganizuj spotkanie z dworskimi lekarzami i zielarzami w sprawie wielkości dawek w Sektorze Królewskim. Tessa przedstawi im jutro swoje spostrzeżenia...

– Co? – rozlega się mój piskliwy głos.

Quint przerywa pisanie i przykłada palec do ust. Zamykam buzię.

– Chcę szczegółowe zestawienie dawek leku dla każdego sektora z uwzględnieniem liczby mieszkańców i wskaźnikami skuteczności. Niech Corrick je przejrzy. Wydadź oświadczenie, że wtargnięcie do pałacu było nieporozumieniem, że to tylko zaniepokojona obywatelka, zielarka, chciała dostarczyć wyniki swoich badań i obserwacji pałacowi.

Gapię się na niego. Król Harristan spogląda na mnie obojętnie.

– Nie mogę ci zapewnić życia na zawsze – mówi – za to mogę ci zapewnić kilka dni na potwierdzenie twojej wersji. Chcę poznać szczegóły twojej teorii.

Nie wiem, co powiedzieć.

– Wdzięczność odbiera jej mowę, Wasza Królewska Mość – wtrąca Quint.

Król miażdży go wzrokiem.

– Idź już, Quint. I zabierz ją ze sobą.

– Oczywiście. – Marszałek zamyka swój notes i podaje mi ramię.

– Dziękuję? – szepczę. Nie jestem pewna, czy rzeczywiście czuję wdzięczność. Nie jestem pewna, czy tego chcę.

Quint poklepuje mnie po dłoni spoczywającej na jego ramieniu.

– Chodźmy, moja droga. Etykieta czeka.

Rozdział dwudziesty

Corrick

Rzadko jestem wzywany do Twierdzy za dnia, a w tym tygodniu dzieje się to już drugi raz. To w ogóle nie jest przyjemne miejsce, ale nocą jest tam zwykle chłodno, przez co zapach daje się znieść, i cicho, bo nawet najwięksi przestępcy czasem śpią.

W dzień to istne piekło.

– Naprawdę musisz coś zrobić z tym smrodem – odzywa się Allisander, przykrywając chusteczką twarz, gdy przechodzimy przez bramę.

Może to piekło dlatego, że on tu jest.

A może dlatego, że ja tu jestem. Powinienem być w pałacu. Powinienem czuwać nad Tessą. Cały czas myślę o tym, jak rzuciła we mnie kieliszkiem brandy, i wyobrażam sobie, że to samo robi mojemu bratu.

Zbyt łatwo to sobie wyobrazić. Choć dowody mogą temu przeczyć, naprawdę jestem bardziej tolerancyjny niż mój brat. *Na Boga, Tesso.*

– Nie powiedziałaś nic o tej dziewczynie – dodaje Allisander.

Tej dziewczynie. Jego lekceważący ton wyprowadza mnie z równowagi. Z trudem udaje mi się to ukryć. Ta *dziewczyna* jest odważna. Jest cudowna. Jest silna. Pełna współczucia. Ta dziewczyna robi więcej dla Kandali niż zepsuty konsul stojący przede mną.

– Masz na myśli tę młodą kobietę, która jakoby miała spędzić noc w moich komnatach?

Strażnik odsuwa się i przytrzymuje dla nas drzwi prowadzące do klatki schodowej.

– No... tak – odpowiada Allisander. – Tak twierdzi Arella...

– Doskonale wiem, co myślała sobie Arella, i wiem, co myślisz ty.

– Spoglądam na niego gniewnie, a on ma czelność udawać zaskoczenie. – Była w błędzie. Podobnie jak ty.

Gapi się na mnie znad chusteczki.

– Chodzą plotki, że zakradła się do pałacu, żeby zabić Harristana.

W jego głosie słychać niepokój. Przez głowę przemyka mi myśl, że może pozostała w nim jakaś isierka przyjaźni. Jednak jego kolejne słowa pozbawiają mnie tych złudzeń.

– Mogła współpracować z przemytnikami, których złapałem, a ty ją dopuściłeś do króla.

Aha. No oczywiście. Idę w dół schodami, patrząc przed siebie.

– Gdyby to była prawda, raczej by już nie żyła.

Tylko świszcze na mnie zza chustki.

– Cóż, raczej nie masz zwyczaju sprowadzać przemytników do swoich komnat.

– Konsulu, mam nadzieję, że nie ściągnąłeś mnie do Twierdzy przed śniadaniem na rozmowę, którą mogliśmy odbyć w pałacu. – Docieramy na dół. Zerkam na niego. Nie mogę dopuścić, by nadal wyciągał ze mnie informacje o Tessie, w każdym razie do czasu, aż dowiem się, co powiedziała mojemu bratu. – Opowiedz mi o swoich więźniach.

Przez chwilę jest naburmuszony jak dziecko, któremu ktoś pokrzyżował plany.

– No więc... zaatakowali nas w Dzicy. Mieliśmy sześć pełnych wozów, między ładunkiem Lisy i moim. Były ich dziesiątki, pojawili się znikąd.

Zatrzymuję się w ostatnim korytarzu, przed skrzyżowaniem prowadzącym na najniższy poziom lochów. Wisi tu na ścianie samotna latarnia, rzucająca cienie na policzki Allisandra. Niewiele rzeczy jest teraz w stanie oderwać moje myśli od Tessy, ale jego ostatnie słowa tak.

– Dziesiątki? – powtarzam. – Napastników były dziesiątki?

– Tak. Znacznie więcej niż ta garstka, którą namierzyliście w Stalowym Mieście. – Odchrząkuje i pewnie krzywi się pod chusteczką. – Oczywiście nie zdołaliśmy pojmać wszystkich. Bóg jeden wie, ile paczek zdołali ukraść.

– Nie prowadzicie ewidencji?

– Ależ oczywiście, że prowadzimy. Tyle że jeden z wozów podpalili.

– Podpalili?

– Tak. Mieli płonące strzały. I pochodnie. Byli zorganizowani. Musieli wiedzieć, że będziemy jechać. Zatwierdziliśmy transport

ledwie dwa dni temu, a ze względu na jego wielkość, wiedziało o nim zaledwie kilka osób. – Wydaje z siebie dźwięk zniesmaczenia. – Wiedziałem, że tych pierwszych ośmiu to nie koniec. Muszą być ich setki. Tylko czekają, żeby zniszczyć nasze transporty. Oni są zagrożeniem dla całej Kandali, Corricku. Trzeba ich powstrzymać.

– Zgadzą się. – I tak jest naprawdę. Jeśli uda im się wystraszyć Allisandra i Lissę, w ogóle przestaną wysyłać transporty. Albo zażądają od sektorów, by te, nakładem ludzi i kosztów, na które nie mogą sobie pozwolić, sami odbierali lek. Ciekawe, czy wśród więźniów są jacyś spośród zbiegłych w czasie zamieszek.

– Przesłucham ich. Postaramy się wydobyć z nich, co się dzieje.

– Dobrze.

Skrećmy za róg. Śmierdzi bardziej niż zwykle. Jest też ciszej. Przed południem spodziewałem się krzyków i przekleństw dobiegających z cel, ale nikt się nie odzywa. Jest tu czterech strażników, witają mnie skinieniem głowy. Wyglądają na... znudzonych. Zatrzymuję się przy pierwszych kratkach i zaglądam do środka.

Na podłodze, z twarzą zwróconą do tylnej ściany, leży kobieta. Najpierw widzę jej brązowe włosy, w nieładzie, rozrzucone obok jej głowy. Tak bardzo przywykłem do wypatrywania Tessy wśród przemytników wrzuconych do Twierdzy, że przez chwilę poczułem skurcz żołądka. To nie ona. Przecież to wiem. To niemożliwe.

Zresztą nawet nie jest do niej podobna. Jest starsza, ma o kilka tonów ciemniejszą karnację. Twarz ma mocno posiniaczoną, pękniętą krwawiącą wargę. Na jej ustach siada mucha, jednak ona nawet nie drgnie – albo jest nieprzytomna, albo śpi. Jedno ramię wydaje się wygięte w nienaturalny sposób.

Nie mogę się pozbyć tego uczucia ścisku w żołądku.

W milczeniu idę dalej. Tym razem widzę mężczyznę po trzydziestce. Oczy zamknięte, złamany nos pokryty zakrzepłą krwią. Ubrania podarte, z karmazynowymi plamami w tak wielu miejscach, że nie sposób zgadnąć, gdzie znajduje się rana. Oba ramiona wyglądają na złamane.

Zaciskam szczękę.

Następna cela. Kolejny mężczyzna, tym razem dwudziestoletni. Pokrwawiony, posiniaczony. Także nieprzytomny. Ma złamaną nogę.

Następna cela. Trzeci mężczyzna, znacznie starszy. Broda przyprószona siwizną. Cały bok twarzy ma posiniaczony i opuchnięty, oko wydaje się zaklejone zakrzepniętą krwią.

W następnej celi jest kobieta, jej oddech jest ciężki i charczący. Twarz ma brudną, lecz bez śladów pobicia, stopy są nagie i krwawiące. Jest w ciąży. Gdy się przy niej zatrzymuję, otwiera z trudem oczy i kaszle z twarzą ukrytą w słomie leżącej na podłodze. Widzi, że ją obserwuję. Czekam, aż w jej oczach pojawi się strach.

Ale zamiast niego pojawia się rezygnacja.

– Pomyślałam, że śmierć tu będzie szybsza niż od gorączki – mówi chrapliwym głosem, mrugając nerwowo.

Allisander wspomniał, że byli zorganizowani, że to był zaplanowany atak, jednak żadne z nich nie wygląda na członka zorganizowanej bandy. Ciekawe, czy są chorzy.

– Dopilnujemy, żeby była boleśniejsza – wtrąca Allisander. Kopie w podłogę, wzbudzając tuman kurzu i brudu, który rozszedł się po celi.

Kobieta znów kaszle, plując krwią na kamienną podłogę.

– Domyśliłam się. Udowodniłeś to, kiedy się poddaliśmy.

Dopiero po chwili te słowa we mnie uderzają. Odwracam się do towarzysza.

– Poddali się?

– Oczywiście. Mieliśmy solidny oddział strażników. Gdy uświadomiliśmy sobie, że nas zaatakowano, zdołaliśmy otoczyć połowę z nich, jednak większość zdołała zbiec do Dżicy.

Na zakrwawione usta kobiety wstępuje uśmiech.

– Dzięki Benefaktorom jeszcze ich zobaczycie.

Zamieram. Pamiętam okrzyki podczas rozruchów przed bramą.

– Kim są Benefaktorzy?

Zamyka oczy. Allisander uderza ręką w kraty.

– Jeszcze zaczniesz gadać.

Nie odzywa się.

Konsul bierze wdech, jakby miał zamiar dalej pluć jadem. Ale ona nic nie powie, a on nie będzie usatysfakcjonowany, dopóki nie zgotuję więźniom prawdziwego koszmaru, by uzyskać odpowiedzi. Zrobię to, jeśli nie będę miał wyjścia, lecz nie dla jego osobistej satysfakcji. Idę do następnej celi. Allisander zamyka gębę i rusza za

mną. Znow mężczyzna. Siedzi wyprostowany w kącie, trzyma się za nadgarstek oparty na kolanach. Oczy ma przymknięte. Jest blady i zlany potem, oddycha szybko.

Uświadamiam sobie, że dostarczaliśmy mu z Tessą lek. Nazywa się Jarvis, ma śliczną żonę o imieniu Marlea. Ciekawe, czy ją także znajdę w jednej z cel. Mieszkają w Artis, na granicy Dżicy. On jest murarzem, a ona zarabia cerowaniem ubrań. Jest potężny i umięśniony, a przy tym należy do najłagodniejszych ludzi, jakich spotkałem. Większość z tych, którym dostarczaliśmy lek, ochoczo krytykowała króla i mnie, ale Jarvis powtarzał zawsze, że „na pewno człowiek robi, co może”. Jakoś trudno mi go sobie wyobrazić napadającego na transport.

Z drugiej strony Tessy zakradającej się do pałacu też nie mógłbym sobie wyobrazić.

Tessa. Skurcz żołądka jeszcze bardziej się wzmaga. Zerkam na konsula.

– Jeśli się poddali, dlaczego są w takim stanie?

Unosi brew, jakbyśmy byli towarzyszami broni, co jest okropnie zabawne.

– A czy to ma jakieś znaczenie?

Nie mam zamiaru przed nim grać.

– Tak.

Fragment jego twarzy, który widzę, robi się poważny. Mam ochotę zabrać mu tę chusteczkę.

– Dlaczego? – dziwi się.

– Bo nie mogą przesłuchiwać półprzytomnych więźniów. Moje strażę to wiedzą. Jeśli ktoś się podda, trafia do Twierdzy. Cały i zdrowy. Wydałeś im inne rozkazy?

Allisander się waha. Próbuje odgadnąć moje myśli. Nie daję mu szansy. Odwracam się do strażnika stojącego przy ścianie.

– Stanton. Niech lekarz więzienny opatrzy ich rany. I nakarmić wszystkich. Wrócę wieczorem.

– Tak, Wasza Wysokość – odpowiada ze skinieniem głowy.

Allisander wreszcie opuszcza chusteczkę.

– Chyba nie mówisz poważnie.

– Owszem – potwierdzam. – Jeśli chcesz informacji, muszą być w stanie jej udzielić.

Odwracam się w stronę schodów. Nie idzie za mną.

– Najpierw bierzesz dziewczynę, która mogła być zamachowcem, do swojego pokoju, a teraz opiekujesz się więźniami? Dlaczego ta dziewczyna nie jest tu, w celi? Co, Corricku?

Ignoruję go i znów odwracam się do Stantonona.

– Niech strażnicy, którzy ochraniaли transport, stawią się w pałacu. Chcę z nimi pomówić.

Podchodzę do Allisandra, przeganiając po drodze z głowy każde wspomnienie o Tessie. Wysyłam moje myśli w mroczne miejsce, które przypomina mi, jak czułem się, kiedy rodziców zabito na moich oczach.

– Chciałbyś, żebym udowodnił, że nie zmiękłem, konsulu?

Mój głos jest zimny, jednak Allisander nie ma zamiaru wycofać się ze swoich słów. Może i przyjaźnił się kiedyś z Harristanem, ale na moich relacjach z nim zawsze ciążyła przede wszystkim polityka. Czasem myślę, że unika mojego brata, jakby to, jak przed laty potoczyła i urwała się ich przyjaźń, nadal sprawiało mu ból. Natomiast my dwaj zawsze stawaliśmy naprzeciw siebie na równych prawach. Tymczasem teraz Allisander sprawia wrażenie, jakby chciał mnie sprawdzić. To do niego niepodobne. Zastanawiam się, ile plotek krąży już na temat Tessy. Zastanawiam się, na ile fakt ucieczki więźniów podczas zamieszek odbierany jest jako przejaw mojej słabości. Zastanawiam się, czy będę musiał zrobić coś potwornego, żeby uciszyć te plotki.

Bez ostrzeżenia umysł podsuwa mi obraz Tessy na podłodze mojego pokoju, drżącej i przerażonej. Zawsze myślała o innych. Ja też, lecz nie tak, jak ona. Patrzyła na Westona – na mnie – z takim oddaniem. Nie zasługiwałem na nie wtedy, a już tym bardziej teraz.

Ta świadomość spada na mnie niczym potężny cios.

Coś w wyrazie mojej twarzy musiało zdradzić chwilową słabość, wrażliwość, bo Allisander robi krok wprzód i odpowiada mi prowokacyjnie:

– Tak, Corricku. Chciałbym.

– Doskonale. Masz zakaz wstępu do pałacu, aż przypomnisz sobie, że jestem Najwyższym Sędzią Królewskim, a ty konsulem Księżycowych Równin. Nie będziesz zmieniał rozkazów, które wydaję moim strażom chroniącym twoje transporty, i nie będziesz...

– Nie możesz zabronić mi wstępu do pałacu. – Wygląda, jakby chciał mną rzucić o ścianę.

– Mam ci znaleźć celę wśród twoich przyjaciół? Jest trochę tłoczno. Może do kogoś dołączysz?

Jego dłonie zaciskają się w pięści, a oczy stają się zimne.

– Nie – cedzi przez zaciśnięte zęby.

Unoszę brwi.

– Nie – powtarza – Wasza Wysokość.

– Zapamiętaj to sobie – rzucam ze złością. – Nie tylko w twoim sektorze rośnie Księżycowy Kwiat. – Odwracam się do schodów i ruszam, nie sprawdzając, czy za mną pójdzie.

Od dwudziestu minut czekam na Harristana. Zaraz zacznę chyba zdzierać tapetę ze ścian. Jednak zamiast tego wpatruję się w stos papierów rosnący przede mną: szczegółowe zestawienia przydziałów leku dla każdego sektora razem z najnowszym spisem ludności dla poszczególnych miast i statystykami zgonów, zachorowań i przestępstw. To więcej informacji, niż mógłbym kiedykolwiek potrzebować.

– Co to jest? – pytam gońca, gdy wnosi kolejny stos.

– Z rozkazu króla, Wasza Wysokość – odpowiada i z szybkim ukłonem wychodzi, by za chwilę pojawić się znowu, z następną porcją. Patrzy z powątpiewaniem na zawalony papierami stół. Mam ochotę mu powiedzieć, żeby rzucił to wszystko w ogień.

– Po prostu połóż na podłodze – mruczę.

Posłałem wiadomość Quintowi w nadziei, że wpadnie tu z informacjami o spotkaniu Tessy z moim bratem, ale okazuje się, że musi pilnie rozwiązać jakiś problem z kuchennym personelem.

Nie mam pojęcia, co robi teraz Harristan ani dlaczego kazał mi to wszystko przynieść. Jemu też posłałem wiadomość, jednak otrzymałem tylko lakoniczną odpowiedź: „Później”.

Podchodzę do kredensu i nalewam sobie kieliszek wina. Goniec powraca z kolejnym stosem. Boże! Zlewam wino z powrotem do butelki i przerzucam się na brandy.

Lubię konkret i nie mam nic przeciwko przekopywaniu się przez góry dokumentów, tyle że to... to trochę za dużo. Nawet nie jestem pewien, czemu to ma służyć.

Chcę posłać wiadomość Tessie, ale nie przychodzi mi do głowy nic, co przeczytane przez posłańca nie stałoby się powodem do plotek. Muszę się dowiedzieć, jak wyglądało spotkanie z Harristanem, żebym mógł zdecydować, jak mają być postrzegane nasze relacje.

Nie mogę też przestać myśleć o tych Benefaktorach i o tym, kim są. Czy ktoś stoi za tymi atakami, napadami? Za podjęcie takiego ryzyka ludzie oczekują jakiejś zapłaty – pieniędzy albo leku. Inaczej ryzyko po prostu się nie opłaca.

Jeśli ataki będą się powtarzać, Allisander zacznie opóźniać dostawy. A to stanowi zbyt duże ryzyko dla Kandali.

Tamtej nocy, kiedy po raz ostatni byłem Westonem Larkiem, zapytałem Tessę, czy wie, kim są Benefaktorzy. Nie wiedziała. Nie okłamałaby Wesa. Szkoda, że zabrakło nam jeszcze jednej nocy, jeszcze jednej okazji, żeby porozmawiać z ludźmi.

Ale oczywiście zmarnowałem szansę na to.

Przeciągam rękami po włosach. Jest dopiero wczesne popołudnie, a ja już jestem wykończony.

Gdy znów pojawia się goniec z papierami, nie wytrzymuję.

– Wystarczy – rzucam ostrym tonem.

Goniec wzdryga się i nieomal je upuszcza. Wzdycham.

– Połóż je na podłodze. Poślę po ciebie, kiedy przejrzę to, co już przyniosłeś.

Pewnie za rok.

Wreszcie, po godzinie udręki, straż anonsują mojego brata. Po tym, ile kazał na siebie czekać, spodziewam się, że wpadnie tu jak burza, tymczasem wchodzi niespiesznie, pozwalając drzwiom zamknąć się za sobą.

– Corricku. – Rozgląda się po stosach teczek i papierów, marszcząc czoło. – Co to?

– Ty mi powiedz. – Pociągam łyk z kieliszka. – Przyniesiono tu to wszystko z twojego rozkazu.

– A tak. Ta dziewczyna mówi, że dawki, które stosujemy w Sektorze Królewskim, są za duże. Sprawdzisz, czy jakieś dane to

potwierdzają? Królewscy lekarze już się temu przyglądają, ale ty jesteś w tym lepszy. – Mówiąc to, macha ręką, wskazując na papiery.

Co ma znaczyć, że jemu brak cierpliwości albo czasu. Mnie też. Naprawdę. Serce wali mi z niepokoju o to, co powiedziała mu Tessa.

– A na kiedy chciałbyś tę analizę?

Siada na krześle naprzeciw mnie i podnosi okładkę jednej z teczek, by po chwili dać jej opaść.

– Na jutro.

Krztuszę się drinkiem.

– Mam na to aż cały *dzień*, Harristanie? Dlaczego nie godzinę?

– Nie pozwolę jej zostać w pałacu, jeśli nie da się potwierdzić słuszności argumentów, dla których tu jest.

Odstawiam szklankę i wpatruję się w niego. On wpatruje się we mnie.

Wczorajszej nocy, w mroku jego cichej komnaty, powiedział, że coś przed nim ukrywam, jednak nie żądał odpowiedzi. Teraz też ich nie żąda. Mimo to jego stanowisko jest jasne.

Z jednej strony jestem zaskoczony, a z drugiej – nie, bo Tessie udało się przekonać mojego brata, że powody, które przywiodły ją do pałacu, są słuszne. Co więcej, z jej pojawienia się może wyniknąć coś dobrego.

– Przejrzę te zestawienia – mówię cicho.

– Dobrze. – Sięga po mój kieliszek i pociąga łyk brandy. – Wiesz, że nie możesz zabronić Allisandrowi wstępu do pałacu na zawsze.

Wykrzywiam twarz.

– Nie spodziewałem się, że wiadomość dotrze do ciebie tak szybko.

– Niemal natychmiast złożył skargę.

– Ze schodów pałacu, jak mniemam.

Harristan się nie uśmiecha.

– Prawdę mówiąc, tak. – Zawiesza głos. – Nawet jeśli nasze dawki są niewłaściwe, nie możemy zrazić do siebie naszego głównego dostawcy.

– Allisander się rozzuchwalił.

– Arella może domagać się pobłażliwości, ale to nie ona jest głównym dostawcą Kandali. I nie Roydan.

Wiem to. I on wie, że ja wiem. Stawia kieliszek na stole, na co od razu go przejmuję.

– Wisielcy na bramach nie powstrzymali przemytników – stwierdzam. – Przeciwnie, stali się jeszcze bardziej zdecydowani.

– To na pewno. Zakradają się do pałacu i trafiają prosto do komnaty mojego brata.

Opróżniam kieliszek i odwracam się.

– Na Boga, Harristan.

Przez chwilę mam wrażenie, że będzie chciał coś ze mnie wydusić. Mój brat nie jest głupi. Wie, że nie powiedziałem mu wszystkiego o Tessie. Sam przyznał to wczoraj wieczorem.

Ale tylko rzuca okiem na papiery i wstaje.

– Masz dużo pracy. – Klepie mnie po ramieniu i odwraca się w stronę drzwi. – Zajmę się Allisandrem.

– Dziękuję.

Nie mogę tego powiedzieć głośno, lecz dziękuję mu nie tylko za zajęcie się poirytowanym konsulem. Dziękuję mu za zaufanie. Za to, że mogę mieć sekrety.

Za to, że mogę chronić Tessę.

On też to wie, bo uśmiecha się lekko.

– Proszę bardzo, Cory.

Potem uśmiech znika, a on sięga do klamki.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Corrick

Quint siedzi rozwalony na krześle w mojej komnacie, jedząc truskawki. Za oknem za jego plecami zachodzi słońce. Od dwudziestu minut gada o niczym, co zwykle mi nie przeszkadza, ale moje nerwy są w takim stanie, że za chwilę chyba każę go wyprowadzić.

– I wtedy – mówi dalej – Jonas powiedział strażom, że dziewczyna jest jego siostrzenicą, dasz wiarę? Kogo on chce nabrać?

Walczę ze złotymi guzikami kaftana, aż w końcu zrywam go z siebie i rzucam na łóżko obok innych, które już przymierzałem.

– Mam przecucie, że *gdzieś* w pałacu jesteś teraz pilnie potrzebny.

– To więcej niż prawdopodobne. – Bierze kolejny owoc i odrywa szypułkę. – Przymierz jeszcze raz czarny.

Marszczę czoło. To pierwszy kaftan, jaki Geoffrey wyjął z mojej szafy i pewnie w tym najchętniej by mnie widział. Odrzuciłem go, gdy sobie uświadomiłem, że za bardzo przypomina mi o tym, co robię dla mojego brata. Obawiam się, że mógłby też przypomnieć Tessie, co robię dla mojego brata. Sięgam więc po czerwony.

– Absolutnie nie – protestuje Quint.

Odkładam go z westchnieniem i przeciągam ręką po szczęce. Marszałek odstawia truskawki i przechodzi obok stosu ubrań na moim łóżku.

– Naprawdę, Corricku. Dziewczyna widziała cię w wełnie i suknie. – Przegląda zawartość szafy i po chwili coś z niej wyciąga. – Proszę.

Kaftan z granatowego brokatu, ze słabo widocznym wzorem liści w nieco ciemniejszym kolorze, z czarnym jedwabnym kołnierzykiem i srebrnymi lamówkami. Ze srebrnymi polerowanymi guzikami. Jest miękki i prosty, nigdy jeszcze go nie nosiłem – nie jest w moim stylu.

– Nie – burczę.

– Księciem być nie chcesz, a wyjętym spod prawa być nie możesz. Mamy ci stworzyć następną tożsamość?

– Quint.

Trzyma przede mną kaftan jak kamerdyner.

– Wiesz, że o tej porze salon jest już pełen dworzan. Chcesz zostawić tę dziewczynę na pastwę tych żmij?

Nie, nie chcę. I ma rację. Nie ma znaczenia, w co się ubiorę. Nie mogę być tym, kim ona chce, bym był. Wzdycham i wsuwam ramiona w rękawy.

– Nadal mnie nienawidzi.

– Nienawidzi tego, że ją okłamałeś. To nie to samo.

Quint obchodzi mnie dookoła i staje przede mną. Odpycha moje dłonie od guzików i sam je zapina.

– *Nie miałem pojęcia, że umiesz zapinać guziki* – mamrocę, udając zdziwienie.

– Cśś. – Zapina ostatni, strzepuje niewidzialny pyłek z mojego ramienia i robi krok w tył.

Poprawiam rękawy koszuli i uświadamiam sobie, że mnie obserwuje. Tego większość ludzi w nim nie dostrzega: Quint może sprawiać wrażenie rozkojarzonego i powierzchownego, ale naprawdę jest uważnym obserwatorem, który widzi wszystko i o niczym nie zapomina.

– Co? – pytam.

– Słyszałem o dzisiejszym zajściu w Twierdzy. Z konsulem Sallisterem.

– O tym, że zakazałem mu wstępu do pałacu? – pytam warkliwie.

– Harristan już to skomentował.

– Nie. O tym, jak kazałeś opatrzeć i nakarmić więźniów.

Marszczę czoło.

– Sallister pobił większość z nich niemal na śmierć, Quint. Jeśli chcę się dowiedzieć, kto stoi za napadami, potrzebujemy kogoś żywego, kto będzie w stanie mówić. – Marszałek nic nie odpowiada. Przewracam oczami i kieruję się do drzwi. – Nagle nie masz nic do powiedzenia?

– Tessa może być bezpieczna i może nie podobać się jej prawda – mówi cicho – jednak tutaj możesz być tylko księciem Corrickiem.

– Wiem.

– Możesz być tylko Najwyższym Sędzią Królewskim.

Chcę się zdenerwować, lecz nie potrafię. Może potrzebowałem, by ktoś mi o tym przypomniał. Odpowiadam głosem równie spokojnym, jak jego:

– Pamiętam o tym.

– Oczywiście. – Quint sięga w stronę klamki. – Goście czekają, Wasza Wysokość.

Marszałek miał rację. Salon jest pełen. W rogu dostrzegam Jonasa Beechinga popijającego alkohol w towarzystwie młodej kobiety o kruczoczarnych włosach, które spływają po jej plecach. Wygląda na połowę młodszą od niego. Zastanawiam się, czy to nie owa *siostrzenica*, o której wspominał Quint. Jonas musiał poczuć moje spojrzenie, bo zaczyna podnosić wzrok, więc spoglądam w inną stronę. Będzie chciał znów przekonywać, jak bardzo Artis potrzebuje tego mostu, a ja nie mam dziś zamiaru bawić się w politykę.

Jednak po chwili na kilka sekund wracam spojrzeniem do niego, przypominając sobie ten moment przy stole, gdy Allisander wspomniał, że Jonas prosi o zbyt wiele srebra i że może to mieć związek z Benefaktorami finansującymi buntowników. Stale o tym myślę i jakoś mi się to nie składa. Jonas jest zbyt zadowolony z siebie, zbyt szczęśliwy, by próbować wpływać na to, co dzieje się wokół. Dla niego świat może dalej się obracać, jak to robi od tysiący lat, ponieważ żadne zło nie dotyka go osobiście.

Przebiegam wzrokiem po twarzach w poszukiwaniu Tessy, zastanawiając się, czy któraś z dam zdążyła już schwytać ją w swoje szpony. Plotki wypełniają powietrze niczym dym, choć kiedy się zbliżam, głosy cichną, a do moich uszu docierają tylko strzępki komentarzy.

„Podobno jest zielarką”.

„Słyszałam, że spędziła noc z księciem”.

„Nie obchodzi mnie, co mówi jakaś dziewczucha, mój lekarz zaleca cztery dawki dziennie”.

„Lepiej niech uważa na swoje gardło”.

Przewracam oczami. Gdy mijają mnie służący z tacą, biorę kieliszek wina.

„Może to król próbował przemycić ją do pałacu”.

„Może nosi jego bękartą”.

Krztuszę się drinkiem.

Cóż. To będzie zaskoczenie dla Harristana.

Nigdzie nie widzę Tessy. Z trudem powstrzymuję się przed wyciągnięciem z kieszeni zegarka. Po drugiej stronie sali Jonas wygląda, jakby zbierał się na odwagę, żeby do mnie podejść. Jeśli Tessa zaraz się nie pojawi, będę musiał znaleźć sobie kogoś innego do rozmowy albo słuchać jego.

– Wasza Wysokość.

Z boku dobiega mnie ściszony głos. Odwracam się i widzę przed sobą Lisę Marpettę. Razem z Allisandrem kontroluje dostawy Księżycowego Kwiatu w Kandali, ale nie irytuje mnie nawet w połowie tak, jak on. Szczerze mówiąc, wcale mnie nie irytuje. Jest prawie dwa razy starsza ode mnie. Kiedyś przyjaźniła się z moją matką. Często się zastanawiam, czy to nie dlatego nigdy zbyt mocno nie naciska na mnie czy Harristana. Wielu konsulów uważa, że jest zbyt pasywna. Kobieta, która była kiedyś blisko z rodziną królewską i która szczęśliwym zrzędzeniem losu zyskała bogactwo i wpływy. Harristan się z tym nie zgadza. Uważa, że jest bystra. Allisander bez ogródek mówi, czego chce, tymczasem Lissa wydaje się zadowolona z układu, gdzie to on toczy bitwy, podczas gdy jej sektor zbiera owoce.

– Pani konsul – odpowiadam. – Myślałem, że wróciłaś do Emberridge.

– Doszły mnie nowe wieści z pałacu i Allisander przysłał wiadomość, że powinnam wrócić.

Naturalnie, że przysłał.

– Nieporozumienie – odpowiadam gładko. – Dziewczyna przyniosła dowody wskazujące, że należy przyjrzeć się naszym dawkom leku.

Przygląda mi się bacznie.

– Wierzysz dziewczynie z Dżicy bardziej niż królewskim medykom?

– Myślę, że należy wysłuchać każdego, kto może przyczynić się do zwiększenia skuteczności leku.

Lissa się waha.

– Z całym szacunkiem, Wasza Wysokość, ale zalecałabym większą ostrożność.

Pociągam łyk wina.

– Myślisz, że jestem nieostrożny?

– Myślę, że twoi rodzice zbyt ufali ludziom spoza pałacu. – Przez chwilę milczy. – Bardzo lubiłam się z twoją matką. Nie chciałabym, byś ty i twój brat podzielili jej los.

Spoglądam na nią i moje podenerwowanie nieco słabnie. Rzadko którekolwiek z nich zdobywa się na okazywanie wobec nas uczuć, zwłaszcza teraz. Potakuję głową.

– Oczywiście, pani konsul.

Odchodzi, a ja dopijam wino. Nie potrzebowałam, by ktoś przypominał mi o moich rodzicach. Nie potrzebuję przypomnienia, że teorie Tessy są tylko... teoriami.

Nagle tłum milknie. Ktoś nowy przykuwa ich uwagę. Piękna sukienka, jasna cera, burza loków – o mały włos wziąłbym nowo przybyłą za jeszcze jedną damę dworu... aż dociera do mnie, że to Tessa.

Ubrano ją w zachwycającą suknię z karmazynowego aksamitu. Dół kreacji ma rozcięcia, spod których przy każdym ruchu wychodzi kremowy woal. Ramiona ma odsłonięte, za to przedramiona finezyjnie oplecione czerwoną satynową wstążką zawiązaną tuż nad łokciem.

Jest jakby nieobecna, usta ma poważne, oczy jak z kamienia. Prowadzona przez strażę mogłaby wyglądać jak więzień, jednak wygląda jak królowa.

Idzie wolno, przyglądając się mijanym osobom.

Szepty ożywają na nowo. Stoicki wyraz twarzy Tessy zaczyna się zmieniać; widzę, że dobiegają ją pojedyncze komentarze. Oczy stają się rozbiegane, wygląda na coraz mniej zdystansowaną, a coraz bardziej spanikowaną.

Ruszam przez salę.

– Tesso.

Wzdryga się lekko i podnosi na mnie wzrok. Pokojówka podkreśliła jej powieki ciemnymi kolorami, a na policzki nałożyła róż. Usta, pomalowane czerwienią o nieco lżejszym odcieniu niż kolor sukni, lekko się rozchylają. Bierze raptowny wdech.

Kiedy uświadamia sobie, że się gapi, spojrzenie Tessy robi się chłodne, a wargi zaciskają. Chwyta w dłoń brzeg sukni i dyga z gracją, ale bynajmniej nie z pokorą. Najwyraźniej lekcje etykiety poszły dobrze.

– Wasza Wysokość.

Tylko ona potrafi zamienić dworskie dygnięcie w akt oporu. W odpowiedzi kłaniam się i podaję jej ramię.

– Pozwolisz?

Waha się. Za hardością w jej oczach migocze niepewność. Każda z obecnych tu osób obserwuje jej reakcje, czeka na to, co zrobi, jak odpowie. Połowa jest po prostu ciekawa, druga połowa liczy na okrutną rozrywkę, coś, o czym będą mogli od razu zacząć szeptać. Niektórzy mają nadzieję, że poleje się krew.

W głowie dudni mi ostrzeżenie Quinta. „Tutaj możesz być tylko Najwyższym Sędzią Królewskim”.

Być może Tessa zauważyła zmianę na mojej twarzy, bo delikatnie kładzie rękę na moim ramieniu. Czuję drżenie jej palców.

Nadal się mnie boi. To mocno osłabia skuteczność ostrzeżeń Quinta.

Część mnie pragnie to wszystko cofnąć, lecz nie wiem, jak mógłbym cofnąć to wszystko, czym jestem. Kiedy myślę o tym, jak zginęli moi rodzice, nie jestem pewien, czy zrobiłbym to, nawet gdybym mógł.

Gdy podchodzimy do drzwi, te otwierają się szeroko. Czuję powiew chłodnego nocnego powietrza na skórze. Brukowana droga przed pałacem tętni życiem. Konie i powozy przyjeżdżają i odjeżdżają, służący i lokaje uwijają się jak w ukropie. Gdzieś słychać rżenie konia, ktoś woła na tragarza.

Naprzeciw nas staje lokaj.

– Wasza Wysokość. Powóz gotowy.

– Powóz? – szepcze Tessa.

– Myślałaś, że pójdziemy pieszo? – pytam, prowadząc ją w dół schodów.

W dziennym świetle mój powóz ma kolor głębokiego burgunda, za to w blasku księżyca wygląda na czarny. Srebrne zdobienia błyszczą w świetle latarni. Do powozu zaprzęgnięte są cztery konie w błyszczących uprzężach, z małymi dzwoneczkami dzwoniącymi przy głowach. Lokaj przytrzymuje drzwiczki. Podaję Tessie ramię.

Mruży oczy, ignoruje mój gest i wsiada sama.

Już mam podążyć za nią, jednak kapitan Huxley zatrzymuje się przy powozie.

– Wasza Wysokość.

Kapitan straży pałacowej to postawny mężczyzna o blond włosach, rumianych policzkach i słabości do czekolady i gorzkiego piwa. To uczciwy człowiek, o ile mi wiadomo, choć podobno bierze łapówki za wynoszenie plotek z dworu. Był kapitanem już za panowania mojego ojca. Jednak Harristan pominął go przy wyborze swojego osobistego strażnika, za co Huxley do dziś żywi do niego głęboką urazę.

My nie wybaczyliśmy mu tego, że nie ochronił naszych rodziców, więc chyba jesteśmy kwita.

Teraz blokuje drzwi.

– Co? – mrużę, patrząc na niego.

Mój ton wywołuje w nim wahanie.

– Nie wiadomo naprawdę, kim jest ta dziewczyna. Powinienem jechać z Waszą Wysokością.

– Zastanowię się nad tym, a ty tymczasem będziesz jechał za powozem.

Robię krok w bok, żeby go ominąć.

– Niezależnie od tego, co mówi, fakt, że wkradła się do pałacu, pozostaje faktem.

– Tak. Wkradła się. Mijając po drodze twoich strażników.

– Tak, cóż... to znaczy... Wasza Wysokość – zaczyna mamrotać w zdenerwowaniu.

– Jestem bardzo głodny, kapitanie.

Waha się, aż w końcu schodzi mi z drogi.

– Jak Wasza Wysokość rozkaże.

Wsiadam do powozu. Tessa usiadła przodem do kierunku jazdy, dlatego ja opadam na aksamitne poduszki naprzeciw niej. Oczy ma ciemne i zimne, gdy na mnie patrzy, palce ma zaplecione, kostki blade.

Spoglądam na nią cierpko.

– Kapitan Huxley zaoferował, że pojedzie z nami – oznajmiam. – Odmówiłem.

– Niepokoi go sztylet, który ukryłam w fałdach sukni?

– Powiedz to głośniej, a się przekonasz.

Woźnica cmoka na konie. Słysząc świstnięcie bata w powietrzu i nagle powóz zaczyna się kołysać i podskakiwać na kocich łbach.

Nad oknem zwisa mała latarnia, rzucając cienie na policzki Tessy, sprawiając, że czerwone zdobienia na jej sukni błyszczą.

Rozsiadam się wygodnie na poduszkach.

– Powiedz, naprawdę masz sztylet? – Dziewczyna odwraca się do okna.

– Trzymaj ręce przy sobie albo się przekonasz.

– Rozumiem, że mnie nienawidzisz, ale przecież nie możesz aż tak się złościć za przejażdżkę powozem i kolację w najbardziej ekskluzywnym przybytku w Kandali.

Unosi brwi.

– Nie mogę?

Boże, ależ ma tupet.

– W porządku. Może i możesz.

Milczy. Ja też milczę. Cisza między nami robi się coraz chłodniejsza, podkreślana przez rytmiczny stukot końskich kopyt o bruk.

– Przepraszam – odzywam się. – Powiniennem był zacząć od przyznania, że mam u ciebie dług wdzięczności.

Gwałtownie się obraca. Wygląda, jakby myślała, że się z nią drażnię, lecz gdy widzi, że tak nie jest, mruży oczy.

– Dlaczego?

– Bo nie powiedziałaś Harristanowi o... o nas.

Znów odwraca głowę i patrzy w noc.

– W zasadzie powiedziałam. – Urywa, rozprostowując palce. – Powiedziałam mu prawdę. Że miałam partnera, mężczyznę, którego uważałam za przyjaciela, aż został schwytany przez nocny patrol i powieszony na bramie.

Prawdę. Ciekawe, czy tę samą prawdę powtarzała też sobie. Że to nie ma znaczenia, że byłem Westonem Larkiem, bo on nie żyje. Teraz jestem po prostu ja.

Odchrząkuję.

– Myślałam, że to nieważne, skoro i tak nikt mi nie uwierzy.

– Harristan podejrzewa... że jest *coś* między nami.

Od razu kieruje wzrok na mnie.

– Co?

– Pobłażliwość do mnie nie pasuje. – Wzruszam ramionami. – Ale nie dopytuje.

Znów splata palce, jakby to był powód do zmartwienia.

– Dlaczego nie?

– Ponieważ jest moim bratem, Tesso.

Spogląda znów w okno.

– Nieważne. Nic między nami nie ma.

– Tak słyszałem.

Zapada cisza. Tu noc jest bardzo ciemna, jednak przed nami migocze ognisty krąg, który wygląda, jakby wisiał nad ziemią. Mimo gniewu Tessa przysuwa się do okna, żeby lepiej widzieć. Znam ten widok całe życie, ale mimo to uważam, że nocą to złudzenie robi naprawdę spektakularne wrażenie. W rzeczywistości to nie okrąg, a wielki łuk z setką pochodni, z których popiół i iskry sypią się do stawu odbijającego ich światło. Tessa rozchyła usta, kiedy się zbliżamy. Blask rozświetla zachwyty w jej oczach.

Przesiadam się na drugą stronę powozu, żeby usiąść koło niej i widzieć tak samo dobrze jak ona. Reaguje gwałtownym wdechem i unosi zaciśniętą pięść.

Naprawdę. Łapię ją za nadgarstek.

– Nie rób awantury – mówię. – Nie żartowałem z kapitanem. – Nadal trzymam ją za przedramię i głową wskazuję na okno. – Patrz, bo zaraz już nic nie będzie widać.

Bierze wdech, jakby chciała na mnie naskoczyć, lecz podjechaliśmy już na tyle blisko, by słyszeć syczenie iskier spadających do wody. Dźwięk znów przykuwa jej uwagę. Odwraca się do okna. Jest zbyt ciemno, by widzieć przeplatane konary podtrzymujące pochodnie, a nad wiszącymi płomieniami migoczą gwiazdy. Każda spadająca iskra migocze na powierzchni stawu, nim zatoni.

– To Łuk Stonehammer – wyjaśniam. – Widać go z pałacu. Zbudował go mój pradziadek jako dowód miłości dla jego nowo

poślubionej żony. Powiedział, że jego miłość dla niej będzie żywa, póki płoną pochodnie. Jako dzieci często z Harristanem stawialiśmy sobie nawzajem wyzwania, który zdoła wspiąć się na sam szczyt i przejść po łuku na drugą stronę.

Wrywa rękę z mojego uścisku.

– Mam nadzieję, że wiele razy spadłeś.

Pochyliam się bardziej.

– Ani razu.

– Dźgnę cię.

– Nie wierzę, że masz sztylet.

Prostuje się. Wyzwanie w jej oczach lśni jaśniej niż łuk. Ta sprzeczka przypomina mi czasy, gdy drażniliśmy się w chacie. To wspomnienie jednocześnie mnie przygnębia i pociesza.

Ale nagle wyraz jej twarzy się zmienia. Widać na niej ból. Tessa przyciska ręce do piersi, jakby nie mogła oddychać.

Prostuję się zaniepokojony.

– Tesso?

– Jak mogłeś mi to zrobić? – Uderza mnie w pierś. W tym geście czuję całe jej cierpienie. Głos jej się łamie. – *Jak mogłeś?*

Zamieram. Przez chwilę, w mroku, znalazłem zapomnienie.

Może jednak potrzebowałem ostrzeżenia Quinta.

Jest tak spięta obok mnie, że siedzenie przy niej wydaje się okrucieństwem. Wracam na swoją stronę powozu i poprawiam kaftan. Na jej twarz padają cienie przypominające mi maskę, którą kiedyś nosiła.

– Masz pojęcie, przez co przeszłam? – mówi piskliwym szeptem. – Masz?

– Nie – przyznaję cicho. – Powiedz mi.

Zastyga w bezruchu i patrzy na mnie.

– Umarłeś – szepcze, jakby to było oczywiste. Przymyka powieki, w dodatku przeszywa ją dreszcz. – Byłeś moimi najlepszym przyjacielem. Byłeś... Byłam... Byłam w... – Bierze wdech. – To było takie okropne. Chciałam tylko pomagać ludziom. Ty też, tak przynajmniej myślałam. A potem... – Głos więźnie jej w gardle. – Poszedłeś... poszedłeś dla mnie za mur i usłyszałam alarm... – Pociąga nosem i trze oczy. – A o świcie zobaczyłam...

Milknie.

Wiem, co zobaczyła.

Znów pociera oczy i wbija wzrok w okno. Łuk Stonehammer blednie w oddali. Zbliżamy się do końca prywatnej drogi za pałacem, za chwilę znów znajdziemy się wśród możnych.

– Tesso.

Przełyka ślinę tak głośno, że wydaje się, jakby sprawiało jej to ból.

– Nie.

– Musisz coś zrozumieć.

– Nie obchodzi mnie to.

Pochyliam się w przód i opieram ramiona na kolanach.

– Wiesz – ciągnę spokojnym głosem – że za każdym razem, kiedy wzywają mnie do Twierdzy, boję się, że znajdę cię w jednej z cel?

– To pozwoliłoby szybko zakończyć twoją grę.

– To nie była gra – oznajmiam gniewnie.

Wreszcie odwraca się znów do mnie.

– W takim razie co? Jesteś Najwyższym Sędzią Królewskim. Jesteś *bratem króla*. Od tronu dzieli cię tylko jedna śmierć. Masz niemal największą władzę w Kandali. – Rozkłada ręce. – Więc co to było? Rodzaj pokuty? Sposób na zagłuszenie wyrzutów sumienia? – Ponownie łamie jej się głos. – Widziałeś, co spotyka tych ludzi! Widziałeś to na własne oczy! Nie mogę winić twojego brata. Jest otoczony ludźmi, którzy mówią mu pewnie tylko to, co chce usłyszeć. Za to ty widziałeś cierpienie, śmierć i desperację, a mimo to ustawiłeś tych ludzi na podeście i... i...

– Tesso. – Każde jej słowo uderza we mnie jak kamień. Czuję ucisk w piersiach.

Przyciska palce do oczu.

– Dlaczego mi to robisz? – mamrocze. – Po prostu wrzucić mnie do Twierdzy z innymi.

– Nie mogę. – Mój głos jest szorstki i złamany, co zwraca jej uwagę.

Opuszcza dłonie i gapi się na mnie, mrugając raz za razem.

– Nie mogę – powtarzam, wwiercając się w nią wzrokiem. – Nie mogę, Tesso. Nie masz pojęcia, ile razy pragnąłem, żeby świt nie nadchodził tak szybko. Ile razy pragnąłem zostać z tobą, zamiast wracać do tego. Ile razy pragnąłem, by to Weston Lark był prawdziwy, a księżę Corrick wymyślony.

Ze złością ociera pojedynczą łzę z policzka i wskazuje ręką na luksusowe wnętrze powozu.

– Ale nie potrafiłeś wyrzec się tego.

– Nie potrafiłem wyrzec się brata.

To ją zatrzymuje w bezruchu.

– Nie mogłem zabrać go ze sobą – kontynuuję. – Jak mógłbym? A nawet gdybym mógł, to co... dalej? Zostawić Kandalę na pastwę konsulów? Już teraz ledwo udaje mi się wynegocjować z Allisandrem Sallisterem rozsądną cenę za płatki Księżycowego Kwiatu. Jest gorszy od swojego ojca. To prawdziwa ekwilibrystyka zadowolić go, a jednocześnie jak najlepiej zadbać o zdrowie naszego ludu. Sięgnąłby po władzę, a zważywszy na możliwości, jakimi dysponuje, zdobyłby ją. – Urywam i przeciągam dłonią po szczęce. – Tak. Widziałem cierpienie, Tesso, tak jak ty. Jednak jeśli Allisander byłby u władzy, lek byłby dwa razy trudniej dostępny, a gorączka zbierałaby dwa razy większe żniwo.

Tessa wpatruje się we mnie.

– Możesz mnie nienawidzić – mówię. – Bóg jeden wie, że wszyscy inni mnie nienawidzą. Tyle że nie znasz drugiej strony tego wszystkiego.

Całkowicie znieruchomiała. Łzy jakby zastygły na jej policzkach.

Nie mam do niej żalu.

Ale nie mogę uczynić jej moim więźniem. Zawsze będzie mnie nienawidzić. Nigdy mi nie zaufa. Świadomość, że jest bezpieczna w pałacu, nie jest żadnym pocieszeniem, jeśli jest tylko ptakiem zamkniętym w złotej klatce.

To *mnie* pisany jest ten los, nie jej.

– Nie mam zamiaru cię zabić. Ani wtrącić do Twierdzy. – Wypuszczam powietrze przez zęby. – Do diabła, jeśli chcesz odejść, każę zatrzymać powóz. Wyjdę porozmawiać z kapitanem, a ty się wymkniesz.

Sięgam za pasek i wyciągam sztylet. Podaję go jej.

– Nie mam pod ręką kotwicy, za to możesz wziąć mój sztylet.

Patrzy na mnie z niedowierzaniem, jakbym postradał rozum.

– To jakiś podstęp.

– Nigdy cię nie oszukałem. – Gryzę się w język i przewracam oczami. – Dobrze. W każdym razie teraz nie oszukuję.

Spogląda na ostrze, na mnie i znów w okno. Jej palce drżą.

– Tesso – mówię łagodnie. – Pozwoliłem ci myśleć, że nie żyję, bo chciałem, żebyś trzymała się z dala od Sektora Królewskiego. Żebyś była bezpieczna.

Klękam przed nią na jednym kolanie i wciskam sztylet w jej dłoń.

Zerka na niego, potem na mnie.

– Mogę odejść? Tak po prostu?

Znów czuję ucisk w piersi, a oddech mam spłycony. Przeganiem emocje, przypominając sobie w myślach, kim i czym jestem. Najwyższy Sędzia Królewski nie rozpamiętuje straty, nie żałuje nikogo i niczego.

– Kieruj się na południowy wschód – instruuje szorstko. – W murach jest mała furtka, w miejscu, gdzie teren opada. Wygląda na starą i zardzewiałą, jest tam kłódka, ale to tylko dla pozorów. Z zawiasów wyjmują się bolce. Rozumiesz?

Potakuje głową w osłupieniu.

– Kapitanie! – wołam. Powóz się zatrzymuje.

Wyciągam z kieszeni małą sakiewkę i rzucam na kolana Tessy. Rozlega się brzęk srebrnych monet.

– To powinno bez problemu wystarczyć, żeby zacząć wszystko od nowa.

– Czekaj.

Nie mogę czekać. Jeśli poczekam, zmienię zdanie.

– Masz pięć minut – rzucam. – Będziemy stać tyłem do powozu.

Nie odwracając się za siebie, odsuwam zasuwkę w drzwiach i wysiadam.

Rozdział dwudziesty drugi

Tessa

Drzwi do powozu zamykają się z trzaskiem. Zostaję sama. Serce wali mi w piersi. Znów zbyt wiele się wydarzyło. Po raz enty mój świat został wyrócony do góry nogami. Monety w sakiewce dzwonią, gdy ją podnoszę. Sztylet ciąży mi w dłoni. Kiedy wyciągam go z pochwy, wydaje się ostry i gotowy do zadania ciosu. Próbuję nie myśleć, czy Corrick użył go kiedyś przeciwko komuś.

Nie ufam mu, ale wszystko to... nie wygląda na pułapkę. Jaki miałby w tym cel? Co by mu to dało?

Mój chód jest szybki i pewny. Suknia ciemna. Jeśli uwaga kapitana i jego ludzi będzie skupiona na czymś innym, zdołam wymknąć się jak duch. Nie mogę wrócić do pani Solomon, jednak mogę poszukać pracy w innym mieście. Zwłaszcza z sakiewką pełną srebra.

Wtedy przypominam sobie spotkanie z królem Harristanem. *„Łatwo jest kochać króla, gdy wszyscy są najedzeni i zdrowi. Trochę trudniej, kiedy tak nie jest”*.

Przejmuję się tym. Cięży mu to, co dzieje się w Kandali. Nie wiem, skąd to przeczucie, lecz wiem, że tak jest.

I wbrew wszystkiemu wiem, że Corrickowi też to ciąży.

„Nigdy cię nie oszukałem”. Traktowałam go jak człowieka, który wzbudza powszechny strach, jakby całe jego życie było jedną wielką sztuczką. Ale od chwili, gdy zjawiłam się w pałacu, robi wszystko, by mnie chronić – od zapewnienia jedzenia i pokoju do spania po liścik, który przesłał przed moim spotkaniem z jego bratem. Książę Corrick popełnił wiele okrutnych czynów, jednak jego słowa brzmią wiarygodnie. Może nie rozumiem, jak to wygląda po tej stronie murów, tak jak oni wydają się nie rozumieć, jak sprawy wyglądają z naszej strony. Być może król tylko wyświadcza przysługę bratu, pozwalając mi spotkać się z królewskimi zielarzami, lecz nie zmienia

to faktu, że będę mieć okazję, by powiedzieć ludziom, *którzy coś znaczą*, że mogą lepiej wykorzystywać zasoby, jakimi dysponują.

Nie mogę całe życie kraść, by pomagać chorym. Może mogłabym im pomóc w inny sposób.

Może.

Strasznie dużo tych „może”.

Kiedy Wes stał naprzeciw mnie naszej ostatniej nocy, powiedziałam, że musimy przestać się ukrywać i rozpocząć rewolucję. Ucieczka teraz byłaby ukrywaniem się. Wprawdzie nie o takiej rewolucji myślałam... jednak może uda mi się coś zmienić. Może uda mi się pokazać królowi, jak bardzo jego poddani cierpią.

Może to szansa, jakiej nikt inny nigdy już nie dostanie.

Kładę sztylet i sakiewkę na siedzeniu, potem chwytam za zasuwkę w drzwiach. Otwieram ją zuchwale i staję na bruku, nawet nie próbując być cicho.

Kapitan odwraca gwałtownie głowę. I tak samo Corrick.

– Och... przepraszam. – Głos mi drży, muszę odchrząknąć. –

Wasza Wysokość? – mówię z dygnięciem. – To był długi dzień i bardzo zgłodniałam. Wasza Wysokość też wspominał, że jest głodny. – Jego zagadkowe błękitne spojrzenie przenika przez pięć metrów ciemności i napotyka moje. Corrick nieruchomieje.

Serce wali mi tak mocno, że niemal czuję je w gardle. Mam nadzieję, że nie popełniam błędu.

– W rzeczy samej – odpowiada wreszcie. – Kapitanie, omówimy ten schemat pracy reflektorów monitorujących mury przy innej okazji.

Corrick wraca i patrzy na mnie w świetle księżyca. W mroku łatwiej dostrzec w nim Wesa – w tym, jak się porusza, jak jego oczy błyszczą w ciemności. Brokat i srebro zastąpiły samodział i szorstko wyprawioną skórę, ale to ciągle ten sam człowiek. Dziś rano wspomniałam Quintowi, że moja przyjaźń z Wesem była złudzeniem opartym na kłamstwie, a on zapytał: „Jesteś pewna?”.

Jak zawsze niczego nie jestem pewna.

Oczy Corricka wpatrują się w moją twarz, a chłodne nocne powietrze przepływa między nami.

– Kolacja czeka – oznajmia tonem pozbawionym podtekstów.

Lokaj pędzi naprzód, żeby otworzyć drzwi. Corrick oferuje swoją rękę, żeby pomóc mi wsiąść do powozu. Tym razem ją przyjmuję.

Ponownie siedzimy naprzeciw siebie. Rozlega się świst i trzask bata, a potem znów kołyszymy się na bruku. Corrick rozsiada się na swoich poduszkach; obserwuje mnie. W jego spojrzeniu nie ma nic prowokacyjnego, jest tylko troska. Najwyraźniej czeka, aż coś powiem, wyjaśnię, lecz nie potrafię wydusić z siebie słowa.

W końcu lekko mruży oczy.

– Zostałaś, bo naprawdę tego chciałaś, czy po prostu mi nie ufasz?

– Och! – Nie przyszło mi to do głowy, ale gdy słyszę obie te możliwości wypowiedziane na głos, czuję się zbyt bezbronna. – Ja... postanowiłam zostać. Mam swoje zobowiązania w pałacu.

Unosi brwi.

– Tak?

– Król życzy sobie, bym porozmawiała z królewskimi zielarzami i medykami.

– Aha – odpowiada uprzejmie, ale wpatruje się we mnie i zdaje sobie sprawę, że on wie, że nie mówię wszystkiego. Nie potrafię ująć swoich poplątanych myśli w słowa.

Może on też nie, ponieważ nie dodaje już nic więcej.

Podnoszę sakiewkę i odrzucam mu ją. Zręcznie łapie ją w powietrzu. Natomiast sztyletu nie oddaję. Zaciskam na nim palce i nie odwracając wzroku od Corricka, wciskam go za cholewkę mojego trzewika i opuszczam suknię.

– Tego nie oddam.

Ku mojemu zdziwieniu uśmiecha się. W jego oczach rozbłyskuje wyzwanie.

– Uznajmy to za prezent.

Pośrodku Sektora Królewskiego znajduje się Krąg, który wcale kręgiem nie jest. To rodzaj podium zrobionego z marmuru i granitu, w kształcie ośmiokąta, o przekątnej co najmniej piętnastu metrów. Przed wiekami wykorzystywano go, kiedy król chciał osobiście wysłuchać głosu poddanych. Aż praprapradziadek Corricka został śmiertelnie ugodzony sztyletem w szyję. Wtedy zdecydowano, że

odtąd poddani mogą jedynie składać prośby do króla na piśmie u bram do sektora.

Z czasem Krąg stał się wygodnym punktem dla kupców, którzy zaczęli sprzedawać tu swoje towary. Jakieś dwadzieścia lat temu pewien przedsiębiorczy właściciel tawerny mieszczącej się tuż przy granicy podestu ustawił na nim kilka stolików i krzeseł oraz ubrał usługujące dziewczyny w wyszukane suknie. W ciągu roku zajął całą powierzchnię. Dziś to miejsce, gdzie najbogatsi z możliwych zbierają się, żeby plotkować i wydawać pieniądze na rzeczy, których nie potrzebują.

Dotąd widywałam Krąg tylko przed świtem, biegnąc przez puste ulice Sektora Królewskiego z kradzionymi płatkami Księżycowego Kwiatu w torbie. W ciemności podest jest szary, stoliki i krzesła – zwyczajne, kwiaty zaś są bure i bez życia.

Gdy Corrick wyprowadza mnie z powozu, różnica jest szokująca. Teraz żółte i białe róże wypełniają wielkie wazony rozstawione między stolikami, wypełniając powietrze intensywnym zapachem. Witrazowe latarnie zwisają z przewodów rozciągniętych nad głowami klientów, rzucając wielobarwną poświatę na zatłoczone stoliki. Parawany oddzielają jedzących gości od brukowanych ulic, wzdłuż których stoją dziesiątki powozów, a w ich wnętrzu oczekuje znudzona służba. W Dzikim mówi się, że możni gotowi są wydać równowartość tygodniowego kosztu utrzymania, by zjeść tu kolację.

Rozglądam się po umalowanych twarzach, wyszukanych strojach i myślę sobie, że to może być prawda.

Wszystkie oczy odprowadzają nas od powozu do naszego stolika. Najwyraźniej nasz przyjazd był zapowiedziany, bo jest już przygotowany – na jednym z końców podestu, odseparowany od innych, z miejscem dla straży między nami a pozostałymi gośćmi.

Wino już czeka w kieliszkach, a pośrodku stołu stoi koszyk z parującym jeszcze pieczywem. Ma się poczucie prywatności, a jednocześnie zupełnego jej braku. Gdyby strażnicy byli stalowymi kratami, czułabym się tu jak w klatce. Nocne powietrze wokół nas wypełniają głośne rozmowy, jednak między nami panuje ciężka cisza.

Corrick rozsiada się wygodnie w swoim krześle, jak w karecie. Leniwie pociąga łyk wina z kieliszka. Ja przysiadam na samym

brzegu siedziska. Mam ochotę duszkiem opróżnić kieliszek i poprosić o tuzin kolejnych.

Księżę mnie obserwuje.

– Naszły cię wątpliwości? – pyta.

– Quint mówił, że to będzie spotkanie publiczne, ale... Nie zdawałam sobie sprawy, że to będzie coś takiego.

Z elegancją wzrusza ramieniem.

– Mogliśmy zjeść w pałacu, tyle że tam byłoby gorzej.

Unoszę brwi.

– Gorzej?

– Tu niewielu odważy się do nas podejść. – Upija kolejny łyk wina.

– W pałacu nie mielibyśmy chwili prywatności.

– A twoim zdaniem teraz ją mamy. – Biorę kieliszek i ograniczam się do jednego łyku.

– Nie tyle, ile bym chciał, jednak Quint chce, żeby ludzie widzieli w tobie potencjalnego sprzymierzeńca tronu – jego głos robi się oschły – a nie wyjętą spod prawa, która, jak głosi plotka, zakradła się do pałacu, żeby zabić króla.

Krztuszę się winem. Moja pochopna decyzja, by wejść do pałacu, wydaje się jakimś koszmarem, z którego chciałabym się wreszcie otrząsnąć.

– Oczywiście.

Corrick spogląda za strażników i zastyga.

– O nie.

Odstawia kieliszek.

– Coś się stało?

– Nasza kolacja za chwilę stanie się jeszcze mniej prywatna.

Patrzę tam, gdzie on, i widzę mężczyznę przeciskającego się między stolikami.

Corrick zerka na mnie. Jego oczy mieniają się złośliwością, przypominając mi Wesa. Ścisza głos, jakbyśmy spiskowali.

– Gdybyś chciała oblać winem *jego*, masz moje pełne przyzwolenie.

Mrugam z niedowierzaniem.

– Zaraz. Co?

Ale on już się prostuje, poprawia kaftan, a jego twarz przybiera wyraz mrocznie uroczego księcia Corricka.

Jeśli on wstaje, pewnie ja też powinnam. Zrywam się na nogi. Mężczyzna bez wahania przechodzi między strażnikami. Musi być kimś ważnym. Jest niewiele starszy od Corricka, może być w wieku Harristana, ma kozią bródkę tak gęstą, że wygląda, jakby była doklejona. Nie maskuje jego kwaśnej miny. Sprawia wrażenie mężczyzny, który głęboko wierzy, że jest atrakcyjny, choć absolutnie nie jest.

– Konsulu! – mówi radośnie Corrick, jakby witał dawno niewidzianego przyjaciela. – Jadłeś już? Może się do nas przyłączysz?

Mężczyzna zatrzymuje się gwałtownie. Mruży oczy.

– Corricku. – Spogląda na mnie lekceważąco. – Nie chciałem przeszkadzać ci w kolacji z twoim... gościem.

Słowo „gościem” wypowiada tak, jakby Corrick zaprosił do stołu świnię, która zostawi po sobie kałużę błota, w której musiałyby usiąść.

Nie mam ochoty oblać go winem. Mam ochotę wbić w niego sztylet.

– Nonsens – rzuca książkę. – Tesso, spotkał cię zaszczyt poznania konsula Allisandra Sallistera.

Konsul Sallister z Księżycowych Równin. Człowiek, który sięgnąłby po władzę, gdyby tylko zdarzyła się ku temu sposobność.

Pojawia się dziewczyna z kolejnym krzesłem. Inna nalewa wina Corrickowi i znika, jakby była niewidzialna. Szkoda, że ja nie jestem niewidzialna. Napięcie między tymi dwoma jest namacalne. Serce wali mi w piersi, lecz przyklejam do twarzy uśmiech i dygam.

– Panie konsulu, jestem zaszczyczona.

Nawet na mnie nie spojrział.

– Harristan twierdzi, że nasza kłótnia w Twierdzy była nieporozumieniem.

– Nasza kłótnia? – Corrick mruga, jakby był zdumiony. – Ależ Allisandrze – mówi gładkim głosem. – Chyba nie myślałeś, że zabroniłbym ci wstępu do pałacu?

– Kwestionuję twoje działania – oznajmia konsul tonem cichym i zjadliwym, ale nie na tyle cichym, by jego słowa nie dotarły do sąsiednich stolików. – Kwestionuję też twoje motywy. W ubiegłym tygodniu miałeś ośmiu więźniów i trzech z nich zbiegło. Dziś

przyprawiam ci tuzin buntowników, a ty zamiast ich przesłuchać, pieścisz się z nimi. – Zerka na mnie wymownie. – Szczerze mówiąc, jestem zdziwiony, że nie ma ich z tobą przy tym stole.

Wzdrygam się.

Corrick nie.

– Przyprawiałeś mi tuzin nieprzytomnych buntowników – zauważa spokojnie. – Przesłucham ich i ukarzę w stosownym czasie. – Zawiesza głos. – Na pewno nie przy kolacji.

Od chłodu jego tonu przesywa mnie dreszcz. Konsul Sallister pochyła się w jego stronę.

– Obiecałeś, że moje transporty będą bezpieczne.

– Obiecałem ci *straże*, które otrzymałeś.

– I obiecałeś, że te ataki się skończą.

– Tego nie mogę zagwarantować, o czym doskonale wiesz.

– Tego nawet nie próbowałeś *zrobić*, jeśli wierzyć nowym dowodom dotyczącym tych Benefaktorów.

Zapada cisza ostra jak brzytwa. Oczy Corricka są lodowo niebieskie. Konsul ma czerwone policzki i spięte ramiona. Splatam palce. Szkoda, że nie ma tu Quinta, który poopowiadałby o obrusach i wzorach latarni.

– Może – odzywam się słabym głosem. Przełykam ślinę. – Może jeśli rozniesie się wiadomość, że wasi zielarze potrafią poprawić skuteczność leku, napadów będzie mniej.

Konsul nie odwraca wzroku w moją stronę.

– O czym ona mówi?

– Sposób, w jaki Tessa znalazła się w pałacu, było nieco nietypowy, przyznaję – oświadcza Corrick – jednak przedstawiła Harristanowi dowody, że być może lek można by wykorzystywać bardziej efektywnie.

– Albo umrze jeszcze więcej ludzi – syczy konsul.

Po raz kolejny czuję ucisk w piersi. Nie myli się. Moje teorie to nic więcej jak... teorie. Teorie oparte na obserwacjach małej grupy osób z Dżicy. Może umrzeć więcej ludzi.

– Albo więcej uda się ocalić – zaznacza Corrick. – I chyba na to wszyscy powinniśmy mieć nadzieję. – Jego ton jest zimny i pozbawiony nadziei. – Czyż nie, Allisandrze?

– Masz zamiar kwestionować wiedzę królewskich medyków z powodu jakiejś... jakiejś *dziewuchy*? Posuwasz się za daleko, Corricku. W razie kolejnego ataku wstrzymam dostawę do czasu, aż znajdziesz winnych.

Biorę głęboki wdech. Ten człowiek kontroluje największą część dostaw płatków Księżycowego Kwiatu do Kandali. Jeśli przestanie je dostarczać, ludzie będą umierać.

Nie tylko ja tak myślę. Przez tłum za plecami straży przebiega szmer.

Corrick robi krok w przód. Nagle nocne powietrze staje się przesycone potencjalnym zagrożeniem. Zastanawiam się, czy sam zaatakuje tamtego, czy rozkaże strażom strzelić mu w plecy.

Tymczasem księżę ścisza głos tak, by nie mógł go usłyszeć nikt poza naszym stolikiem. W jego tonie nie ma śladu niedawnych emocji.

– To był długi dzień dla nas obu. Rano trochę mnie poniosło. Byłem zły, że ci jacyś Benefaktorzy finansują ataki, a ja nie jestem w stanie wycisnąć odpowiedzi z nieprzytomnych złodziei. Nie powinienem był wyładowywać swoich frustracji na tobie. Nie pozwólmy, by kilka słów za dużo wypowiedzianych w zdenerwowaniu stało między nami. – Wskazuje na stół. – Proszę. Usiądź z nami.

Konsul się waha. Teraz wygląda raczej na niepewnego niż wściekłego.

– Moje transporty...

– Allisandrze. – Corrick klepie go po ramieniu, jakby byli starymi przyjaciółmi. Jego głos już nie jest łagodny. Widzę wokół szyje wyciągające się w górę, by coś usłyszeć. – Dostaniesz wszystko, czego potrzebujesz, by chronić twoich ludzi. Jak zawsze.

Allisander odchrząkuje.

– Doskonale. – Spogląda na stolik. – Nie będę dłużej przeszkadzał w kolacji.

– Czy dzisiejszą noc spędzasz w pałacu? – pyta Corrick. – Może zagramy rano partyjkę szachów? Moglibyśmy przy okazji omówić alternatywne sposoby ochrony twoich transportów.

– Dobrze. – Konsul Sallister poprawia swój kaftan i robi krok w tył. – W takim razie do jutra.

– Już się nie mogę doczekać – rzuca Corrick.

Po odejściu konsula spodziewam się, że księżę będzie wyglądał na niezadowolonego, lecz tak nie jest. Wyciąga dłoń w stronę mojego krzesła.

– Przepraszam za ten incydent. Siadaj, proszę. Próbowiałaś pieczywa?

Opadam na siedzisko, ale wpatruję się w niego. Nagle stał się tak uprzejmy i formalny. To księżę Corrick numer cztery. A może dziewiętnaście. Straciłam rachubę.

Musi widzieć zdziwienie na mojej twarzy.

– Nie chcę, żeby ktokolwiek pomyślał, że to, co przed chwilą zaszło, mnie zdenerwowało – wyjaśnia tak cicho, bym tylko ja mogła go usłyszeć, jednak głosem równie spokojnym jak wtedy, kiedy pytał mnie o pieczywo. – Ser też jest wyśmienity. Spróbuj. Nalegam.

– Yhm... oczywiście.

Urywam kawałek chleba, próbując sobie przypomnieć z lekcji z panią Kent, który nóż jest do sera.

Corrick podnosi swój i stuka palcem wskazującym, by dać znak, żebym wybrała taki sam. Z tego wszystkiego te drobne gesty życzliwości są najmniej spodziewane. Naśladowuję go. Rozsmarowuję ser na chlebie i biorę kęs.

Jest boski. Rozpływa się na języku. Prawie zapominam, co się przed chwilą wydarzyło.

Teraz, gdy już jemy, pozostali goście także wrócili do swoich posiłków. Rozmowy osiągają niemal poziom kakofonii sprzed kłótni Corricka i Allisandra.

Przyglądam się księciu. Jest prawdziwą zagadką. Za każdym razem, kiedy wydaje mi się, że udało mi się rozgryźć jakąś maleńką jego część, on robi coś, w czym w ogóle nie potrafię odnaleźć sensu. Nawet nie wiem, kto przed chwilą zyskał, a kto stracił.

Corrick bierze następny kawałek chleba i smaruje go serem.

– Czuję, że masz pytania.

– Kto przed chwilą wygrał? Ty czy on?

– On – odpowiada Corrick. – Ale wygląda, że ja, i to się liczy. Nie mogę dopuścić, by cały Sektor Królewski myślał, że Allisander zablokuje dostęp do płatków Księżycowego Kwiatu. Dziwi mnie, że nie wywołał tu zamieszek.

– Naprawdę aż tak wiele od niego zależy?

– Tak. Tyle że nie chce przerwać swoich dostaw, bo musielibyśmy wtedy polegać tylko na Lissie Marpetcie, co znaczy, że podniosłaby ceny, a on nie ma zamiaru oddać choćby jednej monety, a tym bardziej złudnego poczucia władzy. – Corrick wzdycha; wygląda na zirytowanego. – Jeśli wyjęci spod prawa będą dalej napadać na jego transporty, przestanie mu się to opłacać. Tym bardziej, jeśli za atakami faktycznie stoi ktoś z pieniędzmi.

Wyjęci spod prawa. Znowu czuję ucisk w piersi.

– Powiedział, że masz... więźniów.

– Mam.

Nie mogę przestać myśleć o słowach króla Harristana: „Dla nocnego patrolu to żadna różnica”. Zmuszam się do przełknięcia kęsa, który mam w ustach, ponieważ zmienił się w masę bez smaku.

– Co... co masz zamiar z nimi zrobić?

– Przesłuchać i sprawdzić, co wiedzą. – Milknie. Jego oczy wpatrują się w moje. Głos ma spokojny. – I postąpię stosownie do uzyskanych informacji.

Nie mówi tego w prowokacyjny sposób, a mimo to czuję, jakby rzucił mi wyzwanie.

Pamiętam, jak w dniu egzekucji przed bramami sektora myślałam o tym, jak okropny jest król i jego brat. Książę Corrick stał na podeście taki zimny i obojętny. Żałowałam, że nie mam kuszy, żeby ich obu zastrzelić, uwolnić Kandalę od ich tyranii.

Ale wtedy nie wiedziałam o konsulu Sallisterze. To nie powinno mieć znaczenia w obliczu tylu śmierci, lecz po tym, jak go poznałam, zdaję sobie sprawę, że ma.

Układałam od nowa w głowie wszystko, co się wydarzyło tamtego ranka, zanim egzekucja zamieniła się w nawoływanie do rewolucji i zanim przyszły wydarzenia następnego dnia. Wes był niespokojny. Zmartwiony.

„Myślę, że bardzo niewielu ludzi zasługuje na to, co ich spotyka, Tesso. Obojętnie, czy spotyka ich coś złego, czy dobrego”.

Powiedziałam mu, że zasługuje tylko na to, co dobre, a on odwrócił wzrok.

Ocalił mnie tamtej nocy, gdy zginęli moi rodzice. A potem jeszcze niezliczoną liczbę razy.

Ale ponosi też odpowiedzialność za śmierć niezliczonej liczby ludzi.

Głos króla rozbrzmiewa głośno w mojej głowie.

„Każdy przemytnik ma jakieś usprawiedliwienie. Kara jest wszystkim znana. Jak mogę przymykać oko na jedno złodziejstwo, a na inne nie?”

To wszystko jest zbyt złożone. Myślałam, że to po prostu wybór między dobrem a złem... jednak tak nie jest. Znowu czuję ucisk w piersi i pieczenie w oczach.

Corrick podnosi kieliszek.

– Jeśli zaczniesz płakać, będę cię musiał pocieszyć.

Jego ton wskazuje, że się drażni, choć nie do końca. To pomaga odgonić łzy.

– I co zrobisz?

– Zacznę od ostrzeżenia, że mogę być zmuszony do zrobienia czegoś *naprawdę* potwornego, żeby podtrzymać swoją reputację okrutnika.

Coś mi mówi, że to też nie do końca jest żart. Emocje znikają. Zjawia się dziewczyna z półmiskami wyładowanymi kawałkami wołowiny obłożonej warzywami korzennymi i z puchatym, okrągłym plackiem posmarowanym miodem.

Gdy już jej nie ma, zerkam na Corricka, który stuka palcem w widelec, zanim weźmie go do ręki. Z wdzięcznością go naśladuję i przez chwilę jemy w ciszy.

– Myślisz, że królewscy zielarze zechcą mnie wysłuchać? – pytam łagodnie.

– Tak zdecydował Harristan, więc zechcą. – Przewraca oczami. – Nakazał też zasypać mój pokój zestawieniami, które mam do jutra przeanalizować, więc jeśli uda mi się znaleźć coś na poparcie twoich odkryć, to na pewno pomoże.

Prostuję się.

– Naprawdę?

– Tak. Pomiędzy tym i przesłuchaniem więźniów Allisandra. Pewnie zajmie mi to całą noc. – Spogląda na mnie ironicznie. – Jakże jestem wdzięczny.

– Dlaczego ty?

– A dlaczego nie? Wbrew temu, co ci się może wydawać, moje życie nie składa się z przejażdżek aksamitnym powozem i z wydawania wyroków śmierci.

Znowu mnie prowokuje. Nie wprost, ale czuję to.

W sposób, który przypomina mi Westona Larka.

Corrick kroi kolejny kawałek mięsa.

– Nie żałuj mnie aż tak bardzo.

– Wcale cię nie żałuję. – Ponownie zaczyna mi brakować tchu. Każda chwila tutaj zmienia mój sposób postrzegania jego i mnie samej. – Jeśli szukasz sposobu, żeby lek można było skuteczniej stosować w całej Kandali, zamierzam ci w tym pomóc.

Rozdział dwudziesty trzeci

Corrick

Biała Komnata należy do moich ulubionych miejsc w pałacu. Jesteśmy na najwyższym piętrze, okna są tu olbrzymie i rozciąga się z nich niezwykły widok na cały Sektor Królewski. Za dnia pokój wypełniają promienie słońca, a nocą przez ciemność przebija się blask księżyca i migotanie gwiazd. Ściany są białe, ale obwieszane abstrakcyjnymi obrazami we wszystkich kolorach – zawijasy i smugi żółci oraz czerwieni na jednym, krótkie pociągnięcia czernią i odcieniami różu na innym. Szerokie pasy szarości, zieleni i błękitu pokrywają duże podłużne płótno wiszące nad kominkiem. Ta przestrzeń zawsze wydaje się przyciągać ciszę i spokój, jest idealnym miejscem do rozważań.

Gdy obaj byliśmy mali, a Harristan często chorował, przesiadywał tu skulony przy kominku, a matka malowała kolorami, jakie wybierał. Mnie to nudziło i błagałem o pozwolenie na odejście, jednak on mógł tak siedzieć godzinami.

Teraz Harristan rzadko tu bywa. Mówi, że ta komnata przypomina mu, jakie to było uczucie czuć się słabym. Moim zdaniem to *prawda* sprawia, że czuje się słaby – to miejsce przypomina mu matkę i wszystko, co straciliśmy.

Tessa przewraca stronę. Muszę się wreszcie skupić. Kazałem służącym przynieść papiery tutaj, bo tu stół jest większy i jest dużo światła, lecz moimi myślami zawładnęła niepewność i żałuję, że nie zostaliśmy w moich komnatkach.

Powinienem być skupiony na dokumentach. Na różnicach w śmiertelności pomiędzy sektorami południowymi jak Sunkeep i tymi leżącymi bliżej Sektora Królewskiego, jak Artis, Stalowe Miasto czy Nabrzeże Kupców. Na notatkach Tessy. Na tym, jak przekonać ludzi, by zmienili swoje dawki. Na groźbach Allisandra

wypowiedzianych publicznie w Kręgu. Na oczekujących na przesłuchanie więźniach.

Powiniennem skupić się na Harristanie i na tym, czy jego lek działa.

Ale zamiast tego skupiam się na Tessie pochylonej nad stosem papierów w salonie. Na pojedynczych pasmach karmelowych włosów zwisających z jej upiętych loków. Na delikatnych, a jednocześnie precyzyjnych ruchach pióra w jej dłoni, kiedy robi notatki podczas czytania. Na delikatnym różu jej ust, łagodnym zaokrągleniu policzków, oczach przepełnionych determinacją.

Na tym, że spośród wszystkich rozrywek dostępnych w pałacu ona wybrała ślęczenie nad nudnymi dokumentami.

Na tym, że zamiast uciec z powozu, została. Pewnie żadna z tych decyzji nie ma związku ze mną. Jednak liczy się to, że została.

– Poszłoby nam znacznie szybciej, gdybyś też zajął się czytaniem – oznajmia.

– Czytam – odpowiadam, choć to nieprawda. Nie wiem, kiedy ostatni raz przełożyłem stronę.

– Hmm. – Jej pióro jest w ciągłym ruchu.

Nie wiem, czy jestem rozbawiony, czy poirytowany.

– Oskarżasz mnie, że robię coś innego?

Ignoruje mnie i przeszukuje papiery, które czytała wcześniej.

– Sunkeep otrzymuje mniej leku niż inne sektory.

– Sektor konsul Cherry ma mniejszą liczbę mieszkańców.

Tessa marszczy czoło.

– I znacznie mniej zgonów.

– Niektórzy uważają, że wysokie temperatury jakoś powstrzymują gorączkę.

Zerka znów w notatki.

– Tyle że w miesiącach zimowych też jest tam mniej zgonów. Gdyby temperatura odgrywała tu jakąś rolę, także w innych sektorach latem śmiertelność byłaby niższa. Wydaje się, że Artis radzi sobie latem najgorzej.

– Powiedziałem, że *ja* tak uważam.

Stuka palcami w usta, zastanawiając się. Prawie widzę, jak trybiki obracają się w jej głowie. Ten tak bardzo znajomy widok chwyta mnie za serce. Muszę odgonić emocje.

Po chwili znów podnosi wzrok.

– Konsul Cherry. Arella.

– Tak?

– Dziewczęta o niej plotkowały. O tym, że szuka dodatkowych funduszy dla swojego sektora.

– Plotkowały? Jakie dziewczęta?

– W dniu, w którym udało mi się zakraść do pałacu. Służące. Mówiły, że konsul Cherry i konsul Pelham knuli razem, jak wyciągnąć srebro od króla. – Urywa. – Wtedy nie wiedziałam, o kim mowa.

Mam ochotę przewrócić oczami na te głupie plotki, lecz coś mi mówi, że jednak powinienem to zbadać.

– Wszyscy konsulowie zabiegają o dodatkowe pieniądze dla swoich sektorów. Oczekiwali, że Harristan przychyli się do prośby o fundusze na budowę nowego mostu w Artis, ale tak się nie stało, więc pewnie dogadują się między sobą, żeby wspólnie wystąpić z kolejną prośbą.

– Nie chcecie, żeby w Artis zbudowano nowy most?

– Nie taki, który kosztuje dwa razy więcej, niż powinien – odpowiadam oschle.

Wykrzywia usta, rozważając nad implikacjami tej odpowiedzi, a potem znów zerka na papiery, które ma przed sobą.

– A więc Sunkeep ma mało zgonów, a Emberridge i Księżycowe Równiny wydają się mieć zdrowszą populację.

– Bo kontrolują dostawy leku. Allisander nie może obstawić całego muru umierającymi żołnierzami.

Tessa podnosi wzrok.

– Od dwóch godzin czytam to wszystko i jedyne wnioski, do jakich dochodzę, to te, które wszyscy już znają, prawda?

– Nie żartuj. – Wyciągam z kieszeni zegarek. – Od trzech godzin.

Patrzy w mrok za oknem, a potem na rozświetlony żyrandol nad głową.

– To cud, że ktoś tu w ogóle sypia, skoro potraficie przegonić ciemność – mamrocze, próbując ukryć ziewanie.

– Powinnaś się już położyć.

– Mówiłeś chyba, że to zajmie całą noc.

– Mówiłem, że *mnie* to zajmie całą noc. – Kładę swoje dokumenty na stole. – Odprowadzę cię do twojego pokoju.

– Nie! – Zaciska z całej siły palce na poręczach fotela, jakbym zamierzał ją siłą z niego wyrwać. – To ważne.

– Wiem.

Mruży oczy.

– *Wiedziałaś*, że ludzie biorą więcej leku, niż potrzebują. Dlaczego nic z tym nie zrobiłaś?

– Po pierwsze – mówię – wcale tego nie wiem. W każdym razie nie na pewno. To ty jesteś zielarką, nie ja.

– Wiesz, że to prawda. Sam widziałaś.

– Tak, widziałem. – Zawieszam głos. – I widziałem też umierających, Tesso.

Wpatruje się we mnie w taki sposób, że czuję, jakby między nami wyrastał lodowy mur.

– Nie kwestionuję twojej wiedzy – dodaję. – Ale to było za mało. Nie miałem dowodu. I jakbym wyjaśnił, skąd mam te rewelacje? Myślisz, że Najwyższy Sędzia Królewski może tak ni stąd, ni zowąd zacząć proponować dawki leku i dodatkowe składniki? Co dzień do bram pałacu trafiają setki wiadomości. Duża część mówi, że gorączka to spisek, żeby łatwiej panować nad zastraszoną ludźmi. Wiele z nich obiecuje cudowny lek. Żaden nie działa.

Jeszcze bardziej mruży oczy.

– Ja nie proponuję cudownego leku. Tylko lepszy.

– Wiem. Tyle że Sektor Królewski podlega takim samym ograniczeniom jak wszystkie pozostałe. Każdy, kto bierze więcej, niż wynosi jego przydział, sam za to płaci. Nie mogę kontrolować, na co ludzie chcą wydawać swoje pieniądze.

– Twój brat może.

– Tak uważasz? – Unoszę brwi. – Nie mogę tak po prostu wyskoczyć z hipotezą, pstryknąć palcami i kazać bratu ogłosić ją jako dekret królewski.

Tessa marszczy czoło. Pochylam się nad stołem.

– Wyobrażasz sobie, co by się działo, gdyby Harristan ogłosił, że jego poddani nie mogą kupować tyle leku, ile chcą? Wyobrażasz sobie reakcję Allisandra? Czy... czy *kogokolwiek* innego? Nagłe robienie zapasów. Panika. W każdym sektorze są bogacze. Każdy konsul kupuje więcej, niż wynosi jego przydział. Już i tak jest dość

strachu. Nawet jeśli zdołasz udowodnić, że można lek wykorzystywać efektywniej, to może nie mieć znaczenia.

– Przecież twój brat jest królem! Dlaczego nie może kazać Allisandrowi zwiększyć dostaw?

– Zgodnie z prawem to konsulowie ustalają ceny towarów, które eksportują do innych sektorów. Powiedzmy, że uchylili to prawo i płatki Księżycowego Kwiatu będą dostępne za darmo. Kto zapłaci tysiącom ludzi, którzy je zbierają? Jaką motywację będzie miał Allisander, by dbać o swoje uprawy? No i co powstrzyma inne sektory przed ukrywaniem swoich dóbr z lęku, że *ich* własność także zostanie przejęta? – Widząc wyraz jej twarzy, wzdychem. –

Kupujemy, ile możemy, z podatków, które pobieramy, i rozprowadzamy lek wśród ludzi. Ale zawsze jest za mało. Za mało srebra, za mało Księżycowego Kwiatu. Rządzenie krajem to więcej niż tylko lekarstwo, Tesso. Jesteśmy u granic możliwości. Jonas żąda zbyt dużej kwoty na budowę mostu, choć na pewno jest mu potrzebny. Po prostu jego ludzie są zbyt chorzy, by pracować wydajnie.

Jeszcze bardziej marszczy czoło.

– Więc uważasz, że nie ma nadziei?

– Choroba dręczy Kandale od lat. Jeśli królewscy medycy i doradcy nie byli w stanie odkryć prawidłowości, kogo atakuje gorączka, mamy niewielkie szanse dokonać przełomu w zaledwie jedną noc.

Znów podnosi kartkę, którą właśnie trzyma w ręku, i z westchnieniem wypuszcza powietrze przez zęby.

– Cóż, musieli szukać.

Wiele razy w tej komnacie przeglądałem różne dokumenty, tak jak teraz. Już wiele razy widziałem taki blask nadziei w oczach, jaki teraz u niej widzę. Mógłbym wezwać medyków i doradców do nas w tym momencie i znów zobaczyłbym ten błysk.

Zastanawiam się nad tym, jak Harristan czytał każdą prośbę o ułaskawienie w dniu, gdy miała odbyć się egzekucja ośmiu więźniów, nad tym, że kazał przynieść mi te wszystkie papiery i zarządził spotkanie Tessy z królewskimi zielarzami. Pomyślałem, że chce mi po prostu sprawić przyjemność, pozwalając, by tu została. Jednak może chodzi o coś innego?

– Harristan nie uważa, że nie ma nadziei – oznajmiam.

Tessa podnosi wzrok.

– Skąd wiesz?

– Bo tu jesteś.

Przygryza wargę, zastanawiając się nad tym. Potem odkłada papiery i pociera oczy.

– Cóż. Jak sam powiedziałeś, w tych dokumentach nie znajdziemy odpowiedzi.

– Doskonale. – Po tym, jak kurczowo trzymała się fotela, nie spodziewałem się, że tak łatwo się podda. Dziwi mnie fakt, że *nie chcę*, by tak łatwo się poddała. – Odprowadzę cię do twojego pokoju.

– O nie, jeszcze nie skończyłam. – Stuka zdecydowanie w stół. – Pokaż mi mapę.

Zaspani służący przynoszą kilka map, tacę z czarną herbatą i ciepłe muffinki, salaterki miodu, mleka i dżemu oraz pokrojone jagody ułożone w małej miseczce wokół różowych i lawendowych kwiatów. Stawiają przed nami spodki i filiżanki, lecz Tessa nie zwraca na nich uwagi, skupiona na mapie rozłożonej na drugim stole. Wodzi po niej palcem i uważnie się w nią wpatruje.

– Co ci chodzi po głowie? – zagaduję.

– Może to nie pogoda w Sunkeep ma znaczenie. Mają najdłuższą linię brzegową. – Wskazuje na sektor położony najdalej na południe, przesuwając palcem po długiej granicy. – Może to ocean ma jakieś właściwości... profilaktyczne.

– Emberridge, Artis i Stalowe Miasto także przylegają do oceanu – zauważam.

Tessa robi minę.

– Owszem. – Muska opuszkiem wschodnią granicę. – Ale wybrzeże Emberridge i Artis to klify, prawda? Więc nie mają zbyt wiele dostępu do wody.

– To prawda. – Urywam i zerkam na mapę. – Za to Stalowe Miasto i Artis mają wspólny port, gdzie Rzeka Królowej uchodzi do oceanu.

– Wskazuję na to miejsce. – Rzeka Królowej przepływa przez Emberridge i Artis. – Pokazuję na zachodnią część Kandali. – Tutaj Ognista Rzeka płynie wzdłuż Księżycowych Równin i Krainy Smutku,

także wpada do oceanu. Prawie każdy sektor ma dostęp do płynącej wody.

Spogląda na mnie.

– Z wyjątkiem Sektora Królewskiego.

– Żeby nie było możliwości ataku z morza. Sektor Królewski jest w takim samym stopniu dotknięty chorobą pomimo naszych własnych źródeł wody.

Moje myśli nieproszone wracają do Harristana. Prawie go dziś nie widziałem, dlatego nawet nie wiem, czy kaszel wrócił. Czuję ukłucie lęku w sercu.

Kiedy był w mojej komnacie, czuł się dobrze. Więc teraz na pewno też.

Został jeden służący, który pieczołowicie wyciera kropelkę herbaty ze srebrnego półmiska. Ma nadzieję na podsłuchanie czegoś, to pewne.

– Wyjdź – rzucam ostrym tonem. Podskakuje, kłania się szybko i znika. Przenoszę uwagę na Tessę. – Mów dalej.

Jej oczy pociemniały od wyrzutu.

– Nie musisz być taki surowy.

Padam na krzesło. Strach o brata zepsuł mi humor.

– Nie zabiłem cię, a Allisander groził, że wstrzyma dostawy Księżycowego Kwiatu, w związku z czym pozwolę sobie się z tobą nie zgodzić.

Patrzy na mnie gniewnie. Odpowiadam takim samym spojrzeniem.

– Mów dalej – powtarzam.

Kieruje wzrok na mapę, później na mnie. W jej oczach nadal widzę krytykę.

– Przy mnie ozywają koszmary – mruczę. – Jeśli ci się zdaje, że tym mrocznym spojrzeniem zrobisz na mnie wrażenie, to szybko się przekonasz, że się mylisz.

Waha się, a potem wzdycha.

– Może więc chodzi o coś w morskiej wodzie.

Dopiero po chwili dociera do mnie, że znów mówi o Sunkeep.

– Pani Solomon używa mielonych muszli w jednej ze swoich mikstur na gorączkę – ciągnie Tessa. – Muszle przyjeżdżają z daleka, przez co są absurdalnie drogie, ale to jedna z niewielu jej mikstur,

które faktycznie działają. Zawsze myślałam, że to kora brzoza, jednak może...

– Zaraz. – Prostuję się. – Coś poza Księżycowym Kwiatem leczy gorączkę?

– Niezupełnie, choć ten płyn wydaje się pomocny w opanowaniu jej, dzięki czemu eliksir z Księżycowego Kwiatu jest bardziej skuteczny. – Krzywi się. – Chyba jest. Szczerze mówiąc, uważam, że wszystko, co sprzedaje, to tańsza wersja nadziei dla zdesperowanych.

Zdesperowanych jak ja przed chwilą. Opieram się na krześle i przeciągam dłońmi po twarzy. W pokoju jest tak cicho, że niemal słyszę tryby obracające się w moim kieszonkowym zegarku.

Muszę się ruszyć. Jeśli będę nadal tak siedział, moje obawy wpędzą mnie w obłąd. Wstaję i podchodzę do okna. Niebo nade mną jest ciemne i usiane gwiazdami, lecz Sektor Królewski, ze swoimi świecami i światłami elektrycznymi migoczącymi w całym mieście, niewiele mu ustępuje. Twierdza to potężny prostokątny budynek, dobrze widoczny z powodu pochodni, które całą noc płoną przy strażnikach. W oddali reflektory punktowe wędrują po murze.

Tessa, szeleszcząc suknią, podnosi się i zbliża się do mnie. Jej głos jest cichy i spokojny.

– Martwisz się o brata.

– Nikt nie potrzebuje się martwić o króla, a już najmniej ja.

Waha się.

– Inni muszą podejrzewać, że jest chory.

– Nie jest.

Staram się, żeby mój głos był dobrze słyszalny, żeby odstraszył ją od tego tematu rozmowy, ale mi się nie udaje. Brzmi drażliwie. Nawet gorzej – łagodnie. Jest słaby i przepełniony lękiem.

Bez ostrzeżenia Tessa bierze mnie za rękę i ściska ją lekko.

Patrzę na nią zaskoczony, jednak ona spogląda na miasto i puszcza moją dłoń tak delikatnie, że nie jestem już pewien, czy nie wymyśliłem sobie tego dotyku.

Zwłaszcza gdy znów uderza w urzędowy ton.

– A Ostriaria?

Mrugam.

– Co?

Ostriaria to królestwo po drugiej stronie Ognistej Rzeki, rozciągające się na zachód od Kandali. Rzeka jest gniewna, rwąca, szeroka – miejscami nawet na dwadzieścia pięć kilometrów – co stanowiłoby poważne utrudnienie dla handlu. Leżące na przeciwległym brzegu południowe tereny Ostriarii pokrywają mokradła, a na północy wznoszą się góry, przez które droga jest niebezpieczna. Nie mamy złych relacji z Ostriarią, lecz na skutek trudności w podróżowaniu dobrych też nie. Mojego ojca zabito niedługo po tym, jak zaczął wysyłać emisariuszy, żeby sprawdzić, czy warto byłoby ustanowić jakieś szlaki handlowe, a Harristan musiał zająć się umierającymi poddanymi.

– Czy oni też cierpią na gorączkę? – dąży Tessa.

– Nie wiem – przyznaję.

– Nie sądzisz, że warto byłoby się tego dowiedzieć?

Biorę wdech, żeby odmówić, ale to nie jest zła myśl. Zerkam na nią.

– Może.

– Jeśli Księżycowy Kwiat rośnie na północy *tutaj*, to może *tam* też. A jeśli oni nie chorują, może udałoby się go stamtąd sprowadzić.

– Strasznie dużo tych „jeśli” i „może”. – Zawieszam głos, licząc w myślach, ile srebra potrzeba by na przygotowanie statków, które oparłyby się nurtowi, i wynajęcie ludzi, którzy podjęliby się podróży w nieznaną i potrafiliby opracować mapy. – Byłoby to kosztowne. Nie wiem, czy Harristan zdołałby obronić taki wydatek.

Nie mówiąc już o tym, że Allisandrowi pomysł na pewno by się nie spodobał. Już sama ta myśl sprawia, że mam ochotę natychmiast wystąpić z prośbą o sfinansowanie wyprawy.

Tessa wzdycha.

Ja wzdycham.

Szkoda, że tak szybko puściła moją dłoń. Ten gest nie znaczył nic szczególnego, wiem to. Tak samo zachowałaby się w stosunku do zmartwionej matki, kiedy nosiliśmy maski i próbowaliśmy pomóc tym nielicznym, którym byliśmy w stanie.

„Nie musisz być taki surowy”.

Może czuła coś do Westona Larka, jednak księcia Corricka nienawidzi.

– Warto to przedyskutować – stwierdzam.

Odwraca się do mnie zdziwiona. W jej oczach pojawia się blask.

– Naprawdę?

We wszystko, co robi, wkłada tyle serca, że jej reakcja prawie wywołuje uśmiech na mojej twarzy.

– Teraz jesteś na dworze, nie możesz być taka prostolinijna.

– Co masz na myśli?

– Powinnaś powiedzieć: „Jeśli to wszystko, co Wasza Wysokość może zrobić” – mówię z intonacją, która bardzo przypomina to, jak przedrzeźniam w myślach Allisandra. – Albo: „Cóż, na razie to będzie musiało wystarczyć”, ale koniecznie z ciężkim westchnieniem, żeby było oczywiste, że nie jesteś usatysfakcjonowana.

Splata ramiona na piersi i znów patrzy na miasto.

– Co za niedorzeczność.

Wybucham śmiechem. Robi zdumioną minę, potem marszczy brwi.

Znów jakieś ciężkie emocje wypełniają przestrzeń między nami, nagłe i palące. Nie rozumiem, co się właśnie stało.

Tessa przełyka ślinę.

– Gdy się śmiejesz, tak bardzo przypominasz Wesa. – Jej oczy błyszczą. – Nie wiem, kto jest prawdziwy, a kto tylko iluzją.

W tych słowach jest tyle bólu, że prawie przeszywa mnie dreszcz. Na chwilę wstrzymuję oddech.

Dotykam jej dłoni tak, jak ona przed chwilą dotknęła mojej. Jak setki razy robiliśmy w lesie, kiedy noce były trudne. Spodziewam się, że zaraz ją wyrwie, lecz tego nie robi. Zaciskam palce na jej palcach i obserwuję światła miasta.

– Ty potrafisz przejrzeć każdą moją iluzję – mruczę zachrypniętym głosem.

Odwraca się do mnie. Widzę nadzieję w jej oczach i nie podoba mi się to. Za bardzo przypomina mi naszą ostatnią noc w lesie, gdy obiecywałem, że wrócę i nie wróciłem. Zawsze będzie się na mnie zawodzić. Więzienie jest pełne przemytników, którzy są na to wystarczającym dowodem.

Mimo to nie potrafię z niej zrezygnować.

Podnoszę drugą dłoń, żeby dotknąć jej twarzy, najpierw ostrożnie, a kiedy się nie odsuwa, staję się pewniejszy.

– Przypominasz mi, jak to było być Wesem.

Jej oddech robi się drżący; przymyka powieki.

– Nienawidzę cię.

– Wiem. – Przeciagam kciukiem po jej ustach, na co rozchylają się lekko. Jesteśmy tak blisko, dzieli nas tylko oddech.

Nagle jej oczy się otwierają, bierze gwałtowny wdech. Rozdziela ręką nasze twarze, przykrywa palcami moje wargi i intensywnie się we mnie wpatruje.

Chcę odsunąć jej dłoń, żeby nas nie rozdzielała. Chcę przycisnąć usta do jej ust. Chcę położyć dłonie na jej biodrach, plecach, na każdym skrawku skóry, którego nie zakrywa suknią, i na tych, które zakrywa. Chcę czuć jej zapach i smak, chcę jej ramion zaplecionych wokół mojej szyi.

Nie mogę się ruszyć. Chcę, żeby ona też chciała tego wszystkiego.

– Nie jesteś Wesem – szepcze.

Te słowa uderzają mnie jak strzała – odsuwam się. Dystans między nami jest nagle niewyobrażalny.

Za oknem następuje eksplozja tak głośna i jasna, że aż odskakuję. Odsuwamy się metr w tył, jednak wokół pałacu jest spokój. Ogień wybuchł kilka przecznic dalej, płomienie wzbijają się w niebo. Już słyszę krzyki w innej części budynku i ludzi biegnących ulicami w dole.

– Co... co się dzieje? – pyta Tessa.

– Straż! – krzyczę.

Drzwi się otwierają, wbiega strażnik.

Od kolejnej eksplozji w mieście zadrżały pałacowe szyby. Znów w pobliżu Twierdzy. Płomienie sięgają trzeciego piętra. Rozlega się dźwięk syren alarmowych.

Kolejny wybuch. Tym razem nie podskakuję.

Jeszcze jeden.

– Wasza Wysokość powinien się odsunąć od okna – zwraca się do mnie strażnik.

Ale nie mogę, nie mogę przestać patrzeć.

Sektor Królewski stoi w ogniu.

Rozdział dwudziesty czwarty

Tessa

Kiedy byłam sama z Corrickiem, w pokoju panowały bezruch i cisza. Teraz wypełnia go zgiełk strażników i doradców, którzy wbiegają i wybiegają z wiadomościami i rozkazami. Król Harristan dołączył do nas dziesięć minut po pierwszym wybuchu. Najwyraźniej ubierał się w pośpiechu, bo jest w samej koszuli, prostych skórzanych spodniach i niezawiązanych butach. Razem z Corrickiem siedzi przy jednym z długich stołów, a Quint stoi po drugiej stronie. Marszałek dworu pospiesznie pisze wiadomości, które porywają gońcy, gdy tylko kończy. W pokoju jest też kilku konsulów, w tym Sallister, Cherry i Marpetta – kobieta, którą widziałam przy bramie tego dnia, gdy wchodziłam do sektora z przesyłką od pani Solomon. Pozostałych nie znam. Najpierw otoczyli króla i spierali się, czy cały sektor został zaatakowany, jak najlepiej walczyć z pożarem, kto stoi za wybuchami. Harristan słuchał ich kłótni o całą minutę dłużej, niż ja bym wytrzymała, aż wreszcie im przerwał.

– Dość. Jeśli to wszystko, co macie do zaproponowania, lepiej chwycie za wiadra i zabierzcie się do gaszenia ognia.

Ucichli. Teraz tkwią przy stole stojącym najbliżej kominka. Mówią szeptem, mimo to w ich głosach słychać podniecenie. Nadal się kłóć, ale mają dość rozumu, by trzymać się z dala od władcy. Słyszę coś o finansowaniu, buntownikach i zaplanowanym ataku.

Nie ruszam się z kąta w nadziei, że nikt nie pamięta o mojej obecności. Napięcie w pokoju jest namacalne; wyszłabym, gdybym się nie bała, że zwrócę tym na siebie ich uwagę.

Trudno sobie wyobrazić, że dwa dni temu siedziałam przy blacie roboczym naprzeciw Karri, tępo ucierając korzenie i zioła na proszek, a teraz w karmazynowej sukni siedzę na najwyższym piętrze pałacu i przez okno patrzę na ogień szalejący w dole, w mieście.

Usłyszałam wystarczająco dużo, by wiedzieć, że był to skoordynowany atak na Twierdzę, jednak ogień zajął też sąsiednie budynki. Wybuch nastąpił przy głównym wejściu, a także przy tylnych drzwiach, powodując zawalenie ściany. Pożary są tak potężne, że jest problem z ich ugaszeniem. Na początku były obawy, że również pałac może zostać zaatakowany, dlatego wszyscy zebrali się tutaj, a drzwi strzeże tuzin uzbrojonych strażników. Tymczasem do kolejnych eksplozji już nie doszło.

W drzwiach pojawia się młodzieniec. Ma czerwoną twarz, włosy mokre od potu, ubranie nadpalone, a na palcach sadzę. W dłoni trzyma kawałek papieru – wymięty i wilgotny.

– Wasza Królewska Mość – mówi bez tchu.

Harristan bierze list i czyta. Po chwili kładzie kartkę na stole i przesuwa w stronę Corricka. Król odzywa się głosem pełnym rezygnacji:

– To nie był zwykły atak na Twierdzę, tylko misja ratunkowa.

Konsul Allister wstaje od stołu przy kominku.

– Co?

Corrick przesuwa dłonią po szczęcie.

– Większość więźniów zbiegła. Mieli pomocników.

Gdybym była teraz na zapleczu sklepu z Karri i usłyszała tę wiadomość, moje serce podskoczyłoby z radości, że komuś udało się zbiec przed okrutną tyranią króla i jego brata. W pewnym sensie teraz też podskakuje. Ale nauczyłam się już, że to nie jest takie proste, jak podział na „my” i „oni”. Wiem też, że nikt inny w tym pokoju nie odetchnie z ulgą.

Przez chwilę panuje kompletna cisza, aż konsul Sallister podchodzi do stołu.

– Uciekli – mówi cichym głosem pełnym wciekłości. – *Znów* uciekli. – Robi się czerwony na twarzy. – Corricku, mówiłeś, że nie są zorganizowani. Mówiłeś, że to „sterani robotnicy”. Mówiłeś, że...

– Konsulu – odzywa się Król Harristan. Jego głos nie jest surowy ani ostry, lecz mimo to wszyscy pozostali natychmiast milkną.

– Ktoś to musiał zaplanować – oznajmia konsul Marpetta. Jej głos jest spokojny, jednak zdecydowany. – I sfinansować.

– Tak – rzuca gniewnie Sallister. – Zapewne sfinansowali to ci sympatycy, których nazywają Benefaktorami. Wiesz coś o tym,

Arello?

– Oskarżasz mnie o coś? – pyta z opanowaniem.

– A masz się do czego *przyznać*?

Na dłuższą chwilę zapada między nimi śmiertelna cisza. Ich wzajemną nienawiść czuję nawet w moim kąciku.

– Zakładam, że bramy są zamknięte – zabiera głos starszy mężczyzna siedzący obok konsula Cherry. – Czy nocne patrole przeszukują sektor?

– Tak – potwierdza Corricker. Spogląda na zmięty papier na stole. – Dwóch zbiegów już złapano.

– Więc każ ich zabić – żąda konsula Sallister. – Natychmiast.

Jego głos jest taki zimny. Taki bezduszny. Jakby w ogóle nie mówił o ludziach. Tylko o bydło.

Król Harristan i księżę Corricker wymieniają wymowne spojrzenia. Serce niemal mi staje. Tyle się wydarzyło od chwili, gdy zakradłam się do pałacu. Jestem pełna nadziei. Jestem przerażona. Jestem... nawet już nie wiem, kim jestem.

– Zajmę się tym – oświadcza Corricker, wstając.

– Nie! – Słowo wyrywa się z moich ust, nim zdolałam je powstrzymać, i skupia na mnie uwagę wszystkich.

Z wyjątkiem Corricker. Nie patrzy na mnie, nie odwraca się, nie szuka mojego wzroku.

– Konsulu – mruczy beznamiętnym tonem i rusza w stronę drzwi. Sallister podąża za nim. Po chwili dołącza do nich konsula Marpetta.

Chcę pobiec za Corrickerem. Chcę błagać go, żeby tego nie robił. Jak on to powiedział? „Przypominasz mi, jak to było być Wesem”.

Był Wesem. Nie chce tego zrobić. Wiem to.

Ale wychodzi. „Zajmę się tym”.

Przyciskam palce do ust. Nie mogę złapać tchu.

Już nie jestem niewidzialna. Król Harristan spogląda na mnie, potem na marszałka dworu.

– Quint.

Quint wstaje z wahaniem i podchodzi do mnie.

– Musisz być wykończona, moja droga.

– Proszę – szepczę przez palce. – Proszę. On nie może tego zrobić.

Z wyrazu jego oczu czytam, że może i zrobi to.

Jestem taka głupia. Przez krótką chwilę łudziłam się, że może być inaczej, jednak wiedziałam, kim jest. Wiedziałam, co może zrobić.

Powinłam była uciec z powozu, kiedy miałam okazję. Powinłam była dźgnąć go sztyletem. Powinłam była coś zrobić.

Zamiast tego stoję tu, a Quint chwyta mnie za łokieć.

On ich zabije. Corrick zaraz urządzi egzekucję.

Chcę biec. Chcę krzyczeć. Chcę paść do nóg króla i błagać o litość. Tyle że to nic nie da.

Quint musi widzieć panikę w moich oczach.

– Chodź ze mną, Tesso – naciska.

Konsul Cherry wstaje i zerka na mnie, a później na króla.

– Na pewno książe Corrick wiele się dowie o ich działaniach, gdy już będą martwi. – Patrzy w kierunku starszego mężczyzny siedzącego przy stole. – Roydan. Chciałabym dokończyć naszą rozmowę na osobności.

– Masz do dokończenia rozmowę, której nie może usłyszeć twój król? – pyta Harristan.

Roydan wygląda, jakby chciał powiedzieć coś pojednawczego, ale konsul Cherry śmiało stawia się królowi.

– Tak, Wasza Królewska Mość – odpowiada. – Nie może. – Potem dyga i odwraca się do drzwi.

Harristan bierze głęboki wdech, ale nim zdoła odpowiedzieć, zaczyna mocno kaszleć.

Konsul Cherry i Roydan odwracają się zaalarmowani.

W mgnieniu oka Quint puszcza moje ramię i łapie Cherry.

– Arello, dokąd ty i Roydan się udajecie? – mówi głośniejszym niż zwykle, dyskretnie popychając ich w kierunku drzwi. – Każę przynieść wam posiłek. Może także butelkę wina?

I już ich nie ma. Strażnik zamyka za nimi drzwi.

Kaszlel Harristana nie ustaje. Dwaj strażnicy wymieniają spojrzenia.

Może widziałam zbyt wiele takich spojrzeń wśród zaniepokojonych obywateli, ale wiem, co one znaczą.

Jest chory? Powinniśmy coś zrobić?

Taca z dzbankiem herbaty i spodkami stoi nietknięta na brzegu stołu, więc podchodzę i szybko nalewam filiżankę herbaty. Dodaję pełną łyżeczkę miodu. W małym wazonie stoi bukiet z lilii i lawendy.

Nawet nie chce mi się myśleć, ile muszę pracować, by móc kupić kilka płatków lilii do mojego zestawu zielarskiego, podczas gdy tu po prostu służą do dekoracji. Z każdej odrywam po parę płatków, miażdżę w dłoni i dodaję do naparu. Łyżeczka dzwoni o porcelanę, kiedy gwałtownie mieszam napój, zanim podam go królowi.

Jeden ze strażników zastępuje mi drogę tak gwałtownie, że przestraszona nabieram gwałtownie powietrza i omal nie wylewam na niego całej zawartości. Trochę herbaty wychlapało się z filiżanki.

– Lilie – zaczynam się jąkać, uświadamiając sobie, że zostałam sama z królem i jego strażą. – I miód. Na kaszel. To mu pomoże.

– Nie – syczy strażnik.

– Tak – rzezi Harristan.

Strażnik mruga zdziwiony. Odwraca się, żeby spojrzeć na króla, który wyciąga rękę w moją stronę, wskazując na filiżankę.

Stawiam ją na stole przed nim, zastanawiając się, czy strażnik obetnie mi dłoń. Filiżanka zabrzęczała o spodek. Król ostrożnie pije łyk i znów kaszle.

Strażnik patrzy na mnie gniewnie, jakby to była moja wina.

Ale król Harristan opróżnia naczynie i kaszel ustaje. Pokój nagle pogrąża się w ciszy, która aż dudni w uszach. Strażnik nie rusza się z miejsca, nadal częściowo blokując mi dostęp do króla, jednak jego twarz nie jest już tak surowa, jak jeszcze przed chwilą, choć cały czas jest wysoki i przytłaczający. Ma śniadą cerę, krótko przystrzyżone włosy i mięśnie tak potężne, że pewne zmiażdżyłby moją czaszkę jedną ręką.

Gdy tylko o tym myślę, dociera do mnie, że czeka na rozkaz króla. Corrick właśnie wyszedł, żeby stracić kolejnych więźniów. Z tego, co mówił, ledwie kilka osób podejrzewa, że król może być chory, a ja właśnie widziałam jego napad kaszlu. Może ten mężczyzna faktycznie *zmiażdży* zaraz moją czaszkę.

Jestem jednocześnie przerażona i wściekła, jak wtedy, kiedy ocknęłam się w komnatach Corricka, lecz teraz wściekłość zaczyna brać górę.

Spoglądam między króla i jego strażnika.

– Chciałam pomóc – wypalam szybko głosem przepelnionym gniewem, który bardziej skierowany jest na Corricka niż na strażnika przede mną. – To wszystko. Nie plotkuję i nic nie wiem. Możesz

zabić każdego, kogo chcesz, zatem mnie raczej też, ale ja jestem tylko jedną osobą, zabicie mnie nie...

– Dość.

Król nie mówi tego gwałtownie, jednak z wystarczającą stanowczością w głosie, by moje usta się zamknęły. Teraz strażnik wygląda nie przytłaczająco, a groźnie.

Przełykam ślinę i staram się trzymać fason.

– Rocco – odzywa się znów Harristan. Jego głos jest chrapliwy, nieco osłabiony, jakby kaszel coś z niego zabrał, lecz nie chce się do tego przyznać. – Odsuń się.

Strażnik cofa się pod ścianę, a ja stoję twarzą w twarz z władcą Kandali ubranym w samą koszulę.

Kiedy pomiędzy nami był strażnik, miałam jakoś więcej odwagi. Może on i jego brat brali specjalne lekcje, jak przytłoczyć kogoś samym siedzeniem, bo obu przychodzi to nad wyraz łatwo.

– Nie mam zamiaru cię zabić.

Nie bardzo wiem, jak powinnam na to odpowiedzieć.

– Dziękuję – szepczę z wahaniem – Wasza Królewska Mość.

W jego oczach rozbłyska coś, co przypomina albo irytację, albo rozbawienie. Mam nadzieję, że chodzi o to drugie, choć podejrzewam, że jednak to pierwsze, zwłaszcza gdy znów odzywa się do mnie:

– Siadaj.

Opadam na krzesło stojące najbliżej niego. Podnosi opróżnioną już filiżankę.

– Jeden z twoich leków?

– To tylko – muszę odkaszląć – to tylko płatki lilii. Są bardzo drogie, ale dobre na kaszel. Nawet lepsze niż ostryż.

Patrzy tylko na mnie, dlatego zaczynam trajkotać.

– W Artis wielu pracowników stoczni narzeka na suchość w gardle z powodu pyłu z drewna, przy którym pracują. To szybko im pomaga. Czasem taka suchość może wywołać stan zapalny, który przypomina gorączkę, więc w dokach lęk, że to zaraza, jest na porządku dziennym. Wystarczy trochę imbiru i kurkumy, by temu zaradzić, jeśli nie ma wysokiej gorączki.

Zerka na moją rękę. Z zakłopotaniem uświadamiam sobie, że właśnie sięgałam do czoła króla.

– Och... przepraszam. – Gwałtownie cofam dłoń.

– Mam gorączkę, Tesso?

Zastygam w bezruchu. Cóż za podchwytliwe pytanie.

Żartuje ze mnie? Raczej nie.

Mam go dotknąć? Mam sprawdzić jego czoło?

A jeśli rzeczywiście ma gorączkę? Mam powiedzieć, że tak? Mam powiedzieć, że nie?

Znów podnoszę rękę; w jego oczach jest iskierka prowokacji.

Ostrożnie muskam palcami jego brew, ale to za mało, by cokolwiek stwierdzić.

Nie trać ducha, Tesso.

Zamknij się, Wes. Corrick. Wszystko jedno.

Zaciskam zęby i kładę rękę na czole króla.

Nie ma gorączki.

Jestem tak zaskoczona, że odwracam dłoń i dotykam jeszcze raz drugą stronę. Czoło jest chłodne. Uderza mnie, na jak bezbronnego teraz wygląda, kiedy siedzi tam, na wpół ubrany, z moją ręką na czole. Byłam tak onieśmielona faktem, że jest królem, że zapomniałam, że jest też tylko człowiekiem, ledwie kilka lat starszym ode mnie.

– Nie – odpowiadam szczerze, siadając z powrotem na krześle.

Poczucie ulgi jest tak ogromne, że przez ułamek sekundy mam wrażenie, jakby wszyscy obecni jednocześnie odetchnęli. Nawet sam król wydaje się nieco rozluźniony.

Ja też nie pozostaję obojętna. Serce mi zwalnia. Czuję, jakbym pierwszy raz od wielu godzin wzięła głęboki oddech.

Aż odzywa się król.

– Skąd *naprawdę* znasz mojego brata?

Czuję, jakby serce chciało wyrwać się z mojej piersi.

Harristan uśmiecha się przenikliwie.

– Masz uczucia wypisane na twarzy.

Przykładam dłoń do policzków.

– On powiedział to samo – szepczę.

– Współpracujesz z ludźmi, którzy zaatakowali Twierdzę?

– Co? – pytam gwałtownie. – Nie!

– Kim są Benefaktorzy? Czy to oni za tym stoją?

– Nie wiem! Słyszałam o nich podczas zamieszek, to wszystko. Na egzekucji.

– A co z przemytnikami, których schwytaliśmy? Miałaś za zadanie odwrócić uwagę księcia?

– Nie! Nie byłam... nie jestem...

– Wydawałaś się bardzo zmartwiona, że zgodził się ich ukarać.

– Bo nie chcę, by kogokolwiek *zabijał*. Nie chcę... – głos mi się łamie. – Dość ludzi umiera w Kandali. Nie powinniśmy zabijać własnych obywateli. Zwłaszcza gdy po prostu próbują przetrwać.

W tym momencie, ku własnemu przerażeniu, zaczynam płakać. Płaczę na oczach króla.

Delikatny materiał muska moje palce; mrugam i otwieram oczy. Król podaje mi chusteczkę. Ściskam ją.

– Dziękuję. – Głos mam nosowy, przepełniony łzami. Nie mogę teraz na niego spojrzeć.

Kiedy się odzywa, jego głos jest cichy, niemal delikatny.

– Najwyższy Sędzia Królewski nie może być pobłażliwy w stosunku do osób, które atakują budynek w centrum Sektora Królewskiego. – Zawiesza głos. – Na pewno zdajesz sobie z tego sprawę.

Przyciskam chusteczkę do oczu. Tak, zdaję sobie z tego sprawę.

I to jest najgorsze.

– Wiem – szepczę.

– Mogłaś mnie otruć tą herbatą – mruczy Harristan równie cichym głosem.

Mogłam go także ugodzić sztyletem, ale tego nie mówię.

– Nie jestem zabójcą.

– Zaiste. – Urywa i bierze wdech, jednak już się nie dowiem, co chciał powiedzieć, bo do pokoju wpada Quint.

– Proszę o wybaczenie, Wasza Królewska Mość – mówi. – Odprowadzałem konsul Cherry i konsula Pelhama do innej komnaty i... – Dostrzega nas siedzących obok siebie i staje jak wryty. – Czy... nie przeszkadzam?

Król Harristan spogląda na Quinta.

– Zadbaj, żeby konsulowie dowiedzieli się, że Tessa zaradziła mojemu kaszlowi. Dobrze, że akurat tu była. Z kilku składników zrobiła miksturę, która przyniosła błyskawiczny efekt.

– To był tylko miód i... – zaczynam, lecz Harristan ucisza mnie spojrzeniem.

– Jestem wdzięczny za jej pomoc – kończy.

– Tak jest, Wasza Królewska Mość – mamrocze Quint. Wydaje się skonsternowany.

Ja zresztą też jestem.

– Odprowadź ją do jej komnaty – nakazuje król.

I tak po prostu zostaję odprawiona. Chwilę później moja ręka spoczywa na ramieniu Quinta, gdy idziemy pogrążonym w ciszy korytarzem. Ku mojemu zaskoczeniu strażnik Rocco idzie w niewielkiej odległości za nami. Pewnie ma dopilnować, żebym trafiła tam, gdzie powinnam.

Każda godzina w pałacu wywraca moje przekonania do góry nogami, aż przestaję się orientować, co jest dobre, a co złe. Być może Quint to wyczuwa, bo nie jest tak gadatliwy jak zwykle.

A może jest równie zmęczony jak ja.

Nie wiem, czy chcę wiedzieć, co Corrick robi właśnie teraz z więźniami. Nie wiem, czy chcę zapytać Quinta, czy on wie. Nim zdołam się zdecydować, już jesteśmy pod moimi drzwiami. Rocco mówi coś cicho do stojących tam strażników, a ci po chwili znikają.

Marszałek odwraca się do mnie.

– O świcie Jossalyn przedstawi ci plan dnia.

Już sama ta myśl jest wyczerpująca. Już nawet nie bardzo pamiętam, skąd miałam wrażenie, że robimy z Corrickiem jakiś postęp, kiedy studiowaliśmy mapy, bo wszystko się zmieniło, jak tylko za oknem wybuchł pożar, a on pomaszerował zabić więźniów. Tak jak rano, mam ochotę ucześcić się rękawa Quinta i błagać, by został, ale wiem, że ma teraz ważniejsze sprawy.

Przeganiam tę myśl i powstrzymuję westchnienie.

– Dziękuję.

Kiwa głową i odwraca się.

Zatrzymuję się z ręką na klamce. Zerkam na Rocco, który zajął miejsce odesłanych strażników. Przesuwam wzrokiem po królewskich insygniach na jego mundurze. Może zwykła straż pałacowa jest zbyt zajęta uganiając się za zbiegami.

– Teraz twoja kolej pilnować, żebym nie uciekła? – pytam go.

Unosi brwi.

– Pilnować, żeby panienska nie uciekła? – powtarza za mną.
– Zastąpiłeś tamtych strażników. Jesteś moim nowym dozorcą?
– Yyy... nie. – Sięga do klamki i otwiera dla mnie szeroko drzwi. – Pomogła panienska królowi – mamrocze. – Król jest za to paniencie wdzięczny.

Spoglądam na drzwi, na jego rękę, na pusty hall.

– Ja... nie rozumiem.

– Nie jest panienska więźniem. Może panienska opuszcza swoją komnatę, kiedy zechce.

– Nie jestem?

– Nie, panienko Tesso.

– W takim razie... – Waham się. W mojej zmęczonej głowie panuje kompletny chaos. – W takim razie co tu robisz?

– Jestem strażnikiem. – Uśmiecha się. – Mam pilnować, żeby nikt tu nie wszedł.

– Aha. – Znów wbijam wzrok w drzwi. – Aha. – Przechodzę przez próg. – Dziękuję.

Ze skinieniem głowy zamyka mnie w ciszy.

Podchodzę do okna. Nie widzę sektora tak wyraźnie jak wcześniej, lecz wygląda na to, że ogień zdołano opanować. Syreny alarmowe przestały wycić, a słupy światła z reflektorów strażników już nie przesuwają się po murach w tak szalonym tempie jak chwilę temu.

Gdzieś tam, w ciemności, Corrick przeprowadza egzekucję. Odwracam się od okna.

Powinnam go nienawidzić, ale nie potrafię. Nie wiem, co to mówi o mnie, i nie jestem pewna, czy jestem gotowa, żeby to teraz szczegółowo analizować.

Ciekawe, co mój ojciec powiedziałby o księciu Corricku, o królu i Allisandrze, o walkach o władzę i wpływy między możnymi, za które największą cenę ponoszą biedni, choć w niczym nie zawinili. Ciekawe, co mój ojciec powiedziałby o mnie, siedzącej bezpiecznie w pałacu, kiedy sektor na dole płonie.

Podchodzę do toaletki i rozwiązuję wstążki zaplecione wokół przedramion, a potem zdejmuję suknię przez głowę, jednak moje myśli są daleko stąd. Pamiętam, jak stałam w tłumie w dniu, kiedy pani Solomon zmusiła nas do pójścia na egzekucję. Marzyłam, by Wes też tam był. I był, choć wtedy o tym nie wiedziałam. Uważałam,

że księżę Corrick jest potworem, i w pewnym sensie jest, ale może stał na tym podeście tak samo przygnębiony jak ja.

„Więc każ ich zabić. Natychmiast”.

Nawet na mnie nie spojrzął, zanim wyszedł z pokoju.

Jossalyn zostawiła dla mnie koszulę nocną na wieszaku na drzwiach szafy. Ignoruję ją i przeszukuję ubrania, aż znajduję coś, co wygląda na strój do jazdy konnej. W każdym razie będzie na pewno wygodniejsze niż suknia. Spodnie z miękkiej cielęcej skóry, wełniany sweter i para wysokich butów.

Gdy już jestem przebrana, otwieram drzwi.

Rocco stoi, gdzie stał. Unosi brew, widząc mój strój.

– Nie muszę zostać w swoim pokoju? – pytam.

– Nie. – Zawiesza głos. – Mogę posłać po posiłek, jeśli panienska...

– Nie, dziękuję. – Muszę odchrząknąć. – Nie jestem głodna. Chcę... – Urywam, wpatrując się w niego. Może nie jestem więźniem, lecz to ciągle strażnik królewski. – Możesz mnie gdzieś zaprowadzić? – proszę cicho. – To znaczy... na zewnątrz?

Marszczy czoło, więc spodziewam się, że odmówi, ale po chwili pada pytanie:

– Dokąd?

Biorę głęboki wdech.

– Chcę, żebyś mnie zaprowadził do księcia Corricka.

Rozdział dwudziesty piąty

Corrick

Na podłodze leży pełno osmalonych cegieł i roztrzaskanego drewna. Pozostałości dymu tworzą gęstą poświatę wokół jedynej pochodni palącej się w tej części Twierdzy. Jakiś czas temu strażnicy wyszli z ciałami; jeszcze nie wrócili. Ta część budynku nie nadaje się do użytku i pewnie myślą, że już dawno sobie poszedłem.

Allisander poszedł. Nie wytrzymał nawet pięciu minut.

I dobrze. Nie chcę go tu. Nie chcę tu nikogo.

Kiedy weszliśmy, więźniowie leżeli związani na ziemi. Przez chwilę myślałem, że obaj mężczyźni są martwi, bo twarze mieli osmalone, a ubrania nadpalone. Niewielką powierzchnię wypełniał mdły zapach spalonego ciała. Było oczywiste, dlaczego tak szybko ich złapano. Pewnie nawet nie zdołali wydostać się z Twierdzy.

Ale potem zobaczyłem, jak pierś jednego z nich unosi się i opada, a drugi wydaje żalosne jęki.

Allisander był tuż za mną.

Żałowałem, że nie są martwi. Żałowałem, że nie uciekli. Żałowałem, że Harristan mnie nie powstrzymał. Przeciwnie, zostawił mnie z tym, bym udowodnił, jak okrutni potrafimy być. Żałowałem, że nie jestem Wesem, który może pomagać, zamiast Corrickiem, który jest więźniem okoliczności.

Żałowałem. Żałowałem. Żałowałem.

I cały ten czas Allisander czekał...

Zwykle to nie ja dzierżę miecz, strzałę czy topór. Wydaję rozkaz, który wykonuje ktoś inny. Jednak tej nocy moje myśli były dzikie i rozproszone. Obawiam się, że gdybym otworzył usta, by wydać rozkaz, zniszczyłbym wszystko, co mój brat z takim trudem próbował posklejać i ocalić.

Więc wziąłem miecz od strażnika i podciąłem im gardła.

Potem wyciągnąłem go w stronę strażnika, żeby go zabrał, lecz nie spuszczałem oczu z konsula.

– Zadowolony? – zapytałem go. Głos miałem szorstki, ręce lepkie od krwi.

Oddychał ciężko, a jego nozdrza poruszały się jak u wystraszonego konia. Może nie spodziewał się, że załatwię to tak szybko albo tak brutalnie. Może myślał, że będę chciał uniknąć przemocy.

– Tak – odparł.

– Dobrze.

I wyszedł, a strażnicy wywlekli ciała na zewnątrz.

Siedzę teraz w pyle, oparty o ścianę. Ręce mam ciemne od gęstej i czarnej krwi, która zaschła wokół paznokci. Powietrze wydaje się zbyt ciężkie, by nim oddychać, ale może to tylko uczucie ucisku w piersi wywołane przerażeniem, które ogarnęło mnie w chwili, kiedy usłyszałem za plecami krzyk Tessy proszącej, bym tego nie robił.

„Tutaj możesz być tylko księciem Corrickiem. Możesz być tylko Najwyższym Sędzią Królewskim”.

Wiem, Quint. Wiem.

Przyciskam palce do oczu. Jak zawsze zazdroszczę Harristanowi. Nie tronu, a niewiedzy, nieświadomości tego wszystkiego. Jego dystansu. Jego uprzywilejowanej pozycji.

Może to to samo.

Powtarzam sobie, że uciekło co najmniej ośmiu więźniów, a to było tylko dwóch. Powtarzam sobie, że i tak długo by nie pożyli. Powtarzam sobie, że to był akt łaski, nie okrucieństwa, jednak nie jestem pewien.

Chciałbym przegonić z głowy wszystkie myśli, skryć umysł w mroku, który pozwala mi być tym, kim muszę. Za każdym razem, gdy próbuję to zrobić, myślę o Tessie, jej ciemnych oczach przepełnionych potępieniem.

Nigdy mi nie wybaczy. Nigdy już nie pozwoli mi się dotknąć.

Nigdy się od tego nie uwolnię. Od tego, kim jestem. Taki los czeka mnie jako Najwyższego Sędziego Królewskiego, Krwawego Corricka – człowieka, który wzbudza największy strach w całym królestwie, człowieka, który jest najbardziej samotny w całym królestwie.

Chcę prychnąć drwiąco, lecz ku mojemu ogromnemu zdziwieniu oczy zaczynają kłuć i piec. Mrugam szybko i ocieram twarz. To absurd. Ostatni raz płakałem w dniu śmierci rodziców. Nie chcę teraz płakać.

Mimo to łzy płyną. Przeciagam rękawem po twarzy. Jest mokry. Uświadamiam sobie, że wysmarowałem twarz krwią.

„Przy mnie ozywają koszmary” – powiedziałem do Tessy. Sam jestem żywym koszmarem.

Gdzieś w ciemności słychać stukanie butów o kamienną posadzkę. Gwałtownie podnoszę głowę. Pewnie jeden ze strażników wraca.

Zrywam się na nogi. Jeszcze raz ocieram twarz. Zaciskam zęby, walcząc ze wszystkim, co czuję.

Nowa myśl przychodzi mi do głowy, niemal gorsza niż smutek i przerażenie. Uciekli więźniowie. Zaatakowano Twierdzę.

Może to jednak nie straże. Odruchowo sięgam po sztylet. Nie ma go. Dałem go Tessie.

Niepokój zagłusza ból. Chwytam kamień z gruzowiska i cofam się w cień, wpatrując się w gęste, zadymione powietrze, zastanawiając się, czy pozostanie tu nie było lekkomyślne.

Ale światło pada na coś srebrnego i błyszczące buty. Rozpoznaję mundur straży królewskiej. Rozpoznaję Rocco, jednego z osobistych strażników mojego brata.

Tracę dech. Czyżby Harristan przyszedł mnie szukać? Przyszedł do Twierdzy?

Ogarnia mnie nagła i niespodziewana ulga. Jest jak podmuch lodowatego wiatru studzący palący smutek. Niemal wyskakuję z ciemności. Przynajmniej ten jeden raz nie będę tu sam. Nie będę sam... z tym wszystkim.

Upuszczam kamień i ruszam naprzód. Nie wiem, co zrobię. Tak wiele emocji ściska mnie teraz za gardło, że nie jestem pewien, czy nie padnę na kolana, nie uczepię się jego rąk i nie będę błagał, by mnie od tego uwolnił.

Lecz za strażnikiem nie idzie mój brat.

Staję jak wryty. Czuję, że serce mi zaraz eksploduje. Wszystkie mięśnie się napinają. Ten chłodny powiew ulgi zamienia się w gorącą falę wstydu i bezbronności.

Tessa też się zatrzymuje. Po jej twarzy widzę, że miałem rację: *jestem żywym koszmarem*. Dziewczyna rozchyła usta, otwiera szeroko oczy i bierze gwałtowny wdech.

– Och – szepcze. – O nie.

Chcę być obojętny. Chcę, żeby było mi wszystko jedno. Chcę tak wielu rzeczy, których nie mogę mieć.

Patrzę na strażnika.

– Nie powinna tu być – mówię z wściekłością. – Dlaczego ją tu przyprowadziłeś?

– Bo go poprosiłam – wtrąca Tessa. Po raz pierwszy w jej głosie nie słychać potępienia, tylko... łagodność. Robi krok w moją stronę.

Ja robię krok w tył. Dalej obserwuję Rocco ze złością.

– Zabierz ją z powrotem do pałacu. Natychmiast.

– Nie. – Tessa znów się zbliża. – Po prostu...

– Przestań. – Ponownie się cofam. Nie potrafię spojrzeć jej w oczy.

– Nie powinnaś tu być.

– Proszę. Będzie...

– Idź stąd – nakazuję ostrym głosem – albo zamknę cię tu na zawsze.

– Nie zrobisz tego.

Wyciąga w moją stronę rękę; odskakuję. Zaczepiam butem o kamień, który odrzuciłem, potykam się o roztrzaskaną belkę. Uderzam barkami o ścianę, zaciskając pięści. Dyszę ciężko jak osaczone zwierzę.

Na szczęście ma dość rozumu, by się wreszcie zatrzymać. Stoimy tak w migoczącym świetle pochodni. Włosy ma rozpuszczone, twarz bez makijażu, ubranie tak proste, że jestem zdziwiony, że znalazła je w szafie.

Ja nadal mam na sobie kaftan, w którym jadłem z nią kolację. Każdy jego centymetr pokrywa teraz błoto i krew.

– Żadnych złudzeń – oznajmiam.

– Żadnych – powtarza spokojnym głosem.

Zerkam na Rocco stojącego tuż za nią.

– Jak go przekonałaś, żeby cię tu przyprowadził?

– Poprosiłam go, żeby cię odszukał.

– Gdzie jest Harristan? – Spoglądam na strażnika i rodzi się we mnie nowy niepokój. – Dlaczego nie jesteś z królem? Co się stało?

– Jego Królewska Mość nakazał mi opiekować się panienką Tessą – odpowiada beznamiętnie.

– Twój brat czuje się dobrze – odzywa się ostrożnie Tessa. Znów mnie przejrzała. – Po twoim wyjściu miał napad kaszlu, ale nie ma...

Prostuję się.

– Co?

– Nic mu nie jest. Nie ma gorączki. Dałam mu herbatę z miodem i płatkami lili. – Kładzie rękę na moim przedramieniu i ściska delikatnie. – Nic mu nie jest.

Coś w jej dotyku sprawia, że zastygam w bezruchu. Powoli mój oddech zwalnia.

Niestety jej świdrujący wzrok wywołuje we mnie lęk, że zaraz zapyta, co zrobiłem. Zapyta, ja odpowiem i zniszczę resztki tej tłącej się jeszcze... cokolwiek to było między nami.

Byłem gotów paść do stóp mojego brata i błagać go o zwolnienie mnie z tej funkcji.

Jestem gotowy paść na kolana przed Tessą i błagać o wybaczenie.

Przesuwa dłoń w dół mojego przedramienia i spleta swoje palce z moimi. Nie wzdryga się na widok krwi. Czuję ucisk w piersi na myśl, że jej dotyka.

Proszę, mówię w myślach, proszę, nie pytaj o nic.

Proszę, przestań mnie nienawidzić.

Ja sam wystarczająco siebie nienawidzę.

Zaczynam się odsuwać z powrotem w ciemność i mrok. Zatrzymuje mnie, mocniej ściskając za rękę.

– Chodź ze mną – prosi.

Biorę wdech, żeby odmówić. Chcę siedzieć w mroku i modlić się, by pochłonęła mnie ziemia.

Jednak zamiast tego potakuję głową. Idzie przodem, ja idę za nią. Wychodzimy ze zrujnowanego, splamionego krwią pomieszczenia w jasne światła Sektora Królewskiego.

Rozdział dwudziesty szósty

Tessa

Nie wiem, gdzie go zabrać, ale tam nie mogłam dłużej zostać. Powietrze wypełniał zapach krwi i śmierci. Chciałabym móc po prostu wyjść z Sektora Królewskiego i zagubić się w Dziczy, jednak już wiem, że nie zostawi brata.

Prowadzę go więc do pałacu. Światła na zewnątrz są jasne, bruk się błyszczy. Konie i powozy nadal stukoczą o chodnik mimo późnej pory. Wiadomość o wybuchach szybko się rozchodzi; przedstawiciele możliwych przyjeżdżają i odjeżdżają. Kiedy ze strażnikiem Harristana opuszczam pałac, w korytarzach roiło się od ludzi i pewnie nadal tak jest.

Nie chcę myśleć o tym, co zrobił Corrick. Jest cały we krwi, więc musiało to być coś potwornego. W jego błękitnych oczach widać pustkę i udręczenie; wiem, że to musiało być straszne. Gdy znaleźliśmy go w ciemnym pomieszczeniu Twierdzy, część mnie chciała uciec z krzykiem, dopóki nie zobaczyłam rozpaczony w jego twarzy.

– Rocco – odzywam się cicho. – Nie możemy wejść głównym wejściem. Nie może w takim stanie iść przez cały pałac.

– Wiedzą, kim jestem – oświadcza Corrick.

Nadal wygląda na pogubionego, jego oczy ciągle są trochę dzikie, lecz w głosie słychać nutę prowokacji. Zastanawiam się, czy tak właśnie przekonuje sam siebie do tego, co robi.

Ignoruję go.

– Może tylnymi drzwiami? – pytam strażnika.

– Nie – mruczy Corrick.

– Możemy wejść wejściem dla służby – sugeruje Rocco. – Diennej zmiany już nie ma. Są tam łazienki i świeża bielizna.

– Nie. – Corrick jakby chciał się postawić, ale patrzy gniewnie na Rocco, nie na mnie. – Nie będę się zakradał do pałacu.

Nie wiem, na ile to bunt, a na ile swego rodzaju instynkt samozachowawczy. Tak czy siak, niech robi, jak chce. To on jest księciem, a ja... nikim. Z drugiej strony jestem tu ledwie dzień i już wiem, jakie znaczenie mają plotki i pozory. Wiem, że teraz nie może sobie pozwolić, by dostrzeżono w nim jakąś słabość. Paradowanie w zakrwawionym ubraniu po pałacu zdecydowanie nie wygląda na manifestację siły. Zastanawiam się nad tonem jego głosu, kiedy zobaczył, że to ja przyszedłam z Rocco, a nie jego brat.

– Myślisz, że król chciałby cię takiego widzieć? – wypalam.

– Aż tak strasznie wyglądam, Tesso? – mamrocze.

Tak. Choć nie w sposób, jaki ma na myśli.

– Wyglądasz... na załamane.

Trafiłam w czuły punkt. Bunt wyziera z jego oczu.

– Dobra.

Wejście dla służby to ten sam zamknięty na kłódkę korytarz, którym weszłam do pałacu. Teraz jest tak samo pusty jak wtedy, gdy zakradłam się do tylnych schodów. Łaźnia jest ogromna, z elektrycznym światłem, bieżącą wodą i kilkoma dużymi wannami. Są tu całe stosy bielizny, a pośrodku ogromne palenisko. Dopiero teraz dociera do mnie, że to pralnia.

Ależ oczywiście. Przecież nikt w pałacu nie będzie prał w strumieniu i suszył prania na słońcu. W kącie stoi manekin, a na nim upięty fartuszek pokojówki, obok kilka stolików do szycia i porozkładane bele materiału. Do ściany przymocowane jest lustro. Corrick mija je, idąc w stronę umywalk. Jego krok jest niepewny. Unika mojego spojrzenia, ale nie zatrzymuje się.

– Wasza Wysokość – odzywa się Rocco. – Mam zawołać lokaja?

– Nie, pilnuj drzwi.

Z furią walczy z guzikami kaftana.

Kręcę się między drzwiami a umywalką. Nie wiem, czy chce, żebym poczekała w korytarzu ze strażnikiem, czy wróciła do swojego pokoju, czy może została tu. Sama nie wiem, czego ja bym chciała.

– Dlaczego mnie szukałaś? – pyta głosem trochę szorstkim, trochę gniewnym. – Myślałaś, że zdołasz mnie powstrzymać?

– Wiedziałam, że nikt cię nie powstrzyma.

Jego ręce zastygają w bezruchu na guzikach; dopiero teraz widzę, że drży. Podchodzę i kładę palce na jego palcach.

– Przestań – duka. – Potrafię rozpiąć guziki.

Uderzam go lekko po dłoniach, jakby był dzieckiem, które – mimo upomnień, by nie dotykało gorącego – i tak to robi. Chyba go to mocno zaskoczyło.

Z westchnieniem rozpinam kolejne guziki. Tkanina się lepi, próbuję nie myśleć dlaczego, skupiając wzrok tylko na tym, co robię.

– Jeśli wiesz, że potrafisz cię przejrzeć – mówię łagodnie – możesz równie dobrze przestać przede mną udawać. Wiem, kim jesteś. Wiem, co zrobiłeś. – Podnoszę na niego wzrok i nie wiem, czy go nienawidzę, czy mu współczuję, a może czuję jeszcze zupełnie coś innego. – Widzę cię. Widzę, jak to na ciebie wpływa. Jak już wpłynęło.

Stoi w bezruchu, ale jego oddech stał się płytszy. Mruga i, ku mojemu kompletnemu zdziwieniu, jego oczy zachodzą łzami.

W tym samym momencie Corrick też to sobie uświadamia, ponieważ nagle odskakuje, odwraca się i przyciska dłonie do twarzy.

– Na Boga, Tesso.

Jego odkryte emocje udzielają się mnie, ściskając gardło. W Twierdzy wyglądał na załamane. Teraz też tak wygląda, jakby trzymał się tylko dzięki własnej silnej woli. Dotykam jego ramienia. Odsuwa się. Opuszcza ręce i zaciska pięści tak, jak wtedy w ciemnej celi Twierdzy. Oczy ma zaczerwienione, lecz suche.

– Przestań – mruczy.

To słowo brzmi jak ostrzeżenie. Prośba.

Przestaję.

To on ma tu wszelką władzę, jednak patrzy na mnie, jakbym to ja ją miała. Nie chce przyznać, co zrobił, a ja nie chcę wiedzieć, ale to pytanie i tak wisi między nami i ktoś musi je schwycić. Muszę odchrząknąć, żeby się odezwać.

– Zabiłeś tych więźniów?

Nie odwraca się i nie zwleka z odpowiedzią.

– Tak.

Cisza, jaka zapada po tej wypowiedzi, gęstnieje, aż nie ma czym oddychać. Myślę o konsulu Sallisterze, który był tak okropny przy

kolacji, i o władzy, jaką ma nad Corrickiem i Harristanem. Władzy, jaką ma nad całym krajem.

Myślę o królu Harristanie, o jego słowach, że „Najwyższy Sędzia Królewski nie może być pobłażliwy”.

Zabijanie jest *złem*. Jestem o tym przekonana do szpiku kości. Nie mogłabym zabić króla, gdybym miała taką sposobność. Nawet wtedy, gdy byłam pewna, że na to zasługuje. Ale, jak mówi król, kara za przemyt jest wszystkim znana. Niektórzy z więźniów byli zwykłymi przemytnikami, lecz nie wszyscy. Wysłanie Twierdzy też było *złem*.

Czy to usprawiedliwia Corricka?

On tak nie uważa, widzę to. Ma poczucie winy wypisane na twarzy. Myślałam, że źródłem jego władzy jest funkcja Najwyższego Sędziego Królewskiego, a wcale tak nie jest.

Prawdziwą władzę miał tylko w Dzikim, jako Wes.

Teraz jej nie ma.

Przełykam ślinę.

– Co się wydarzyło?

– Słyszałaś Allisandra.

– Tak. Słyszałam. Co się wydarzyło?

Milczy tak długo, że myślę, że już nie odpowie. Wreszcie się odzywa.

– Mocno ucierpeli w wybuchu. Byli bardzo poparzeni. – Jego głos jest szorstki, jakby ogień palił mu gardło. – Ledwo przytomni. Nie zostali złapani. Po prostu nie byli w stanie uciec. – Przeciąga ręką po włosach. Muszą być lepkie, bo wykrzywia twarz i strzepuje dłoń. Nie patrzy na mnie. – Nie dożyliby rana.

– Dlaczego... – Głos mi się łamie. Biorę wdech, żeby go uspokoić.

– Dlaczego... dlaczego jesteś... – Wskazuję na jego ubranie i mój oddech staje się drżący. – Skąd tyle krwi...

– Bo chciałem, żeby to odbyło się szybko. – Jego oczy spotykają moje. Jestem pewna, że widzi w nich przerażenie. – Musiałem to zrobić szybko.

W jego głosie pobrzmiwa coś, czego nie potrafię rozgryźć. Ale moje serce chyba jest szybsze od rozumu, ponieważ zaczyna zwalniać; panika ustępuje, nim dociera do mnie, że zrobił to wbrew

sobie, a skoro już musiał, chciał, żeby odbyło się to jak najszybciej i przyniosło jak najmniej bólu.

Z jednej strony trudno sobie wyobrazić coś bardziej brutalnego.

„Nie dożyliby rana”.

Z drugiej – dokonał egzekucji, żeby ulżyć ich cierpieniu.

Zastanawiam się, ile razy musiał to zrobić. Ile razy musiał wybierać mniejsze zło – albo dokonać egzekucji więźnia, albo patrzeć, jak kolejni ludzie umierają z braku lekarstwa. Konieczność podejmowania takiej decyzji jest przerażająca. Jego sytuacja jest przerażająca.

Wracam myślami do chwili, gdy ślęczeliśmy nad mapami, gdy unosiła się nad nami maleńka iskierka nadziei. Zastanawiam się, czy wybuch ją zgasił, czy nic już nie zostało.

– Nie żałuj mnie – dodaje Corrick. – Jeśli masz kogoś żałować, to ich.

– Żałuję ich – odpowiadam. Jednak żałuję też jego. Już nie potrafię go nienawidzić.

Z westchnieniem opiera się o ścianę. Przyciska dłonie do oczu.

– Zostaw mnie, Tesso.

Wzdycham ciężko i robię krok w przód, chwytając brzegi jego kaftana. Wzdryga się zaskoczony i gwałtownie opuszcza ręce.

– Nie trać ducha – mamroczę i rozpinam kolejne guziki.

Mruga z niedowierzaniem. Jego spojrzenie staje się gniewne.

– Mówiłem, żebyś tego nie robiła.

– Mówiłeś mi różne rzeczy. Może powinieneś zamknąć się na chwilę i dać mi pomyśleć.

Milknie, lecz i tak nie jestem w stanie myśleć. Wpatruję się w guziki, aż rozpinam ostatni.

– Zdejmij to – nakazuję, odwracając się, żeby pociągnąć za łańcuch, który uruchamia wodę w kranie. Rozlega się szum. – Umyj ręce i twarz – dodaję.

Zatykam odpływ i zanurzam rękę w strumieniu, żeby sprawdzić temperaturę. Resztki krwi i brudu, które przykleiły się do moich palców, kiedy go dotykałam, teraz znikają w wirującej wodzie.

– Spróbuję znaleźć jakąś myjkę – mruczę, odwracając się z powrotem do niego.

Staję jak wryta. Powietrze z moich płuc znika.

Zdjął nie tylko kaftan. Pozbył się także koszuli. Stoi teraz z nagim torsem i spodniami wiszącymi nisko na biodrach. Już nie wygląda na zakrwawionego, bezwzględnego potwora, ale na kogoś ciepłego, bezbronniego, a jednocześnie dzikiego. Mięśnie rozciągające się od barków, wzdłuż ramion i przedramion, odsłaniają liczne blizny, od wyglądającej jak ślad po dźgnięciu na brzuchu po coś, co musiało być nożem lub sztyletem wbitym w biceps. Mój wzrok zatrzymuje się na kilku włoskach zaczynających się poniżej pępka i znikających za paskiem od spodni.

Corrick odchrząkuje. Gwałtownie podnoszę wzrok. Moje policzki płoną.

- To ty nie trać ducha – burczy.
- Nienawidzę cię.
- Hmm... chyba nie aż tak bardzo.

Wkracza w moją przestrzeń; prawie potykam się o własne nogi, próbując się odsunąć, jednak on tylko chciał włożyć ręce pod strumień wody.

Jaka ja jestem głupia. Nie mogę go pragnąć. Nie teraz. Nigdy.

Mojego serca to nie obchodzi. Ani innych części ciała. Cały mój organizm jest przeciwko mnie.

- Miałaś chyba poszukać jakiejś myjki, nie? – rzuca prowokacyjnie.

- Tak. Jasne. – Tym razem rzeczywiście potykam się o własne nogi. Na szczęście znajduję myjkę i przynoszę mu ją, starając nie patrzeć na jego zgięte plecy, na to, jak zwężają się poniżej klatki piersiowej, ani na długą poszarpaną bliznę znikającą pod spodniami.

- Masz dużo blizn – zauważam.

- Przemytnicy generalnie nie są zbyt przyjaźnie nastawieni. – Pochyliła się nad umywalką, moczy myjkę i wyciera twarz. – Czasem... wystarczy zadać pytanie, a im przychodzą do głowy różne rzeczy.

Interesujące. Na szczęście te słowa pomagają mi skupić myśli na czymś innym niż rozważania, jak by to było dotykać jego skóry. Policzki mi płoną, ale wzrok mam wbity w ścianę przed sobą.

- Udało ci się przesłuchać więźniów, którzy dziś zbiegli?

- Nie. Byłem zajęty wpatrywaniem się z tobą w mapy i obserwowaniem, jak sektor staje w płomieniach.

- Nikogo?

Znów przeciera twarz myjką i odwraca się do mnie.

– Nie. Dlaczego pytasz?

– Konsul Sallister mówił coś o „steranych robotnikach”. Wszystkie plotki głoszą, że przemytnicy ze Stalowego Miasta są młodzi i niezorganizowani. – Myślę o eksplozjach, które widziałam przez okno. – To sprawia wrażenie, jakby było całkiem dobrze zorganizowane.

– Tak – przytakuje. – Ktoś ich finansuje. Ci Benefaktorzy muszą być zamożni. Jest wiele teorii, jakoby pieniądze pochodziły od kogoś z pałacu. – Pochyla głowę, żeby lepiej ochłapać twarz wodą.

Przypominam sobie rozmowy, jakie prowadziliśmy jako Wes i Tessa, kiedy tak zdecydowanie się zarzekał, że nie jest przemytnikiem i nie robi tego dla zarobku. Wyglądał wtedy na przygnębionego. Myślałam, że z tego samego powodu, co ja. Teraz znam prawdę. – Przesłuchiwałaś ich? Więźniów ze Stalowego Miasta?

– Tak. Nic, co powiedzieli, nie nasunęło mi przypuszczenia, że są częścią jakiegoś większego spisku. – Przeciąga rękami po włosach, z których teraz na jego pierś spływa woda. – Nawoływali do rewolucji i... – Wzrusza ramionami. – Zresztą sama widziałas.

Egzekucja przerodziła się w zamieszki. Więźniowie zbiegli.

Zastanawiam się, jak Corrick planował ich zgładzić. Boję się zapytać.

To trochę studzi płonący we mnie ogień.

Corrick pociąga za łańcuch, żeby zatrzymać wodę, potem odwraca się i opiera o umywalkę.

– Jeśli istnieje jakaś podziemna siatka przemytników finansowanych przez tych Benefaktorów, oni także są dobrze zakonspirowani. Nikt nic nie powie nocnemu patrolowi. Na pewno nikt nie powie nic mnie.

Zabawne, czy to aby nie przez te wszystkie egzekucje. Mam te słowa na końcu języka, jednak ich nie mówię. Raczej nie potrzebuje słyszeć tego ode mnie.

Nie chcę się na niego gapić – za to moje zdradzieckie oczy tak i to nie wróży niczego dobrego. Sięgam na półkę po miękki ręcznik, a gdy odwracam się z powrotem, żeby mu go podać, stoi tuż za mną.

Biorę wdech i rzucam mu go.

– Proszę.

– Dziękuję – odpowiada, choć nie rusza się z miejsca.

– Co teraz robi Allisander? – pytam.

Corrick strzepuje ręcznik i wyciera się nim.

– Zwymiotował w korytarzu Twierdzy, więc chyba już nie ma wątpliwości, że nie będzie pobłażania dla kolejnych ataków.

– Co znaczy, że twoim zdaniem będą kolejne.

– Tak. – Wreszcie patrzy mi w oczy. – Uważam, że będą kolejne. – Zawiesza głos. – I myślę, że po dzisiejszym ataku będą jeszcze bardziej brutalne. Wieść, że ta misja ratunkowa okazała się skuteczna, szybko się rozniesie. To ośmieli innych. Tu nie chodzi tylko o finansowanie buntowników. Jeśli mamy zorganizowane ataki na transporty, a jednocześnie wezwania do buntu na ulicach, cóż... – Milknie.

– Myślisz, że Allisander przerwie dostawy Księżycowego Kwiatu?

– Nie. Myślę, że czeka nas prawdziwa rewolucja.

Jak to powiedział Harristan? „Łatwo jest kochać króla, gdy wszyscy są najedzeni i zdrowi. Trochę trudniej, kiedy tak nie jest”. Nie myli się. Jednak z tej perspektywy wszystko wydaje się dużo bardziej skomplikowane. Rewolucja oznacza więcej śmierci – nie tylko na skutek przemocy, ale także gorączki, bo lek będzie mniej dostępny.

Spoglądam w oczy Corricka i przypominam sobie, jak stałam z nim w ciemności i błagałam o rewolucję. Błagałam, byśmy razem stanęli w pierwszej linii, choć nie miałam żadnego planu. Teraz też nie mam.

Dociera do mnie, co próbował mi wtedy powiedzieć. „Bunt nie powstrzyma gorączki, Tesso”.

Rewolucja może odebrać władzę Harristanowi i Corrickowi, lecz nie powstrzyma choroby. Nie zmusi Allisandra, by dostarczał więcej leku. Raczej stanie się on trudniejszy do zdobycia.

A jeśli król będzie zajęty odpieraniem rewolucji, nie będzie miał czasu i środków na szukanie nowych sposobów do walki z chorobą. Kandała będzie sama siebie niszczyć.

– Roydan i Arella już odbywają potajemne spotkania – mówi Corrick. – Możliwe, że inni konsulowie robią to samo. Allisander i Lissa mają prywatne armie. Jeśli dojdzie do rewolucji, może to być nie tylko walka ludu z tronem.

– To może być walka między sektorami – szepczę. – To beznadziejna sytuacja. – Corrick potakuje głową. – Jeśli powstrzymamy ataki...

– To nie powstrzyma buntu. Kolejne wielkie „jeśli”. Już teraz ledwo sobie z nimi radzimy.

Ma rację. Wiem, że ma rację. I jak już mówił wcześniej, jeśli królewscy doradcy nie zdołali dotąd rozwiązać problemu, raczej nie rozwiążemy go w jedną noc w łaźni.

Po krwi nie ma śladu, włosy Corricka są znów lśniący czarne, za to udręczone spojrzenie nie zniknęło z jego twarzy. Widziałam blask w jego oczach, gdy zobaczył w Twierdzy Rocco. Czy miał nadzieję, że to Harristan? Czy król nie uczestniczy w tym, co jest zmuszony robić Corrick? Czy celowo trzyma się z daleka, czy może to księżę stara się go przed tym chronić? Nie wiem, co gorsze, ale przed chwilą widziałam, jak w jego oczach zbierają się łzy. Nieważne, która z tych opcji jest prawdziwa – obie są równie straszne.

– Nocne patrole będą teraz brutalniejsze – stwierdzam.

Patrzy na mnie przez dłuższą chwilę z nieodgadnioną miną, a potem pociera twarz i wydaje dźwięk wyrażający jednocześnie zdenerwowanie i ból.

– Nie mogę ich odwołać, Tesso. Nie mogę. Allisander wstrzymałby dostawy. Harristan *nie*...

– Wiem.

– Nie mógłby tego w żaden sposób uzasadnić. Buntownicy podpalają sektory...

– Wiem.

Milknie, oddychając ciężko.

– Nie wiem, jak to powstrzymać – dodaje. – Nawet nie potrafię dojść, kto finansuje buntowników i jaki ma w tym cel. Czy to atak na Harristana? Czy chodzi o lek? A może jedno i drugie?

Tyle pytań i jak zwykle żadnych odpowiedzi. Przykładam palec do ust, żeby pomyśleć. Jeszcze tydzień temu pewnie walczyłabym po stronie Benefaktorów. Jednak widząc zniszczenie, jakie sieją, już nie jestem pewna, czy to właściwa strona.

Co do jednego Corrick ma rację – jeśli nie zdoła powstrzymać ataków, nie ma żadnych argumentów i żadnego sposobu, by

powstrzymać przemoc po żadnej ze stron. Musimy dowiedzieć się, kim są Benefaktorzy.

Gdy tylko ta myśl świta mi w głowie, wiem już, jak to można zrobić.

– Ludzie będą mówić – oznajmiam nagle.

– Oczywiście – przyznaje. – Wszyscy o tym mówią.

Potrząsam gwałtownie głową.

– Nie to mam na myśli. Zabierałeś się do tego ze złej strony. Przesłuchiwałeś ludzi jako Najwyższy Sędzia Królewski.

– To może ma to robić Harristan? – Przewraca oczami i odwraca się. – Na pewno będzie mniej przerażający.

– Nie. – Chwytam go za ramię, by na mnie spojrzeć. – Nie Harristan.

– W takim razie kto?

– Ty i ja.

Na jego twarzy widzę powątpiewanie, dlatego szybko wyjaśniam:

– Nie jako księżę i... zielarka. – Biorę głęboki wdech. – Tylko jako wyjęci spod prawa.

– Jako wyjęci spod prawa?

– Tak. – Urywam i patrzę w jego błękitne oczy, przypominając sobie, jak wyglądały pod maską. – Porozmawiamy z ludźmi jako Weston Lark i Tessa Cade.

Rozdział dwudziesty siódmy

Corrick

Kiedy kładłem się do łóżka, już prawie świtało, co nie przeszkodziło strażnikom walić do moich drzwi godzinę po wschodzie słońca, anonsując przybycie konsula Sallistera.

– Byliśmy chyba umówieni na partię szachów, czyż nie? – woła Allisander.

Szkoda, że nie mogę zarządzić jego egzekucji.

Gramy w moich komnatach, w kominku trzaska ogień, służąca przynosi słodkie pieczywo i gotowane jajka, nalewa jedną filiżankę czarnej herbaty za drugą. Spodziewałem się, że Allisander będzie stawiał żądanie za żądaniem, domagał się obietnic, jednak jest dziwnie milczący. W pokoju panuje napięcie – nie wiem, czy między nami, czy tylko w mojej głowie. Każdy ruch na szachownicy jest jak zapowiedź prawdziwego starcia.

Myślę o wczorajszej nocy, o potępieniu w oczach Tessy. Muszę się uwolnić spod władzy jej osądu. Choć szczerze nienawidzę Allisandra, potrzebuję go. Kandała go potrzebuje.

Przynajmniej na razie.

Ta myśl sprawia, że moje serce zaczyna walić mocniej. Harristan nie może osłabić pozycji konsulów, lecz gdybyśmy zdołali powstrzymać ataki i znaleźć źródło ich finansowania, gdybyśmy zdołali nieco rozładować napięcie w sektorach, wtedy może udałoby się wypracować nowy sposób funkcjonowania na przyszłość.

Jednak teraz niepokój jest większy niż kiedykolwiek, a nocne patrole w stanie najwyższej gotowości. Jeśli Wes i Tessa wrócą do Dzikich, ryzyko będzie ogromne.

Patrząc na nieznaną mi egoistę naprzeciw mnie. Tak czy owak, ryzyko jest ogromne. Benefaktorzy muszą mieć kogoś w Sektorze Królewskim – po prostu nie wiem, kogo innego byłoby stać na finansowanie rewolucji. Ale wszyscy konsulowie są blisko

Harristana. Nie potrafię sobie wyobrazić, by którekolwiek z nich mogło płacić poddanym za bunt, gdy każdy może z łatwością sam wbić nóż w plecy mojego brata. Tak byłoby taniej. Prościej. Szybciej.

Myślę o tym stosie próśb, jaki Quint przyniósł Harristanowi w dniu, kiedy miała się odbyć egzekucja ośmiu przemytników. Było ich blisko dwieście – wielu niezadowolonych ludzi domagających się zmiany.

A wśród nich Arella. Dość jasno wyraziła swoje zdanie na temat wyroku. Nigdy nie wystąpiłaby przeciwko Harristanowi.

Tyle że ma miękkie serce dla ludu, dla tych, którzy cierpią.

I odbywa potajemnie spotkania z Roydanem.

Gdy tylko ktoś dostanie odmowę, zaraz wszyscy inni proszą o pieniądze. Allisander sugerował, że za wszystkim może stać Jonas Beeching, lecz Arella zareagowała dość szybko.

Tak głęboko się zamyśliłem, że aż podskakuję, kiedy głos Allisandra przerywa ciszę. – Jestem zaskoczony, Corricku, że znalazłeś czas na grę.

– Przecież ci obiecałem – odpowiadam otwarcie.

– Obiecujesz wiele rzeczy.

Moja ręka zastyga na pionku. W jego głosie jest nuta, której nie potrafię rozgryźć. Podnoszę wzrok znad szachownicy.

– Robię, co mogę, by ich dotrzymać.

– Czyżby? Wobec kogo?

Wygląda na... na zadowolonego z siebie. Albo coś w tym rodzaju. Naprawdę jest okropnym graczem, ale od pół godziny robię wszystko, żeby wygrał, bo uważam, że nie byłoby dobrym pomysłem urazić jego dumę. Teraz wydaje mi się, że to właściwy moment, żeby przestać.

– Nie wiem, o co ci chodzi. – Przesuwam wieżę, żeby zaszachować jego króla. – Szach.

Ucieka królem o jedno pole w prawo.

– Przyjrzałem się tej twojej dziewczynie.

Krew we mnie zastyga, jednak opanowuję się i wpatruję w szachownicę.

– Nie jest moja.

Pochyla się i szuka mojego spojrzenia z dziką determinacją.

– Nie jest zielarką. Pracuje dla szarlatanki, która handluje tanimi preparatami do skóry.

Nieruchomieję. Nie wiem, co powiedzieć. Wiedziałem, że Tessa to jej prawdziwe imię, lecz sklep, w którym pracuje, jest daleko od Dżicy, daleko od Sektora Królewskiego. Nigdy się nie martwiła, że któraś z osób, którym pomagała, mogłaby ją rozpoznać.

A może się nie martwiła, bo nie ryzykowała tak bardzo jak ja.

Znów przesuвам wieżę.

– To, gdzie pracuje, jest bez znaczenia. Przedstawiła Harristanowi swoje teorie. Teorie, które mogą...

– Właścicielka sklepu powiedziała, że Tessa była zrozpaczona po nieudanej egzekucji. Twierdzi, że wyznała przyjaciółce, że jest w ciąży z przemytnikiem.

Ze wszystkich rzeczy, jakie mógł powiedzieć, ta była najbardziej niespodziewana. Omal nie wybuchnąłem śmiechem.

– Naprawdę, Allisandrze? Wierysz, że jest w ciąży z przemytnikiem, a w pałacu znalazła się, ponieważ...? Jeszcze wczoraj połowa dworzan uważała, że jest w ciąży z *Harristanem*, więc może powinniśmy zacząć przyjmować zakłady.

– Nie jestem głupi, Corricku – oświadczam spokojnym i zimnym głosem.

Prostuję się i wpatruję w niego. Jest zbyt blisko prawdy. Gdyby chodziło o mnie, natychmiast bym go wyrzucił, ale nie chodzi o mnie, tylko o Tessę.

– Arella i Roydan otwarcie krytykują sposób potraktowania tych przemytników – ciągnie Allisander tym samym tonem. – Konsul Craft podsłuchał ich, gdy razem wsiadali do powozu. Są zdania, że Korona jest zbyt surowa wobec kradzieży i nielegalnego handlu.

– To częste plotki, Allisandrze. Konsul Cherry nie ukrywa swojego zdania w tej sprawie.

Przesuwa figurę w lewo, potem znów spogląda na mnie.

– Sądząc po twoim zachowaniu w Twierdzy, chyba zaczynasz myśleć podobnie.

Jego wnioski są tak bardzo nietrafione; najgorsze, że nie mogę go wyprowadzić z tego błędu. Serce wali mi w piersi na wspomnienie, jak podciąłem im wczoraj gardła. Zaczynam się zastanawiać, czy

Allisander będzie zadowolony dopiero wtedy, kiedy stracimy każdego, kto ośmieli się krzywo na niego spojrzeć.

– Widziałeś mnie wczoraj wieczorem w Twierdzy.

– Tak. Wyglądałeś, jakbyś miał się rozplakać. Jakbyś miał wymiotować. O, przepraszam, przecież zwy...

Uderza ręką w szachownicę, a figury przewracają się i rozsypują po stole. Mój król upada na podłogę. Allisander z furią nabiera powietrza.

Jednak nic się nie dzieje.

W jego oczach płonie gniew, więc wstrzymuję oddech i czekam. Nie jestem pewien, co chciał powiedzieć, lecz mam nadzieję, że jest to coś tak zdradzieckiego, że będę mógł natychmiast wezwać strażę i kazać im zatopić w nim ostrze.

Niestety nie mówi już nic. Ja też milczę. Zastygli w gniewie siedzimy tak przez dłuższą chwilę, którą przerywa pukanie do drzwi i głos strażnika anonsujący Harristana.

Co za ulga. Mój brat mógłby mi kazać przeczytać każdy dokument, jaki jest w pałacu, i stać mi nad głową, gdy to robię, a i tak zrobiłbym to z radością, byleby tylko móc uwolnić się od tej rozmowy z Sallisterem.

Harristan nie czeka na odpowiedź, po prostu wchodzi do mojej komnaty, nim strażnik skończy mówić.

Allisander wstaje i wygładza kaftan. Po jego złości nie ma śladu.

– Harristanie.

Nie wiem, co znaczy ten ton. Nie wiem, czy cieszy się z przybycia mojego brata, czy jest nim zawiedziony. Harristan zerka na niego i odpowiada spokojnym głosem:

– Konsulu.

Przez chwilę mam wrażenie, że Allisander zamierza zaatakować go tak, jak przed chwilą napadł na mnie. Najwyraźniej jednak nadal żywi resztki szacunku do mojego brata, bo tylko rejestruje jego szorstką odpowiedź i chłodną postawę, po czym zwraca swoje złośliwe oczy na mnie.

– Dziękuję za grę, Corricku. Dokończymy innym razem.

Nie wiem, co powiedzieć, a on nie czeka na odpowiedź. Wychodzi i zostaję sam z bratem.

Ze zdziwieniem odkrywam, że atmosfera między nami jest równie nerwowa, jak między mną i Allisandrem. To pewnie moja wina. Przepęlnia mnie rozgoryczenie i zawód, że to nie mój brat szukał mnie w Twierdzy. To niedorzeczne i głupie, że miałem taką nadzieję, mimo to jakoś nie mogę się z tym pogodzić.

Wreszcie Harristan się odzywa:

– Rocco powiedział mi, że ubiegłej nocy znalazł cię w zniszczonej części Twierdzy, bez straży. Co tam robiłeś?

Zaskoczył mnie tym kompletnie, nie to spodziewałem się od niego usłyszeć. Zaczynam zbierać marmurowe figury szachowe do aksamitnej złotej szkatułki.

– Twoi strażnicy plotkują jeszcze bardziej niż moi, Harristanie.

– Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

Nie wiem, jak na nie odpowiedzieć. Teraz bardziej niż kiedykolwiek nie możemy okazywać słabości. Figury po kolei lądują z brzękiem w pudełku, aż Harristan podchodzi do stołu i zatrzaskuje wieczko.

– Odpowiedz mi – mówi władcym tonem. Słyszałem go wiele razy, ale nigdy wcześniej nie był skierowany do mnie.

W dłoni zostały mi dwie figury; obracam je w palcach. Spoglądam na niego z ukosa.

– Rozmawiam z moim bratem czy z królem?

– Z jednym i z drugim.

Może się myliłem. Może to napięcie to nie tylko moja wina.

Wstaję, stawiam szachy na stoliku i kłaniam mu się zamasyście.

– Proszę o wybaczenie, Wasza Królewska Mość. Nie wiedziałem, że to oficjalne spotkanie.

– Corrick. – Jego ton jest nieustępliwy.

Nie chciałem zabić tych więźniów.

Nie chcę tego dłużej robić.

Nie chcę, żebyś potrzebował mnie do tego. Ojciec na pewno nie chciałby, żeby tak wyglądały nasze rządy.

Niestety żadnej z tych rzeczy nie mogę powiedzieć.

– W Twierdzy po atakach zostało ledwie kilku strażników – wyjaśniam. – Byli potrzebni do usunięcia ciał. – Zawieszam głos. – Twoi strażnicy mnie szpiegują?

– A powinni?

Nie muszę udawać oburzenia tym pytaniem.

– Nie!

– Ta dziewczyna nie chciała, żebyś zabił tych więźniów.

– Arella i Roydan też nie – rzucam gniewnie. – Poślij strażę, niech ich też podsłuchują.

– I poprosiła Rocco, żeby poszedł z nią poszukać cię w Twierdzy. Dlaczego?

Bo mnie przejrzała. Bo wiedziała, że za chwilę się rozpadnę. Bo jej nadzieja nie zgasła do końca.

Żadnej z tych rzeczy też nie mogę powiedzieć.

Harristan podchodzi krok bliżej.

– Myślałem, że to tylko flirt – mruczy ściszym tonem. – Może jakieś zauroczenie, któremu dałeś się ponieść. Miałem zamiar przymknąć na to oko.

Podchodzę do kredensu i odkorkowuję brandy. Mam ochotę wlać w siebie całą butelkę, jednak starcza mi rozumu, by użyć szklanki.

– Ale twój strażnik przekonał cię, że jest inaczej?

– Spędzasz w Twierdzy dużo czasu, rozmawiając z przemytnikami. To dość ciekawy zbieg okoliczności, że kiedy nocny patrol schwytał kilku, połowa z nich była w stanie nawoływać do buntu. A gdy Allisander pojmał kolejnych, misja ratunkowa, która ich uwolniła, skończyła się pożarem sektora.

Moja ręka zastyga na szklance, gdy dociera do mnie znaczenie jego wypowiedzi. Mimo to nie wierzę w to, co słyszę. Odwracam się.

– O co próbujesz mnie zapytać, Harristanie?

– Czy coś cię łączy z tymi przemytnikami? Czy wiesz coś o złodziejach nękających sektor?

Przez krótką chwilę te słowa wiszą w powietrzu. Niszczę siebie dla dobra mojego brata, a on mnie oskarża o zdradę.

A najgorsze w tym wszystkim jest to, że się nie myli. W każdym razie nie do końca.

Opróżniam szklankę brandy i nalewam drugą.

Podchodzi bliżej. Ścisza głos.

– Powiedz mi, Cory. Jeśli to robisz, cokolwiek ci obiecali...

Wybucha we mnie gniew. Odwracam się, opieram ręce na jego klatce piersiowej i odpycham go najmocniej, jak potrafię.

– Wynoś się.

Zatacza się, kompletnie zaskoczony. Potem kaszle. Mocno. Kładzie rękę na piersi.

Na chwilę wściekłość zastępuje panika. Bierze wdech, charczący, jakby wciągał do ust wodę.

– Harristan – szepczę.

Chwyta się oparcia krzesła i próbuje złapać oddech.

To przeze mnie. To przeze mnie. Tessa mówiła, że nic mu nie jest, lecz to najwyraźniej nieprawda. Mijam go i ruszam do drzwi, żeby wezwać lekarza.

Harristan łapie mnie za rękaw i zatrzymuje.

– Powiedz mi – duka na wydechu. Wbija we mnie swoje spojrzenie: mroczne, nieco zdesperowane.

– Nie współpracuję z przemytnikami – oświadczam. – Nigdy bym cię nie zdradził. Nigdy cię nie zdradziłem. Przysięgam.

Stoi tam, próbując nabrać powietrza, aż jego pięść zaciśnięta na mojej koszuli mniej przypomina żądanie, a bardziej prośbę.

– Przysięgam – powtarzam nieco łagodniejszym głosem. – Przysięgam.

Wreszcie po chwili, która wydawała się trwać godzinę, bierze pełny wdech. Zwalnia uścisk. Kiwa głową i prostuje się.

Nie umiera. Nie zabiłem go. Czuję ogromną ulgę, ale wraz z nią wraca też jakaś część gniewu, który nadaje mojemu głosowi szorstki ton.

– Skąd ci to przyszło do głowy?

– Bo coś przede mną ukrywasz. – Milknie na moment. – I Allisander wyraził obawy.

– To sukinsyn.

– Nie możesz go winić. W ostatnich tygodniach jesteś jakiś inny.

Jego głos nadal jest słaby, jakby piskliwy. Przyglądam mu się.

– Zawsze działałem w twoim interesie, Harristanie. Zawsze. – Urywam, przypominając sobie chwile, kiedy stałem w opuszczonym lochu Twierdzy, pragnąc, by zjawił się mój brat. Jak bardzo chciałem, żeby zobaczył, jak mnie to niszczy, równie skutecznie, jak gorączka Kandale.

Jednak nie przyszedł. Nawet teraz tego nie widzi.

Prostuję się i nawet nie próbuję udawać żalu.

– Szczuj na mnie swoich strażników, jeśli musisz. Śledź każdy mój krok. Uczestnicz w każdym przesłuchaniu. Przywiąż swojego konia do mojego. Dopuściłem się bardzo małej zdrady przeciwko toalecie, ale jeśli chcesz być tak *skrupulatny*...

– Cory. – Bierze kolejny wdech, wahając się.

Wpatruję się w niego i zastanawiam, czy potrafi odczytać w moich oczach, co czuję. Pamiętam, jak wykradaliśmy się do Dżicy, gdy byliśmy mali. On szedł przodem, ja za nim, choć zawsze czułem się w obowiązku go bronić. Do pewnego stopnia wynikało to z dorastania z bratem, którego zdrowie stale monitorowano, chroniono, o które ciągle się martwiono. A po części z faktu, że pewnego dnia miał zostać królem, a ja nie. Nadal czuję na sobie ten obowiązek we wszystkim, co robię. Myślałem, że to wie.

Po raz pierwszy w życiu czuję się przez niego zdradzony.

Może to widzi, ponieważ wzdycha ciężko. Klepie mnie po ramieniu i lekko ściska za bark.

– Wybacz mi, proszę.

Potakuję głową.

Ale coś między nami pękło.

Chyba on czuje to samo, bo zatrzymuje się na chwilę, a potem cofa i odwraca do drzwi.

Powinienem mu powiedzieć wszystko o Tessie. O Westonie. Słowa więzną mi w gardle.

Może to by tylko potwierdziło jego obawy. *Dopuszczam się zdrady, bracie, i to od kilku lat.*

Przełykam te słowa. Przełykam gniew. Przełykam rozczarowanie. Kiedy król zatrzymuje się przy drzwiach, żeby spojrzeć za siebie, napotyka spojrzenie Najwyższego Sędziego Królewskiego.

Po jego wyjściu kieruję się do drzwi, żeby posłać wiadomość dla Quinta i natrafiam na Rocco strzegącego moich komnat.

Mijają godziny. Marszałek nie przychodzi.

Nie jestem aż tak zdesperowany, by posłać wiadomość Tessie – każda sylaba zostanie uważnie przeanalizowana i przekazana mojemu bratu. Zresztą, co bym nie napisał, tylko wzmocniłbym jego

podejrzenia. Nie chcę też chodzić po pałacu ze strażnikiem mojego brata, idącym krok w krok za mną, bo wiem, że to wywoła plotki. Ludzie albo pomyślą, że po wybuchu w Twierdzy uważamy, że grozi nam większe niebezpieczeństwo, albo że Harristan robi to, co właśnie robi.

Żadna z tych opcji mi się nie podoba.

Jestem za to wystarczająco małostkowy, by czerpać przyjemność z myśli, że Rocco musi stać bez końca pod moimi drzwiami, co jest potwornie nudne.

Choć tylko odrobinę bardziej, niż musiec siedzieć tu samemu. Spędzam czas, przeglądając dokumenty, które pozostawiła wczoraj Tessa. Nic nowego nie odkryłem. Miała rację. Nikt nie będzie rozmawiał z takim mną, za to z Wesem i Tessą tak.

Jestem niespokojny i nie mogę doczekać się zmroku.

Quint wreszcie się pojawia, gdy właśnie się zastanawiam, czy mam zjeść obiad samotnie, w swojej komnacie, jak więzień.

Strażnik anonsuje go i szeroko otwiera drzwi.

– Quint – mruczę – nareszcie.

– Proszę o wybaczenie, Wasza Wysokość – odpowiada. – Król potrzebował mnie przez większość dnia.

Jego oficjalny ton zwraca moją uwagę. Spoglądam na zamykające się za nim drzwi.

– Nie musisz przeproszać – mówię mu. – Chciałem prosić o dodatkowe raporty dotyczące gorączki.

Drzwi się zamykają.

– Co się dzieje? – pytam szeptem.

Quint nie rusza się z miejsca.

– Ktoś zasugerował twojemu bratu, że masz coś wspólnego z przemytnikami. – Zawiesza głos. – Że współpracujesz z tymi Benefaktorami, a może nawet sam ich finansujesz. Że w dniu zamieszek pozwoliłeś uciec więźniom. Że umożliwiłeś ataki, które miały miejsce wczorajszej nocy.

Zastygam w bezruchu. Te słowa w ustach Quinta brzmią zupełnie inaczej niż w ustach mojego brata. Kiedy Harristan mówił o zdradzie, była to sprawa tylko między nami. Teraz już nie jest.

– Ktoś? – powtarzam z grymasem. – Allisander, nie ktoś.

– Być może nie tylko on. – Quint znowu przerywa. – Niektórzy sugerują, że ja także mogę coś na ten temat wiedzieć.

Przyglądam się uważnie przyjacielowi. Dopiero teraz zauważam, że nie jest rozchełstany jak zawsze. Jego kaftan jest zapięty, włosy uczesane.

W jego spojrzeniu widać napięcie i niepewność.

– Wszystko u ciebie w porządku? – pytam. Czuję, jak zaczyna we mnie kiełkować lęk. – Wszystko z Tessą w porządku?

– Tessa ma się dobrze. – Rusza w kierunku stołu, lecz zatrzymuje się w pół drogi. Mówi delikatnym głosem. – Corricku, dotrzymałem wielu twoich sekretów.

– Za co jestem ci wdzięczny.

– Za co mogę trafić pod topór, jeśli te plotki są prawdziwe.

Gapię się na niego.

– Quint... – Jeśli Harristan przekonał Quinta do swoich podejrzeń, to jestem w nie lada tarapatach. – Quint, co zrobiłeś?

– Nie, Corricku. Co ty zrobiłeś? – Wbija we mnie wzrok.

Wpatrujemy się w siebie, stojąc w dwóch przeciwległych kątach pokoju, a w palenisku strzela ogień. Czuję, jakby moje serce ścisnęło imadło. Myślę o wszystkim, co opowiadałem Quintowi, o każdym przypadku złamania prawa, jakiego się dopuściłem. O nazwiskach umierających rodzin, które mu wyjawiałem. Sytuacjach, gdy rzeczywiście *pozwoiliem* więźniom na ucieczkę. Domach, do których się włamałem, by ukraść płatki Księżycowego Kwiatu. Jak unikałem nocnego patrolu i jak przedostawałem się przez mur. O wszystkim, co wiem o Tessie. O wszystkim, co razem robiliśmy.

Byłem zły na Harristana, że mógł uwierzyć w te plotki.

Ale to, że Quint mógł w nie uwierzyć, to coś zupełnie innego.

– Czy mam wezwać strażnika, żeby natychmiast wykonał na mnie egzekucję? – rzucam nonszalancko, choć w środku jestem zdruzgotany. – Jestem pewien, że Rocco chętnie to zrobi.

Marszałek nie rusza się z miejsca, obserwując mnie. To nieprzyjemne uczucie, bo wiem, ile potrafi dostrzec. Wiem, ile wie.

– Byłeś moim powiernikiem, Quint. – Zawieszam głos. – Więcej niż powiernikiem. Byłeś moim przyjacielem.

– *Byłem?*

Poprawiam rękawy. Nie patrzę na niego.

– Sprzedałeś mnie Harristanowi?

Po raz pierwszy w jego oczach rozbłyska gniew.

– Myślisz, że byłbym do tego zdolny?

Robię krok w jego stronę i z całych sił staram się nie podnosić głosu.

– Myślisz, że byłbym zdolny do tego, by pomagać buntownikom i przemytnikom, udając tylko, że dostarczam lek potrzebującym?

On wpatruje się we mnie. Ja wpatruję się w niego.

Wreszcie wzdycha.

– Nie. – Urywa. – I nie wydałem cię twojemu bratu, kiedy mnie wypytywał.

Stoję w bezruchu.

– Co mu powiedziałeś?

Quint patrzy mi prosto w oczy.

– Powiedziałem, że nigdy nie usłyszałem od ciebie niczego, co mogłoby sugerować zdradę. Że we wszystkim, co robisz, jesteś lojalny wobec królestwa.

Biorę głęboki wdech; chyba pierwszy od wielu godzin. Chowam twarz w dłoniach, ze wszystkich sił starając się nie zdenerwować.

Quint ryzykował głowę, dotrzymując moich sekretów. Zawsze, ale to zawsze miałem też plan awaryjny, żeby wyjaśnić moje poranne eskapady. Mój brat nigdy wprost o nic mnie nie oskarżył. Nigdy nie podejrzewał mnie żaden konsul.

Teraz... ryzyko jest bardzo realne.

– Wyjdź – nakazuję, jednak mój ton nie jest nieżyczliwy. – Będę z tobą rozmawiał tylko publicznie i tylko w urzędowych sprawach. Nie będę...

– Corricku. – Rozkłada splecione dotąd na piersi ramiona i podchodzi do kredensu, żeby nalać sobie kieliszek brandy. – Zdaję sobie sprawę, jakie ryzyko podejmuję, naprawdę.

– Zabiorę twoją tajemnicę do grobu, Quint – zapewniam.

– Cóż – mruczy marszałek. Opróżnia kieliszek duszkiem, zupełnie jak nie on. – Miejmy nadzieję, że nie nastąpi to wkrótce.

– Ufasz mi więc?

– Zawsze ci ufałem. – Waha się, potem spogląda na drzwi i ścisza głos. – Nawet gdybyś naprawdę pomagał przemytnikom, wiem, że

miałbyś ku temu ważny powód. – Urywa. – Przez chwilę myślałem, że może to ty mi już nie ufasz.

– Mówię ci o wszystkim. – Mój głos robi się zachrypnięty. Czasem mam wrażenie, że jest tu moim jedynym przyjacielem, jedyną osobą, która zna wszystkie strony medalu. – O wszystkim.

Nalewa sobie drugi kieliszek. Spodziewam się, że ten także wypije jednym haustem, lecz podaje go mnie.

– W takim razie przepraszam, że w ciebie zwątpiłem.

– Jesteś pewnie jedyną osobą w pałacu, która nie musi za nic przepraszać.

Śmieje się na te słowa.

– Szczerze wątpię. – Milknie i poważnieje. – Musimy być ostrożni

– dodaje. – Atmosfera jest bardzo napięta.

My. *My* musimy być ostrożni. Nie zasługuję na to. Opróżniam kieliszek, który mi podał.

– Mam plan – oświadczam.

– Nie wątpię.

Zauważam jego niepokój i zaczynam się wahać.

– Chcesz się wycofać, Quint? – wyduszam. – Nie musisz dla mnie nadstawiać karku.

– Nie robię tego tylko dla ciebie, Corricku. – Przytrzymuje mój wzrok. – Co to za plan?

Opowiadam mu o sugestii Tessy, żebyśmy wrócili do Dżicy jako wyjęci spod prawa i spróbowali popytać wśród ludzi, co się dzieje i kto stoi za tymi atakami.

Gdy kończę, Quint zastanawia się, gładząc się po szczęce.

– Musiałbyś przekonać ludzi, że byłeś uwięziony w Twierdzy i uciekłeś podczas wybuchu. To by tłumaczyło twoją nieobecność. – Zawiesza głos. – Możesz wymknąć się oknem jak zawsze, ale komnata Tessy jest w bocznym skrzydle, zauważą ją.

– Nie mogę jej zaprosić do mnie, bo strażnicy mojego brata zaraz by mu o tym donieśli.

– Zobaczę, czy uda mi się odwrócić ich uwagę na chwilę – mamrocze Quint. – Jest tak szybka i pewna w działaniu, jak mówisz?

Moje serce zaczyna walić.

– Tak.

Wyjmuje z kieszeni zegarek.

– Bądź gotowy o północy. Dopilnuję, żeby miała maskę.

Rozdział dwudziesty ósmy

Tessa

To był dzień sukien, loków i tyłu dygnięć, że mam ochotę złożyć oficjalny protest.

Nie spotkałam się z Corrickiem.

Ani z królem.

Nawet Quinta widziałam ledwie kilka razy – wydawał się spięty i nieobecny. Ataki na sektor wszystkich wytrąciły z równowagi, mnie także. Rocco w ogóle nie pojawił się dziś pod moimi drzwiami, ale dwóch strażników, którzy go zastępowali, miało takie same fioletowo-niebieskie insygnia królewskie na mundurach.

Przez cały dzień panowała atmosfera wyczekiwania. Oczekiwania. Na coś, co ma nadejść.

Jednak zapadł wieczór i nic się nie wydarzyło.

Nie rozmawiałam z królewskimi zielarzami. Wiem, że król ma teraz ważniejsze rzeczy na głowie. Nie mam pojęcia, czy Corrick zdecyduje się jeszcze raz być Wesem. Wczorajszej nocy nie powiedział nic i zaczynam się zastanawiać, czy to wystarczająca odpowiedź, zwłaszcza gdy ten dzień wydaje się nie mieć końca.

Nie jestem więźniem, lecz dziś tak się właśnie czuję. Rocco chętnie wyprowadził mnie z pałacu, ale zastanawiam się, co by się stało, gdybym poprosiła strażę o wyprowadzenie mnie z sektora. Wyobrażam sobie minę pani Solomon, gdybym weszła do jej sklepu w jednej z tych kretyńskich sukien. Wyobrażam sobie, jak przytuliłabym Karri. Była taką oddaną przyjaciółką, a ja po prostu zniknęłam. Ciekawe co ich zdaniem się ze mną stało. Czy w sektorze plotkuje się o moim wtargnięciu do pałacu? Nawet jeśli, to wczorajsze wydarzenia to przyćmiły. Czy będzie kolejny atak? Czy konsul Sallister przestanie dostarczać Księżycowy Kwiat do innych sektorów? Czy będzie mógł go dostarczać, jeśli ataki na jego transporty będą się powtarzać?

Mam tyle pytań, które kłębią się w mojej głowie i nie pozwalają zasnąć.

Jossalyn rozplotła mi włosy przed godziną, zostawiła dzbanek gorącej herbaty i talerz drożdżówek posypanych cukrem pudrem. Obok stoi fiolka z eliksirem, dużo ciemniejszym niż ten, który ja przyrządzam. Potrząsam szkłem i zastanawiam się, ile rodzin z Dzikicy można by ocalić tym koncentratem.

Potem przypominam sobie wczorajszy atak kaszlu Harristana. Nie miał gorączki, jednak nie jest też zupełnie zdrowy. Jest królem Kandali, więc na pewno sam dostaje dużo więcej leku, niż potrzebuje. Nie rozumiem tego.

Kładę się do łóżka przekonana, że nie zasnę, lecz najwyraźniej zasnęłam, bo budzi mnie jakiś dźwięk. Mój pokój tonie w ciemnościach, w kominku pozostał tylko żar.

Czuję dłoń na ustach.

Biorę wdech, żeby zacząć krzyżeć, ale słyszę głos Quinta:

– Mamy niecałą minutę, żeby dotrzeć do komnaty Corricka. Nie ma czasu na pytania. Potrafisz biegać?

W głowie mam mętlik, mimo to potakuję głową.

Puszcza mnie. Drzwi są otwarte, nie ma straży bez straży. Pędzę.

Mknę przez pusty korytarz niczym duch. Ten głupi pałac jest zdecydowanie za duży, bo komnata Corricka wydaje się kilometr stąd, a moje nagie stopy ślizgają się na aksamitnym chodniku.

W chwili, gdy rozlegają się słowa: „Marszałku Quint, nie wydaje mi się, by coś było nie w porządku”, drzwi do pokoju Corricka otwierają się i wpadam do środka.

Książę chwyta mnie za ramię i zatrzymuje.

– Cicho.

Z trudem łapię oddech.

– Ale...

– Powiedziałem: cicho.

Popycha mnie w głąb pokoju i wygląda na korytarz.

– Straż! Co się dzieje?

Moje serce nie przestaje walić jak oszalałe. Mam nadzieję, że strażnicy wiedzą, co się dzieje – ja na pewno nie.

Odpowiada mu męski głos:

– Marszałek Quint myślał, że widzi jakieś podejrzane zachowanie na ulicy.

– Wczorajszej nocy zaatakowano sektor. Drzwi nie powinny zostawać bez straży – rzuca gniewnie Corrick. – Natychmiast wracać na swój posterunek.

– Tak jest, Wasza Wysokość.

Puszcza drzwi, które same się zamykają, i wraca do mnie.

Nadal jestem trochę zdyszana. Znów jest wystrojony w aksamit, skórę i brokat. Po tym, jak widziałam go bez koszuli, żałuję, że tak jest. Jego oczy są zimne, jak tamtej nocy, kiedy zjawiłam się w pałacu.

Zdecydowanie nie wygląda na gotowego do roli Wesa.

Przełykam ślinę i próbuję uspokoić serce.

– Co się dzieje?

– Quint cię wydstał. To będzie prawdziwe wyzwanie odstawić cię z powrotem do twojej komnaty, bo dwa razy nie nabiorą się na ten sam numer, jednak będziemy się tym martwić później.

– Co robimy?

Bierze dwie skórzane torby leżące przy kominku. Rzuca mi jedną. Łapię ją przed sobą. Potem bez słowa podchodzi do okna, przekłada nogę przez parapet i znika w ciemności.

Nagle całe powietrze uchodzi z moich płuc. Przerzucam torbę przez ramię i wyglądam za nim przez okno. Do stalowego okucia pod oknem przywiązana jest gruba lina, skrzypiąca pod jego ciężarem.

Serce znów podchodzi mi do gardła.

To był mój pomysł, lecz teraz jestem nim przerażona.

– Pamiętasz, jak korzystać z liny? – szepcze do mnie z dołu.

– Myślałeś, że zapomnę w dwa dni?

Uśmiecha się szeroko i w jednej chwili Krwawy Corrick znika, a na jego miejscu pojawia się Wes.

– To pospiesz się. Mamy obchód do zrobienia.

Nocne powietrze jest zimne, a silne podmuchy wiatru zawiewają włosy na twarz. Ciemne niebo jest mocno zasłane chmurami, w oddali nieco jaśniejszymi, zdradzającymi położenie księżyca.

Deszcz jest jak odległa obietnica, która może nie zostać dotrzymana. Gdzieś za pałacem widzę ogień i serce mi zamiera. Myślę o wczorajszych atakach i dopiero wtedy przypominam sobie łuk z pochodni, który widziałam, jadąc powozem. Łuk Stonehammer, dowód miłości złożony przez jego ileś tam „pra” pradziadka.

Mam nadzieję, że wiele razy spadłeś.

Ani razu.

Jestem boso, dlatego rosa przykleja mi się do stóp, gdy przemykam za nim w ciemności. Nie potrafię odgadnąć, kim dziś jest albo którą osobowość przede mną odkryje, kiedy postanowi wreszcie wyjaśnić, co robimy. Porusza się tak bezszelestnie, że ja też nie śmiem wydać dźwięku. Nie mam pojęcia, jacy strażnicy patrolują teren ani na kogo możemy się natknąć.

Mam nadzieję, że nie spodziewa się, że wcielę się w rolę wyjętej spod prawa w nocnej koszuli. Z drugiej strony on też nie ma na sobie stroju Wesa. Ubrania pewnie są w torbach.

Im dalej odchodzimy od pałacu, tym noc staje się ciemniejsza. Trawa i ziemia wciskają mi się między palce u stóp. Corrick przemyka niczym cień, a ja, w mojej bladezielonej nocnej koszuli, wyglądam jak duch. Wałące serce już zdążyło się uspokoić. Światła pałacu stopniowo robią się coraz mniejsze, a płonące pochodnie sypiące iskrami z łuku coraz wyraźniejsze.

– Tu – odzywa się wreszcie, zatrzymując się. Milczeliśmy tak długo, że jego głos brzmi strasznie głośno w moich uszach. Odwraca się do mnie, a na jego twarzy widzę napięcie.

– Co tu? – pytam szeptem.

– Nie musisz szeptać. Z tyłu pałacu nie ma straży, bo strzegą otaczającego go muru. Ale chciałem dotrzeć jak najbliżej łuku na wypadek, gdyby ktoś wyglądał przez okno.

– Chcesz... żebyśmy byli widoczni?

– Przeciwnie. – Rozpina swój kaftan i zdejmuje go. – Nie zauważyłaś, patrząc na światło, że otaczająca je ciemność wydaje się gęściejsza?

– Jakoś nie, nigdy.

Oddycham szybko. Corrick już zdejmuje koszulę przez głowę. Spogląda w niebo.

– Może powinnaś skupić się na przebieraniu.

Skupiam się na cieniach i liniach jego piersi widocznych w ciemności.

– Aha.

Rzuca mi w twarz swoją koszulę. Śmieję się i pochylam głowę, żeby rozpakować swoją torbę. Jest tu samodziałowa spódnica w jakimś ciemnym kolorze, grube skarpety, ciężkie wysokie buty, szara przesywana koszulka. Zaczynam się przebierać i uświadamiam sobie, że to ubrania, w których mnie schwytano. Uprane, rzecz jasna, pachnące różami i słońcem.

Podnoszę wzrok i widzę, że Corrick gapi się na mnie. Wciągnął przez głowę czarną koszulę. To wszystko. W ciemności nie potrafię odczytać wyrazu jego twarzy.

Prostuję się.

– Co?

– Zaśmiałaś się. Nie byłem pewien, czy to się jeszcze kiedyś stanie. Rumienię się i opuszczam wzrok. Dobrze, że nie widzi mojej miny.

– Cóż.

Nie wiem, co innego mogłabym powiedzieć.

Cóż, w tym momencie nie czuję się jak więzień.

Cóż, zapomniałam, że Weston Lark był tylko złudzeniem.

Cóż...

Zrobiłam się zbyt milcząca, on też, a powietrze między nami robi się gęste od... czegoś. Przeszywa mnie dreszcz. Strzepuję spódnice.

– Odwróć się – proszę.

– Dlaczego? – pyta wesoło.

Co za kundel. Odrzucam mu jego koszulę.

– Wiesz dlaczego.

Uśmiecha się z dzikim błyskiem w oku, jednak ostatecznie staje tyłem do mnie. Mimo to zachowuję szczególną ostrożność: najpierw wkładam spódnice, następnie bluzkę i dopiero spod niej, przez głowę, zdejmuję koszulę nocną. Pałacowe stroje były precyzyjne, ale jest coś pokrzepiającego w powrocie do dawnej Tessy. Wycieram szybko stopy i odwracam się. Balansując na jednej nodze, zakładam skarpetę i sznuruję but. Słyszę za plecami szelest materiału, kiedy mój towarzysz się przebiera. Cały czas patrzę przed siebie, na migoczące pochodnie tworzące łuk, na rozbłyśki drobnych iskier,

które rozświetlają mrok jakby na przekór nocy, by po chwili opaść do wody i zgasnąć.

– Gotowa? – pyta.

Odwracam się. Znów tracę dech.

Nie jest bez koszuli. Nie jest Najwyższym Sędzią Królewskim. Jest... Wesem.

Znam prawdę od kilku dni, już mi to udowodnił, lecz to... jakbym zobaczyła ducha. Jego maska, jego kapelusz, jego ubrania. To Wes. To jest Wes.

To za dużo. Nie jestem w stanie się opanować. Potykając się, ruszam do przodu i rzucając mu się na szyję. Mój oddech staje się nierówny, próbuję powstrzymać łzy. Nogi się przede mną uginają.

Łapie mnie. W pierwszej chwili myślę, że po prostu pomoże mi złapać równowagę albo złośliwie skomentuje, że powinnam przestać wypłakiwać się na jego ramieniu.

Ale tego nie mówi. Po prostu mnie tuli, mocno obejmuje.

Wreszcie udaje mi się opanować oddech, jednak nie podnoszę głowy. Jego ramiona dają ciepło i pewność, jego oddech szemra w moich włosach.

– Wybacz mi – mówi cicho, chrapliwie. Znów zaciskam oczy z całych sił. Przeciąga kciukiem po moim policzku. – Proszę, Tesso. Wybacz mi.

Biorę głęboki wdech, lecz to za dużo. Za dużo? Sama nie wiem.

Myślę o tej chwili przed wybuchem w Twierdzy, gdy chciał mnie pocałować, a ja go powstrzymałam.

Nie jest Wesem, w każdym razie nie do końca.

Tyle że jeszcze nie jestem gotowa, żeby uwolnić się z jego ramion.

W końcu przypominam sobie, że mamy coś do zrobienia, kogoś do ocalenia. Odsuwam się i spoglądam w oczy, które tak dobrze znam.

– Nie możemy tu zostać.

Potakuje głową, jednocześnie nie odwracając ode mnie wzroku. Mrugam szybko, by przegonić ostatnie łzy.

– Masz... – muszę odchrząknąć – ...masz dla mnie maskę?

– Tak.

Wyciąga ją ze swojej torby razem z kapeluszem.

Zawiązuję ją na twarzy i z trudem przełykam ślinę przez ściśnięte gardło.

Teraz on wpatruje się we mnie tak, jak ja w niego przed chwilą. Muszę zmusić się, żeby odwrócić wzrok i zawiązać torbę.

– Gdzie... gdzie to zostawimy?

– Za furtką jest skrzynia. Pamiętasz, jak mówiłem ci, żebyś uciekła z powozu? To moje wyjście.

Potakuję głową, pociągam nosem i przewieszam torbę przez ramię, potem ruszam za nim. Bezgłośnie przemykamy po trawie.

Ciemność i cisza zaczynają mi ciążyć, więc postanawiam się odezwać.

– A co, jeśli ktoś do ciebie przyjdzie?

– Quint zostanie w mojej komnacie i co jakiś czas będzie kazał przynosić jedzenie i wino aż do naszego powrotu. Wszyscy będą myśleć, że ślęcę nad tymi raportami. Mój brat zwykle wcześniej się kładzie, więc pewnie już śpi.

– A jeśli ktoś będzie chciał z tobą koniecznie pomówić?

– Jedyłą osobą, która może bezwzględnie żądać mojej obecności, jest Harristan, a to zdarza się rzadko. – W jego głosie pobrzmiwa nuta, która wydaje się przeczyć beztrudnej pewności zawartej w tych słowach. – Zresztą Quint ma całą paletę wymówek. Wezwano mnie do Twierdzy, poproszono o przejrzenie prośby o fundusze złożonej do króla, poproszono o zastanowienie się nad czymś, nad czym nie trzeba się zastanawiać... – Wzrusza ramionami.

Gapię się na niego.

– Dlaczego Quint cię kryje?

– Na początku chyba dlatego, że przekonałem Harristana, by dał mu to stanowisko. Jest młody jak na marszałka dworu, a już na pewno zauważyłaś, że mój brat nie znosi głupców. Ale jest dużo bystrzejszy, niż daje po sobie poznać, i nakrył mnie, gdy wykradałem się z pałacu. Nie jestem pewien, czy wiedział, co robię. Na początku obaj byliśmy nieco nieufni w stosunku do siebie, jednak z czasem został moim powiernikiem. – Urywa. – To oddany przyjaciel.

W jego głosie znów pobrzmiwa ta ciężka nuta.

– Coś jest nie tak – stwierdzam łagodnie.

– Nie. – Zerka na mnie, a potem śmieje się z ironicznie. – W każdym razie nie bardziej niż zwykle.

– Powiedz mi.

Przez długi czas milczy i myślę, że już nie odpowie. Kiedy się znów odzywa, zmienia temat.

– Patrz. Furtka.

Wygląda dokładnie tak, jak ją opisywał, tyle że jest mniejsza, niż się spodziewałam. Nie ma nawet metra wysokości i prowadzi do jakiegoś ciemnego tunelu. Tak jak mówił, jest tu drewniana skrzynia: wydaje się spróchniała, lecz kiedy Wes, to znaczy *Corrick* – o czym muszę sobie niestety co chwilę przypominać – otwiera wieko, wewnątrz okazuje się suche i czyste.

Tunel jest czarny, nasze oddechy odbijają się echem od ścian. Cieszę się, że jest tu ze mną, bo sama w tej ciasnej przestrzeni byłabym przerażona. Coś smyrnęło nad moim butem, przez co gwałtownie nabieram powietrza, a wtedy on chwyta mnie za rękę, żeby pomóc mi złapać równowagę, i idziemy dalej.

– Kiedyś z tego tunelu korzystali szpiedzy – szepcze, ale jego głos i tak jest bardzo głośny. – Sto lat temu było ich kilkanaście, rozsianych po całym Sektorze Królewskim. Część się zawaliła, jednak kilka zostało, tak jak ten, które są bardzo przydatne dla książąt zamieniających się w wyjętych spod prawa. – Milknie na moment. – Ciągle z nich korzystaliśmy z Harristanem.

– On też to robił? – pytam zdziwiona.

– Nie. Tylko kiedy byliśmy dziećmi. – Znów przerywa. – Harristan był chorowity; rodzice obchodzili się z nim jak z jajkiem. Nigdy nie wolno mu było nic robić. Dostawał od tego bzika. Namówił mnie, żebym wymknął się z nim do Dzikich. Potrzebował dwa razy więcej czasu ode mnie, żeby przejść przez mur, ale to on mnie nauczył, jak to robić.

Wyobrażam sobie króla i księcia jako małych chłopców wymykających się z pałacu tunelem, szepczących z ekscytacji, stawiających sobie nawzajem wyzwania, kwestionujących polecenia i zasady tak, jak robi to teraz *Corrick*. Trudno wyobrazić sobie Harristana jako chorowite dziecko, lecz myślę sobie o jego napadach kaszlu i mój zielarski umysł zaczyna szukać jakiejś przewlekłej choroby, która mogłaby objawiać się gorączką.

W głosie *Corricka* znów pobrzmiwa ten ton, ale dopiero teraz rozumiem, co znaczy. To tęsknota. Poczucie straty. Smutek. Żal.

– Coś zaszło między tobą a królem – szepczę.

– Uważa, że współpracuję z przemytnikami – oznajmia jak gdyby nigdy nic.

– Zaraz. – Chciałabym móc zobaczyć teraz jego oczy, jednak w tunelu panuje kompletna ciemność, więc wyraz jego twarzy pozostaje tajemnicą. – Co?

– Słyszałaś. – Corrick bierze głęboki wdech. – Rzucano różne podejrzenia od czasu, gdy pojawił się temat Benefaktorów, ale nie spodziewałem się, że ktoś oskarży mnie. Allisander podejrzewa też ciebie. Dlatego nie mogłem dziś do ciebie przyjść. Harristan w zasadzie oskarżył mnie dziś rano. Jego strażę donoszą mu o każdym moim ruchu. Próbował wycisnąć coś z Quinta.

Nagle czuję ucisk w piersi.

– Przecież to nieprawda! Ty, ty jesteś...

Urywam. Może nie jest takim przemytnikiem, jak to podejrzewa Harristan... a jednocześnie nie jest też zupełnie niewinny.

– Wiem, Tesso.

Dalej idziemy w milczeniu; nasze stopy ocierają się o ściany tunelu, aż wreszcie wychodzimy w lesie. Mży. Nie rozpoznaję miejsca, w którym jesteśmy, lecz na pewno nie w pobliżu naszej chaty. Nie byłby tak nierozważny. Nie po tym, jak tak długo dochowywał sekretu.

Nagle czuję ucisk w piersi. Jego brat go oskarżył. Król go oskarżył.

A mimo to jest tu.

– Nie mam zbyt wiele płatków – oświadcza – bo nie mogłem ryzykować, że moja prośba zaalarmuje Harristana. Quint zdołał zgromadzić wystarczającą ilość na jeden obchód.

Przygryzam wargę.

– To... to jest zdrada.

– To zawsze była zdrada, Tesso.

Myślę o tych wszystkich razach, kiedy złorzeczyliśmy na króla, na okrutnego księcia, na ludzi skazywanych na śmierć dokładnie za to, co sami robimy. Przełykam ślinę.

– Ryzykujesz życiem – zauważam.

– Tak samo jak ty. – Przytrzymuje moje spojrzenie. – Niech to ryzyko będzie czegoś warte.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Corrick

Jako dzieci często z Harristanem korzystaliśmy z tunelu, zostawiając za sobą nasze królewskie życie, jakbyśmy zrzucali skórę. Może wolniej ode mnie wspinał się i biegał, ale zawsze lepiej radził sobie z ludźmi. Czasem kupcy, widząc chłopca ze zbyt dużą liczbą monet jak na jego potrzeby, próbowali je od niego wyłudzić, jednak mój brat nigdy nie dał się oszukać czy naciągnąć. Zawsze powtarzał, że kiedy siedział opatulony w koce i kołdry, miał dużo czasu na studiowanie ludzi. To naprawdę cud, że udało mi się tak długo ukrywać przed nim Westona Larka.

Chociaż nie, to nie cud. To zaufanie. Harristan mi ufa.

A raczej *ufał*.

Nie wiem, czy kiedykolwiek uda mi się wymazać z pamięci wyraz jego twarzy, gdy pytał, czy mam coś wspólnego z przemytnikami. Wrył się w mój umysł tak samo mocno jak chrząst butów o kamienną posadzkę Twierdzy, kiedy myślałem, że to jego postać wyłoni się z dymu. Tessa patrzy na mnie; czuję ciężar jej spojrzenia. Przedtem zawsze łatwo było zapomnieć o wszystkim, co czekało na mnie w pałacu, i zatracić się w byciu Westonem Larkiem.

Dziś tak nie jest. Tessa wie zbyt wiele. Na szali kładziemy wszystko. Zresztą dla niej chyba zawsze tak było.

– Jeśli uda nam się ustalić, kto stoi za tymi atakami – mówi wolno – co wtedy zrobisz?

– To zależy.

Przygląda mi się. Wzruszam jednym ramieniem.

– To zależy. – Spoglądam w jej oczy. – Nie mogę pozwolić, by dalej to robili. Przecież wiesz.

– Tak, wiem. – Przełyka z trudem ślinę i dociera do mnie, że to ją martwi.

– Nawet jeśli powstrzymamy dalsze ataki, to nie wyleczy gorączki
– stwierdzam. – Ale teraz Allisander ma pretekst i prawo, by ograniczyć dostawy Księżycowego Kwiatu. Nic nie będę mógł zrobić, jeśli zamknie się w swoim sektorze. Za to, jeśli uda nam się go przekonać, że jego transporty są bezpieczne, a ja nie jestem buntownikiem, wspólnie z Harristanem możemy pomyśleć nad bardziej sprawiedliwym sposobem dystrybucji eliksiru, zwłaszcza jeśli zdołamy udowodnić, że mniejszą dawką możemy zdziałać więcej.

– To znów bardzo dużo „jeśli”. – Bierze głęboki wdech i lekko drży.
– I to może nie powstrzymać rewolucji.

– Tesso. – Wpatruję się w nią i myślę o Quincie, który dzielił się ze mną swoimi obawami. Jeśli odejdzie, wyjaśnienie tego w przekonujący sposób będzie raczej niemożliwe. Nie będę jej do tego zmuszał wbrew jej woli. – Mam sakiewkę, jeśli chciałabyś się wycofać.

– Nie. – Potrząsa lekko głową. – Chcę zrobić to, co *słuszne*.

– Hmm. – Patrzę przed siebie. – Rzecz w tym, że każdy inaczej rozumie, co jest *słuszne*. – Wzdycham. – Łącznie z moim bratem. Nie wspominając o Allisandrze.

– Niektóre rzeczy po prostu są *słuszne* – oznajmia stanowczo. – To nie fair, że ludzie umierają, skoro można im pomóc. To nie fair, że Allisander ma taką władzę tylko dlatego, że ma ziemię i pieniądze. To nie fair, że oczekuje od ciebie...

– Allisandrem kieruje chciwość, więc on uznałby to za bardzo fair...

– Nie mówię o konsulu. Mówię o królu.

Te słowa padły jak kamień. Nie jestem pewien, co odpowiedzieć.

– Tu nie chodzi o oczekiwania, Tesso. – Mój głos robi się szorstki wbrew mnie. – To kwestia konieczności.

– W powozie powiedziałeś mi, że nigdy byś go nie opuścił. – Przerzywa. – Sądzisz, że twój brat jest słaby?

Myślę o tym, jak Harristan czyta każdą prośbę, jak śmierć naszych poddanych wydaje się mu ciężać. Jak rzadko prosi o szczegóły tego, co robię, by zachować pozory kontroli.

Myślę o tym, jak zasłonił mnie własnym ciałem podczas zamachu na naszych rodziców.

Myślę o tym, jak później wszedł w rolę króla.

– Nigdy nie nazwałbym go słabym – oświadczam.

Tessa przez chwilę milczy, a potem odzywa się bardzo łagodnym tonem:

– Myślisz, że gdybyś przestał być Najwyższym Sędzią Królewskim, twój brat zdołałby utrzymać kontrolę?

Na to pytanie też nie umiem odpowiedzieć.

I to chyba jest wystarczająca odpowiedź.

Tessa wbija wzrok przed siebie.

– Gdy zginęli moi rodzice, nie była pewna, czy przetrwam. Jedyne, co byłam w stanie zrobić, to pamiętać o jedzeniu. Czasem myślę, że gdyby nie spotkania z tobą, żeby... żeby robić to, co robimy... nic nie byłoby w stanie wyciągnąć mnie z łóżka. – Urywa. – Nie potrafię sobie wyobrazić, że po czymś takim musiałabym rządzić krajem.

– Konsulowie wyrażali obawy, że Harristan jest zbyt młody, chcieli rządzić zamiast niego, jednak miał dziewiętnaście lat i nie mieli takiego prawa. Po tym, jak konsul Barnard został zdemaskowany jako autor spisku, w którym zginęli moi rodzice, nie ufaliśmy już żadnemu z nich. Przy każdym spotkaniu, każdej *interakcji*, wypatrywali naszej słabości. Czekali na naszą porażkę. Nie doczekali się. – Gardło mam ściśnięte. Wolałbym nie przywoływać wspomnień, które staram się pogrzebać jak najgłębiej. – Mieliśmy tylko siebie.

– Nikt z pozostałych nie był w zмовie z Barnardem?

– Nigdy nie zdołaliśmy znaleźć na to dowodów. – Wzruszam ramionami. – A potem coraz więcej ludzi zaczęło chorować i... sama wiesz, jak dalej potoczyły się losy Kandali.

– Tego poranka, kiedy rozmawiałam z Harristanem, powiedział, że łatwo jest kochać króla, gdy wszyscy są najedzeni i zdrowi, ale trochę trudniej, gdy tak nie jest. – Wzdycha. – I wiem, co zrobiłby konsul Sallister, gdyby to on rządził. Mówił o więźniach, jakby... jakby nie byli ludźmi.

Jego ojciec nie był lepszy. Lissa Marpetta jest chciwa, lecz nigdy nie była taka jak Allisander. Jednak jeśli chodzi o zachowanie kontroli, ma w niej sprzymierzeńca. Cichego współnika.

– To wszystko jest takie... takie wyrachowane.

– Wiem.

Podnosi na mnie wzrok.

– Mówiłeś, że jako dzieci wymykaliście się z Harristanem, ale wtedy nikt nie chorował. Dlaczego zacząłeś przynosić lek do Dżicy?

– Na początku nie chodziło o lek. – Przyglądam się jej w ciemności, temu, jak cienie podążają za jej rysami. – To przyszło później.

– Więc o co chodziło?

Wzdrygam się lekko, głównie żeby przykryć własne zakłopotanie. To nie są dobre wspomnienia. Najgorsze są te najwcześniejsze, jak dzień, w którym zamordowano rodziców.

– Kiedy Harristan mianował mnie Najwyższym Sędzią Królewskim, miałem piętnaście lat. Oczywiście zdawałem sobie sprawę z tego, co oznacza to stanowisko, tyle że na początku ludzie nie chorowali. Nikt nie kradł płatków Księżycowego Kwiatu. Nigdy nie musiałem robić nic strasznego. Myślałem, że kreatywnością uda mi się uniknąć robienia rzeczy okrutnych, jak skazywanie ludzi na wyciosanie tysiąca cegieł ze skalnej ściany. Nigdy nie musiałem skazywać nikogo na śmierć. Nigdy nie chciałem. – Śmieję się gorzko z własnej naiwności. – Pamiętam, jak myślałem, że może będziemy mieli szczęście i nikt nie dopuści się żadnego poważnego przestępstwa.

Przez chwilę idziemy w milczeniu. Tessa cierpliwie czeka na ciąg dalszy historii.

Ale sama zna koniec. Może dlatego tak trudno mi o tym mówić.

– Coraz więcej ludzi chorowało – ciągnę – i odkryto, że Księżycowy Kwiat leczy chorobę. Nagle stał się towarem. – Biorę głęboki wdech na wspomnienie ulicznych bójek, kiedy rzekomo gdzieś pojawiło się choćby kilka płatków. – Kraj zaczął pogrążyć się w chaosie. Napadano na domy, sprzedawano fałszywe lekarstwa, kradziono Księżycowy Kwiat. Codziennie dostawaliśmy raporty od konsulów o przemocy w sektorach, o walkach o lek. – Potrząsam głową, przypominając sobie list, który pokryty był strużkami krwi, gdy dotarł do pałacu. – To było... potworne.

– Pamiętam to – szepcze Tessa.

Oczywiście, że pamięta. Była w samym centrum wydarzeń.

– Harristan musiał podjąć jakieś kroki – dodaje.

– Co znaczy, że ty także musiałeś.

Potakuję głową. Chciałbym na tym poprzestać, lecz nadal nie odpowiedziałem na jej pytanie.

– Pierwszy był... – waham się – ...*pierwszy* był... mężczyzna, który zabił dziecko. Nazywał się Jarrod Kannoly. – Nie pamiętam wszystkich nazwisk, jednak jego wryło się w moją pamięć na zawsze. – Mówił, że nie chciał, że to był wypadek, ale... – Wzruszam ramionami i przeciągam ręką po karku. – Każdy tak mówi. Pewna kobieta kupiła zapas Księżycowego Kwiatu dla całej rodziny, a ten mężczyzna to podsłuchał. Chwycił dziewczynkę i powiedział, że poderżnie jej gardło, jeśli kobieta nie odda mu połowy.

Tessa wpatruje się we mnie.

– I *zrobił* to?

Kiwam głową.

– To się wydarzyło w Sektorze Królewskim, dlatego przywlekli go do Twierdzy. Był cały we krwi.

Do dziś pamiętam głos Harristana, kiedy o tym usłyszał. „Cory? Musimy coś zrobić. Konsulowie domagają się działania. Musimy to powstrzymać. Musimy coś zrobić”.

Co znaczyło, że ja muszę.

– To straszne – komentuje cicho Tessa. Potem było jeszcze wielu, ale wspomnienie o nim jest najgorsze. Może przez to, że był pierwszy. Może przez to, co zrobił. Może przez świadomość, że cokolwiek bym mu nie zrobił, nie wróci to tej małej dziewczynki jej matce.

Otrząsam się z tych wspomnień.

– Wymknąłem się tamtej nocy z pałacu – mówię. – Część mnie chciała biec, zagubić się w Dziczy. Jednak nie mogłem zostawić Harristana, to już wiesz.

– Wiem.

– Miałem w kieszeni srebro i zacząłem je zostawiać w różnych miejscach, gdzie mogło uczynić coś dobrego: na parapetach, w drzwiach, w kieszeniach suszących się na słońcu ubrań. Tyle monet, ile mogłem wziąć. – Urywam. – Tyle że to zawsze było za mało. Widziałem możnych kupujących *tak dużo*, o wiele więcej leku, niż potrzebowali.

Wpatruje się we mnie. Ja wpatruję się w nią.

Biorę długi wdech.

– Aż pewnej nocy zobaczyłem mężczyznę i kobietę wykradających lek. Najpierw byłem zły. – Zaciskam szczękę. – Myślałem, że są kolejnymi przemytnikami. Nie wiedziałem, po co to robię, ale postanowiłem wyjść za nimi z sektora. A oni spotkali się... spotkali się z dziewczyną. Mniej więcej w moim wieku.

Zaczerpuje gwałtownie powietrza.

– Mówisz o mnie. O moich rodzicach.

Potakuję głową.

– Tak. Zobaczyłem, co robicie, i zrozumiałem. – Milknie na moment. – Chciałem pomóc. Nie wiedziałem *jak*.

Nadal mnie obserwuje. Chciałbym móc zobaczyć tamtą noc jej oczami. Trzymałem się na odległość, zawsze starałem się unikać nocnych patroli, bo wiedziałem, że to, co robię, przyniosłoby zgubę Harristanowi. Pamiętam, jak wyciągnęli ojca Tessy z cienia, jak się bronił. Jak jej matka się broniła. Kusze wystrzeliły, nim zdołałem do nich dobiec. Pamiętam, jak odciągnąłem Tessę, zasłaniając jej usta dłonią, ukrywając nas oboje w zagajniku. Drżała w moich ramionach, a po mojej dłoni płynęły jej łzy.

– Zrobiłem, co mogłem – oznajmiam jej teraz prawie łamiącym się głosem. Z trudem biorę wdech. – Robię, co mogę. Każdego dnia żałuję, że to zawsze za mało.

W jej oczach błyszczy księżyc, jednak nie potrafię odczytać wyrazu jej twarzy. Stoimy tak w ciszy, dzieli nas tylko oddech.

Rozlega się trzask złamanej gałęzi i głosy w oddali.

Przeklinam, chwytam ją za rękę i ściągam ze ścieżki.

– Słuchaj.

Ciężkie buty dudnią na ścieżce, słychać ściszone męskie głosy. Nie wiem, czy to nocny patrol, ale jesteśmy w głębi zalesionej części Dzikiej, więc jest to mało prawdopodobne, choć nie niemożliwe, skoro podwoiliśmy ich liczbę. Wstrzymuję oddech, gdy się zbliżają.

Potem ich rozpoznaję. Dorry Contrel i Timm Ballenger. Obaj w średnim wieku, pracują w kuźni w Stalowym Mieście, obaj mają w domu żony i łącznie pół tuzina dzieci. Ciężko pracujący ludzie, narzekający na króla i jego brata, lecz bardziej martwiący się o to, jak wyżywić rodzinę i utrzymać ją w zdrowiu niż czymkolwiek innym. W przeszłości przynosiliśmy im z Tessą lek, kiedy ze swoich

miesięcznych pensji nie byli w stanie kupić nawet dość jedzenia i herbaty.

To dziwne, że o tej porze kręcą się po lesie.

Myślę o Jarvisie, mężczyźnie, którego znalazłem w celi, kiedy byłem tam z Allisandrem. Zdziwiło mnie, że został schwytany razem z przemytnikami.

Próbuję dosłyszeć, o czym rozmawiają, jednak nic, co do mnie dociera, nie wydaje się podejrzane. Idą w naszą stronę, w kierunku swoich domów.

Gdy już przechodzą, Tessa spogląda na mnie w ciemności. Ciężar tego, co powiedziałem, wisi między nami, ale ona tylko szepcze:

– Skąd się tu wzięli o tej porze?

Potrząsam głową.

– Spróbujmy się tego dowiedzieć.

Nie idziemy za nimi prosto do ich domów. Jeśli mają jakieś niecne zamiary, nie chcę ich spłoszyć. Zaczynamy od północnej strony wioski. Pierwszy dom jest malutki, niewiele większy od naszej chaty. Podczas wiosennych deszczy przecieka dach, niestety Alfred i Tris, którzy tu mieszkają, są dobrze po siedemdziesiątce i nie są w stanie wejść na górę, żeby go naprawić. Kilka miesięcy temu razem z lekiem przyniosłem im płachtę płótna żeglarskiego i w ciągu jednego dnia sąsiedzi przykryli najgorsze miejsca. Tris odpłaciła mi jajkami, które wzięła Tessa. Ugotowała je na twardo i przyniosła następnego ranka na śniadanie do chaty.

Nie było mnie tu ledwie kilka tygodni, a mam wrażenie, jakby minęły lata. Czuję ucisk w piersi.

– Zostanę na czatach – mruczy Tessa, kiedy zbliżamy się do domu. Maską rzuca cień na jej oczy, usta są tylko bladym łukiem w ciemności. Musiała zauważyć mój wyraz twarzy, bo marszczy czoło. – Coś jest nie tak?

Wszystko.

Kręcę lekko głową.

– Nie.

Ściska mnie za rękę i chowa się w cieniu. Lekko pukam do drzwi – dwa krótkie stuknięcia, potem dwa mocniejsze. Trwa to chwilę, aż wreszcie drzwi się otwierają.

To Tris. Wygląda dziesięć lat starzej. Włosy cieńsze, policzki bardziej zapadnięte.

Gdy mnie rozpoznaje, uśmiecha się promiennie. Radość i ulga przemykające po jej twarzy są jak cios w brzuch.

– Weston – szepcze. – Tak się martwiliśmy.

Robi krok w moją stronę i otwiera szeroko ramiona. Nikt mnie tak nie wita w Królewskim Sektorze. Potem ramiona zamykają się wokół mnie. Czuję, jakby obejmował mnie duch.

– Tris – odzywam się łagodnie. – Jadłaś coś ostatnio?

– Coś czasem gdzieś skubnę. – Nie wypuszcza mnie z objęć. – Odkąd nie ma Alfreda, który mnie pilnował, czasem zapominam.

Zastygam w bezruchu. Wiedziałem, że nasza nieobecność będzie miała poważne skutki, jednak nie spodziewałem się, że zderzę się z nimi już w pierwszym domu, który odwiedzamy.

– Alfreda nie ma.

Wreszcie puszcza mnie i potakuje głową. Oczy zachodzą jej łzami.

– Wejdz – mamrocze, wskazując na pomieszczenie za sobą. Rozglądam się w poszukiwaniu czegoś, co mogłaby teraz zjeść.

– Siadaj.

Kuśtyka w stronę pokoju, trąc oczy. Siada w bujanym fotelu przy łóżku. Na stole leży piętka chleba, dlatego podaję ją jej i wieszam czajnik nad ogniem.

– Tak mi przykro – mówię cicho. Czuję, że to za mało.

To zawsze jest za mało, ale dziś czuję to silniej niż zwykle.

– Minał jakiś tydzień – odpowiada, a po twarzy spływają jej łzy. – Nie chciałam, żeby odszedł.

Przyklękam przed nią na jednym kolanie, wyciągam z torby jabłko i wciskam owoc do jej ręki. Ludzie w Dzikim dbają o siebie nawzajem, więc na pewno nie głoduje, lecz spiżarnia wygląda na pustą.

– Następnym razem postaram się przynieść więcej jedzenia.

Wszedłem w swoją rolę Westona Larka, jakbym był tu wczoraj; wypowiadam te słowa automatycznie.

Może nie być następnego razu.

Chwyta mnie za rękę.

– Zawsze byłeś takim miłym chłopcem. – Ociera łzę wierzchem dłoni. – Alfred będzie żałował, że się z tobą minął. Myślałam, że może cię złapali, ale on zawsze mówi, że masz głowę na karku. Jest z tobą młoda Tessa?

Zaraz.

– Co?

– Pytałam o Tessę. Zawsze uważałam, że czuje do ciebie miętę. Chyba nie złapał jej nocny patrol, co?

Wykręca sobie dłonie.

– Nie, ja... z Tessą wszystko w porządku. Zdawało mi się, że powiedziałaś: „Alfred będzie...”. – Urywam. – Pewnie się przesłyszałam.

Tymczasem Tris potakuje głową.

– Będzie żałował, że się z tobą minął. Bałam się, kiedy usłyszałam o schwytanych podczas wczorajszych ataków na transporty, ale Lochlan powiedział, że wszyscy z naszej wioski się odnaleźli i że Alfred nie znajdzie się w bezpośrednim niebezpieczeństwie.

Gapię się na nią.

– Alfred nie umarł?

– Co? – Mruga gwałtownie. – Mam nadzieję, że nie! – Znów wykręca dłonie. – Słyszałeś nowiny?

Nie wiem, czy mam przytępiony umysł, czy mówimy o różnych rzeczach.

– Tris – zwracam się do niej najłagodniej, jak potrafię. – Czy Alfred zmarł na gorączkę?

– Mój Boże, nie. Gdy zgodziliśmy się pomagać w napadach, Lochlan zapewniał, że Benefaktorzy dadzą nam dość lekarstwa, żeby przeżyć, i miał rację. Z jedzeniem jest kiepsko, jednak dajemy radę. Propozycja Lochlana była prawdziwym błogosławieństwem, kiedy ty i Tessa przestaliście przychodzić. Patrz. – Podaje mi mały woreczek.

Lochlan. Znam to nazwisko, tyle że nie potrafię sobie przypomnieć skąd. Biorę woreczek i pociągam za sznureczki. Na dnie leżą białe i szare płatki.

– Weź – nakazuje kobieta. – Ja mam dosyć dzięki Alfredowi.

– Wes – szepcze Tessa przez drzwi. – Nocny patrol.

– Wracaj do łóżka – mówię do Tris. Chowam woreczek z płatkami do kieszeni. – Przyjdę znów, gdy będę mógł.

Wychodzę i kryję się w cieniu z Tessą, nim biorę pełny wdech. Po słowach Tris mam mętlik w głowie. Nie potrafię sobie tego poskładać.

W niewielkiej odległości od nas, między drzewami, słychać ciężkie tupanie nocnego patrolu. Siedzimy w kucki w ciemności przy tylnej ścianie domu, przyciśnięci plecami do kamiennego komina. Zawsze trzymamy się blisko, kiedy się chowamy, ale dzisiaj bardziej niż zwykle czuję jej oddech, zapach jej skóry, to, jak jej ramię ociera się o moje.

Powinienem się odsunąć. Powinienem utrzymać twarde spojrzenie i opanować szalejące emocje. Powinienem być zostawić ją w pałacu i zrobić to sam.

Sam siebie nie potrafię przekonać. Nie wyobrażam sobie robienia tego bez niej przy moim boku.

Nie śmiem się odezwać. Szkoda, że nie potrafię przekazać jej swoich myśli.

Wybacz mi.

Proszę, Tesso.

Oddałbym wszystko.

– Ej, ty tam! – rozlega się wołanie mężczyzny. Podskakuję i wciskam Tessę za swoje plecy, przywierając do ściany domu.

Ale to nie nas odkryto. Trzech strażników z patrolu trzyma kusze wycelowane w chłopca stojącego kawałek dalej. Ma najwyżej trzynaście, czternaście lat. Nagle dociera do mnie, że go znam. Ma na imię Forrest, mieszka z rodzicami po drugiej stronie wioski. Oczy ma szeroko otwarte, policzki blade w poświacie księżyca. Jest na linii drzew, pewnie zza nich wyszedł.

Pamiętam panią Kendall płaczącą nad Gillisem i zastanawiam się, czy dziś następna matka oplakująca syna zostanie zabita w ciemności za przeklinanie na nocny patrol.

Jeden ze strażników łapie torbę przewieszoną przez ramię chłopca i zagląda do środka.

– Nie jesteś za młody na przemytnika, co, mały?

Na plecach czuję płytki oddech Tessy, a jej palce z morderczą siłą ściskają moje.

Nigdy jako Wes nie wchodziłem w drogę nocnemu patrolowi. Ryzyko zawsze było zbyt wielkie. Tessa i ja ukrywamy się i robimy, co

możemy.

Dziś stawka wydaje się zupełnie inna.

Forrest przełyka ślinę i zaczyna się jąkać.

– Nie jestem... nie jestem... nie jestem...

– Już my dobrze wiemy, kim jesteś. – Strażnik podnosi kuszę.

Drugi łapie chłopca za ramię.

Tessa gwałtownie nabiera powietrza. Forrest krzyczy.

– Nie! Tato. Pomóż mi!

Wyskakuję z naszej kryjówki.

– Przestańcie! – krzyczę. – Przestańcie!

Jeden ze strażników spogląda w moją stronę, jednak drugi się nie waha. Pociąga za spust. Rzucam się w stronę chłopca.

Forrest pada na ziemię w chwili, gdy do niego docieram. Przez sekundę boję się, że nie zdążyłem, że osłoniłem trupa. Ale czuję w ramieniu palący ból, a chłopiec próbuje złapać oddech z twarzą przy ziemi.

Ignorując ból, zrywam się na nogi, by zobaczyć przed sobą kuszę wycelowaną w moją pierś.

– Świetnie – mamrocze strażnik. – Dostanę premię za złapanie was obu.

Potem pociąga za spust.

Rozdział trzydziesty

Tessa

Wszystko dzieje się zbyt szybko. Z kamieniem w dłoni rzucam się na patrol, ale nie myślę jasno, ogarnięta paniką i przerażeniem. Podskakuję i ciskam kamieniem z całej siły. Słyszę dźwięk kuszy, potem chrzęst głazu uderzającego w głowę strażnika. Pada.

Cienie przetaczają się po mnie i nagle Corrick trzyma kuszę powalonego strażnika, sięgając po strzałę.

Nie zdąży. Jest ich trzech. Drugi już celuje, gotowy do strzału.

– Nie! – Forrest z krzykiem rusza w stronę członka patrolu i łapie go wpół.

Ten zatacza się kilka kroków w tył, jednak chłopiec jest za mały, by go powalić. Wyciąga sztylet.

– Ty parszywy gnojku! – Corrick strzela mu w twarz.

Mężczyzna pada na ziemię. Nie mogę złapać tchu.

Ale jest jeszcze jeden strażnik i właśnie załadował kuszę. Corrick też próbuje założyć kolejną strzałę, lecz jest zbyt wolny i niezdarny. Nie zdąży.

Wyciągam z buta sztylet – prezent od księcia, który wręczył mi w powozie. Wiem, gdzie najskuteczniej zaatakować sztyletem, i nie staram się być specjalnie precyzyjna. Wbijam go w szyję strażnika. Pada.

Cisza jest gwałtowna i przytłaczająca.

Forrest dyszy ciężko i szybko, spanikowany.

Ja chyba robię to samo. Palce mam lepkie od krwi.

Corrick kończy przeładowywać kuszę i wciska za pasek dwie zapasowe strzały.

– Forrest – odzywa się. Jego głos jest szokująco cichy po tym, co się właśnie wydarzyło.

Płytkie, gwałtowne oddechy chłopca zmieniły się w dłuższe, świszczące. Trzyma się za brzuch.

– Forrest – powtarza Corrick głosem chłodnym i władczym, co powinno być zaskoczeniem, jednak nie jest. Wiem, dlaczego Wes zawsze potrafił zachować spokój w obliczu przemocy. Kładzie rękę na ramieniu chłopca. – Ciała trzeba spalić. Twój tata jest w domu? Rozbierzcie ich i ukryjcie ubrania. Jeśli ktoś zwróci uwagę na dym, powiedzcie, że to ofiary gorączki.

– Pomogę mu.

Męski głos dochodzi zza naszych pleców. Corrick odwraca się na pięcie z wycelowaną kuszą.

Spomiędzy drzew wychodzi młody mężczyzna. Na widok kuszy podnosi ręce do góry. Ma na sobie płaszcz z kapturem, spod którego prawie nie widać twarzy, za to ramię ma zabandażowane, a palce sztywne i opuchnięte. Nie wygląda na wystraszonego. Raczej na kogoś, kto wiele już wycierpiał i przywykł do widoku wycelowanej w niego broni.

– Idź – zwraca się do Forresta, wskazując głową w kierunku wsi. – Przyrowadź tatę, żeby pomógł zaciągnąć ich do dołu.

Chłopiec potakuje głową i pędzi jak błyskawica. Corrick ani drgnie. Kusza jest nadal gotowa do śmiertelnego strzału.

– Jestem Lochlan – oznajmia tamten z lekkim wzruszeniem ramion. – Możesz odłożyć kuszę. Robimy to samo. – Mruży oczy. – Chyba że chciałeś ukraść torbę chłopaka?

– Nie. – Corrick nadal nie odwrócił wzroku, a jego głos jest bardzo spokojny i cichy. – Tesso. Wszystko w porządku?

Czuję, jak ogarnia mnie nagła, lodowata fala napięcia, które nieoczekiwanie wypełnia małą polanę, na której się znaleźliśmy.

– Tak.

– Tessa – mówi Lochlan leniwym, zamyślonym tonem. – Więc ty musisz być Wes?

– Pomóż Forrestowi pozbyć się ciał – nakazuje Corrick. – My mamy swój obchód do zrobienia.

Lochlan nadal trzyma ręce w górze, ale podchodzi bliżej, wpatrując się w Wesa.

– Wiele o tobie słyszałem, także to, że cię zabili.

– Jak widać nie – odpowiada Corrick. Nie opuszcza kuszy.

– Jakbym cię... skądś znał – mruczy. – Spotkaliście się kiedyś?

– Nie. – Corrick wskazuje głową w kierunku drzew. – Tesso. Idź do nas.

Nie rozumiem, co się dzieje, jednak słyszę w jego głosie niepokój. Mimo to nie chcę pozostać bezbronna. Nie mam pojęcia, jak używać kuszy, sięgam więc po sztylet. Gdy wyciągam go z szyi strażnika, wydaje przerażający, chlupoczący dźwięk.

Lochlan przygląda się moim ruchom.

– Piękny sztylet.

W jego głosie jest coś niebezpiecznego.

– Kradziony – odpowiadam szybko.

Za szybko. Jeszcze bardziej mruży oczy.

Przypominam sobie, jak księżę ostrzegał mnie w pałacu. *Nie możesz być taka prostolinijna.*

Lochlan podchodzi jeszcze bliżej. Znowu uważnie przygląda się Corrickowi.

– Tesso – naciska Corrick. – Idź. Już. Zaraz do ciebie dołączę.

Nie wiem, o co chodzi, ale nie chcę go zostawić. Serce wali mi jak oszałałe.

Jednak Lochlan robi krok w tył, odsuwając jasne włosy z twarzy. Napięcie opada.

– Proszę bardzo – rzuca. – Zostaw torbę chłopaka i nic do ciebie nie mam. – Spogląda na ciała i spluwa na nocny patrol, potem znowu odwraca się do Corricka. – Posprzątam ten bałagan.

Księżę nie rusza się z miejsca. Biorę go za ramię i dopiero wtedy dostrzegam ciemniejszy szeroki pas na jego rękawie i rozdarcie. Trafili go? Nie widzę strzały. Dostrzegam za to, że jego ręka drży, a twarz jest przesadnie blada.

– Wes – odzywam się. – Wes, chodźmy.

Przez chwilę mam wrażenie, że nie ma zamiaru iść ze mną. W końcu rusza, obchodzi Lochlana z daleka i dajemy się pochłonać ciemności i drzewom.

Corrick jest spięty i podenerwowany; co chwila ogląda się za siebie, więc trzymam się blisko i nic nie mówię. Kuszę cały czas ma gotową do wystrzału. Nigdy nie widziałam go z bronią.

Nigdy nie widziałam też, jak kogoś zabija. Nie w ten sposób. Widziałam skutki tego, co robił w Twierdzy, lecz to nie to samo. *To* co innego. Nocny patrol zabiłby tego chłopca. Zabili by też Corricka i mnie.

Przełykam ślinę, a w ustach czuję smak krwi. Nie wiem, czy przygryzłam wargę, czy to po prostu zapach unoszący się w powietrzu. Ręce nadal lepią mi się od posoki strażnika.

Staram się nie myśleć o tym, że też kogoś zabiłam.

Próbuję wyprzeć ten obraz z mojej głowy, ale on nie chce mnie opuścić. Jest zbyt mocno splątany z krzykiem chłopca wołającego ojca na pomoc. Postąpiliśmy źle? A może słusznie? Nie mam pojęcia.

Dochodzimy do małej polanki. Corrick unosi rękę na znak, że mam się zatrzymać. Jesteśmy niedaleko chaty, jednak mam dość rozumu, żeby wiedzieć, że możemy być śledzeni, dlatego stoję w kompletnej ciszy i czekam.

Mijają minuty. Przyglądam się rozdarciu na jego rękawie. Ramię jest zakrwawione, lecz nadal trzyma kuszę, zatem rana musi być powierzchowna. Mimo to trzeba ją opatrzyć, może nawet założyć temblak. Pamiętam, jak drżały mu palce, kiedy trzymał broń wyciągniętą przed siebie.

Wtedy uświadamiam sobie, że to niedorzeczne. Nie może mieć temblaku. Jak książę by to wyjaśnił?

Wszystko stało się tak szybko. *Za szybko.*

Wreszcie, całą wieczność później, Corrick skinieniem głowy daje znak, że możemy ruszać. Przecinamy polanę. Kuszę niesie teraz opuszczoną w zdrowej ręce. Księżyc oświetla jego sylwetkę – ramiona ma nieco rozluźnione, ale szczękę mocno zaciśniętą i oczy nadal pełne napięcia.

– Kto to był? – pytam łagodnym głosem, bo jest oczywiste, że Corrick już go kiedyś spotkał.

– Więzień z Twierdzy – wyjaśnia ledwie słyszalnym szeptem. – Złamałem mu nadgarstek.

Przełykam ślinę. Za każdym razem, gdy próbuję zapomnieć, kim jest, los z całych sił stara mi się o tym przypomnieć.

– Dlaczego?

– Próbował zabić konsula Sallistera. – Przerywa. – Był jednym z trzech więźniów, którzy zbiegli podczas zamieszek.

– O... – Ten dźwięk wydobywa się ze mnie sam, gdy próbuję to sobie poukładać w głowie. – I znów zajmuje się przemytem.

– Rozmawiałem z Tris. Alfred coś dla niego robi. Widzieliśmy też innych w lesie. – Corrick wzdycha ciężko. – Chciałem z nimi porozmawiać, żeby dowiedzieć się czegoś więcej.

Zastanawiam się nad tym, jak Lochlan przyglądał mi się, kiedy wyciągałam sztylet z szyi strażnika.

– Myślisz, że cię rozpoznał?

– Myślę, że był *blisko*.

– Czy to ma jakieś znaczenie? Powiedziałaś, że nikt by mi nie uwierzył, gdybym cię oskarżyła.

– Nie martwię się, że oskarżyłby mnie. – Milknie na moment i poprawia kapelusz, a potem krzywi się z bólu. – Wiesz, kim jestem, Tesso. Jeśli złapią mnie przemytnicy...

– Zabiją cię.

Chrząka.

– Nie. Chciałbym, żeby tak zrobili. Będą mnie torturować i wykorzystają przeciwko Harristanowi.

Mówi to tak po prostu, a mnie na samą myśl przeszywa dreszcz.

Nigdy o tym nie myślałam. Przypomina mi się noc, gdy „zginął”, jak powiedział, że dziwi się, że nie czekałam, żeby wydać go w ręce nocnego patrolu. Jakaś część jego naprawdę się bała. Teraz rozumiem, dlaczego był taki spięty i pełen obawy, że Lochlan mógł pójść za nami.

Corrick spogląda na mnie.

– Bardziej boję się tego, co mogliby zrobić tobie.

Przeszywa mnie dreszcz.

– Nie powinniśmy stać na otwartej przestrzeni – dodaje. – Chodźmy do chaty.

Chata jest zimna od nocnego powietrza. Na wszystkim zalega cienka warstwa kurzu. Na pewno nikt tu nie zaglądał, odkąd byliśmy tu ostatni raz. Corrick bierze ze stosu kilka kawałków drewna i jedną ręką układa je na palenisku, co wskazuje, że ramię dokucza mu bardziej, niż to okazuje. Rozpala zapalką ogień, a ja zamiatam miotłą kurz i pajęczyny. Niedługo potem wewnątrz wypełnia ciepło i blask ognia.

Wes opiera się o stół; oczy przysłania mu cień rzucany przez rondo kapelusza. Kusza stoi tuż przy nim.

To nie Wes. To Corrick.

Odchrząkuję i odwracam wzrok.

– Mam opatrzeć twoje ramię?

– Strzała tylko mnie drasnęła. Nic mi nie jest. – Rzuca na stolik mały woreczek. – Tris powiedziała, że Benefaktorzy rozprawdzają lek.

Biorę sakiewkę i wytrząsam zawartość. Na stół wysypują się szare i białe płatki, każdy długi i zakręcony, ale są też krótsze, nieco szerzej zakończone. Marszczę brwi. Kątem oka widzę, że Wes rozprostowuje ramię, jakby go bolało.

Przewracam oczami i podchodzę do niego, ignorując płatki.

– Daj spokój. Od dwudziestu minut widzę, że na to czekasz.

Bardziej rozdzieram rękaw. Strzała rozcięła bok ramienia, zdecydowanie potrzebuje szwów, jednak nie mam czym ich tu założyć.

– Zdejmij koszulę – nakazuję. – Mam trochę muślinu. Zrobię opatrunek.

Ściąga kapelusz, potem koszulę i znów widzę jego nagi tors. Znam już ten widok, lecz teraz ma na twarzy maskę i to jakby Wes się rozbierał. Przez długą niekomfortową chwilę głos więźnie mi w gardle.

Skupiam się na ranie. Przynoszę wodę z beczki na deszczówkę i delikatnie ją przemywam. Słucham jego oddechu, wdycham jego zapach w znajomym ciepłe chaty.

Ta chwila robi się zbyt intymna. Potrzebne są jakieś słowa.

– Gdzie się nauczyłeś tak strzelać? – pytam.

– Jestem bratem króla, Tesso. – Mówi to tak, jakby było to coś zabawnego.

– Zawsze unikałeś konfrontacji z nocnym patrolem.

Na te słowa prostuje się i odwraca wzrok.

– To... Teraz to co innego. – Urywa. – Poza tym nie są tu po to, by mordować ludzi na ulicach. To dlatego byłem tak wściekły na Allisandra za to, że strażnicy zmasakrowali więźniów. Wymierzam kary, to prawda, ale nie torturuję ludzi dla przyjemności. Moi

strażnicy w Twierdzy nie są okrutni. Nocne patrole też nie powinny. Forrest to jeszcze dziecko. Nie mogliby go aresztować.

– Cóż, widziałeś, co zrobili pani Kendall.

– Zaatakowała ich.

Próbuję sobie przypomnieć tamtą noc. Wszystko, co pamiętam, to jej rozpacz. Czy to ma znaczenie? Nie wiem.

Moi rodzice zaatakowali patrol. To pamiętam.

„Dla nocnego patrolu to żadna różnica”.

Ostrożnie osuszam ranę i odrywam długi pas muślinu, żeby zrobić z niego bandaż.

– Nieważne, co mówisz. Jeśli postępujesz okrutnie, ci, którzy występują w twoim imieniu, będą zachowywać się tak samo.

Spodziewam się, że zaprotestuje, przedstawi jakiś kontrargument, jednak tak się nie dzieje.

– Właśnie widziałem – mruczy, zamiast zaprzeczać.

Patrzę w jego oczy, w chłodny błękit zwrócony na mnie. W tej głębi nie ma fałszu ani podstęp.

– Ty sprawiasz, że chcę być lepszy – oświadcza nagle głosem pełnym emocji. Zastygam w bezruchu. – Sprawiasz, że chcę, żeby Weston Lark był prawdziwy, bo na mnie nigdy nie będziesz patrzeć tak, jak patrzyłaś na niego. Nie wiem, jak naprawić całe zło, które wyrządziłem, Tesso. Nawet nie wiem, czy można je naprawić. Ale chcę spróbować.

Ja też nie wiem. Cokolwiek zrobiłby jako Najwyższy Sędzia Królewski, to nie wyleczy gorączki. Nie zwiększy dostępności Księżycowego Kwiatu. Nie powstrzyma nawoływań do rewolucji. On i Harristan wyzwolili coś, czego może już nie da się zatrzymać. A może nie oni, tylko zabójstwo ich rodziców. W każdym razie dla ludu Kandali nie ma już powrotu do tego, co było wcześniej.

Lecz wtedy uświadamiam sobie, że nie chce tylko naprawić wszystkiego dla ludu Kandali. Mówi o naprawieniu wszystkiego dla *mnie*.

Zawiązuję bandaż i zatrzymuję rękę na jego bicepsie.

– Boli? – mamroczę. Mam na myśli nie tylko ranę na ramieniu.

– Bardzo.

On też nie.

Podnoszę rękę i przyciskam do jego policzka. Oddycha trochę nierówno. Czuję ciepło jego lekko szorstkiej skóry pod moją dłoń. Przesuwam kciukiem po jego ustach. Mogłabym przysiąc, że zmarł. Pociągam palcami brzeg jego maski, jak wiele razy w przeszłości.

Czekam, aż się uchyli, odwróci, ale tego nie robi. Wsuwam palce pod materiał. Podnosi się o centymetr, dwa, aż odsłania jego błękitne oczy poczerwione sadzą.

Nie przestaje na mnie spoglądać. Otwiera usta i wypuszcza powietrze.

Potem sam zdejmuję maskę do końca i oto mam przed sobą księcia Corricka w ciasnym, ciepłym wnętrzu naszej chaty.

Maska spada na stół obok kuszy. Jego pierś faluje gwałtownie, a ręce wyglądają, jakby chciał mnie dotknąć, jednak czeka. Na mnie.

Tyle razy zastanawiałam się, jak człowiek tak okrutny jak książę Corrick może jednocześnie godzinami pomagać mieszkańcom Kandali, a tymczasem od początku patrzyłam na to ze złej perspektywy. Powinnam była się zastanawiać, jak człowiek, który tak bardzo chce być dobry, życzliwy, robić to, co słuszne, potrafi chować najprawdziwszą część siebie, aby wspierać swojego brata i chronić innych ludzi.

– Cześć – mówię łagodnie – Corricku.

W jego oczach rozbłyska światło.

– Chyba jeszcze nigdy nie słyszałem, żebyś wypowiadała moje imię.

– Corrick – powtarzam. Zamyka na chwilę oczy i bierze głęboki wdech.

Znów kładę rękę na jego policzku; teraz już nie ma między nami maski. Rozchyła powieki i nagle jest bliżej. Nie wiem, czy to on się przybliżył, czy ja.

– Corrick – szepczę.

Kładzie dłoń na mojej talii, bardzo łagodnie, bardzo lekko. Druga przesuwana się w poprzek mojego policzka. Uświadamiam sobie, że mam na twarzy maskę.

Pociąga za nią delikatnie.

– Mogę?

Wstrzymuję oddech i potakuję głową.

Rozwiązuje ją wolno i delikatnie. To jest jak tortura. Jesteśmy dość blisko, bym czuła ciepło jego ciała. Supeł puszcza i maska zsuwa się z mojej twarzy.

Pochyla się i pociąga za tasiemkę, która przytrzymuje warkocz. Włosy rozsypują się po moich ramionach. Jego oddech pieści moje ucho.

– Powiedz to jeszcze raz – szepcze.

– Corrick – mrużę na wydechu. Gładzi kciukiem moją dolną wargę, a mój oddech robi się drżący.

Jest tak blisko, że moje palce czują jego nagą skórę. Dotyk rozpala we mnie ogień.

– Cory? – próbuję.

Niski pomruk wydobywa się z jego gardła.

– Na Boga, Tesso. – Mocno ściska moją talię i jego usta odnajdują moje.

Jego dotyk był tak wolny i ostrożny. Spodziewałam się, że pocałunek będzie taki sam, lecz jego usta są pewne i zdecydowane. Kiedy rozchyłam wargi, jego język drażni się z moim. Wzdycham, a nasze oddechy stają się jednym. Smakuje cynamonem i cukrem. Przesuwam dłońmi po jego piersi, odkrywam szerokie ramiona, zakrzywienie karku, mięśnie ramion. Spodziewam się po sobie wahania, jak wtedy, gdy prawie pocałował mnie w pałacu, ale nie przychodzi.

Teraz jest inaczej. To nasza przestrzeń. Nie jest Wesem, bo Wes nigdy nie istniał. Nie naprawdę. Jest Corrickiem. *Zawsze* nim był. Wszystko, co razem robiliśmy, jest częścią tego, kim jest.

Bez ostrzeżenia mocniej ściska mnie w talii, unosi i sadza na stole. Staje między moimi nogami, zaplątany w moją spódnicę, a jego usta znów opadają na moje.

Teraz jest bliżej, ręce ma bardziej swobodne. Poznaje ciepło jego pasa, mięśnie pleców. Jego usta wędrują wzdłuż mojej szczęki – przygryza lekko delikatną skórę za moim uchem, na szyi. Każde zakończenie nerwowe w moim ciele płonie, przez co chcę czuć go bliżej. Zsuwam ręce w dół jego bioder, gdzie skóra jest delikatniejsza niż jedwab.

Jego dłoń odnajduje moje kolano i wędruje w górę zewnętrznej strony uda. Biorę wdech i przyciągam go bliżej. Z pomrukiem wtula

twarz w moją szyję. Nasze biodra się spotykają. Wtulam się w niego, wbijam palce w jego skórę. Dłoń przesuwam się dalej po moim udzie, aż widzę gwiazdy i przeszywa mnie dreszcz. Następny pocałunek jest wolny i pewny. Jednym ramieniem obejmuje mnie tak mocno, że czuję bicie jego serca.

– Tesso – szepcze, a moje imię w jego ustach brzmi jak błaganie. – Och, Tesso.

– Powiedz to jeszcze raz – przedrzeźniam go i czuję jego uśmiech na swoich ustach.

Nocną ciszę rozdziera alarm w Sektorze Królewskim. Zamieram. I Corrick też.

Oddycha nierówno. Muszę zamknąć oczy.

– Złapali kogoś – mamroczę.

Kogoś, kim będzie musiał się zająć. Może będzie musiał skazać na śmierć. Przyciskam ręce do piersi.

Po chwili na nadgarstkach czuję delikatne palce Corricka. Muska ustami moją skroń.

Wzdycha. Ja wzdycham.

– Musimy dokończyć nasz obchód – oznajmia. Zakłada z powrotem koszulę. – Pójdziemy do Artis i zobaczymy, czego uda nam się dowiedzieć do świtu.

A potem będzie musiał wrócić. Będzie musiał być Najwyższym Sędzią Królewskim.

Nie muszę tego mówić. On też to wie. Łagodne spojrzenie zniknęło, teraz patrzy na mnie chłodnym wzrokiem księcia.

Zdejmuje mnie ze stołu i stawia na podłodze. Przyciąga do ust moją dłoń i całuje. Potem zawiązuje sobie maskę.

– Ty też – mówi.

Zaplatam warkocz, starając się nie zwracać uwagi na ściśnięte gardło. Palce mi drżą i nie chcą robić, co należy.

Chyba to widzi, bo bierze końce maski i delikatnie ją zawiązuje.

– Miałaś rację – mruczy. – Powinienem być cię od razu posłuchać. To my powinniśmy stać na czele rewolucji.

Otwieram szeroko oczy.

– Jako wyjęci spod prawa?

– Nie, jako księżę Corrick i jego genialna zielarka. Weston Lark nie może wyjść z cienia. – Urywa. – Najwyższy Sędzia Królewski tak.

Serce mi podskakuje.

– Nie martw się – dodaje delikatnie. – Będę lepszy. – Potem składa na moich ustach ostatni pocałunek. – Wrócimy do tego później – zapowiada szorstkim, zachrypniętym głosem, od którego dostaję gęsiej skórki. Gdy rusza w stronę drzwi, przeszywa mnie dreszcz.

Kiedy je otwiera, przed nami stoi Lochlan z ośmioma towarzyszami za plecami i kuszą wymierzoną prosto w Corricka.

Rozdział trzydziesty pierwszy

Corrick

Wiedziałem, że powinienem był go zabić, gdy była ku temu sposobność.

Gdybym był sam, walczyłbym, próbował uciec. Mam sztylet i moją kotwicę. Mógłbym ugodzić Lochlana w brzuch i uciec do lasu, w mgnieniu oka byłbym po drugiej stronie muru.

Tyle że nie jestem sam. Tessa obok mnie przysuwa się bliżej, oddycha szybko i płytko. To niesprawiedliwe, że los wreszcie zaprowadził ją w moje ramiona, by zaraz potem postawić pod drzwiami tego głupca.

Spoglądam na kuszę, później znów na twarz Lochlana.

– Mówiłeś, że nic do mnie nie masz.

– Nie mam nic do gościa o miękkim sercu imieniem Wes. Za to mam małe „ale” do Najwyższego Sędziego Królewskiego, księcia Corricka.

– To tak jak ja – rzucam lekko.

Chrząka, zerkając to na mnie, to na Tessę.

– Wiedziałem, że już gdzieś słyszałem twój głos. Trochę mi to zajęło, jednak ten sztylet był po prostu zbyt wyszukany. Musiał pochodzić z pałacu. – Jego twarz ciemnieje. – Udajesz, że ktoś pomaga twoim poddanym? Jesteś jeszcze gorszy, niż myślałem.

Ignoruję go i zwracam się do jego towarzyszy:

– Znacie mnie. Znacie nas. Opuśćcie broń i odejdźcie.

Mężczyźni wymieniają między sobą spojrzenia. Lochlan wie, kim jestem, lecz czuję w powietrzu ich niepewność. Od kilku lat znają Wesa i Tessę. Rozlega się grzmot i zaczyna padać deszcz.

Lochlan trzyma kuszę wycelowaną w moją pierś, ale patrzy na Tessę.

– Kto to jest?

– To Wes. – Tessa nie potrafi kłamać. Jej głos jest lekko zachrypnięty, bojaźliwy. – Weston Lark.

– Mów prawdę albo go zabiję.

– To jest Wes! Przysięgam, to Wes!

– Jesteś kłamczuchą i nic nie znaczysz. – Odwraca kuszę w jej stronę.

– Nie! – wrzeszczę. Bez namysłu blokuję jego ruch. Choć ma niesprawną rękę, okazuje się silniejszy, niż sądziłem. Tarzamy się na mokrej ściółce, walcząc o kontrolę, aż rozlega się krzyk Tessy.

Tej chwili dekoncentracji potrzebował Lochlan. Chwyta kuszę i przyciska do mojej piersi.

– Zabiją ją – mówi. – A teraz mów prawdę.

Ogarnia mnie wściekłość. Próbuję go z siebie zrzucić, jednak ma mnie na widelcu. Gdzieś z tyłu słyszę pisk Tessy i dźwięk ciosu.

– Dobra! – ryczę. – Jestem ksiązę Corricket – cedzę przez zęby. – Najwyższy Sędzia Królewski.

– Nie – słyszę stłumiony krzyk dziewczyny. Zastanawiam się, czy jej nie duszą. Wtedy znów rozlega się jej głos. – Nie, Corricku.

Znów wypowiada moje imię, lecz tym razem łamie mi serce.

– Poddaj się – syczy Lochlan. Widzę w jego oczach obietnicę wszystkiego, co jej zrobią, jeśli odmówię.

Podnoszę ręce, gotów zapłacić każdą cenę.

– Poddaję się.

Prowadzą nas przez las, tym razem na wschód, czyli nie do wioski, gdzie wpadliśmy na Lochlana. Ręce mam związane tak mocno, że palce mi drętwieją, mimo że staram się nimi ruszać i choć trochę poluzować więzy. Grot strzały co chwila uderza mnie w plecy. Nie wiem, czy celowo. Powstrzymuję się przez jakimkolwiek protestem, bo gdzieś za mną prowadzą Tessę, a Lochlan dał mi jasno do zrozumienia, że jeśli nie będę robił tego, co każą, odegrają się na niej.

To on dźga mnie kuszą.

Deszcz pada monotonicznie. Mokra droga jest śliska i trudna do przejścia, zwłaszcza po ciemku. Zwłaszcza ze związanymi rękami.

Serce wali mi jak oszalałe, pompując w moje żyły gniew i strach. Modłę się, żebyśmy natrafili na nocny patrol. Choć może to byłoby jeszcze gorsze. Teraz nie wyglądam jak księżę Corrick, w dodatku nie znam każdego strażnika patrolującego Kandalę. Zastrzeliliby tego chłopca w wiosce. Na pewno zastrzeliliby i mnie za podszywanie się pod brata króla.

A nawet gdyby mi uwierzyli, znalezienie mnie wśród przemytników trudno byłoby wytłumaczyć.

Nawet nie wiem, skąd taka myśl przyszła mi do głowy. Wiem, co ludzie tacy jak Lochlan ze mną zrobią.

– Chyba nie spodziewasz się wziąć za mnie okupu? – rzucam. – Harristan nie ulegnie żadnym żądaniom.

– Nie interesuje mnie okup. – Tym razem trąca mnie kuszą tak mocno, że aż się potykam i omal nie upadam.

Deszcz pada coraz mocniej, wywołując dreszcze wbrew mojej woli. Próbuję nasłuchiwać Tessy prowadzonej z tyłu, ale szum wśród drzew zagłusza wszystko inne. Spoglądam w niebo – jest czarne od chmur. Do wschodu słońca ciągle daleko, jednak raczej nie wrócę dziś po linie do swojej komnaty.

Mam nadzieję, że Quint pójdzie zawczasu do siebie. Mam nadzieję, że nic nie powie. Mam nadzieję, że Harristan nie ugnie się pod żadnym żądaniem tego człowieka.

Mam nadzieję, że wypuszczą Tessę.

Mam nadzieję. Mam nadzieję.

Mój ojciec powiedział kiedyś, że nadzieja to potężna broń, lecz staje się bezwartościowa, jeśli nie poprze się jej działaniem. Jeśli Lochlan nie chce pieniędzy, to czego? Ułaskawienia? Musi wiedzieć, że na to nie może liczyć.

– Powiedz, czego chcesz – cedzę przez zęby.

– Chcę, żebyś się zamknął.

– Nie wytargujesz nic u króla bez mojego udziału.

Uderza mnie kuszą dokładnie między łopatki, przez co potykam się i ląduję twarzą w błocie z taką siłą, że aż szczeka mi trzeszczy. Obracam się na bok, ale już stoi nade mną z wycelowaną bronią.

– Jedyne, czego *chcę*, to żeby Najwyższy Sędzia Królewski przestał skazywać ludzi na śmierć. – Patrzy na mnie z wściekłością. – Więc chyba jednak dostanę to, czego chcę.

– Corrick! – Tessa woła mnie przerażona gdzieś z ciemności. – Corrick, nic ci nie jest?

Wypluwam krew.

– Nie, wszystko doskonale, dziękuję.

Lochlan wymierza mi kopniaka w brzuch. Nawet nie zauważam, że ma taki zamiar. Zresztą to bez różnicy. Jego ciężki but wbija się w mój brzuch i nagle zaczynam się krztusić. Przed oczami widzę gwiazdy. Nawet nie zdaję sobie sprawy, że Lochlan podniósł mnie za koszulę, póki znów nie rzuca mnie na ziemię. Leżę w deszczu, a w ustach czuję krew.

Przytrzymuje mnie; w jego oczach płonie gniew.

– Powinienem cię zabić od razu, tu i teraz – mówi głosem niskim i okrutnym.

– Powinienem był cię zabić, kiedy zaatakowałeś konsula. – Moje spojrzenie zapewne wypełnia każda brutalna obietnica, jaka przyjdzie mi do głowy. – Powinienem był cię zabić na podeście, na oczach tłumu. Powinienem był cię zabić godzinę temu we wsi.

Spodziewam się, że cofnie się i pociągnie za spust albo może znów kopnie, ale tego nie robi. Mruży oczy.

– Więc dlaczego tego nie zrobiłeś?

Bo nie chcę być zabójcą.

Nie mówię tego. Chyba nie muszę.

– Hej – odzywa się jeden z jego towarzyszy. – Lochlan. Co robimy?

Lochlan wiesza kuszę na ramieniu, a następnie chwytając mnie za dłoń swoją zdrową ręką.

– Wstawaj – nakazuje. – Idź.

Wstaję. Idę.

W szamotaninie zgubiłem kapelusz; pół twarzy mam umazane w błocie. Musiałem się o coś zranić, bo każda kropla deszczu padająca na mój policzek wywołuje pieczenie. Maskę trochę się przekrzywiła, ograniczając moje pole widzenia. To wystarczy, by jeszcze bardziej mnie pognębić, gdy wszystko i tak jest beznadziejne.

– Puść Tessę – mruczę.

– Powiedziałem, żebyś się zamknął.

– Na pewno chcesz czegoś od Harristana – ciągnę. – Jeśli ją puścisz, wstawię się za tobą.

– To właśnie wasz problem. Wszystkich w tym sektorze – komentuje szyderczo. – Myślicie, że chodzi tylko o pieniądze. Myślicie, że chodzi tylko o to, co możecie dostać.

– Za to ty – burczę – jesteś przemytnikiem.

– Nie miałem wyboru. Nikt z nas nie ma, jeśli chcemy przetrwać.

– Aha, czyli napadasz na transporty z dobroci serca. Srebro nie ma tu nic do rzeczy?

Znów dostaję kuszą w plecy.

– *Zamknij się* – mówi chrapliwie.

– Nieważne, co mi zrobisz – stwierdzam. – Zrabowałeś zbyt wiele transportów. Wystraszyłeś konsulów. Zaatakowałeś Sektor Królewski. Wstrzymają dostawy Księżycowego Kwiatu i nie będziesz miał nic.

– Będę miał więcej, niż potrzebuję. Wszyscy będziemy.

W jego głosie jest pewność, która mnie zatrzymuje w miejscu. Kto to finansuje? Kto daje lek i srebro w takiej ilości, że ludzie są skłonni ryzykować życie?

Czy może są już tak zdesperowani, że nie mają wyboru?

Myślę o pozostałych idących z tyłu. To nie są wybitni strategowie, nawet Lochlan. Gdyby był, miałby plan, jak mnie wykorzystać, by wymusić coś na Harristanie. Użyłby Tessy, żeby zmusić mnie. Przesłuchiwałem Lochlana kilka tygodni temu, kiedy go pierwszy raz schwytano. Nie miałem wrażenia, że są dobrze zorganizowani.

Szczerze mówiąc, nadal tak nie myślę.

To znaczy, że prowadzi mnie do kogoś. Do kogoś, kto to planuje. Finansuje.

Kogoś, kto będzie wiedział, jak mnie wykorzystać. Nawet jeśli to któryś z konsulów, będą wiedzieli, jak wykorzystać tę przewagę.

Ta myśl powinna mnie niepokoić, ale działa przeciwnie.

– Kim są Benefaktorzy? – wypalam. – Co ci obiecali?

– Nikt nie musi mi za to płacić.

Nawet przez chwilę mu nie wierzę. Próbuję się zastanawiać, kto może stać za tym wszystkim. Płacenie srebrem i lekiem kosztuje. Niewielu konsulów byłoby na to stać. Jonas był zdesperowany, żeby dostać srebro na swój drogocenny most, więc jakoś nie widzę, żeby wydawał pieniądze na finansowanie buntowników. Leander Craft jest konsulem Stalowego Miasta, jednak zawsze był raczej

konserwatywnym politykiem i nigdy nie przeciwstawiał się Harristanowi. Nie podobają mu się zamieszki, zwłaszcza że jego stalownie i fabryki zaopatrują niemal cały kraj. Ma pieniądze, ale... to po prostu do niego nie pasuje. Szczerze mówiąc, jedynymi, którzy mają fundusze i możliwości, by finansować napady, są Allisander Sallister albo Lissa Marpetta, którzy najbardziej naciskali na mnie w sprawie powstrzymania ataków.

Tyle że od tygodni widzieliśmy z Harristanem, jak dwoje konsulów, których nigdy nie podejrzewalibyśmy o spisek, blisko ze sobą współpracuje.

Konsulów, którzy właśnie prosili o dodatkowe pieniądze.

Roydan i Arella.

Ale... dlaczego? Uderzenie w Allisandra jest uderzeniem w nas wszystkich. Na pewno nie mogą aż tak bardzo go nienawidzić. Nikt nie może nienawidzić go bardziej niż ja, lecz mimo to udaje mi się nad tą nienawiścią panować i nie doprowadzić do odcięcia całego kraju od dostaw leku.

Nocną ciszę przesywa gwizd. Między drzewami migoczą latarnie. Nie wiem, gdzie jesteśmy, choć na pewno nadal w Dzikim.

– To Lochlan – krzyczy mój porywacz. – Mamy dla was prezent.

Uderza mnie kuszą w plecy. Potykając się, ruszam naprzód. Wchodzę na polanę, na której stoją porozstawiane namioty i byle jak sklecone przybudówki. Są ich tu dziesiątki, jeśli nie setki. Na deszcz zaczynają wychodzić ludzie, niektórzy z latarniami, niektórzy tylko z kijami czy siekierami, łopatami i miotłami. Są brudni i zmęczeni, jednak z tego, co widzę, nikt nie kaszle. Nikt nie jest chory. Wiele, *bardzo wiele* z tych twarzy znam.

– To Wes! – woła mała dziewczynka, Abigale. – To Wes i Tessa! Żyją!

Jej mama bierze ją na ręce i ucisza.

Coraz więcej ludzi wychodzi z namiotów i schronów, aż jesteśmy otoczeni.

Nie widzę Roydana ani Arelli.

– *Mamy dla was prezent.*

Tessę pchnięto do przodu i ustawiono obok mnie. Słyszę jej drżący oddech.

– Nic ci nie jest? – szepczę. – Tesso, nic ci nie jest?

Jej oczy wpatrują się we mnie spod maski, tak przemoczonej, jak jej włosy i ubranie, lecz na szczęście nie widzę żadnych ran.

– Nie, nic mi nie jest.

Lochlan podchodzi do mnie i zdiera mi maskę razem z krwią i kępką włosów. Jeden z jego towarzyszy odsłania twarz Tessy, choć nie tak brutalnie.

– Przepraszam, panienko Tesso – mamrocze głosem cichym i pełnym żalu.

– W porządku – odpowiada, ale się myli. Nic nie jest w porządku.

Serce dudni mi w piersi. Lochlan patrzy na mnie z wściekłością. W nim nie ma ani cienia żalu.

– Powiedz, czego chcesz – zwracam się do niego.

Pluje mi w twarz.

Mam swoje granice. Ruszam w przód i uderzam głową w jego czoło.

Zatacza się w tył. Ktoś łapie mnie za ramię.

– Corrick, nie! – woła Tessa.

Przez tłum przemyka szmer.

Lochlan odzyskuje równowagę i nie traci czasu. Rzuca się w moim kierunku i uderza prosto w brzuch.

Ręce mam nadal związane, więc nie mogę w żaden sposób obronić się przed ciosem. Kolana się pode mną uginają, jednak ktoś cały czas trzyma mnie za ramię i tylko dlatego utrzymuję się na nogach. Nie mogę złapać tchu. Drzewa wokół wirują.

– Proszę – błaga Tessa. – Proszę, przestań. Proszę.

– Słyszeliście ją – Lochlan wrzeszczy do tłumu. – Słyszeliście jego imię. Wiecie, kim jest.

Szmer zamienia się w nerwowe pomruki.

– Oszukiwał was – krzyczy Lochlan. – Udawał, że wam pomaga, wykorzystując wasze zaufanie, żeby więcej z was skazać na śmierć.

– Nie – dukam z trudem. – Nie.

– Nie! – woła przez łzy Tessa.

Lochlan znów mnie uderza. Mógłbym przysiąc, że słyszę chrzęst łamanego żebra. Nie mam świadomości, że upadam, dopóki nie ląduję twarzą w zamkniętych liściach. Odchrząkuję i czuję w ustach krew.

– Komu nocny patrol kogoś zabił? – drze się Lochlan. – Kto stracił kogoś w Twierdzy?

Z tłumu dobiega kilka okrzyków. Porywacz kopie mnie w ramię.

Ale ze mnie głupiec. Byłem pewien, że to część jakiegoś dobrze przemyślanego planu. Byłem pewien, że będą czegoś chcieli od Harristana. Ode mnie.

I chcę, tyle że nie spodoba mi się, gdy będą to brali.

– Puść ją – cedzę przez zęby. – Proszę, Lochlan. Nie miała o niczym pojęcia.

– Nie miała pojęcia! – powtarza. – Czy ktokolwiek z was w to wierzy? Wierzycie, że jest niewinna? Robili to razem od lat.

– Żeby pomóc! – krzyczy z płaczem Tessa. – Żeby pomóc!

– On jest Najwyższym Sędzią Królewskim – ryczy Lochlan. – Wszyscy słyszeliście, co robił, prawda? Co robił ludziom, których kochaliście, na którym wam zależało.

– Tak! – odwrzaskują w odpowiedzi. Polana wydaje się jaśniejsza.

Tłum jest już jego.

Zamykam oczy. Może tak powinno być. Może na to zasłużyłem.

– Wiecie, co zrobił – nawołuje dalej Lochlan. – Więc niech sam posmakuje sprawiedliwości, jaką sam wymierzał.

Tłum szaleje. Nadchodzi ból.

Rozdział trzydziesty drugi

Tessa

Kiedy tłum rusza naprzód, jestem pewna, że zaatakują nas oboje, ale ich celem jest Corrick, tylko Corrick. Mam związane ręce, zdrętwiałe kciuki, w dodatku ktoś trzyma mnie za ramię, żebym stała prosto. Gardło mnie piecze, nie wiem, jak długo krzyczałam. Uszy bołą mnie od całego tego wrzasku. Nie widzę go. Zbyt wiele ciał jest między nami. Za to ich słyszę. Słyszę dźwięki ciosów i kopnięć. Słyszę ludzi nawołujących do okrucieństwa.

To gorsze niż zamieszki przed bramą. Niż egzekucja.

Czy to dlatego, że to Corrick? Czy to dlatego, że go znam? Czy to czyni mnie słabą?

Tydzień temu, gdyby książę leżał na ziemi u moich stóp, pewnie przyłączyłabym się do rozszalałego tłumu.

A teraz nie mam jak mu pomóc. Błaganie nie pomogło. Krzyki nie pomogły. Wiedzą, co robią.

W tłumie dostrzegam kobietę. Nazywa się Bree. Ma pięciu synów, zaden nie ma jeszcze dziesięciu lat. Bała się brać od nas lek, aż na gorączkę zmarł jej mąż, a następnego dnia jeden z chłopców zaczął kaszleć.

Jest za kilkoma mężczyznami, z zaciśniętymi pięściami, oczami zamglonymi gniewem i strachem.

– Bree! – wołam w desperacji. Spogląda na mnie zaskoczona, potem odwraca wzrok. Mimo to wołam jeszcze raz: – Bree! Przerwij to. Wes ci pomógł. *Książę Corrick* ci pomógł. Twoi synowie bawili się z nim na podwórku. Po śmierci Davida błagałaś nas o lek i przynieśliśmy ci go.

Znów na mnie patrzy. Przestaje przepychać się do przodu.

– Zrobił, co mógł – wołam. Rozglądam się za innymi znajomymi twarzami. – Niall. Niall, przestań. Posłuchaj. Gdy ubiegłej zimy

złamałeś rękę, Wes przez dwie godziny rąbał dla ciebie drewno po ciemku, bo zbliżała się burza. To *książę Corrick* to zrobił.

Waha się, zerkając mi w oczy.

Rozglądam się za kimś jeszcze.

– Percy Rose! Percy! Pamiętasz, jak twoja żona kaszlała całą noc, a ja i Wes siedzieliśmy z tobą, aż jej przeszło? To był *książę Corrick*.

Wpatruję się w tłum.

– Yvette! Bałaś się, że nie dożyjesz do dnia ślubu. Dzięki mnie i Wesowi brałaś lekarstwo codziennie. To *książę Corrick* to zrobił. A teraz oczekujesz dziecka!

Nie wiem, czy krzyki przycichły. Nie wiem, czy to ma jakieś znaczenie. Ale dalej szukam. Dalej błagam. A łzy płyną.

– Zafra! *Książę Corrick* przynosił ci kwadratowe kawałki materiału na twoje zimowe kołdry. Norman! *Książę Corrick* dawał ci dodatkową dawkę dla twojej ukochanej w Artis. Warley! *Książę Corrick* pomógł ci naprawić drzwi, kiedy zawiasy przerdzewiały.

– Tatku! – rozlega się dziecięcy głosik. – Tatku, on powstrzymał nocny patrol.

Forrest. Chłopiec, któremu ocaliliśmy życie kilka godzin temu. Mam ściśnięte gardło.

Jego ojciec, Earle, jest krzepkim pracownikiem kuźni; wypatrzyłam go w tłumie. Chwyta za ramię mężczyznę, który właśnie szykował się do wymierzenia ciosu. Jest wystarczający duży, by przedrzeć się przez tłum i poodpychać ich na boki. Ma potężniejszy głos niż ja. Donośniejszy.

– Uratował mojego syna – oznajmia poważnym tonem. – I uratował wielu z was. Oboje uratowali.

Wrzaski cichną. Pada drobniejszy deszcz. Wszyscy są umazani błotem i dyszą ciężko.

I wpatrują się we mnie.

Nie jestem w stanie szukać wzrokiem Corricka. Za bardzo boję się tego, co mogę zobaczyć. Jest ich tak wielu, a on tylko jeden.

Staram się opanować nerwy.

– Wiem. – Głos mi się łamie, zatem robię wdech i zaczynam jeszcze raz. – Wiem, że *książę Corrick* zrobił wiele okropnych rzeczy, jednak zrobił także wiele dobrego. Ryzykował bardzo wiele, by wam pomóc. Wszystkim. On nie jest strasznym człowiekiem. To gorączka

jest straszna. Sytuacja jest straszna. To... – Muszę zaczerpnąć powietrza. – To... co teraz robicie... jest straszne. Pomagał wam. Ja wam pomagałam. Proszę, przestańcie. Proszę.

– Rozwiążcie ją – mówi jakiś głos. Ku mojemu zdziwieniu należy do Lochlana.

Nóż muska moją skórę i sznur opada. Nikt nie trzyma mnie za ramię.

Nie chcę patrzeć. Ale muszę.

Ludzie się rozstępują, jakby kierowani moim wzrokiem. I oto jest – kupka czegoś na ziemi. Ciemna, w podartym ubraniu. Krew na poblądłej skórze wygląda przerażająco. Połowę twarzy zakrywa błoto, czerwień i siniaki. Wzdłuż grzbietu nosa biegnie rana, o włos mija oko, i kończy się rozcięciem na łuku brwiowym. Krew posklejała rzęsy. Nie wyobrażałam sobie, że mógłby wyglądać gorzej, niż gdy go znalazłam w Twierdzy, lecz się myliłam.

Chwiejnym krokiem podchodzę do niego i klękam w błocie.

– Corrick. *Corrick*.

Nie rusza się. Oczy ma zamknięte, ale oddycha – dzięki Bogu. Oddech jest świszczący, ciężki. Jego ciało jest zgięte wpół, wykręcone w tak dziwny sposób, że boję się, czy nie ma złamanego kręgosłupa. Ręce ma nadal związane, nadgarstki poranione i krwawiące. Palce sine. Wstrząsają nim dreszcze.

– Rozwiążcie go – wołam. – Proszę, niech ktoś...

– Trzymaj. – Earle przyklęka koło mnie na jednym kolanie z nożem w dłoni. Kiedy rozcina sznur na nadgarstkach, ramię bezwładnie opada na ziemię z dźwiękiem, od którego robi mi się niedobrze. Kładę dłoń na jego policzku. Palce mi drżą.

– Corrick. Słyszysz mnie? Otwórz oczy.

Powieki mu drżą. Wydaje z siebie niski dźwięk, jednak nie otwiera oczu i nie rusza się.

Nie wiem, co robić. Zaczynam oddychać nierówno. Spoglądam na twarze – większość znam, pozostałych nie. Niektórzy nadal trzymają broń. Spora część wygląda na zmieszanych, inni na przepełnionych żalem. Niektórzy są zawstydzeni. Niektórzy mają wątpliwości.

Niektórzy, w tym Lochan, są cyniczni. To powstrzymuje mnie przed proszeniem o pomoc. Nie chcę dać nikomu pretekstu, by znów zaczęli go bić.

Nie mogę go zanieść z powrotem do pałacu na plecach. W ogóle nie mogę go zanieść z powrotem do pałacu. Nie w tym stanie.

Earle rozgląda się po tłumie.

– Percy. Pomóż mi go przenieść. – Zerka na mnie. – Mamy tu dziewczynę, która potrafi opatrywać rany.

Mówią to tak, jakby Corrick miał parę zadrapań, a nie był pobity do nieprzytomności, mimo to potakuję głową.

Podnoszą go ostrożnie – jestem cały czas blisko. Serce wali mi z niepokoju, że tłum jednak zmieni zdanie. Po lewej stronie młoda kobieta przepycha się w naszą stronę, potrącając kogoś co chwila. Podnoszę ręce do góry, myśląc, że chce zaatakować, i wtedy rozpoznaję moją przyjaciółkę.

– Karri? – Szok jest tak wielki, że zagłusza nawet panikę.

– Tessa! Och, Tessa! – Rzuca mi się na szyję, a potem równie zniecierpliwiona odsuwa się na wyciągnięcie ręki. Jej ciemnobrązowe oczy uważnie mi się przyglądają. Nie mam pojęcia, co widzi.

Mężczyźni ruszają z Corrickiem. Lochlan idzie za nimi.

– Karri – dukam łamiącym się głosem. – Karri, ja... ja... ja...

– Chodź – mówi, opierając moją dłoń na swoim ramieniu i ciągnąc za sobą. – Mam tu parę rzeczy. Zobaczymy, co się da zrobić.

Mój umysł odmawia przetwarzania tych informacji.

– Czekaj, czy ty...

– Czy współpracuję z buntownikami? Tak. – Znow mi się przygląda, a jej oczy są tak uważne i jasne jak wtedy, gdy pracowałyśmy naprzeciw siebie u pani Solomon. Zerka na mężczyzn niosących Corricka, potem znow na mnie. – Tak jak ty.

Kręgosłup Corricka jest cały, lecz ma zwichnięte ramię. Karri i Earle nastawiają je. Zabieg jest na tyle bolesny, że Corrick odzyskuje przytomność, by krzyknąć i próbować ich odpychać. Ale rany dają o sobie znać, bo szybko znow traci przytomność. Jesteśmy w małej przybudówce na skraju obozu, niewiele większej niż chata, jednak pali się ogień, jest ciepło i sucho. Przy ścianie stoi małe łóżko, gdzie Earle kładzie Corricka.

Książę się nie rusza.

Stoję przy nim, z ręką tuż przy jego twarzy, nie wiedząc, czy mogę go dotknąć. Jest siny. Oddech ma zbyt szybki, zbyt nierówny. Nie chcę sprawiać mu dodatkowego bólu. Muszę cały czas patrzeć na

Corricka, ponieważ przy drzwiach stoi Lochlan i jeśli spojrzę na niego, rozerwę go na strzępy gołymi rękami.

Kilka godzin temu Corrick obiecywał, że stanie się lepszy, a teraz to ja chcę być tą okrutną.

– Masz – odzywa się Karri. Przyniosła czajnik, niski garnek i kilka kawałków muślinu.

Zanurzam jeden w wodzie i dotykam brwi Corricka, gdzie błoto i krew zastygły w skorupę. Wzdryga się i gwałtownie wciąga powietrze, mrugając przez chwilę, nim jego powieki ponownie opadają.

– Csiii – szepczę łagodnie. – To ja. To ja.

Potakuje głową, bardzo delikatnie, ale z wielkim zaufaniem. Tym razem, gdy dotykam rany, nie porusza się.

– Trzeba to zszyć – słyszę za plecami głos Karri.

Wiem. Sama to widzę.

– Mogę to zrobić teraz – dodaje – kiedy jest ledwie przytomny.

Corrick odrobinę otwiera oczy, spogląda w moje i znów je zamyka.

– Ja to zrobię – odpowiadam. – Masz igłę?

Wiele razy szyłam rany, jednak teraz jest inaczej. Nie mogę ufać ludziom, którzy są tu ze mną. Choć wiem, że Earle i Karri naprawdę próbują pomóc, Lochlan nie wyszedł i nie mam pojęcia, kto jeszcze może czekać za drzwiami. Skupiam się na nawlekaniu igły, słuchaniu oddechu Corricka.

Karri stoi koło mnie. Bierze kawałki muślinu, żeby oczyścić mniej poważne rany.

– Więc to on jest ojcem? – zagaduje szeptem.

Omam nie upuszczam igły.

– Co?

Spogląda na mój brzuch i z powrotem na mnie.

– Och! – Zupełnie zapomniałam o tej historyjce, którą wcisnęłam jej i pani Solomon. – Nie, to... nie. Nie jestem w ciąży. I nie byłam. – Zawiązuję supełek na nitce. – Zaaranżował to tak, żebym myślała, że go złapali i zabili. Nie wiedziałam, że jest księciem. Dla mnie zawsze był Wesem.

– Jak dla nas wszystkich – wtrąca Earle.

– Dla wielu ludzi był też Krwawym Corrickiem – oświadcza Lochlan.

Patrzę na niego.

– Zamknij gębę, bo ci ją zaszyję.

Nie wygląda na wystraszonego.

– Proszę bardzo, spróbuj, mała.

– Przestań – burczy Karri. Zerka w stronę drzwi, gdzie stoi Lochlan, a potem przykłada wilgotny kawałek materiału do policzka Corricka, wycierając błoto z drobnych rozcięć.

– Od jak dawna z nimi współpracujesz? – pytam cicho.

Nie patrzy na mnie.

– Od kilku tygodni.

– Karri!

Wzrusza ramionami.

– Po zamieszkach moi rodzice dowiedzieli się, że można dostać dość leku dla całej rodziny. – Spogląda mi w oczy. – My zawsze mieliśmy sporo lekarstwa, ale... nasza sąsiadka złamała nogę i nie mogła pracować. Bardzo pomagała mojej mamie, gdy byliśmy mali. Jest dla mnie jak babcia. – Odwraca się do swojej pracy, moczy materiał i zabiera się za rany na nadgarstkach. – Moi rodzice nigdy nie byli buntownikami, nigdy nie powiedzieli jednego złego słowa o królu, za bardzo się bali, by coś zrobić. Z kolei ja... najwyraźniej byłaś zakochana w buntowniku, a jesteś jedną z najłagodniejszych osób, jakie znam, więc pomyślałam, że też spróbuję jakoś pomóc. No i jestem tutaj.

Znów intensywnie mi się przygląda.

– Ciągle słyszałam o Wesie i Tessie, że zniknęli. Wszyscy myśleli, że zostali złapani przez nocny patrol. Byłaś taka smutna u pani Solomon. Zaczęłam się zastanawiać, czy to nie Wes był mężczyzną, o którym nie chciałaś pisać słowa.

– Och, Karri, przepraszam, ja... – Przełykam ślinę. Powiedziałabym jej. Powinnam była jej powiedzieć.

– Nie jestem jak moi rodzice – oznajmia. Bardzo ostrożnie oczyszcza kolejną ranę. – Potrzebowałam trochę czasu, żeby to zrozumieć. – Wskazuje głową na igłę w mojej dłoni. – Dokończ, nim się obudzi.

Przenoszę wzrok na Corricka. Ma zamknięte oczy, oddycha nieco wolniej. Nie chcę sprawiać mu bólu.

Karri wbija we mnie spojrzenie.

– Ja to mogę zrobić – proponuje łagodnie.

– Nie, w porządku. – Palcami przyciskam brzegi rany do siebie. Corrick się nie rusza, nawet kiedy przykładam igłę do skóry. Przygryzam wargę i wbijam ją, wywołując nowe krwawienie. Szybko robię pętelkę i zawiązuję nitkę, którą Karri odcina nożem.

– Więc robisz to, co robiliśmy my? – pytam, zakładając następny szew. – Kradniesz lek i oddajesz tym, którzy go nie mają? – Chcę spojrzeć na Lochlana. Corrick wspomniał, że był wśród tych, którzy napadli na transport. Czy ona też to robi?

Potakuje głową.

– Tak. Jeden bogaty mężczyzna i jedna bogata kobieta płacą srebrem i płatkami Księżycowego Kwiatu za udział w napadach na transport, chociaż nie chodzi im o lek. Tylko o ataki.

– Dlaczego?

– Żywią urazę do tronu. – Odruchowo podcina nitkę za kolejnym szwem. – Nie wiem, kim są. Ludzie nazywają ich Benefaktorami.

– Karri – odzywa się Lochlan ostrzegawczym tonem. – To Najwyższy Sędzia Królewski.

– Jest półprzytomny – odpowiada.

– Nieważne.

Zakładam kolejny szew i dostrzegam, że na czole Corricka zbiera się pot, a jego palce kurczowo ściskają pościel. Ani drgnął, lecz nie jest nieprzytomny. On... *słucha*.

Nie wiem, czy to akt odwagi, czy głupoty. Pewnie jedno i drugie. Przykładam igłę do skóry, ale się waham. Dłoń robi mi się wilgotna. Nie dam rady tego zrobić, gdy jest przytomny. Nie dam rady.

Staram się nie myśleć o tym, że już to zrobiłam.

– Pomagał nam od lat – oświadcza Earle. – Słyszałem o tym, co robił tam, jednak wiem też, co zrobił tutaj, dla nas. – Przerzywa. – Czasem ludzie po prostu posuwają się za daleko.

– Po obu stronach – mruczy Lochlan.

– Skończysz? – wypala Karri tak niespodziewanie, że nieomal podskakuję. Przeciagam igłę. Mięsień na szczęce Corricka drży. Nie mam pojęcia, jak może to wszystko znieść w ciszy; mogę mu pomóc jedynie wtedy, gdy skończę to szybko. Robię pętelkę i zawiązuję nitkę, a Karri ją odcina.

Biorę od przyjaciółki muślin i wycieram świeżą krew. Corrick się nie rusza. Rozluźnił rękę zaciśniętą na pościeli. Nie wiem, czy znów stracił przytomność, czy po prostu czuje ulgę, że już nie przeciągam mu igły przez brew.

– Wyszadziście Twierdzę – mówię.

– Jest taka grupa z Nabrzeża Kupców, która dostarczyła proch z kopalń – odpowiada Karri.

– Karri – upomina ją ze złością Lochlan.

– Jak się dostaliście do środka? – drążę, mocząc muślin i wyciskając nadmiar wody.

– Strażnicy przy bramie przeszukują...

Na moim ramieniu zaciska się ręka, a palce wbijają się w mięśnie.

– Co to ma być?

Lochlan. Jest tuż przy mnie. Biorę gwałtowny wdech i odskakuję.

– Ja nie... ja nie...

– Puść ją – nakazuje stanowczo Karri.

– Lochlan – wtrąca się Earle. – Zostaw ją.

Lochlan przysuwa się bliżej. Już nie stoi obok mnie, a nade mną. Nie jest głupi.

– Co. To. Ma. Być?

Szkoda, że już odłożyłam igłę i mam w ręku tylko bezużyteczny muślin. Jestem gotowa walnąć go w krocze, lecz nagle krzyczy i puszcza mnie, zataczając się w tył i wpadając na mały stolik. Przewraca miskę i roztrzaskuje ją na podłodze. Białe płatki rozsypują się wszędzie, a niektóre lądują na łóżku obok księcia.

Corrick chwycił za złamany nadgarstek Lochlana, który zwisał nad łóżkiem, i wykręca go. W jego oczach jest ból i wyczerpanie, ale też jego zwykła przebiegłość i determinacja.

– Trzymaj łapy z dala od niej – syczy. Jego głos brzmi, jakby mówił przez tłuczone szkło.

Lochlan zgięty wpół dyszy i cicho pojękuje.

Karri i Earle podchodzą bliżej; patrzą to w jedną, to w drugą stronę, nie wiedząc, komu mają pomóc.

– Corrick. – Muszę odkaszląć. – Corrick, puść go.

Puszcza. Lochlan pada na kolana, przyciskając rękę do brzucha. Kiedy patrzy z furią na Corricka, w jego oczach płonie ogień.

Jednak spojrzenie księcia jest gorsze. Błękitne oczy są jak lód, niosąc obietnicę każdego okrucieństwa, jakie może przyjść do głowy. Zapomniałam już, że potrafi tak wyglądać.

Karri zaczyna zbierać płatki Księżycowego Kwiatu do nowej miski. Przypominają te z chaty, te, które Wes wziął od Tris. Niektóre są nieco węższe niż te, które znam, i nawet w takiej sytuacji mój zielarski umysł zaczyna zastanawiać się dlaczego. Zostały przycięte? Skąd pochodzą? Czy Benefaktorzy mają dostęp do nowego źródła, nowego leku? Ta myśl jednocześnie wzbudza nadzieję i lek.

Corrick opiera dłoń na łóżku i podnosi się do pozycji siedzącej. Potem obejmuje się za kolana i zaciska zęby. Zasinione oczy jutro będą czarne. Szczeka z lewej strony jest opuchnięta. Siedzi pochyłony. Zastanawiam się, czy nie ma połamanych żeber.

Earle bierze Lochlana za ramię i pomaga mu wstać. Po raz pierwszy od chwili, gdy zdecydował się pomóc, widzę, że targa nim niepewność. Podchodzi Karri z filiżanką herbaty, przez co w powietrzu roznosi się intensywny zapach ziół, które dodała. Imbir, kurkuma, cytryna i rozmaryn.

– To na ból. – Waha się, a potem przygryza wargę. – Wasza Wysokość.

Corrick bierze filiżankę. Już nie wygląda jak Wes, tylko jak Najwyższy Sędzia Królewski. Wzrok ma zasnuty cieniem, zdystansowany, zraniony. Mimo to odpowiada uprzejmie:

– Dziękuję.

Nie pije. Nie ufa jej. Nie ufa żadnemu z nich.

Ja pewnie też nie powinnam, tyle że znam Karri od lat i nie sądzę, że próbuje go otruć. Z drugiej strony nigdy nie podejrzewałabym, że będzie współpracować z buntownikami. Mieszkałam w Dzikim i pracowałam w Artis ramię w ramię z tymi ludźmi całe moje życie. I choć wydaje się, że w tym momencie chcą pomóc, to przecież Lochlan porwał mnie i Corricka. Tłum próbował zabić księcia, mimo że dobrze wiedzieli, kim jest.

Zaczynam się czuć, jakbym stała w rozkroku między dwoma różnymi światami i nie wiem, jak mam ruszyć naprzód.

Sądząc po wyrazach twarzy Earle'a i Karri, nie tylko ja się tak czuję.

Myślałam, że wszystko odmieniło się na naszą korzyść, że udało mi się przekonać tłum, ale znów zapomniałam, że Wes nigdy nie był po prostu Wesem, a Corrick jest... cóż, jest bratem króla. Mogą go połatać, lecz nie cofną tego, co się stało.

Głos króla Harristana był tak łagodny, kiedy rozmawiał ze mną po wybuchu w Sektorze Królewskim, gdy mówił „Najwyższy Sędzia Królewski nie może być pobłażliwy w stosunku do osób, które atakują budynek w samym środku Sektora Królewskiego. Na pewno zdajesz sobie z tego sprawę”.

Tak, zdaję sobie z tego sprawę. I wiem też, że Najwyższy Sędzia Królewski nie może być pobłażliwy, jeśli go porwano i pobito prawie na śmierć. Może popierać bunt, może chcieć zmienić wszystko od środka, jednak to nie znaczy, że będzie przymykał oko na wszystko, co się tu dzieje.

Nawet gdyby to zrobił, wątpię, czy buntownicy mu uwierzą.

Zatrzymałam atak, ale nic więcej. To nadal są buntownicy. A on dla nich wszystkich nadal jest księciem, którego rola polega na karaniu ich. Mój puls przyspiesza, każe działać, tyle że nie mam jak. Kładę swoją rękę na jego.

Lochlan i Earle wymieniają spojrzenia. Karri unika mojego wzroku. Corrick za to spogląda na Lochlana.

– Przynieś kuszę. Już. – Jego spojrzenie przenosi się na Earle’a. – Zabierz stąd Tessę.

Umysł nie nadąża za nagłym przyływem emocji.

– Czekaj. Corrick. Corrick, nie...

Earle bierze mnie za ramię.

– Chodź, Tesso – mówi cichym, smutnym głosem.

Lochlan już wyszedł. Szarpię się z Earle’em. Patrzę na Corricka, połamanego i krwawiącego, lecz siedzącego prosto tylko dzięki sile woli.

– Przestań – mówię i, ku mojemu zaskoczeniu, płaczę. – Corrick, nie. Co ty wyprawiasz? – Nagle udaje mi się oswobodzić z uścisku Earle’a. Zarzucam ramiona na szyję księcia.

Rozlega się krótki jęk. Wiem, że sprawiłam mu ból, ale nie obchodzi mnie to.

– Przepraszam – mamroczę. – Proszę, proszę, nie...

– Tesso – szepcze prosto do mojego ucha, tylko do mnie. Zastygam w bezruchu. Ma plan. Musi mieć plan. Ale wtedy dodaje: – Mówiłem ci, co mi zrobią.

„Będą mnie torturować i wykorzystają przeciwko Harristanowi”.

Tak, mówił. Poświęca wszystko dla swojego brata. Teraz też tak jest.

Nie mogę oddychać. Nie mogę pozwolić mu odejść. Nie mogę. Wtulam twarz w jego szyję.

Po chwili jego ramiona mnie obejmują; czuję, jak drży. Muska ustami mój policzek.

– *Nie trać ducha, Tesso.*

Wreszcie biorę wdech i znów patrzę na niego.

– Nie mogę stracić cię drugi raz.

Wzdryga się.

– Wybacz mi.

Drzwi trzaskają tak mocno, że podskakuję. Lochlan jest już z powrotem. Earle znów chwyta mnie za ramię. Przyciskam mocniej Corricka, na co krzywi się z bólu.

– Tesso, proszę.

– Mogę zastrzelić was oboje – oznajmia Lochlan.

– Nie! – woła Karri.

– Proszę, najdroższa. – Corrick szepcze mi do ucha. – Proszę.

Odsuwam się. W jego oczach nie ma nic zimnego. Jeśli on potrafi być dzielny, ja też. Pozwalam Earle’owi się odciągnąć.

– Nic mi nie jest – dukam do niego drżącym głosem. – Mogę iść sama.

Puszczam mnie. Myliłam się. Nie jestem odważna. Nie mogę złapać tchu. Nie mogę iść.

Z zewnątrz dobiega do nas krzyk. Potem kolejny. Później ostry gwizd.

– Nocny patrol! – krzyczy ktoś.

Lochlan mamrocze przekleństwo. Podnosi kuszę.

– Czeka! – odzywa się Corrick.

Ruszam na Lochlana. Nie jest tak jak wtedy, gdy rzuciłam się na patrol, by ocalić małego Forresta. Nie mam kamienia. Mimo to strzała leci w sufit.

Walczy ze mną o broń, jednak ma tylko jedno sprawne ramię, a ja dwa. Wyrrywam mu kuszę. W pobliżu słyhać coraz więcej krzyków. Rozlega się tętent kopyt i wykrzykiwane rozkazy.

Lochlan odpycha mnie i wybiega na zewnątrz. Karri i Earle już dawno uciekli. Serce podchodzi mi do gardła.

Corrick wstał, ale zbladł. Całym ciężarem opiera się na jednej nodze.

– Tesso.

– Jestem. – Podbiegam do niego. – Oprzyj się o mnie.

Zarzuca ramię na moje barki. Musi być bardziej poturbowany, niż to okazuje, bo nawet korzystając z mojego wsparcia, stoi niepewnie.

Uzbrojeni mężczyźni wpadają do środka z wycelowanymi kuszami, aż podskakują. To nie nocny patrol, tylko armia królewska.

Rozpoznają Corricka, ponieważ niemal od razu opuszczają broń.

– Wasza Wysokość – mruczy jeden; wydaje się zszokowany.

– Poruczniku – odpowiada Corrick. Głos ma słabszy, niż powinien.

– Ma pan *nadzwyczajne* wyczucie czasu.

– Komendancie Riley! – woła inny. – Znaleźliśmy księcia.

Wchodzi kolejny mężczyzna. Jego ramiona zdobią niebieskie i fioletowe kokardki. Patrzy to na Corricka, to na mnie.

– Wasza Wysokość – mówi, najwyraźniej tak samo zszokowany.

– Księżę jest ranny – wtrącam. – Potrzebuje lekarza.

– Tak, panienko. – Mruży oczy. – A panienka to... Tessa?

– Tak.

– Dlaczego pan pyta, poruczniku? – dziwi się Corrick.

– Proszę o wybaczenie, Wasza Wysokość. – Komendant Riley się waha. – Nie spodziewaliśmy się znaleźć tu Waszej Wysokości. Jednak skoro tak się stało... Mam rozkaz aresztować was oboje.

Rozdział trzydziesty trzeci

Corrick

Myślałem, że znam w Twierdzy każdy kąt.

Ale pierwszy raz patrzę na nią oczami więźnia.

Zamknięto mnie w celi na najniższym poziomie, gdzie zwykle trzyma się przemytników i nielegalnych handlarzy. Nie jestem pewien, czy to tylko ironia losu, czy może triumf sprawiedliwości. A może zwykła konieczność, bo połowa więzienia ucierpiała w wybuchu. W przejściu palą się pochodnie, jednak w celach panuje półmrok, a zapach jak zwykle pozostawia wiele do życzenia. Kamienną podłogę pokrywa cienka warstwa słomy, lecz ściany poplamione są każdą ludzką wydzieliną, jaka przychodzi mi do głowy.

Byłem pewien, że zostaniemy zabrani do pałacu, a tam będę musiał stawić czoła oskarżeniom brata. Tymczasem wtrącono nas tutaj, gdzie jeden z moich strażników, jękając się, odczytał mi zarzuty. Przez cały czas spoglądał to na mnie, to na komendanta Rileya, jakby czekał, aż oficer rozkuje mnie i wyjaśni, że to tylko taki żart.

Przemyt. Podburzanie. Zdrada. Słyszałem te słowa niemal codziennie, tyle że nigdy nie niosły ze sobą takiego ciężaru.

Obok mnie siedziała zakuta w kajdany, drżąca Tessa. Oddech miała szybki i płytki.

– Nie zrobią ci krzywdy – zwróciłem się do niej łagodnie. – To porządni ludzie. Tylko rób, co mówią.

– Żadnych rozmów – rzucił strażnik, a po chwili złagodniał nieco i dodał: – Wasza Wysokość.

Tessa jest teraz w celi po przeciwnej stronie, w drugim końcu korytarza. Strażnicy nie byli wobec nas brutalni, ale nie chcę im dawać pretekstu, więc nie próbuję do niej wołać. Mimo odległości czuję jej obawy.

A może to moje własne?

Nie wiem, co zrobi Harristan.

Wiem, czego oczekiwałby ode mnie, i nie jest to pocieszające.

Nie zdawałem sobie z tego sprawy, jednak słoma na podłodze to istna tortura. Zupełnie nie chroni przed chłodem kamiennej posadzki, nie czyni jej mniej twardą, za to kłuje przy każdym ruchu. Dokładnie czuję każdy siniak. Ramię ciągle boli, a rana na brwi, którą zaszyła Tessa, pulsuje z intensywnością, której dorównuje tylko ból w opuchniętej kostce. Mój żołądek też od jakiegoś czasu domaga się śniadania. Bez dostępu do światła dziennego trudno śledzić upływ czasu, przez co minuty zmieniają się w godziny. Wiem, że strażę zmieniają się w południe, lecz gdy to następuje, i tak jestem zaskoczony. Wydaje mi się, że jest na to za wcześnie i za późno jednocześnie.

Nie mam zamiaru spać, jednak moje ciało wie swoje. Zapadam więc w krótkie drzemki, z których wyrывa mnie każde skrzypnięcie buta na kamiennej posadzce, ale nikt nie staje przed moją celą. Żadnego jedzenia, wody, nic.

Kiedy następuje nocna zmiana strażników, jestem już gotów błagać.

Przyciskam czoło do kamiennej podłogi i przygryzam wargę, zaciskając powieki. Przetrwałem koszmar w wiosce, na pewno przetrwam dobę bez jedzenia i picia.

I myliłem się co do słomy. Pragnienie jest jeszcze gorsze. Głowa pęka mi z bólu, a wspomnienie wahającego się głosu strażnika dudni w mojej głowie.

Przemyt. Podburzanie. Zdrada.

Stałem przed Harristanem w mojej komnacie i zaklinałem się, że nie mam z tym nic wspólnego. Bo nie mam. Nie w taki sposób, w jaki myśli.

Co mówił o mojej udawanej przyjaźni z Allisandrem?

„Najważniejsze są pozory”.

Czuję ścisk w gardle. Jestem przyzwyczajony do tego, że ludzie mnie nienawidzą, jednak to coś zgoła innego.

Nie jestem przyzwyczajony do nienawiści ze strony mojego brata.

Przestałem już mieć nadzieję, że po mnie pośle. Teraz zaczynam się tego bać. Myśl o tym, jak czuje się mną zawiedziony, boli bardziej

niż każdy siniak pozostawiony przez buntowników na moim ciele. Tak wiele zrobiłem, żeby go chronić i przekreśliłem to wszystko z czystego egoizmu. Nie musiałem opuszczać pałacu. Nie musiałem spędzać każdego świtu w Dzicy. Cóż takiego zrobiłem? Pomogłem parudziesięciu osobom odsunąć w czasie to, co nieuniknione.

Jedyną rzecz, której miałem nadzieję uniknąć, było znalezienie się Tessy w Twierdzy. A tu właśnie teraz jest.

Ciekawe, komu Harristan powierzy wymierzenie kary. Kto zastąpi mnie w roli Najwyższego Sędziego Królewskiego? Mój brat nie ma zbyt wielu zaufanych ludzi.

Jedno imię przebija się do moich myśli jak igła.

Allisander.

Harristan nie ufa mu tak samo jak ja, lecz widzę, że konsul wykorzystuje swoją pozycję, by wymuszać na moim bracie pewne decyzje. W ten sposób stałby się drugą najpotężniejszą osobą w Kandali. Mógłby podejmować takie kroki, jakie zechce, przeciwko przemytnikom. Marzy o tym od miesięcy. Serce wali mi teraz jak szalone.

Allisander ukarałby mnie przykładowo jako przestrożę dla innych. Co do tego nie mam wątpliwości.

Może już to robi. Może dlatego nie dostałem nic do jedzenia ani do picia. Nigdy nie głodziłem więźniów, a on bardzo jasno wyraził swoją opinię na ten temat.

Na myśl o tym, że Allisander mógłby zająć moje miejsce, czuję ucisk w piersi. Ciężko to przełknąć. Całe swoje życie robiłem wszystko, by chronić mojego brata. Konsul poświęci życie, by przy każdej okazji kwestionować i osłabiać jego pozycję. Czuję pieczenie oczu, choć wcale tego nie chcę.

W korytarzu słysząc kroki; próbuję uspokoić nerwowy oddech. Strażnicy znów się zmieniają. Pewnie to już północ. Ogarnia mnie wstyd – mam ochotę zwinąć się w kłębek w najciemniejszym kącie celi. Każdy nowy strażnik zaczyna od gapienia się na nieustraszonego księcia, który teraz jest tylko bezbronnym więźniem.

Przyciskam palce do oczu. Zdecydowanie triumf sprawiedliwości.

– Corricku.

Gwałtownie opuszczam rękę. Po drugiej stronie krat stoi Harristan, a u jego boku królewscy strażnicy. Twarz ma chłodną i nieruchomą. Nie do odczytania.

Nie stoi przede mną mój brat. Tylko król.

Czekam, aż powie coś więcej. Milczy.

To mnie nie uspokaja. Ogarnia mnie przerażenie, ściska za serce. Próbuję wstać. Od wielu godzin leżę na zimnej posadzce, w związku z czym moje stawy odmawiają posłuszeństwa. Gdy wreszcie udaje mi się podnieść na kolana, kręci mi się w głowie i oddycham ciężko. Harristan obserwuje to beznamiętnie.

Nie wiem, czy chcę płakać, czy błagać o litość. Tyle razy chciałem, żeby mój brat przyszedł do Twierdzy, żeby zobaczył, co muszę robić. Teraz, gdy tu jest, wolałbym, żeby był gdzie indziej.

– Wasza Królewska Mość – mówię łamiącym się głosem. Cały czas oddycham nierówno. Nie potrafię na niego spojrzeć.

Odwraca się do strażnika w kącie.

– Otwórz celę.

Mężczyzna podbiega do kraty. Kiedy Harristan wchodzi do środka, dwóch jego strażników wchodzi razem z nim, jakbym stanowił jakieś zagrożenie. Jednym z nich jest Rocco.

Może mój brat każe im mnie zabić od razu. Serce wali mi w piersi. Czekam ze wzrokiem wbitym w słomę, w buty strażników.

Gdy ręka Harristana dotyka mojego podbródka, jestem tak zaskoczony, że podskakuję, ale on tylko chce, żebym na niego spojrział.

– Jesteś ranny – zauważa. Sposób, w jaki to mówi... Ciekawe. Brzmi, jakby wcześniej o tym nie wiedział. To możliwe.

Rzuca okiem na pustą celę.

– Wyposażenie w twoim więzieniu jest marne. Nie macie tu krzesła?

Marszczę czoło.

– Co?

Odwraca się do Rocco.

– Każ przynieść jedzenie.

– Tak jest, Wasza Królewska Mość.

Ku mojemu zdziwieniu Harristan przykuca, żeby zajrzeć mi prosto w twarz. Nie pasuje do tego miejsca w lśniącym zielonym brokacie,

w kaftanie z błyszczącymi srebrnymi guzikami, do mnie oblepionego kurzem, klejącego się do zaschłej krwi i potu. Skórę mam posiniaczoną i poranioną, za to jego jest nieskazitelna.

Nadal nie potrafię odczytać jego miny. Przez dłuższą chwilę wpatrujemy się w siebie.

– Przysięgałeś mi – wypala wreszcie.

Odwracam wzrok.

– I robiłem to szczerze – odpowiadam, choć w moich słowach pobrzmiwa pustka. Wiem, gdzie mnie znaleziono. Wiem, jak to wygląda.

– Allisander czepia się mnie od świtu, powtarzając, że to ty stoisz za atakami na transporty. Że finansujesz buntowników.

Podnoszę gwałtownie głowę.

– Nie! Harristanie, ja...

Podnosi rękę, żeby mi przerwać.

– Nie było cię w twoich komnatach – mruczy. – Nigdzie nie mogliśmy cię znaleźć. Dlatego posłałem żołnierzy do Dżicy.

I tam mnie znaleźli.

Przełykam ślinę. Gardło mam tak wyschnięte, jakby było wyłożone pergaminem. Może jednak szkoda, że Lochlan mnie nie zabił.

– Nie współpracowałem z buntownikami – zapewniam zachrypniętym, drżącym głosem. – Proszę, Harristanie. – Brzmie jak każdy więzień, który błagał u moich stóp. – Nie mam nic wspólnego z atakami na transporty Sallistera.

Harristan nic nie mówi, tylko obserwuje mnie w ciszy.

Wraca Rocco.

– Wasza Królewska Mość.

Podaje skórzaną torbę i pełny bukłak. Jestem tak spragniony, że niemal czuję zapach wody.

– To z więziennych zapasów. Mam posłać po więcej do pałacu?

– Jeszcze nie.

Harristan bierze bukłak i podaje mi.

Piję za szybko, siorbiąc, jakbym nie pił całe życie, lecz jestem zbyt odwodniony, by się tym przejmować. Gdy wreszcie odrywam bukłak od ust, oddaję go bratu. Nie mam pojęcia, kiedy znów będę mógł się napić, więc zbieram dosłownie całą wolę, jaką w sobie mam, żeby wypowiedzieć tę prośbę:

– Czy możesz posłać trochę wody Tessie? Proszę.

Przygląda mi się przez chwilę, a potem ze skinieniem głowy podaje bukłak Rocco, który wychodzi z nim z celi.

Harristan spogląda przez ramię na drugiego strażnika.

– Wracaj do korytarza. Niech strażnicy więzienni się oddalą.

Tak robią. Niemal odruchowo wstrzymuję oddech.

Kiedy już ich nie ma, Harristan siada przede mną na słomie i pokazuje ręką, bym zrobił to samo. Wpatruję się w mojego brata, którego stopa nigdy wcześniej nie powstała w Twierdzy, a który teraz znajduje się na podłodze celi. Ja chyba nigdy wcześniej nie siedziałem na więziennej podłodze.

W każdym razie do dzisiejszego dnia.

Wyciąga z torby kawałek chleba, jakieś przejrzałe gruszki i kawałek sera nie pierwszej świeżości.

Odrywa połowę chleba, zerka na niego podejrzliwie, a potem mi podaje.

– Proszę, jedz, Cory.

Odrywam kawałek zębami.

– Mogłeś kazać zaprowadzić mnie do pałacu.

– Byłem na ciebie zbyt wściekły.

– Nadal jesteś?

– Może. – Ser także dzieli na pół. – Pamiętasz chłopaków z Mosswell? Jak rzucili nam wyzwanie? Wyścig aż do rzeki?

– Tak.

To było lata temu. Miałem może dwanaście czy trzynaście lat, więc Harristan musiał mieć szesnaście albo siedemnaście. Na skraju Dżicy była wielka stajnia, w której trzymali kucyki na wynajem. Tamci chłopcy wyprowadzali potajemnie kilka kucyków z padoku i galopowali o świcie przez Dżicz. My jeździliśmy dotąd tylko na lśniących, wypielęgowanych koniach ze stajni królewskich, dobrze wyszkolonych, najlepszych ras, które nigdy nie postawiły fałszywego kroku. Kucyki były grube, miały gęstą sierść i były złośliwe, ale Harristan lubi rywalizację i nim tamci zdołali choćby przejść przez płot, my dwaj już jechaliśmy tylko z kantarem i liną z padoku.

Pamiętam, jak siedziałem przyciśnięty do pleców brata, smagany gałęziami i liśćmi, śmiejąc się za każdym razem, kiedy kucyk pochylał głowę, żeby wierzgnąć, bo Harristan podciągał jego głowę

w górę i wykrzykiwał do niego przekleństwa, jakie nie przystają księciu.

Pamiętam też, jak chciał przeskoczyć na kucyku mały rów, który każdy królewski koń pokonałby bez wahania, za to ten absurdalny kucyk stanął jak wryty, a Harristan i ja nie. Poleciliśmy do przodu i zanurkowaliśmy w błocie. Musieliśmy powiedzieć rodzicom, że spadliśmy w sadzie z drzewa.

– Wtedy ostatni raz widziałem cię tak posiniaczonego – mówi teraz Harristan.

– Szczęściarz ze mnie.

– Durny kucyk – mruczy Harristan.

– Raczej durne książęta – prostuję. Wkładam ser do ust. Smakuje okropnie, jednak się tym nie przejmuję.

– Czy to strażnicy tak cię pobili? – pyta cicho.

Odrywam kolejny kawałek chleba.

– Nie. Buntownicy, którym twoim zdaniem *pomagam*.

Bierze gwałtowny wdech i prostuje się. Patrzę w jego oczy.

– Cieszę się, że wysłałeś żołnierzy – oświadczam i mimo wszystko naprawdę tak myślę.

Przez dłuższy czas przytrzymuje mój wzrok. Czuję każde pytanie, którego mi nie zadaje.

– Quint też zamęcza mnie cały dzień – mówi zamyślonym tonem.

Martwiłem się o Quinta od chwili, gdy zamknięto mnie w tej celi, lecz bałem się choćby wymówić jego imię.

– Jestem pewien, że każda chwila była prawdziwą przyjemnością.

– Upiera się, że nigdy nawet jedna zdradliwa myśl nie zakiełkowała ci w głowie.

Nikt lepiej niż marszałek nie zdołałby przekazać tego Harristanowi – każda sylaba w tym stwierdzeniu to najszczęśliwsza prawda.

– Ma rację.

– Mówi, że każdy sekret, który przede mną ukrywasz, chroni mnie.

Powinienem podwoić Quintowi pensję – jeśli kiedykolwiek stąd wyjdę. Znów mam ściśnięte gardło i ku swojemu przerażeniu czuję, jak łza spływa po moim brudnym policzku.

– Tu też mówi prawdę.

Harristan czeka, ale ja się nie odzywam. Ścieram wilgoć z twarzy, a kolejna łza już nie waży się płynąć.

Mój brat wzdycha, aż wreszcie wyciąga rękę, żeby poczochnąć moje włosy, jakbym był małym chłopcem.

– Au – mamroczę.

Zatrzymuje dłoń na mojej głowie i spogląda mi w oczy.

– Powiedz mi prawdę.

Waham się.

– Myślę, że Arella i Roydan finansują buntowników. To by tłumaczyło ich potajemne spotkania.

– Corrick – przerywa ze złością. – Chodziło mi o prawdę o tobie.

– Wiem, o co ci chodziło.

Ale tamta prawda mu nie pomoże i na pewno nie pomoże mnie.

– Nie bądź głupi. Nie mogę cię zabrać do pałacu, dopóki nie wiem, o co w tym chodzi.

– Zatrzymano mnie w obozie buntowników – przypominam. Mam ochotę nim potrząsnąć. I on się zastanawia, dlaczego mam przed nim sekrety? – Harristanie, w ogóle nie możesz mnie zabrać do pałacu. Jak byś wtedy udobruchał Allisandra? Jak?

Mięsień na jego twarzy drga, gdy tak siedzi i mi się przygląda. Najwyraźniej jednak musi dostrzegać prawdę w moich słowach, bo opuszcza ramiona i przeciąga ręką po szczęce.

– Dobrze. Mimo to mogę zadbać, żebyś miał co jeść. – Zerka na ranę nad moim okiem. – I żeby cię opatrzone. – Jeszcze raz rozgląda się wokół. – I może dano ci przynajmniej jakieś krzesło.

– W rękach więźniów krzesła to niebezpieczna broń.

Wygląda na zaskoczonego. Wzruszam ramionami.

Kiedy wstaje, ja także to robię i kulejąc, idę za nim w stronę wyjścia. Waha się, ale ja zatraskuję kratę między nami.

Rzuca okiem na zamek, potem znów na mnie.

– Zostawię tu Rocco, żeby mieć pewność, że nic złego ci się nie stanie.

– Oooo, mojego najlepszego przyjaciela.

Spogląda na mnie wymownie.

– Matka i ojciec też próbowali mnie chronić – oświadcza.

– Pamiętam. Podobnie jak osiołek.

– Możesz sobie myśleć, że to ty jesteś ten sprytny i odważny, braciszku, ale nie zapominaj – uśmiecha się – że to ja znalazłem sposób, jak się im wymykać.

Rozdział trzydziesty czwarty

Tessa

Kiedy przed celą pojawia się Rocco, myślę, że mam zwidy. Kamienna posadzka jest lodowata i choć próbowałam zebrać słomę na jakąś kupkę, od wielu godzin trzęsę się z zimna. Mrugam raz, drugi, trzeci, jakby moje oczy nie chciały w to wierzyć.

– Panno Tesso – odzywa się, podając mi bukłak z wodą przez kraty.

– Rocco. – W ustach mi zaschło. Z większym niż się spodziewałam trudem staję na nogach. Opuchnięte stawy bołą, kręci mi się w głowie. Przytrzymując się krat, biorę od niego bukłak.

Nie wiem, dlaczego tu jest, ale w tym momencie mnie to nie obchodzi. W minutę wypijam wszystko, a potem opieram czoło o kraty, dysząc.

Dopiero po jakimś czasie orientuję się, że w korytarzu są też inni królewscy strażnicy. Drzwi do celi Corricka wydają się otwarte, ale go nie widzę. Nie widzę, co się z nim dzieje.

Serce mi staje, a potem znów rusza z podwójną prędkością.

– Co się dzieje? – pytam.

– Król rozmawia z księciem.

– Naprawdę *rozmawia* czy... czy... – Urywam, bo nie chcę wypowiadać na głos niczego, co podsuwa mi moja wyobraźnia.

– Król rozmawia z księciem – powtarza Rocco i dociera do mnie, że innej odpowiedzi nie uzyskam.

Przełykam ślinę. Corrick powiedział, że brat oskarżył go zdradę, jeszcze zanim wymknęliśmy się z pałacu. Jesteśmy tu już prawie dobie i nie mam wątpliwości, że król Harristan musiał o tym wiedzieć. Żadna z tych rzeczy nie wróży nic dobrego. Zapach celi daje mi pewien pogląd na to, co się działo w tych murach, i wolę o tym nie myśleć. Nie chcę myśleć o tym, jak Harristan rozkazuje, by te rzeczy robiono jego bratu.

Dopadają mnie wyczerpanie i lęk. Czuję ścisk w gardle wbrew swojej woli. Zamykam oczy i oddycham ciężko, oparta o kraty.

„Proszę, najdroższa”.

Po policzku spływa mi łza i nawet nie próbuję jej ocierać. Czy tylko odwlekłam w czasie to, co nieuniknione? Czy ocalałam go w wiosce wyłącznie po to, by patrzeć, jak tu spotka go jeszcze straszniejszy los?

Ciężkie buty skrzypią o kamienną podłogę, dlatego otwieram gwałtownie oczy. Rocco odsuwa się i staje na baczność. Ku mojemu kompletnemu zaskoczeniu stoję twarzą w twarz z królem.

Pewnie odebrało mi mowę na zbyt długo, ponieważ Harristan szybko mierzy mnie wzrokiem, a potem odwraca się do strażnika.

– Zostań z Corrickiem. Przyślę, co trzeba i wydam dalsze rozkazy.

Potem zwraca się do mnie:

– Możesz iść?

Nie mam pojęcia. „Zostań z Corrickiem. Przyślę, co trzeba i wydam dalsze rozkazy”. Co to znaczy? Co on zrobił? Znow zaschło mi w gardle; odsuwam się od krat.

– Ja... ja...

Spogląda na jednego ze strażników.

– Thorin. Weź ją na rękę.

Otwierają kratę. Wyciągam przed siebie dłonie, zanim mężczyzna mnie dotknie. Nie wiem, co mnie czeka, jednak wiem, że nie chcę być niesiona.

– Zaraz. Stój. Ja... ja mogę iść sama.

– To dobrze – mówi król. – Chodź ze mną.

Nie wiem, gdzie spodziewałam się być zabrana, lecz strażnik, Thorin, wsadza mnie do powozu stojącego przy samym wejściu do Twierdzy. Zupełnie straciłam rachubę czasu. Myślałam, że wychodzę na słońce, bo schwytano nas o świcie, ale niebo jest ciemne jak atrament i obsypane migoczącymi gwiazdami. Król musi jechać innym powozem, jako że w tym jestem tylko ja i Thorin. Nie jest tak miły jak Rocco. Siedzi z kamienną twarzą naprzeciw mnie.

Zaciskam palce na spódnicy brudnej i poplamionej krwią Corricka.

Nie wiem, czy Thorin mi odpowie, jednak ta pełna napięcia cisza mnie wykończy.

– Dokąd jedziemy? – pytam.

– Do pałacu.

Chcę zapytać dlaczego, lecz przypominam sobie reprimendę Quinta, gdy mówił: „On jest królem. Nie musi podawać powodu”.

Kiedy już jesteśmy na miejscu, podejrzewam, że zostanę rzucona na podłogę, jak wtedy, gdy znaleziono mnie w pałacu. Tymczasem, ku mojemu zdziwieniu, zostaję zabrana do mojego pokoju, gdzie zaspana Jossalyn czeka, żeby przygotować mi kąpiel. Thorin stoi przy drzwiach – pewnie pilnuje, żebym słuchała rozkazów.

Jossalyn ignoruje go i spogląda na moją twarz, później na ubranie i marszczy czoło.

– Jest panienka ranna?

– Nie. – Przełykam ślinę. – To nie moja krew.

Zerka na strażnika, potem wskazuje głową na mnie.

– Proszę zdjąć te... ubrania, panienko.

Czuję, jakbym nie spała od wielu dni, więc kiedy Jossalyn mnie szoruje, nie bronię się. Szkoda, że nie ma tu żadnego jedzenia, bo woda z bukłaka wyzwoliła we mnie niemal zwierzęcy głód. Jossalyn wyciera ręcznikiem moje mokre włosy i zaplata je w warkocz, upinając w jakiś skomplikowany sposób, którego nie byłabym w stanie odtworzyć. Nie wiem, co robić. Nie wiem, co powiedzieć.

Co zaszło między królem a Corrickiem? Czy król go torturował? Czy będzie mnie torturował? Nie wiem, kogo zapytać. Nie wiem, jak zapytać. Chciałabym móc porozmawiać z Quintem, ale nie widziałam go od tamtej nocy, gdy pomógł mi się przedostać do komnat księcia. Jestem zmęczona i głodna, jednak w mniej niż pół godziny jestem ubrana w suknię w kolorze królewskiego błękitu i odeskortowana do pokoju, gdzie razem z Corrickiem patrzyliśmy na wybuchy w Twierdzy, konsulowie kłócili się między sobą, a strażnicy i gońcy wpadali i wypadali.

Dziś jest tu tylko król Harristan. Stoi przy ogromnym oknie, za którym widać rozgwieżdżone niebo. Na środku stołu znajduje się jedzenie. Musiało być przyniesione niedawno, ponieważ nadal paruje. Pieczony drób i warzywa korzenne, ciasta ze słodką kruszonką, kromki chleba i salaterki wypełnione dżemem i miodem.

Jest też mała miseczka płatków Księżycowego Kwiatu, których wystarczyłoby dla kilku osób, moździerze, tłuczek i parujący czajniczek z herbatą. Jeden talerz już stoi przygotowany, a obok niego leżą srebrne sztucce, kieliszki napełnione wodą i winem.

Ślina od razu zaczyna mi napływać do ust. Muszę przełknąć i przycisnąć ręce do brzucha. Nie wiem, czy to skutek pustego żołądka, czy obecności w tym pokoju, ale zaczyna mi się kręcić w głowie.

Drzwi za mną zatraskują się z hukiem, aż podskakuję. Ku mojemu zaskoczeniu zostaję sama z królem.

Przygląda mi się z drugiego końca pokoju, jednak się nie waha.

– Siadaj – nakazuje. Choć nie ma w jego głosie ciepła, nie jest też niemiły. – Jedz.

Wodzę wzrokiem po pokoju, jakbym szukała jakiejś zasadzki czy pułapki, lecz jesteśmy tu sami. Nie ma nawet strażnika ani lokaja. Król nie rusza się spod okna. Zajmuję miejsce przy stole i biorę widelec.

Może inni mają więcej silnej woli, ale ja nie. Padam z głodu. Wkładam do ust wielki kęs mięsa, o wiele za duży jak na damę. Potem pół bułki z ciasta francuskiego, a po chwili drugie pół. Nabieram na widelec tyle warzyw, ile się tylko zmieści.

Kiedy król podchodzi do stołu, pospiesznie odkładam widelec i wycieram usta. Próbuję wstać.

Harristan podnosi dłoń.

– Siedź – mówi. Siada naprzeciw mnie i wskazuje na mój talerz. – Jedz dalej.

Nie mogę. Nie teraz.

Będzie czegoś ode mnie chciał.

– Co zrobiłeś Corrickowi? – pytam głosem tak słabym i przestraszonym, że mam ochotę zacząć jeszcze raz.

Król mruga zaskoczony.

– Corrickowi?

Ku mojemu przerażeniu do oczu napływają mi łzy, a obraz staje się rozmyty przez strach, który błyskawicznie przekształca się w gniew.

– Powiedział, że oskarżyłeś go o zdradę. Wiem...

– Tesso.

– ...gdzie nas znaleźliście, ale on nie jest zdrajcą, nie jest przemytnikiem. – Powinnam przestać, powinnam zamilknąć, jednak kiedy już zaczęłam płakać i mówić, słowa same płyną z moich ust. – Corrick nie jest przestępcą, on...

– Tesso.

– ...z całych sił próbuje cię chronić. Musisz wiedzieć, że to go niszczy. A teraz... co? Co mu robisz? Torturujesz go? Czy...

– Dość! – Jego głos jest ostry jak policzek. – Nie będziesz mnie oskarżać.

Zastygam w bezruchu. Jego spojrzenie jest surowe i zimne. Zaciskam dłonie na sztućcach. Boję się go i jestem na niego zła. I mam nadzieję, i martwię się, i czuję jeszcze wiele innych bolesnych uczuć, które ściskają mi żołądek.

– Nie ma go tu – szepczę – a ja jestem. Co mu zrobiłeś? – Przy tych ostatnich słowach mój głos drży. – Co mu zrobiłeś?

Wpatruje się we mnie przez chwilę, potem wzdycha i opiera o krzesło. Przeciąga palcami po twarzy.

– Na Boga, Tesso. To mój brat.

Król tak bardzo przypomina teraz Corricka, że zamieram z zaskoczenia, zapominając o łzach. Mówi to w taki sposób, jakby to znaczyło wszystko i w jakimś sensie tak jest. Przypomina mi się noc, gdy jechałam w powozie z Corrickiem, gdy żądałam, żeby mi wyjaśnił, dlaczego nie porzucił życia, którego tak bardzo nienawidził.

„Nie mógłbym wyrzec się brata”.

– Nic mu nie zrobiłem – ciągnie Harristan. – Nie mógłbym, nawet gdyby zasłużył na karę, co wcale nie jest wykluczone. – Milknie. – Zaproponowałem mu zwolnienie z Twierdzy, ale odmówił. Kiedy Thorin wiozł cię tutaj, posłałem mu jedzenie i inne potrzebne rzeczy.

Marszczę czoło.

– Odmówił?

– Twierdzi, że konsul Sallister nie zniósłby jego zwolnienia. – Zawiesza głos. – I ma rację.

Zerkam na swój talerz. Najgorsze jest to, że bez trudu potrafię sobie wyobrazić Corricka mówiącego te słowa. Leżał na łóżku i pozwolił mi szyc ranę na brwi, żeby mógł usłyszeć więcej

informacji. Oczywiście, że wybrałby zimną celę, by nie rozgniewać konsula, który mógłby sprowadzić zagrożenie na cały kraj.

– Nie zdradził nic więcej – dodaje ostrożnie Harristan. – Ściągnąłem cię tutaj w nadziei, że ty coś powiesz.

Spoglądam mu w oczy.

– Że co zrobisz?

– Że powiesz mi, o co w tym wszystkim chodzi.

Nieruchomieję. *To pułapka.*

Harristan mnie analizuje.

– Nie proszę, byś go zdradziła.

Odwracam wzrok.

– Jest niewielu ludzi, którym ufam – oświadczam. – Jednak Corrick jest jednym z nich. On ufa tobie. A to ma duży wpływ na mnie.

Nie wiem, co powiedzieć. I tak czuję się, jakbym miała go zdradzić.

Harristan pochyla się nad stołem w moją stronę. Przybiera błagalny ton.

– Sama wspomniałaś, że muszę wiedzieć, że to go niszczy. A nie wiem. Choć *powinienem*. – Urywa. – Pomóż mi wiedzieć.

Jest szczery. Słyszę to w każdej wypowiedzianej przez niego sylabie. Corrick nie chce być okrutny. I ten człowiek też nie.

Łza spływa mi po policzku, lecz tym razem nie ma w niej gniewu. Tylko smutek. *Och, Corricku, nie wiem, jaką decyzję powinnam podjąć.*

– Jeśli tak bardzo stara się mnie chronić – kontynuuje Harristan – może *powinienem* móc zrobić to samo dla niego.

Te słowa trafiają we mnie jak strzała. Spoglądam mu w oczy.

– Ja mogę ci opowiedzieć tylko połowę tej historii – oświadczam zachrypniętym i niepewnym głosem.

– Tylko połowę?

Potakuję głową.

– Moją połowę. Jeśli chcesz znać całą historię... – Biorę głęboki wdech w nadziei, że nie podejmuję teraz błędnej decyzji. – Musisz posłać po Quinta.

Rozdział trzydziesty piąty

Corrick

W ciągu godziny w mojej celi jest już materac, ciepłe koce i nie jedno, a dwa krzesła. Mam też świeże ubranie, więc nie muszę już siedzieć w podartej wełnie poplamionej moją krwią. W kącie stoi koszyk z butelkami wina i wody, krążkami serów, idealnie dojrzałymi jabłkami z miodem i lukrowanymi gruszkami, świeżym, jeszcze ciepłym pieczywem, suszoną wołowiną – nie zdołałbym zjeść tego przez tydzień. Szczury pewnie zdążą sobie urządzić ucztę przede mną, ale doceniam troskę mojego brata. Pewnie to więcej, niż zasługuję.

Mam też towarzystwo w postaci Rocco stojącego w cieniu w korytarzu, opartego o ścianę naprzeciw mojej celi.

Nie wiem, czy mam czuć ulgę, że Harristan zabrał stąd Teszę, czy raczej niepokój. Na pewno ma nadzieję, że wyciągnie z niej jakieś informacje o tym, co robiłem.

Powinien raczej przepytować Arellę i Roydana. Powinien zakazać im opuszczać ich komnaty i czytać wszelkie wiadomości, jakie wysyłają. Powinien zwołać naradę konsulów i pozwolić im rzucić się sobie nawzajem do gardeł.

Wracam myślami do prośby Jonasa o fundusze na most w Artis, którą Harristan odrzucił. Jonas nienawidzi Allisandra, więc nietrudno mi sobie wyobrazić, że atakuje transporty dla zasady, jednak nie ma dość srebra. Artis będzie mieć problemy, jeśli gorączka rozszaleje się wśród robotników w dokach. Większość jego sektora uzależniona jest od tych, którzy pracują na nabrzeżu.

Za to Arella złożyła prośbę jeszcze tego samego dnia. A przed egzekucją, do której nigdy nie doszło, złożyła też prośbę o ułaskawienie więźniów. Nie wiem, po co ona i Roydan mieliby zakłócać transporty Allisandra, lecz jeśli to ona płaci wieśniakom, to tłumaczyłoby, dlaczego potrzebuje więcej srebra. Zarówno Sunkeep,

jak i Kraina Smutku graniczą z Nabrzeżem Kupców i to tamtejszy konsul stał za śmiercią moich rodziców. Roydan i Arella zmiękczyli swoje granice, aby złagodzić skutki braku konsula w tym rejonie. Czy oni także zwrócili się przeciwko nam? Czy jest jakiś powód, by ten sektor żywił urazę do Korony? Nie wiem.

Ta dziewczyna z obozu buntowników mówiła, że materiały wybuchowe pochodziły z kopalni z Nabrzeża Kupców.

Gdybym był teraz w pałacu. Gdybym miał tu moje dokumenty i mapy. Gdybym miał tu Quinta, który nieustannie plotkuje i dzięki temu wie wszystko o wszystkich.

Zamiast tego mam tu Rocco.

Kulejąc, podchodzę do krat i oferuję mu jabłko.

– Zawrzemy pokój?

Nie rusza się ze swojego miejsca pod ścianą.

– A toczymy wojnę, Wasza Wysokość?

– Jesteś szpiegiem mojego brata. Ty mi powiedz.

– Nie jestem niczym szpiegiem. – Patrzy na mnie beznamiętnie.

– Król zadaje pytania, a ja odpowiadam.

W sumie nie powinno mnie to złościć. Znam wszystkich strażników Harristana i wiem, wobec kogo są lojalni. Po prostu nigdy wcześniej z tego powodu nie byliśmy po przeciwnych stronach. Rzucam mu jabłko.

– A na moje odpowiesz?

Bez trudu je łapie.

– Oczywiście.

– Jakie dostałeś rozkazy?

– Dopilnować, żeby Waszej Wysokości nie stało się nic złego.

– Strażnicy z Twierdzy mnie nie skrzywdzą.

– W takim razie przede mną spokojna noc.

– Czy Arella i Roydan są nadal w pałacu? Czy mieli dziś jakieś sekretne spotkania?

Lekko marszczy czoło.

– Nie wiem. Służbę zacząłem dopiero o świcie i od tamtej pory cały czas byłem z królem. Widział się tylko z konsulem Sallisterem.

– O czym rozmawiali?

– Nie uczestniczyłem w ich rozmowie.

Posyłam mu wymowne spojrzenie. Odpowiada mi takim samym, po czym gryzie jabłko.

Wzdycham i opieram czoło o kraty. Nie wiem, co robię. Jak wtedy, gdy Tessa zszywała mi ranę na brwi, desperacko próbuję zdobyć jakieś informacje i nie mam pojęcia, co z nimi począć. Wtedy stałem w obliczu śmierci, a teraz... nie wiem czego. Wieczności w Twierdzy? Harristan nie może mnie wypuścić, dopóki nie będziemy wiedzieli, kto tak naprawdę stoi za atakami. I bez tego jest już dość plotek. Znalaziono mnie w obozie buntowników. Nieważne, jak się ze mną obeszli – liczy się to, że władca wysłał za mną armię i że mnie znaleźli.

Na klatce schodowej migoczą światła, słychać głosy. Myślę, że to może znów mój brat, a może Tessa, ale zza rogu wyłania się sam Allisander.

Odruchowo odskakuję od krat, jednak nie mam się gdzie skryć. Taki już urok celi więziennej.

Konsul staje naprzeciw mnie, tuż przy kratkach. Jak zwykle twarz zakrywa chusteczką.

– Musiałem przyjść i zobaczyć to na własne oczy – stwierdza.

Po raz pierwszy w życiu nawet nie próbuję ukryć niechęci, jaką do niego żywię.

– Allisandrze – mruczę – myślałem, że nauczyłeś się już, czym grozi stanie zbyt blisko krat.

Nie rusza się z miejsca.

– A ja myślałem, że nauczyłeś się, czym grozi zadawanie się z przemytnikami.

– Nie jestem przemytnikiem.

Wodzi wzrokiem po ścianach.

– Twoje obecne lokum wskazuje na coś przeciwnego.

– Czego chcesz?

– Okradałeś swój lud, Corricku, jednocześnie karząc ich za to samo. Chcę, żeby twój brat przykładowie cię ukarał.

– Nie ja odpowiadam za ataki na twoje transporty.

– To bez znaczenia. Lud Kandali musi zobaczyć demonstrację siły. Musi zobaczyć, że król nie dopuści do żadnego powstania. Tymczasem obaj wiemy, że Harristan nic ci nie robi. A jednak coś zrobić trzeba i jest jasne, że powinien to zrobić ktoś inny, bo ani ty,

ani twój brat nie jesteście już do tego zdolni. – Przerzywa na jedną podłg sekundę. – Wielu konsulów się ze mną zgadza. – Cmoka ironicznie. – Może jednak lepiej by się stało, gdybyś dał Jonasowi pieniądze na ten most.

Po plecach przebiega mi zimny dreszcz. Muszę porozmawiać z bratem. Cały ten czas martwiłem się buntem w sektorach, a trzeba było lepiej przyglądać się temu, co robią konsulowie. Myślę o Arelli i Roydanie i nie mogę uwierzyć, że do wyboru mam sojusz z nimi albo z tym człowiekiem.

– Nie wszyscy konsulowie.

– Wystarczająco wielu. I mamy dość sił, by zrobić to, co należy.

Wpatruję się w niego.

– Większość ludzi nie przyznaje się otwarcie do zdrady na oczach moich straży, Allisandrze.

– *Zdrady?* Kandała stoi na progu rewolucji. Ledwie dwie noce temu elity wyrwał ze snu wybuch w Twierdzy. Buntownicy tworzą bandy w Dżicy. Najwyższy Sędzia Królewski okazał się zakłamanym zdrajcą, a sam król ukrywa kaszel, który z dnia na dzień się nasila. Nikt nie jest bezpieczny. Próba chronienia poddanych to nie *zdrada*.

– Podchodzi do krat. – Zwłaszcza kiedy ty i twój brat najwyraźniej nie potrafiliście tego zrobić.

Wymierzam mu cios w twarz. Zatacza się w tył; krew płynie mu z nosa.

– Straż! – krzyczy. – Straż, ukarać go!

Ani drgną. Nawet nie spoglądają w tę stronę.

Stoję przy kratkach i rozprostowuję palce.

– Jakoś nikt nie pali się do pomocy.

Allisander ociera krew z twarzy i rusza naprzód z uniesionymi pięściami. Rocco chwyta go z tyłu.

– Panie konsulu, proszę zachować odległość.

Allisander zerka na mnie z wściekłością. Policzek ma umazany krwią.

– W porządku. Puść mnie.

Rocco patrzy na mnie. Potrząsam głową.

– Zamknij go w celi – nakazuję zimnym głosem. – Spiskuje przeciwko tronowi.

Allisander próbuje wyrwać się strażnikowi. Od gwałtownych ruchów nos znów zaczyna mu krwawić.

– To ci się nie uda. Będziesz wisiał, Corricku – rzuca z wściekłością. – Osobiście tego dopilnuję.

Rocco wrzuca go do celi, a jeden ze strażników Twierdzy zatrzaskuje kratę.

– Wiesz, kim jestem? Zapłacisz za to głową. Ten człowiek już nie ma władzy. To *przestępca*.

Ignoruję go.

– Rocco – mówię ponaglająco. – Musisz iść do pałacu. Musisz powiedzieć Harristanowi, co słyszałeś. Nie można ufać konsulom. Nie wiem, co planują, ale musisz tam iść.

Rocco staje przed kratą.

– Mam rozkaz dopilnować bezpieczeństwa Waszej Wysokości. – Przeklinam i walę w kratę, aż echo metalu dzwoni w uszach.

– Do diabła z twoimi rozkazami! Masz obowiązek chronić króla!

– Tak, Wasza Wysokość. I będę go chronił. – Odwraca się do jednego ze strażników. – Otwórz celę.

– Co? – pytam szeptem.

Allisander bynajmniej nie jest cicho.

– Co? – wrzeszczy. – Co ty *wyprawiasz*?

Strażnik wkłada klucz do zamka, a ja wpatruję się w Rocco.

– Co ty robisz?

– Wracam do pałacu, jak Wasza Wysokość sobie życzył, tyle że muszę Waszą Wysokość zabrać ze sobą.

Zamek puszcza i krata się otwiera.

– Zawiśniesz za to – syczy Allisander. – To zdrajca.

Przyglądam się Rocco, jakby to była zasadzka.

– Jego Królewska Mość nakazał mi dopilnować, by nic się nie stało Waszej Wysokości – oznajmia – ale nie powiedział *gdzie*.

Rozdział trzydziesty szósty

Tessa

Król sam doskonale pełni rolę onieśmielającej widowni, nawet mimo obecności Quinta. To, że marszałek dworu wygląda na równie podenerwowanego jak ja, wcale mi nie pomaga. Zaczynam niepewnie; trzaskanie ognia podkreśla moje słowa, ale Harristan nie odzywa się, gdy znów opowiadam historię moich rodziców, o tym, jak zginęli z rąk nocnego patrolu, a Corrick ocalił mnie przed podzieleniem ich losu. Opowiadam mu o chacie, ludziach, którym pomagaliśmy, o tym, że nie wiedziałam, kto tak naprawdę mi pomagał, aż do dnia schwytania mnie w pałacu.

Władca słucha cierpliwie i zabiera głos, dopiero kiedy wreszcie milknę.

– Jak się znaleźliście w obozie buntowników?

Przełykam ślinę.

– Konsul Sallister groził, że wstrzyma transporty leku, jeśli Corrick nie powstrzyma ataków. Słyszeliśmy plotki o Benefaktorach i pomyślałam... – W gardle mi zaschło. – Pomyślałam, że ludzie zechcą z nami rozmawiać, jeśli powrócimy jako wyjęci spod prawa.

Zastanawia się przez chwilę nad moimi słowami.

– Jak wydostaliście się z pałacu niezauważeni?

Moje oczy zerkają na Quinta, nim zdołam je powstrzymać.

Król podąża za moim wzrokiem.

Marszałek bierze wdech, jakby szykował się do dłuższej opowieści, jednak pod nieustępliwym spojrzeniem króla wzdycha.

– Ja im pomogłem.

– I nie był to pierwszy raz, jak mniemam – komentuje Harristan. –

W przeciwnym razie Tessa nie prosiłaby o twoją obecność tutaj.

Quint spogląda na mnie.

– Nie, Wasza Królewska Mość – przyznaje.

– Przepraszam – szepczę.

– To nie czas na przeprosiny – wtrąca władca. Teraz patrzy na Quinta. – Od jak dawna?

– Od... paru lat.

– Paru lat – powtarza jak echo Harristan. Marszczy brwi. – *Dlaczego, Quint?*

– Na początku... po prostu dlatego, że księżę Corrick jest Najwyższym Sędzią Królewskim – mówi, jakby to tłumaczyło wszystko, i do pewnego stopnia tak jest. – Nie tyle pomagałem, ile przymykałem oko na jego tajemnicze nieobecności o świcie. Aż pewnego ranka nie pojawił się na umówionym śniadaniu z konsulem. Poszedłem dowiedzieć się, co się dzieje i jego strażnicy odpowiedzieli, że cały poranek nie wychodził ze swojej komnaty. Kiedy zapukałem, wpuścił mnie, jednak... był roztrzęsiony. W brudnym ubraniu, z pryszczami na dłoniach. Tej nocy siedział przy umierającym dziecku, dziewczynce, która kaszłała tak mocno, że nie mogła oddychać.

– Pamiętam to – mruczę cicho. – Pamiętam. Matka przez całą ciążę chorowała na gorączkę, ale piła napary, które jej przynosiliśmy i dziecko urodziło się zupełnie zdrowe. Niestety już po tygodniu zachorowało, zmarło od kaszlu na naszych oczach. – Przełykam ślinę. – Miał brudne ubranie, bo pomagał ojcu wykopać grób.

– Tak – potwierdza Quint. – Opowiedział mi o tym. Opowiedział mi wszystko. – Zerka na Harristana. – Pomagał swoim poddanym, Wasza Królewska Mość. Czy to zdrada?

Napięcie w komnacie jest olbrzymie.

Król przeciąga ręką po karku.

– Powinien był mi powiedzieć.

– *Nie mógł.*

Harristan ucisza mnie wzrokiem.

– Wiem – odpowiada ze spokojem. – Wiem, jak ryzykował. – Spogląda na Quinta. – Ty powinieneś był mi powiedzieć.

Quint milczy. Nie wygląda na wystraszonego. Raczej na zrezygnowanego.

Przyglądam się gniewnie władcy.

– Chcesz, żeby ci wszystko opowiedzieć, ale nie ułatwiasz tego – stwierdzam.

– Tesso – upomina marszałek.

– Nie chodzi mi tylko o Quinta – ciągnę. – Mówię też o Corricku. Powiedziałeś, że wiesz, jak ryzykował, ale chyba jednak nie. Ci buntownicy omal nie pobili go na śmierć, ponieważ nie chciał dać się im wykorzystać przeciwko tobie. Chciał poświęcić swoje życie, żeby chronić ciebie. On nie chce być okrutny. Nie chce nikogo zabijać. Robi to wszystko, żebyś ty nie musiał. Chce być *uczciwy*, chce być *sprawiedliwy*, chce być *lepszy*. Nie tylko dla ciebie. Dla całej Kandali. A ty... cóż, ty jesteś...

– Tesso.

Tym razem to nie głos Quinta, tylko Corricka. Stoi w drzwiach, a za nim Rocco. Jest trochę blady, siniaki na jego twarzy są dużo wyraźniejsze w sztucznym świetle pałacu. Opiera się ręką o futrynę, a od siły, z jaką ją ściska, kostki jego dłoni są białe.

– Corrick – dukam.

Kulejąc, podchodzi do stołu. Wstaję, żeby mu pomóc, lecz zatrzymuje się obok mnie. Muska wierzchem zdrowej dłoni moją i splata nasze palce, aż moje serce podskakuje. Patrzy jednak nie na mnie, a na króla.

– Powinieneś wypytywać Arellę i Roydana, a nie interesować się tym, jak spędzam swój wolny czas.

Harristan wpatruje się w Corricka, potem przenosi wzrok na Rocco.

– Co się stało? Dlaczego tu jesteś?

– Allisander przyszedł odwiedzić mnie w celi. Powiedział, że planuje zmusić cię, żebyś mnie przykładnie ukarał, a jeśli odmówisz, wystąpi wraz z innymi konsulami przeciwko tobie. Mówi, że ma dość sił, by to zrobić.

Oblicze Harristana ciemnieje.

– Zbyttno się rozzuchwalił.

– Zgadza się. Dlatego jest teraz zamknięty w celi.

– Corrick! Nie możesz...

– To już nie jest zwykłe zuchwalstwo, Harristanie. To rewolucja, która nadchodzi ze wszystkich stron. Nie wiem, z kim się porozumiał, ale mówi wprost o odsunięciu cię od władzy. Buntownicy z Dzicy mają materiały wybuchowe z Nabrzeża Kupców. Nie mamy pojęcia, jak zdołali przemyścić do sektora ilość wystarczającą, żeby zaatakować Twierdzę, co oznacza, że mogą

zaatakować znów dowolne miejsce w sektorze, także pałac. Nie mamy pojęcia, którzy konsulowie sprzymierzyli się z Sallisterem ani nawet czy staną po naszej stronie w razie rebelii.

Spoglądam to na niego, to na króla.

– Wspominałeś, że konsul Sallister ma własną armię.

– Ma – potwierdza Harristan. – Konsul Marpetta także ma znaczne siły chroniące Emberridge, jednak Lissa zawsze sprawiała wrażenie, jakby zadowalał ją status quo.

Corrick odwraca się do Quinta.

– Którzy konsulowie są teraz w pałacu?

– Prawie wszyscy – odpowiada marszałek. – Tylko Lissa Marpetta wróciła do swojego sektora.

– W Artis życie jest ciężkie – mruczę. – Nigdy nie słyszałam o żadnych siłach zbrojnych, a kiedy pracowałam u pani Solomon, na pewno takie informacje by do nas dotarły.

– Chciał srebra na most – przypomina Corrick. – Allisander powiedział, że powinniśmy byli mu je dać. Pamiętasz, jak mówiłeś mi, że najważniejsze są pozory? Miałeś wtedy na myśli relacje między mną a Allisandrem, choć moim zdaniem oni tylko udają, że się nie znoszą. Myślę, że Jonas z nim współpracuje.

Król spogląda na niego.

– Ale oni naprawdę... – Urywa i zaczyna kaszleć. Chwyta się krawędzi stołu.

Wszyscy mężczyźni wymieniają spojrzenia, co nie umyka uwadze Harristana. Zerka gniewnie na Corricka.

– Przestań. Już ci mówiłem. Nie potrzebuję... – Znów kaszle.

– Proszę – mówię, biorąc dzbanek. Nalewam gorącą herbatę do porcelanowej filiżanki i dodaję miód. Nie mam wagi, mimo to wrzucam kilka płatków do moździerza, żeby je utrzeć, lecz gdy tylko mój wzrok pada na płatki w kamiennej misce, ogarnia mnie niepewność.

Harristan znów kaszle.

– Tesso – mruczy Corrick.

– Chwila. Muszę pomyśleć. – Przyglądam się jedzeniu na stole. Tym razem nie ma lilii, ale brzegi jednego z półmisków zdobią gałązki tymianku.

Wysypuję płatki na ciemny obrus, ucieram tymianek i dodaję do filiżanki z herbatą i miodem.

– Gotowe – zwracam do Harristana. – Wypij.

Znów przyglądam się białym płatkom.

– Co robisz? – pyta Corrick.

– Te płatki są jakieś inne. – Szybko je segreguję. – Patrz – wskazuję ręką – to bez wątpienia są płatki Księżycowego Kwiatu. Za to te tutaj... nie jestem pewna.

– Są bardzo podobne – zauważa Quint. Nawet Rocco podchodzi, żeby się przyjrzeć.

– Takie same płatki widziałam w obozie buntowników – oznajmiam. Czuję, że jestem już blisko wpadnięcia na coś, choć jeszcze nie do końca. – Te, które rzekomo dostali od Benefaktorów.

Twarz Corricka jest bardzo poważna.

– Albo które pochodzą z ataków na transporty. – Zawiesza głos. – Są bardzo podobne, Tesso. Może to tylko jakaś anomalia rozwojowa albo...

– Nie! To nie ty je mieliłeś i odmierzałeś. Nigdy nie było... żadnej anomalii rozwojowej. – Urywam. – Corrick, mówiłeś, że nigdy nie kradłeś płatków z pałacu. Może... może... – Moje myśli rozbiegają się, kiedy próbuję je uporządkować. – Potrzebuję moich książek. Mój ojciec opisywał każdą nową roślinę.

Harristan znów kaszle, na szczęście już nie tak mocno.

– Co to wszystko znaczy?

– Pijesz eliksir trzy razy dziennie. A co, jeśli... – w głowie mam mętlik – ...co, jeśli ktoś uznał, że aż tyle nie potrzebujesz? Byłeś chorowitym dzieckiem, może rzeczywiście potrzebujesz więcej leku, żeby nie zachorować, ale jeśli ktoś ingerował w twoje dostawy...

– Obudź konsulów – nakazuje Harristan. Jego głos jest szorstki. – Musimy ustalić, z którego transportu pochodzą te płatki. Musimy ustalić, czy dostawa uległa zanieczyszczeniu, czy może ktoś...

Król zamiera, słysząc krzyki w korytarzu. Kolejny krzyk, potem uderzenie i trzask łamanego drewna. Potem wrzask kobiety.

Harristan i Corrick wymieniają spojrzenia. Rocco rusza w stronę drzwi.

Pałacem wstrząsa wybuch, od którego drży podłoga i szczeka porcelana na stole. Światła rozbłyskają oślepiająco, a potem całkiem

gasną, pogrążając pokój w ciemności rozświetlanej tylko blaskiem z paleniska. W korytarzu rozlegają się coraz głośniejsze krzyki. Po chwili od kolejnej eksplozji, tym razem bliższej, drżą szyby w oknach.

– Straż! – woła jakiś mężczyzna, ale serce tak głośno dudni mi w uszach, że przytłumia wszystkie inne dźwięki. Czuję rękę zaciskającą się na moim nadgarstku, ciągnącą mnie przez cienie. Gdzieś coś się pali. Zapach dymu jest inny niż palonego drewna. W gardle czuję gorzki smak.

Jeszcze jeden wybuch. Tym razem z okien lecą szyby. Podskakuję wystraszona i krzyczę.

Chwytają mnie czyjeś ręce, przyciągają do siebie.

– Tesso. – W uchu słyszę głos Corricka, niski i nagły. – Tesso, musimy uciekać.

Potem słyszę głosy i wrzaski w korytarzu. Wiele spanikowanych, przerażonych eksplozją.

Jednak nie wszystkie.

– Znajdźcie króla – nakazuje mężczyzna. Nie wiem, skąd to przekonanie, lecz wiem na pewno, że to nie głos strażnika.

– Strzelać do każdego, kogo zobaczycie – woła inny.

Dym wypełnia teraz korytarz; słyszę brzęk tłuczonego szkła. Rozlega się wrzask kobiety, który gwałtownie cichnie. Corrick ciągnie mnie za rękę – idę za nim w ciemność.

Rozdział trzydziesty siódmy

Corrick

Wiedziałem, że rewolucja nas dopadnie.

Ale nie spodziewałem się, że nastąpi to tak szybko.

Ani że nadejdzie ze wszystkich stron.

W sektorze wyją alarmy, jednak nie mam jak się dowiedzieć, czy zaatakowano coś jeszcze poza pałacem. Po komentarzach Allisandra nie wiem nawet, czy zostaliśmy zaatakowani przez buntowników, czy konsulów.

Korytarze są ciemne i wypełnione dymem, lecz wyczuwam ruch i słyszę krzyki oraz odgłosy walki. Co prawda nas nie widać, ale ich także nie. Z plecami przy ścianie przesuвам się w prawo, oddalając się od hałasów. Zgubiłem Rocco i innych strażników, którzy byli w korytarzu, za to Harristan i Quint są gdzieś przede mną. Tessa trzyma mnie mocno za rękę.

– Ten strażnik ma królewskie insygnia – rozlega się głos. – Musi być gdzieś blisko.

Zastygam. Tessa wbija palce w wewnętrzną stronę mojej dłoni. Nie śmiem wypowiedzieć imienia Harristana.

Głosy milkną. To nie wróży nic dobrego. Chcą wykorzystać ciemność przeciwko nam. Dym drażni gardło, staram się oddychać płytko.

Rozlega się kaszel Harristana.

– Tam! – woła mężczyzna. Słyszę *świst* strzały wystrzelonej z kuszy. Trafia w coś, jednak nie wiem w co. Gdzieś z przodu rozlega się krzyk mężczyzny.

W ciemności wyczuwam gwałtowne ruchy, co mówi mi, że wróg jest blisko. Ruszam naprzód, by ich powstrzymać. Dostaję łokciem w żebra. Wcześniejsze rany boleśnie dają o sobie znać. Padamy na ziemię. Wtedy uświadamiam sobie, że nie będę wystarczająco szybki, że to koniec.

Nagle ktoś podrywa ciało, które mnie przywaliło; słyszę nieomylnie dźwięk przeszywającego je ostrza i głuchy huk, gdy upada na posadzkę obok mnie. Słyszę jęk i dźwięki jakiejś szarpaniny. Udaje mi się odturlać na bok, nim poczuję kopnięcie ciężkim butem. Coś... ktoś... uderza o ścianę z głuchym, odrażającym dźwiękiem.

Opieram się rękami o zakurzoną powierzchnię, próbując pojąć, co się właśnie stało.

– Corrick? – W oddali słyszę krzyk Tessy. – Corrick.

Jakaś ręka muska moje ramię, na co odskakuję zaskoczony. To zbyt wiele gwałtownych ruchów naraz, muszę złapać równowagę. Biorę głęboki wdech i krztuszę się dymem.

– Wasza Wysokość? – To głos Rocco. Jest blisko. Uświadamiam sobie, że to jego ostrze mnie ocaliło, jego dłoń znalazła mnie w ciemności.

– Nic mi nie jest. Harristan?

Nie odpowiada, tylko kaszle, mocno.

– Musimy wydostać się z korytarza – woła gdzieś Quint.

Znajduję swoje kolana, potem znów ścianę.

– Idź do mojej komnaty – wołam.

Mój pokój jest w tylnej części pałacu, która, miejmy nadzieję, nie ucierpiała tak bardzo, jak frontowa. Mam tam w skrzyni liny, po których możemy wyjść przez okno, ale nie mam zamiaru wykrzykiwać tego na całe gardło.

Czołganie się w dymie wydaje się trwać całe wieki, jednak nie słychać już żadnych krzyków w ciemności. Wreszcie moja ręka natrafia na znajomy kształt klamki. Otwieram drzwi.

W pierwszej chwili wydaje mi się, że pomyliłem pokoje. Tu także nie działa światło i choć dym jest tu znacznie mniej gęsty niż w korytarzu, a w kominku pali się ogień, niewiele widać, bo pokój spowija coś na kształt mgły. Gdy piekące oczy zaczynają się przyzwyczajać, widzę mój stolik nocny, łóżko i dużą skrzynię stojącą pod ścianą.

Widzę Harristana, który nadal kaszle. Nawet tu słyszę jego świszczący oddech. Widzę Quinta opierającego się ręką o ścianę. Widzę strażników: Rocco i Thorina, którzy już targają komodę, żeby przystawić ją do drzwi.

Widzę Tessę z oczami pełnymi pytań, na które nie umiem odpowiedzieć.

– Kto? – pyta Harristan z trudem, łapiąc oddech.

– Nie wiem – odpowiadam zgodnie z prawdą. Patrzę na strażników. – Widzieliście coś?

– Tylko mężczyzn – mówi Thorin.

– Z kuszami – dodaje Quint tonem, który każe mi spojrzeć na niego. Ręka oparta o ścianę zostawia ciemny ślad, a jego kaftan jest rozpięty, odsłaniając powiększającą się plamę w okolicy pasa.

– Quint? – dukam zaalarmowany. Przypominam sobie dźwięk pierwszej strzały, która trafiła w coś, kiedy Harristan zakaszła.

Marszałek zbywa mnie machnięciem ręki.

– Nic mi nie będzie.

Rozlega się szcęk klamki. Thorin i Rocco wymieniają spojrzenia na chwilę przed tym, jak coś ciężkiego uderza w drzwi. Komoda przesuwa się kilka centymetrów, nim obaj opierają się na niej.

Tessa mnie obserwuje.

– Możemy znów wyjść oknem?

Kuśtykam we wskazanym kierunku i wyglądam w mrok. W oddali widać blask Łuku Stonehammer, ale wokół pałacu panuje kompletna ciemność. Alarmy cały czas wściekle wyją, powietrze wypełnia dym.

Lina, której użyliśmy z Tessą, żeby uciec, nadal leży zwinięta pod oknem, przywiązana potrójnym węzłem do okucia przy parapecie.

Coś ciężkiego uderza w drzwi. Drzewo trzeszczy, komoda skrzypi o podłogę. Rocco przeklina.

Tessa jest przy mnie.

– Dasz radę zejść?

– Tak – stwierdzam z przekonaniem. Choć... pewnie nie. Nawet jeśli zdołam zaplątać linę wokół buta i utrzymać się na nodze, moje ramię nie udźwignie ciężaru całego ciała. Jednak wolę spaść, niż zginąć od strzały wymierzonej prosto w twarz, co wydaje się bardziej niż pewne, jeśli się stąd nie wydostaniemy.

Mój brat także podszedł do okna. Wpatruje się w mrok, znowu kaszle, potem bierze głęboki wdech.

– Harristan, pamiętasz, jak to jest wspinać się po linie?

– Przecież to ja cię tego nauczyłem, Cory – mówi na wydechu. Bierze do ręki linę.

– Jeden z nas powinien pójść pierwszy, Wasza Królewska Mość – woła Rocco. Przy kolejnym uderzeniu z drzwi lecą drzazgi.

– To się pospiesz – rzucam. Podchodzę do komody i zapieram się ramionami. Nie wiem, ilu jest ich po drugiej stronie, ale pewnie z pół tuzina. – Idź, Thorin.

– Nie! – woła Harristan.

– Jesteś królem – przypominam. – Leć. Uciekaj.

Thorin znika za oknem, a za nim mój brat. Tessa i Quint podchodzą do parapetu.

– Idźcie – zwracam się do nich. Kolejne uderzenie w drzwi. Przez otwór wpadają zapalone szmaty: lądują na komodzie, która niemal natychmiast się zapala.

– Nie – woła Quint. – Corrick, ty jesteś...

– Idź! – krzyczę na niego. Skręcona kostka nie wytrzyma długo, muszę lepiej zaprzeć się o komodę. Płomienie wydają się blisko, boję się spojrzeć i sprawdzić, jak bardzo. Zaciskam zęby z bólu i gorąca. – Idź, Quint, już. Ty też, Tesso.

Buntownicy znów uderzają w drzwi. Lecą kolejne drzazgi. Ogień objął już ścianę za mną. Słyszę wrzaski.

Quint i Tessa znikają za oknem.

Patrzę na Rocco zapiętego na komodzie tak samo jak ja. Z jego czoła po policzkach spływa pot.

– Proszę biec, Wasza Wysokość – wykrztusza. – Spróbuję załatwić trochę czasu.

– Ty idź – dyszę, próbując zająć stabilniejszą pozycję, gdy komoda zaczyna przesuwać się po podłodze. – Leć z nimi. Harristan będzie potrzebował drugiego strażnika. – Posyła mi miazdzące spojrzenie, jednak nim zdoła się odezwać, dodaje: – To jest rozkaz, Rocco.

– Nie mogę tu zostawić Waszej Wysokości.

– A ja nie mogę biec. – Śmieję się, choć wcale nie jest mi do śmiechu. Komoda przesuwa się o kolejne centymetry; krztuszę się własnym oddechem.

– A ja nie umiem się wspinać.

Następny centymetr. Przyciskam czoło do komody. Pokój wypełnia się dymem i już wiem, że nie dam rady na długo utrzymać tych drzwi.

– Proszę, Rocco.

– Tak jest, Wasza Wysokość.

Puszczą skrzynię. Przysuwa się o jakieś piętnaście centymetrów. Nie miałem pojęcia, że trzymał ją z taką siłą. Po drugiej stronie słycać okrzyki triumfu. Nie wytrzymam dłużej, zresztą to raczej bez znaczenia, bo za chwilę szpara będzie wystarczająco duża, by weszli.

Szkoda, że nie poprosiłem Rocco, żeby zostawił mi broń.

Choć z drugiej strony może im szybciej, tym lepiej.

Czuję, jak ktoś bierze mnie pod ramię, stawia na nogi i ciągnie do przodu. Potykam się o własne stopy, zanim dociera do mnie, że to Rocco taszczy mnie przez pokój.

– Kazałem ci iść – mruczę.

– Ukarze mnie Wasza Wysokość później. – Bierze linę. – Proszę się mnie złapać, dobrze?

Drzwi otwierają się z hukiem. Rocco nie czeka na odpowiedź. Już wisimy na linie. Przez jedną przerażającą chwilę świat wiruje jak szalony – przed oczami miga mi co chwila płonący łuk. Czuję pod palcami linę, zatem chwytam ją sprawną ręką, próbując utrzymać własny ciężar, lecz i tak obniżamy się za szybko. Nogi Rocco uderzają w mur, gdy opuszcza się w dół.

Słyszę świst. Dopiero po chwili rozpoznaję ten dźwięk. W ciemności pod nami rozlega się krzyk Tessy. W oknie jest mężczyzna z kuszą.

– Biegnij! – wołam. – Uciekaj, Tesso.

Powinna była pójść z Harristanem. Nie powinno jej tu być.

Czuję mocne szarpnięcie liny. Rocco przeklina. Jeszcze raz odbijamy się od ściany.

Potem lina pęka.

Spadamy. Ból jest *spektakularny*. Próbuję się przeturlać, jakby to mogło przynieść jakąś ulgę. Nie przynosi.

– Corrick – słyszę głos Tessy, cichy i pełen desperacji. – Corricku, musisz wstać.

Śmig. Czuję, jak strzała przelatuje tuż obok mojej głowy, jednak nie jestem w stanie się ruszyć. Tuż obok mnie rozlega się dźwięk ładowania kuszy; wzdrygam się, ale po chwili dociera do mnie, że to Thorin i Rocco odpowiadają ogniem. Mężczyźni na górze kłócą się o to, kto przeciął linę.

Znów ktoś mnie podnosi. Ktoś wsuwa swoje ramię pod moje. Mam mroczki przed oczami, widzę płomienie. Płomienie buchające z dziesiątek okien na tylnej ścianie pałacu. Alarm nadal wyje, a ja chcę tylko tu leżeć. Nie wiem, kto mnie prowadzi, jednak jeśli to Rocco, będę musiał przestać go nienawidzić.

Potem słyszę w uchu głos Harristana, szorstki i umęczony:

– Ścigamy się do furtki?

Naśmiewa się z naszych dziecięcych zabaw. Jego głos jest cichy i bliski – uświadamiam sobie, że to on mnie niesie. Mrugam. Twarz ma ubrudzoną sadzą, a oczy pociemniałe od troski.

– Tym razem ty wygrasz – odpowiadam.

– Chodź, Cory – mruczy i robi krok w przód, podtrzymując mój ciężar i dysząc z wysiłku. – Powiedzmy, że jest remis.

Rozdział trzydziesty ósmy

Tessa

Już ja z Corrickiem ledwie mieściliśmy się w chacie. Gdy jest nas tu czwórka, robi się naprawdę ciasno. Przyjście tu, gdzie ostatnio znaleźli nas buntownicy, wydaje się ryzykowne, ale jesteśmy poza granicami sektora i nie mam innego pomysłu. Strażnicy są na zewnątrz – Rocco przy drzwiach, a Thorin kręci się w pobliżu. Król nie chce ryzykować rozpalenia ognia, jednak mamy świece, które Quint zapalił na stole, więc nie siedzimy w kompletnej ciemności. Corrick siedzi wyprostowany na krześle, oddycha płytko, a ramieniem obejmuje się za brzuch, jakby wszystko go bolało. Przypominam sobie, jak całowaliśmy się tutaj, jak ciepło jego ust i dłoni ogrzewało mnie całą. Nie minął nawet dzień od tamtej chwili, a wydaje się, że minęły tygodnie.

Alarmy w sektorze dalej wyją, lecz tu nie są już tak głośne i nie wywołują paniki, bo jedyna osoba, o którą się zawsze martwiłam, słysząc je w oddali, jest tu ze mną.

Stawiam niski stołek obok krzesła Corricka i siadam przy nim.

– Mam tu jeszcze trochę ziół – oznajmiam łagodnie, dotykając jego dłoni. – Ale nie mogę przygotować naparu bez ognia.

Corrick potrząsa głową, jednak zaciska swoje palce wokół moich. Oczy stale mu się zamykają.

Harristan spogląda na drzwi, potem znów na okno. Przeciąga dłonią po twarzy i przez dłuższą chwilę przygląda się bratu.

– Powinienem być ci powiedzieć – odzywa się Corrick, jakby czuł na sobie jego spojrzenie. Mówi wolno, z trudem. – Przykro mi.

– I mnie też – dodaje Quint. Siedzi w kącie oparty o ścianę.

Wiem, że nie przepraszają za to, co robili, tylko za ukrywanie tego przed nim, lecz ja nie żałuję niczego. Zrobiłabym to jeszcze raz, gdyby było trzeba. Nie byliśmy w stanie pomóc całej Kandali, za to

pomogliśmy wszystkim, którym mogliśmy, nie krzywdząc przy tym nikogo.

Harristan wzdycha.

– Cokolwiek zrobiłeś, nie ty wywołałeś tę rewolucję.

Corrick nie odpowiada. Zastanawiam się, czy nie zasnął. Cienie pod jego oczami wydają się ciemniejsze. Mówił, że kostka nie jest złamana, a jednocześnie nie był w stanie oprzeć na niej ciężaru ciała, kiedy szliśmy do chaty, i nim strażnicy dowlekli go do środka, był mokry od potu, więc to oczywiste, że cierpi bardziej, niż się do tego przyznaje.

Harristan też mu się przygląda. Z westchnieniem rozpina swój kaftan, zdejmując go i okrywa nim brata, potem wraca na miejsce przy palenisku. Przez dłuższą chwilę siedzimy w ciszy, która staje się coraz gęściejsza, coraz bardziej przepełniona obawą. Zastanawiam się, ile osób mogło być w pałacu, ile zostało zabitych, ile zdołało uciec. Corrick wspominał, że rebelia nadchodzi z obu stron.

Zastanawiam się, czy Karri także brała udział w ataku. Lochlan. Earle. Wszyscy, którym pomagaliśmy.

Myślę o tym, co zrobili Corrickowi. Atak na pałac wydaje się całkiem prawdopodobny.

Dłoń Corricka staje się bezwładna. Zerkam na niego zaniepokojona – jego oddech stał się głębszy. Śpi.

– Quint – odzywa się łagodnie Harristan, wrywając mnie z zamyślenia.

– Tak, Wasza Królewska Mość?

– Nadal krwawisz.

– E... to nic. – Mimo to głos Quinta jest delikatniejszy niż zwykle.

– To przez wysiłek.

Harristan już wstał i stanął przed Quintem. Marszałek dworu siedział cały czas z założonymi rękami, ale teraz widzę, że uciskał ranę.

– Quint – szepczę. Powinnam była zauważyć. Powinnam była się zorientować. Skupiłam całą uwagę na Corricku, a teraz ogarnia mnie poczucie winy. – Trzeba było powiedzieć.

– Książę Corrick *dużo bardziej* ...

– Pokaż – nakazuje Harristan głosem, który, jak zawsze, nie pozostawia pola do dyskusji.

Quint waha się, jednak opuszcza rękę i odsuwa połą kaftana. Całą lewą stronę koszuli pokrywa ciemna plama krwi. Król wpatruje się w nią przez chwilę, potem zwraca się do mnie:

– Masz tu jakieś rzeczy?

– Nic do szycia – odpowiadam. – Mam muślin, żeby zrobić opatrunek. – Przynoszę rolkę materiału, której używałam, żeby opatrzyć ramię Corricka, i małe nożyczki, którymi rozcinaliśmy woreczki z płatkami Księżycowego Kwiatu.

– Naprawdę nie trzeba... – mamrocze Quint. – To tylko draśnięcie.

– Siedź – rzuca Harristan. – Zdejmij kaftan.

Marszałek posłusznie wykonuje polecenie.

Spodziewam się, że Harristan stanie z boku i pozwoli mi opatrzyć ranę, tymczasem wyciąga do mnie rękę po muślin.

Biorę wdech, żeby powiedzieć, że ja to mogę zrobić, lecz dochodzę do wniosku, że lepiej po prostu dać mu, o co prosi. Rozwija długi pasek materiału i przecina go sprawnie.

Quint się temu przygląda, potem zerka na mnie i znów na króla.

– Wasza Królewska Mość, jesteś królem – zaczyna. – Jeśli mogę...

– Wiem, kim jestem, Quint. – W głosie Harristana nie ma zniecierpliwienia, które słyszałam wcześniej. Jest w nim... troska. Podnosi brzeg koszuli marszałka. Wzdrygam się na widok rany. Strzała rozcięła bok, tworząc kilkunastocentymetrową szramę. Nie wiem, jak jest głęboka, ale po krwawieniu widać, że bez szwów się nie obędzie. Pewnie ma rację, że gdyby nie wysięk, aż tak by nie krwawił.

Harristan ciasno owija ranę muślinem, tymczasem Quint z sykiem nabiera powietrza. Niemniej król jest szybszy, niż się spodziewałam. Jego palce zwinnie, a jednocześnie delikatnie owijają dwukrotnie materiał wokół pasa mężczyzny, a na koniec zgrabnie zawiązują mocny supeł.

– Znasz się na tym – przyznaję szczerze.

Harristan zerka na mnie.

– Byłem chorowitym dzieckiem. Wiele czasu spędzałem z pałacowymi medykami. – Znów patrzy na Quinta. – Powinno wytrzymać do czasu, gdy będzie cię można należycie opatrzyć.

Pacjent marszczy czoło.

– Dziękuję, Wasza Królewska Mość.

– To ja dziękuję *tobie*. Tamta strzała była przeznaczona dla mnie.
Harristan mówi to tak po prostu, potem zwija resztę muślinu i odwraca się do mnie.

– Kto jeszcze wie o tym miejscu?

– Buntownik Lochlan – mruczę. – I ci, którzy z nim tu wtedy przyszli.

– A czego chcą? – pyta.

Wpatruję się w niego.

– Nie bardzo rozumiem.

– Zaatakowali pałac, Tesso. – Zawiesza głos. – Czego chcą ode mnie? Srebra? Leku? Pełnego ułaskawienia?

Myślę o wszystkich ludziach, którzy rzucili się na Corricka. Był pewien, że będą go chcieli użyć przeciwko Harristanowi, jednak tego nie zrobili. Chcieli tylko zemsty.

– Nie wiem, kim są Benefaktorzy, ale ludzie tylko... – przełykam ślinę – ...chcą tylko przestać umierać.

Odwraca wzrok, a po chwili odpowiada ściszym głosem:

– Ja też tego chcę.

Słyszę w jego wyznaniu szczerość. Słyszę ją od pierwszego spotkania z nim w pałacu. Widziałam ją w tym, jak opatrywał ranę Quinta. On i jego brat przez lata robili to, co uważali za konieczne, żeby przetrwać, a po drodze niszczyli samych siebie.

– Corrick sugerował, że to może być Arella i Roydan – mruczy marszałek.

Król przesuwa dłonią po szczęce.

– Tak. Wspominał o nich. I choć potrafię sobie wyobrazić, że Arella przybiera radykalną postawę, to Roydana już nie. Z drugiej strony nie posądzałbym także innych konsulów, że wystąpią przeciwko *mnie*, a jednak to zrobili. – Potrząsa głową. – Nie mogę tu zostać. Nie będę krył się w cieniu, kiedy sektor płonie.

– Wasza Królewska Mość nie może tam wrócić – stwierdza Quint.
– To zbyt niebezpieczne.

– Chyba zbyt długo pozwalałem innym decydować o tym, co jest dla mnie najlepsze. – Harristan odwraca się do mnie. – A ty? Po której jesteś stronie?

Wbijam w niego wzrok.

– Ja też chcę, żeby ludzie przestali umierać.

– Nie jestem w stanie zwalczyć choroby, Tesso. Zrobiłbym to, gdybym mógł. – Urywa. – Pytam, po której stronie byś teraz stała, gdyby nie oszustwo mojego brata?

Oszustwo. Biorę wdech i myślę o mojej ostatniej rozmowie z Westonem Larkiem. Odpowiadam głosem łagodnym, a przy tym mocnym:

– Sama podpalałabym lont.

Król uśmiecha się, choć dość ponuro.

– Dużo łatwiej rozpętać wojnę, niż ją zakończyć. – Milknie. Lustruje mnie spojrzeniem pełnym chłodnego osądu. – Buntownicy torturowali Corricka, ale ciebie nie.

Patrzę na niego z gniewem.

– Myślisz, że to było ukartowane i brałam w tym udział?

– Nie. – Podchodzi do mnie, a wzrok ma tak zimny, jaki potrafi mieć też Corrick. – Przyjdzie taki dzień, że nasza rozmowa nie skończy się rzucaniem oskarżeń – oświadcza. – Chodzi mi o to, że nic ci nie zrobili. – Przerywa. – Nie ufali Najwyższemu Sędziemu Królewskiemu. Za to ufają wyjętej spod prawa Tessie.

Tracę dech. Tak. Ufają. Pamiętam łagodną dłoń Earle’a na moim ramieniu, gdy Corrick prosił Lochlana o szybką śmierć. Nawet porywacz obchodził się ze mną delikatnie. Kazał jednemu ze swoich ludzi rozciąć sznur, którym miałam skrupowane ręce, kiedy wreszcie mnie posłuchali i przestali bić Corricka.

– Co chcesz powiedzieć? – pytam szeptem.

– Że wojna przyniesie znacznie więcej ofiar niż choroba. Moi żołnierze już na pewno się bronią. Gdy tu rozmawiamy, ludzie umierają na ulicach. Po obu stronach. Jeśli nie zdołam przywrócić porządku, rewolucja rozleje się poza Sektor Królewski. – Wzdycha. – Zbyt długo ulegałem żądaniom konsula Sallistera. Zbyt długo ulegałem żądaniom możliwych. Teraz wysłucham poddanych.

Nie przestaję go obserwować.

– Nie wiem, co mogę obiecać – zastrzega się. – Zmiany nigdy nie są ani szybkie, ani łatwe. Ale chciałbym spróbować. Pomożesz mi?

Zasycha mi w ustach. Zerkam na Corricka, który zapadł w głęboki sen. Nie wiem, co powiedzieć. Może buntownicy nie czują do mnie nienawiści, tyle że nie ma pewności, że mnie posłuchają. Nie jestem też do końca przekonana, czy mogę ufać Harristanowi. Może

naprawdę chcieć powstrzymać śmierć swoich poddanych, ale możemy mieć zupełnie różne pomysły, jak to zrobić. Wiem, że nie może po prostu pstryknąć palcami i wszystkiego zmienić. Z drugiej strony nie jestem aż tak naiwna, żeby wierzyć, że zrobiłby to, gdyby mógł.

Myślę o moim ojcu, który działał przeciw tronowi. Czy zrobiłby to, o co prosi król? Czy może raczej czułby się zawiedziony, że nie jestem teraz na ulicach z buntownikami?

Harristan przygląda mi się. Jestem pewna, że potrafi odczytać każdą emocję, jaka maluje się na mojej twarzy. W jego oczach, jak zwykle, jest wyrachowanie i przebiegłość.

– Może powinienem był najpierw zapytać, czego ty chcesz.

Wycieram spocone dłonie o spódnicę.

– Chcę... – Głos z trudem wydobywa mi się z gardła, przez co muszę odkaszlnąć. – Chcę, żeby ludzie przestali umierać. Jednak wszyscy tego chcemy. – Biorę wdech i spoglądam na niego. – Chcę łaski dla buntowników. Czy może... – szukam właściwego słowa – ... może raczej amnestii. Jednego i drugiego. – Zerkam na śpiącego Corricka okrytego kaftanem brata. Muszę ostudzić nerwy, żeby dokończyć. – Także dla tych, którzy mu to zrobili.

Twarz Harristana robi się bardziej surowa, więc szybko mówię dalej:

– Nie będą chcieli cię słuchać, myśląc, że za pobicie Najwyższego Sędziego Królewskiego czeka ich egzekucja.

– Dobrze – zgadza się. – Coś jeszcze?

Nie mogę uwierzyć, że właśnie negocjuję z królem. Nie wiem, o co jeszcze mogłabym prosić. Lek dla wszystkich? Wiem, że tego nie może obiecać. Nagle przychodzi mi do głowy pewna myśl.

– Chcę, żebyś pozwolił Corrickowi przestać być Najwyższym Sędzią Królewskim – proponuję łagodnie.

Na te słowa Harristan marszczy brwi.

– Nie zmuszałem go, by pełnił tę funkcję.

– Wiem. Wiem. – Wzdycham. – Ale... – Milknę.

– Jeśli mogę się wtrącić – odzywa się Quint – do twoich negocjacji...

– Proszę – odpowiadam, a w tym samym momencie Harristan rzuca:

– Nie.

Krzyżuję ramiona na piersiach.

Król uśmiecha się. Po raz pierwszy uśmiech widać nawet w jego oczach. Ciekawe, czy ukrywa tak samo dużo jak Corrick.

– Mów, Quint.

– Być może książę Corrick nie potrzebuje formalnej zgody Waszej Królewskiej Mości – kontynuuje Quint – jednak myślę, że bardzo wiele znaczyłoby dla niego, gdyby ją dostał.

– Dobrze – zgadza się Harristan. Nadal nie spuszcza ze mnie wzroku. – Coś jeszcze?

Zastanawiam się.

– Nie.

– Nie chcesz niczego dla siebie? Nie poprosiłem cię o drobną przysługę, Tesso.

Przez pół sekundy moje myśli wirują. Jest królem. Tyle że nigdy nie robiłam niczego dla zysku i nie mam zamiaru zmienić tego teraz, gdy pomagam negocjować pokój. Ale myślę o pani Solomon i o tym, że nie mam już u niej czego szukać.

– Będę potrzebowała jakiejś pracy – oznajmiam – i dachu nad głową. Nic... szczególnego, oczywiście. Poza tym wcześniej proponowałeś mi możliwość zmodyfikowania dawek. – Zawieszam głos, zastanawiając się, czy nie żądam zbyt wiele. – Chciałabym dostać tę szansę jeszcze raz. Kiedy już to się skończy.

– Załatwione – oświadcza król i prostuje się. – Quint, zostań tu z Corrickiem. Zostawię do waszej dyspozycji Rocco.

Marszałek wstaje; wygląda na kompletnie zaskoczonego.

– Wasza Królewska Mość...

– Jesteś ranny, on też. Jeśli to miejsce jest tak odległe, jak się wydaje, będziecie tu względnie bezpieczni. – Odwraca się do mnie. – Jesteś gotowa pośredniczyć w negocjacjach?

Czuję, jak krew odpływa mi z twarzy. Starczyłoby mi odwagi, żeby podpalić lont. Ale z jakiegoś powodu próba gaszenia pożaru wydaje się bardziej przerażająca.

Tymczasem król już oferuje mi ramię i, tak jak Corrick, nie pozostawia wielkiego wyboru.

Dlatego je przyjmuję.

Rozdział trzydziesty dziewiąty

Tessa

Myślałam, że będziemy przechodzić przez mur albo wracać tunelem, ale zamiast w stronę Sektora Królewskiego, Harristan rusza w głąb Dżicy. Powiedział, że chce wejść przez bramę, żeby mieć przy sobie więcej straży, nim staniemy do walki. Kaftan zostawił bratu, do tego zdjął pierścienie z palców i zamienił swój wysadzany kamieniami pas ze sztyletem na mniej zdobny pas Quinta. Thorin nadal ma swoją broń, lecz także jest w samej koszuli, bo Harristan nie chciał, by ktoś zobaczył królewskie insygnia na jego mundurze. W ciemności nikt go nie rozpozna. Pod warunkiem, że nie będzie się zbyt przyglądał.

Przemierzałam te ścieżki z Corrickiem miliony razy, jednak z jego bratem to coś zupełnie innego. Syreny w sektorze ucichły, mimo to wciąż widzę snopy światła z reflektorów przebiegające w równych odstępach po murze. Cały czas zerkam na króla, jakby miał zniknąć, jakby wszystko aż do tego momentu było tylko snem. Na jego twarzy widać już efekt braku golenia, przez co wygląda młodziej, może trochę mniej onieśmielająco. Myślę o Lochlanie i pozostałych; nie jestem pewna, czy dobrze robię. Im dalej jesteśmy, tym bardziej zwracam uwagę na świszczący oddech władcy. Niby nie kaszle, ale brzmi tak, jakby zaraz miał zacząć.

– Może odpoczniemy? – pytam ostrożnie i szybko dodaję: – Wasza Królewska Mość.

Spogląda na mnie.

– Ja nie potrzebuję, a ty?

Unoszę brwi, lecz idę dalej.

– I nie możesz się tak do mnie zwracać – oznajmia. – Nie tutaj.

– Oczywiście. Przepraszam.

– Jak nazywał siebie mój brat?

W zasadzie nie chcę odpowiadać, ponieważ przez krótką chwilę martwię się, że będzie chciał wykorzystać jego przezwisko, a ta sekretna postać, którą wymyślił Corrick, jest czymś cennym i tylko moim. Tyle że to głupie, a ja jestem zbyt zmęczona, by wymyślić jakieś sprytne kłamstwo, więc rzucam:

– Wes. Weston Lark.

Król jest zdumiony.

– *Naprawdę?* – Śmieje się lekko. – Chociaż chyba nie powinno mnie to dziwić.

– Dlaczego?

– Bo tak siebie nazywał, gdy w dzieciństwie wymykaliśmy się do Dżicy. – Przez chwilę milczy; pewnie wspomina tamte czasy. – Czy wiesz, choć pewnie nie, że Weston i Lark to imiona psów myśliwskich naszego ojca?

Chichoczę, mimo że wcale nie chcę.

– Nazwał się imionami psów?

– W rzeczy samej.

– A ty jaki miałeś pseudonim?

– Sullivan, tak jak najszybszy koń w naszej stajni. Corrick nazywał mnie Sully.

Najszybszy koń w stajni. Omal nie ryknęłam śmiechem. Mali chłopcy.

Ta myśl wydaje się na swój sposób zaskakująca. Odkąd zakradłam się do pałacu, już wiele razy widziałam bliskość, jaka jest między nimi, a jednak nadal mnie to zdumiewa. To jest w nich najbardziej ludzkie. I najbardziej... *delikatne*.

– Powiedz, o czym myślisz, Tesso – odzywa się Harristan, a ponieważ nie ma w jego głosie rozkazu, odpowiadam.

– O tym, że ludzie mogliby was kochać – mruczę łagodnie. – Nawet wtedy, gdy dręczy ich choroba.

Zerka na mnie i nic nie mówi.

Rumienię się i patrzę przed siebie.

– Myślałam o tym, że tak naprawdę nie jesteście okropni. A on nie jest okrutny. Nie mam pojęcia, jak to było stracić waszych rodziców, ale wiem, jak czułam się, kiedy straciłam moich. Nie potrafię sobie wyobrazić, że po tym wszystkim musiałabym... rządzić krajem. Gdy

moi rodzice zginęli, nienawidziłam nocnych patroli. A kogo wy nienawidziliście? Wszystkich w pałacu?

– Tak – stwierdza po prostu. Jego oczy są teraz zasłane cieniem. Wokół nas unosi się poczucie straty. – Cóż. Prawie wszystkich.

Corrick.

Sięgam po dłoń króla i ściskam ją lekko, żeby okazać współczucie. To odruch: tak samo zachowałabym się w stosunku do Corricka, właściwie w stosunku do każdego.

Tymczasem król gapi się na mnie ze zdziwieniem, dlatego szybko puszczam jego rękę.

– Przepraszam, Wasza... yy... Sully, Sullivanie.

Przełykam ślinę.

Nic nie mówi. Thorin, idący za nami, też nic nie mówi.

Kiedy zginęli moi rodzice, miałam Corricka, a Corrick w pewnym sensie miał Quinta i miał mnie.

Tak wiele z siebie ukrywał przed bratem. Żeby go chronić, to jasne, lecz to stworzyło między nimi barierę. Zastanawiam się, kogo po śmierci rodziców miał Harristan. Czy w ogóle kogoś miał.

Gdy spoglądam na niego, nadal się we mnie wpatruje.

– Jestem królem – przypomina. – Nie zasługuję, by ktokolwiek mnie żałował.

– Ja cię nie żałuję.

– Nie umiesz kłamać, Tesso. – Potrząsa głową i wbija wzrok przed siebie, a potem nagle zatrzymuje się tak niespodziewanie, że Thorin dobywa miecza.

Ale król tylko się przygląda. Dotarliśmy do polany przed bramami. Wszędzie jest pusto, co nie jest szczególnie dziwne, zważywszy, że jest środek nocy. Z głębi sektora dobiegają krzyki i wrzaski. A tu – wysadzone bramy, wyrwane z zawiasów, zamieniły się w płataninę stali leżącą na ziemi. Posterunek straży jest opuszczony.

Ciała, które tutaj wisiały, zniknęły, a w ich miejsce łopoczą wielkie białe płachty z wymalowanym na nich jednym słowem – „Bunt”.

– Miałem nadzieję, że będą tu strażnicy – mruczy Harristan. Odwraca się do Thorina. – Co radzisz?

Strażnik nie zastanawia się nawet chwilę.

– Możemy spróbować przedrzeć się bocznymi ulicami, ale nie znamy skali zniszczeń w sektorze. Mogą być też szabrownicy. –

Przerywa. – Wolałbym nie iść pieszo. Możemy spróbować w stajniach Fostersa. To niedaleko od pałacu, jednak może to być ryzykowne, jeśli buntownicy byli tam przed nami.

– Nie sądzę, żeby buntowników interesowały konie – wtrącam się. Obaj przenoszą spojrzenia na mnie. – Niewielu ludzi z Dziczy umie jeździć konno. W żadnym z dwóch obozów, które widziałam, nie było śladu kopyt. – Urywam. – Mnie nie przyszłoby do głowy szukać konia. Ludzie z Dziczy przywykli wszystko robić sami, także się przemieszczać.

Król potakuje głową.

– W takim razie ruszamy do stajni Fostersa.

Rozdział czterdziesty

Corrick

Gdy się budzę, tętniący ból głowy staje się nie do zniesienia. Mam ochotę ją odciąć. W ustach mam posmak padliny. Jestem zdezorientowany, obraz przed oczami jest lekko rozmyty, ale rozpoznaję ściany chaty. Na stole palą się trzy małe świece. Prostuję się i widzę Quinta drzemiącego przy ciemnym palenisku.

Nie ma nikogo innego.

– Quint – odzywam się.

Zaskoczony podskakuje, jednak zaraz potem krzywi z bólu i przyciska dłoń do boku.

– Corrick. Rocco przyniósł trochę wody z beczki. Może...

– Gdzie Tessa? Gdzie Harristan? – Patrzą na niego, mrugając szybko i próbując zmusić umysł do pracy. – Co się stało? Jesteś ranny?

– Poszli – odpowiada. – Twój brat poszedł negocjować z buntownikami.

Wpatruję się w niego. Mrugam z niedowierzania.

– Czy ja śnię, czy właśnie powiedziałeś, że mój brat poszedł negocjować z buntownikami?

– Jest z nim Tessa, żeby pomóc.

Przykładam dłoń do twarzy.

– Co zrobili? – Nie potrafię zebrać myśli. – Zostawił nas tu samych?

– Nie, zostawił z nami Rocco, który...

– Rocco! – wołam.

Drzwi otwierają się niemal natychmiast.

– Wasza Wysokość?

– Czy wiesz, dokąd udał się mój brat?

– Spróbować powstrzymać buntowników przed dalszymi atakami.

– To właśnie powiedziałem – burczy Quint.

Muszę potrzebować oczy. Wreszcie mogę spojrzeć na strażnika.

– Rocco, musimy wrócić do sektora. Musimy mu pomóc.

Przez ułamek sekundy myślę, że odmówi. Należy do osobistej straży mojego brata i nie zrobi nic, co mogłoby mu się nie spodobać. Jednak jego odpowiedź wskazuje, że chyba martwi się o króla tak samo jak ja.

– Tak, Wasza Wysokość.

Z trudem staję na nogach; kręci mi się w głowie. Muszę chwycić się stołu. Rocco rzuca się w przód, by mi pomóc.

Podnoszę na niego wzrok.

– Przykro mi, że nie masz spokojnej nocy, na jaką liczyłeś.

– Nie liczyłem na spokojną noc.

– To dobrze – mruczę. – Quint, idziesz? Będziemy potrzebowali koni.

Rozdział czterdziesty pierwszy

Tessa

Miałam rację. Stajnie są nietknięte. Ulice w tej części sektora są opustoszałe, a w powietrzu czuć ciężki zapach dymu. Nad pobliskimi budynkami widać czerwoną łunę. Światła reflektorów już nie wędrują po murach. Spodziewałam się na ulicach nocnych patroli czy choćby żołnierzy, ale może wszyscy są w pałacu. Nawet w stajniach nie ma nikogo.

– Ludzie się boją – stwierdza Harristan, gdy komentuję tę sytuację.

To najbogatsze osoby w Kandali, tymczasem ukrywają się przed najbiedniejszymi. Cały ten czas myślałam, że ludzie mieszkający za tymi murami mają potężną władzę, lecz może się myliłam. Wszyscy mamy władzę.

Nie umiem jeździć konno, jednak Harristan przerzuca nogę przez grzbiet małego stępaka, a potem pociąga mnie w górę i sadza za sobą. Nie chcę zrobić niczego niestosownego, ale cmoka na konia i ruszamy naprzód, więc obejmuję go w pasie i trzymam mocno.

– Nie dam ci spaść – zapewnia, tyle że to mnie nie uspokaja, kiedy niepokojąco szybko mkniemy po brukowanych ulicach. Spoglądam nerwowo przed siebie.

Thorin jedzie przed nami, niemal niewidzialny na swoim koniu. Dookoła panuje gęsty mrok. Spędziłam w pałacu tylko kilka dni, a już prawie zapomniałam, jak sektor wygląda w środku nocy. Wszystko jest ciche i szare, bez kolorów. Jesteśmy niedaleko murów; dopiero po chwili dociera do mnie, że nie jedziemy w stronę pałacu.

– Dokąd jedziemy? – pytam.

– Zbliżymy się do pałacu od strony północnej – odpowiada król. – Objedziemy Krąg i skierujemy się w stronę kwatery wojska. Tam mamy największe szanse natrafić na strażę i żołnierzy.

– Myślisz, że będą chcieli z tobą rozmawiać, gdy zjawisz się z armią?

– Myślisz, że będą chcieli ze mną rozmawiać, gdy będę martwy?

Chciałabym się z nim nie zgodzić, lecz nie mogę. Byłam w pałacu, kiedy nastąpił atak. Król i jego brat mogli dopuszczać się strasznych rzeczy, jednak ten atak jest tak samo zły.

Myślę o wszystkich niewinnych ludziach w pałacu. O tych niewidzialnych ludziach. Przypomina mi się łagodny uśmiech Jossalyn i nagle nie mogę złapać tchu.

Wiem, że buntownicy walczą o zmianę. Zdołali już zwrócić na siebie uwagę Harristana, teraz pora wytyczyć lepszą ścieżkę, a nie... coś takiego.

– Nie płacz jeszcze – mruczy Harristan, choć w jego głosie pobrzmiwa raczej roztropność niż życzliwość. – Dotarliśmy aż tutaj.

Przypomina mi to pełen pragmatyzmu głos Corricka, gdy jedliśmy kolację w Kręgu. „Jeśli zaczniesz płakać, będę cię musiał pocieszyć”.

Krzyki stają się coraz głośniejsze; Harristan zatrzymuje konia. Zaniepokojona podnoszę wzrok, ale ulica wydaje się tak samo opustoszała jak inne.

Wtedy dostrzegam ciała i gwałtownie nabieram powietrza. Kobieta i mężczyzna leżą skuleni na progu. Sądząc po ubraniach, należeli do możnych. Na bruku zebrała się już kałuża krwi. Ramiona kobiety oplatają mężczyznę w taki sposób, jakby próbowała go ochronić, ocalić. Mają poderżnięte gardła.

Thorin spogląda na króla, a ten wyciąga przed siebie rękę i kreśli w powietrzu okrąg. Strażnik kiwa głową, rusza w stronę cienia i po chwili znika w ciemności.

Król zachowuje kompletną ciszę, więc ja także. Na pewno słyszy mój drżący oddech, tak jak ja doskonale słyszę jego równomierne bicie serca albo to, jak jego płuca walczą o każdy wdech. Trwamy w tej ciszy i bezruchu tak długo, że kiedy w bocznej ulicy rozlega się stukot kopyt konia Thorina, podskakuję z okrzykiem, co wywołuje wierzgnięcie spłoszonego zwierzęcia. Tak jak obiecał, Harristan opanowuje szybko wierzchowca, ale na wszelki wypadek ściskam go w pasie dwa razy mocniej. Thorin mówi bardzo cicho.

– Buntownicy opanowali Krąg. Mają zakładników. Kilkoro konsulów, kilkoro dworzan i doradców. Wojsko nie może się zbliżyć.

– Jak pilnują terenu?

– Rozpalili dookoła ogniska. Mają jakieś bomby własnej roboty, które wybuchając, rozrzucają wokół kawałki metalu i szkła. Jest wiele ofiar.

Zamykam oczy i przełykam ślinę.

Wiem, co powiedziałam o podpalaniu lontu. Chciałabym móc cofnąć te słowa.

Chcę wrócić do Dziczy. Chcę wrócić do Corricka.

Chcę wrócić do Wesa i Tessy.

Jednak wtedy wszyscy chorowali. Ludzie umierali. Świat wydawał się zły.

Ten nie jest lepszy.

Biorę wdech i prostuję się.

– Położmy temu kres – szepczę do króla.

– Koniecznie. – Cmoka na konia i ruszamy naprzód.

Usłyszeć o masakrze od Thorina to zgoła co innego niż zobaczyć ją na własne oczy. Gdy zbliżamy się do Kręgu, wszędzie dookoła leżą ciała. Ogniska są ogromne: wypełniają powietrze dymem i blaskiem. Buntownicy cały czas dorzucają drewno, posyłając snopy iskier w nocne niebo. Latarnie, które wydawały się tak piękne, kiedy jadłam tu kolację z Corrickiem, są zapalone i rzucają krzykliwe kolory na twarze buntowników zgromadzonych na podeście. Są ich setki.

Około dwudziestu osób klęczy na krawędzi podestu. Wielu z nich jest rannych lub krwawi. Każdy jest związany, każdy z ostrzem lub strzałą przyciśniętą do karku. To makabryczna inscenizacja egzekucji, jaką miał wykonać Corrick. Setki żołnierzy stoją tuż poza linią zasięgu bomb rzucanych w ich stronę.

– Przeprowadźcie nam króla – krzyczy jeden z buntowników. RzUCA coś, co błyszczy w powietrzu, jednak gdy pada na ziemię, wybuchają, wyrzucając z siebie kawałki szkła i płonących kawałków metalu. Żołnierze stojący najbliżej odskakują w tył.

– Króla i jego brata! – uzupełnia kobieta.

Harristan kieruje konia z dala od płomieni. Kiedy tylko żołnierze nas zauważają, widzę wycelowany w nas co najmniej tuzin kusz.

– Stać – rzuca Thorin niezbyt głośno, lecz wystarczająco, by nie dopuścić do pociągnięcia za spusty. – Stoi przed wami król.

Żołnierze natychmiast opuszczają broń. Zerkają to na nas, to na płomień.

– Zaczniemy zabijać konsulów – woła buntownik i dociera do mnie, że to głos Lochlana. – Przyprawdźcie nam króla.

– Jeśli zaczniecie zabijać konsulów – odkrzykuje żołnierz – nie będziemy mieć powodu, żeby się powstrzymać.

– Przyprawdźcie nam króla! – wrzeszczy inny buntownik. – Przyprawdźcie nam króla!

Reszta szybko podchwytuje hasło. Rzucają kolejne ładunki wybuchowe.

Żołnierz występuje naprzód.

– Wasza Królewska Mość – odzywa się – proszę pozwolić zabrać się w bezpieczne miejsce. Chcą Waszą Królewską Mość zabić.

– Nie kryją się z tym. – Harristan przerzuca nogę nad głową konia i zsiada. – Przynieście mi zbroję – wskazuje ręką na mnie – i dla Tessy także.

– Zbroję? – powtarzam.

Ale żołnierze są przyzwyczajeni do słuchania rozkazów. Już zakładają na mnie stalowy napierśnik i zapinają go z tyłu. Od ognisk bije gorąc, z czoła do oczu spływa mi pot. Zbroja nie pomaga. Oddech mam drżący.

Buntownicy nadal skandują. „Przyprawdźcie nam króla! Przyprawdźcie nam króla!”.

– Ostrzegałem was! – ryczy Lochlan.

Strzał z kuszy. Ciałem jednego z więźniów wstrząsa gwałtowny spazm. Spada z podestu. Wstrzymuję oddech.

– To Craft – mamrocze jeden z żołnierzy. – Konsul Craft.

Pozostali zakładnicy zaczynają krzyczeć. Wielu błaga.

Żołnierze jakby wzięli jeden wspólny wdech, przygotowując się do walki. Rozlega się okrzyk Harristana:

– Stać!

Powstrzymują się, choć widać po nich niezadowolenie.

Wyraz twarzy króla jest twardy niczym granit, oczy zimne jak lód. Patrzy na mnie.

– Amnestia, Tesso? Naprawdę?

Przełykam ślinę.

– Chcesz, żeby ci przebaczyli?

Wpatruje się we mnie i przypominam sobie jego głos, gdy powiedział: „Dla nocnego patrolu to żadna różnica”.

– Nie wszyscy z nich zasługują na przebaczenie – przyznaję. – Jednak i nie każdy złapany przez strażę zasługiwał na karę.

– Przeprowadźcie nam króla! – krzyczą buntownicy. – Przeprowadźcie nam króla!

Harristan zaciska zęby, lecz potakuje głową.

– Przyjąłem twoje warunki. Chodź. Przekonajmy ich.

Kiedy rusza naprzód, idę z nim ramię w ramię. Żołnierze rozsuwają się na boki, robiąc nam przejście. Ryk buntowników jest głośny, dudni mi w uszach przy każdym kroku.

Gdy docieramy do pierwszego rzędu żołnierzy, Harristan się zatrzymuje. Nie sądziłam, że żar bijący od ognisk może być jeszcze intensywniejszy, ale się myliłam. Ogień szaleje wokół buntowników. Widzę, jak po twarzach zakładników spływa pot. Rozpoznaję konsula Cherry i konsula Pelhama, których Corrick podejrzewał o spiskowanie – teraz wyglądają na przerażonych. Nie rozpoznaję żadnego innego zakładnika, za to wielu spośród buntowników tak. Serce podchodzi mi do gardła.

– Przeprowadźcie nam króla! – wrzeszczą.

– Jestem tu! – odkrzykuje Harristan.

Zdumienie jest niemal namacalne, także pośród żołnierzy. Najwyraźniej nie wszyscy zdawali sobie sprawę, że tu jest. Buntownicy milkną na dłuższą chwilę, potem zaczynają wznosić triumfalne okrzyki. Teraz skandują nowe hasło.

– Zabić go! Zabić go! Zabić go!

– Jeśli mnie zabijecie, nie będę mógł wam pomóc – huczy król.

Rzucają jedną ze swoich lśniących bomb. Władca odpycha mnie mocno w tył, nim pocisk upadnie na ziemię. Szkło i żelazne odłamki rozpryskują się na boki.

Harristan zerka na mnie.

– Twoja kolej. – Serce zamiera mi w piersi. Nie wiem, co mam robić. Jestem nikim. To nie to samo, co wtedy, gdy atakowali Corricka. Tam byliśmy tylko my. A tu... to jest rewolucja. Nie wiem, jak powstrzymać rewolucję.

Myślę o słowach króla. „Dużo łatwiej rozpętać wojnę, niż ją zakończyć”.

Biorę głęboki wdech i robię krok w przód.

– Proszę! – krzyczę. – Wysłuchajcie go! Znaście mnie. Wiecie, ile dla was wszystkich zrobiłam!

„Zabić go! Zabić go! Zabić go!”

– Proszę! – powtarzam. – On chce wam zaoferować amnestię. Ułaskawienie dla wszystkich. Chce wam zaoferować zmianę.

– Zabić go! – krzyczą.

– Przyszedł z wami rozmawiać! – Z trudem łapię oddech. Czuję w gardle bicie swojego serca i uświadamiam sobie, że mówię przez łzy. Niektórzy buntownicy celują do nas z kusz, ale robię następny krok.

– Proszę. Przerwijcie to.

Z podestu schodzi mężczyzna i zatrzymuje się po drugiej stronie ogniska. W migoczących płomieniach i dymie rozpoznaję go. To Lochlan. W dłoni trzyma kuszę wycelowaną we mnie.

Podnoszę ręce i biorę drżący wdech.

– Proszę – mówię do niego. – Proszę, Lochlan. Przyszedł tu w dobrej wierze. Proszę.

– Przyszedł tu, bo zabijamy jego konsulów.

– Jeśli zabijecie jeszcze jednego – wtrąca Harristan za moimi plecami – moja propozycja amnestii przestanie być aktualna.

Lochlan nie odwraca ode mnie wzroku.

– A to ci niespodzianka. Już zmienia warunki.

– Próbuje powstrzymać was przed zabijaniem kolejnych ludzi. – Podchodzę bliżej płomieni. – A przecież sam mówiłeś, że tego właśnie chcesz.

– No i co? My wrócimy do Dziczy, on do pałacu i dalej będziemy umierać? Raczej nie. – Spogląda na Harristana. – Nie ufam ci.

– Ale mnie ufasz – przypominam w desperacji. – Wiem, że tak. – Zerkam na ludzi za nim. – Bo oni mi ufają. I ufali Corrickowi.

Przygląda mi się przez płomień. Za wszystkie przestępstwa, które popełnił. Za to, co zrobił Corrickowi, powinnam go nienawidzić. Tyle że nie potrafię. Jesteśmy dwiema stronami tego samego medalu. Lochlan prostuje się.

– Udowodnij, że to nie podstęp – zwraca się do Harristana.

– Jak?

– Odwołaj armię.

– Uwolnij zakładników.

– Nie.

Głos Harristana jest jak stal.

– W takim razie nie odwołam.

Odwracam się do niego.

– Nie możesz im *nic* dać? – syczę. – Może każesz im się trochę wycofać?

– Przyszedłem tu w dobrej wierze, Tesso. On też musi ustąpić, żebyśmy mogli spotkać się w pół drogi.

– Nie zastrzelił cię.

– Bo nie jest głupi. Gdyby mnie zabił, armia rozniosłaby ich w pył. Stawia wszystko na jedną kartę. Zakładnicy to jego jedyna karta przetargowa. – Harristan wbija spojrzenie w Lochlana i podnosi głos: – Moi żołnierze wycofają się o pięćdziesiąt metrów, jeśli uwolnisz jednego zakładnika.

– Masz łuczników – zauważa Lochlan. – Pięćdziesiąt metrów to żadna odległość.

– Więc mamy impas? – Harristan rozkłada ręce. – Słucham, jakie macie żądania.

– Chcemy leku – oświadcza przywódca buntu. – Leku dla *wszystkich*. Chcemy *przeżyć*.

Harristan się waha.

To przecież jest sedno problemu. Lochlan tego nie rozumie. Ja też tego wcześniej nie rozumiałam.

– Czy to znaczy „nie”? – prychna.

– Nie mogę obiecać leku – mówi ostrożnie Harristan – ale...

– Nie możesz wycofać armii. Nie możesz obiecać leku. – Lochlan robi krok w tył i patrzy przez ramię na buntowników pilnujących zakładników. – Zastrzelić kolejnego.

– Nie! – krzyczę, jednak jest już za późno. Kusza wystrzeliła.

Rozdział czterdziesty drugi

Corrick

Na obrzeżach sektora udaje nam się znaleźć konie, ale wojsko zatrzymuje nas, nim zdołamy dotrzeć do Tessy i Harristana.

Słyszymy, jak wołają do buntowników.

Słyszymy dźwięk wystrzału z kuszy, gdy Lochlan mówi: „Zastrzelić następnego”.

Żołnierze ruszają do przodu, jednak Harristan ich powstrzymuje. Napięcie w jego głosie jest ogromne. Widziałem wcześniej, jak upada Leander Craft, konsul ze Stalowego Miasta. Tym razem to młoda kobieta w nocnej koszuli. Dopiero po chwili dociera do mnie, kim jest. To „siostrzenica”, którą Quint widział z Jonasem Beechingiem – co potwierdza po chwili jego wściekły krzyk.

To była bardzo przemyślana decyzja. Kolejny martwy zakładnik, lecz nie konsul.

Ściągam wodze konia i spoglądam na Quinta i Rocco. Quint jest nieco blady, trzyma się za bok. Odwracam się do jednego z żołnierzy.

– Pomóż marszałkowi zejść z konia. Potrzebuje lekarza.

– Tak, Wasza Wysokość.

Quint nie protestuje, co mówi mi, że rana jest poważniejsza, niż się do tego przyznaje.

Zerkam na Rocco.

– Chodźmy.

– Chodźmy?

– W ten sposób Harristan nic nie wskóra. Musi im dać coś konkretnego.

– Co może im dać? Konsulowie już są zakładnikami.

Cmokam na konia.

– Nie wszyscy.

Wielu strażników pilnujących Twierdzy uciekło – ze strachu albo z konieczności, ale kilku zostało. Więzienie jest ciemne i ciche. Kuśtykam na najniższy poziom, gdzie siedzi zamknięty w celi Allisander.

Gramoli się i wstaje na mój widok.

– Corrick – cedzi przez zęby – nie mogę się *doczekać*, kiedy zobaczę cię na stryczku.

– Wzajemnie – odpowiadam. – Rocco. Wejdz do środka i złam mu rękę.

Allisander cofa się w głąb celi tak gwałtownie, że potyka się i upada. Albo to mój dar przekonywania, albo zupełny brak wahania ze strony Rocco, bo konsul sunie w tył po słomie.

– Dość – rzucam i Rocco zatrzymuje się z dłonią na kracie.

Allisander zamiera, jednak potem wstaje. Gdyby wzrok mógł zabijać, już bym nie żył.

Lecz kiedy myślę o Tessie i Harristanie stojących naprzeciw buntowników, mam ochotę własnoręcznie połamać mu rękę. Chwytam za kratę i wbijam w niego wzrok.

– Mówiłeś, że sprzymierzyłeś się z innymi konsułami, żeby obalić Harristana. Z kim?

– Nic ci nie powiem.

– Pamiętasz, jak pytałeś, czy torturuję więźniów podczas przesłuchań? – pytam. Czuję tę znajomą falę zdystansowania, który pozwala mi robić to, co konieczne. W przypadku Allisandra nawet nie jest potrzebna. – Chciałbyś się dowiedzieć?

Robi krok w przód, jakby chciał zaatakować kraty, ale Rocco jest w środku i powstrzymuje go, nim zdążę mrugnąć.

Wykręca lewą rękę Allisandra w tył, chyba trochę bardziej niż to konieczne, ponieważ konsul gwałtownie nabiera powietrza i wypuszcza je ze świstem przez zęby.

Sądząc po wyrazie twarzy strażnika, nie jestem jedynym, który nie lubi tego człowieka.

– Gadaj – syczę.

– Nie.

Spoglądam na Rocco.

– Złam palec.

Strażnik przenosi ciężar ciała z jednej nogi na drugą i Allisander wydaje okrzyk, nim zdoła się powstrzymać. Na jego czole pojawiają się kropelki potu.

– Powieszę cię na swojej bramie, Corricku.

Nie odwracam od niego wzroku.

– Następny.

Tym razem słysząc, jak kość pęka. Na zębach Allisandra widać krew. Musiał przygryźć sobie język.

– Gadaj – powtarzam.

Patrzy na mnie z wściekłością; oddech ma gwałtowny, urywany. Posyłam strażnikowi znaczące spojrzenie.

– Następny.

– Dobrze! – krzyczy Allisander. Prawie klęczy. – Leander Craft! Lissa Marpetta!

Lissa nie jest zaskoczeniem. Leander leży martwy na podeście Kręgu, więc nim także się nie martwię.

– Co wiesz o Arelli i Roydanie? – pytam. – Co knują?

Dyszy. Zastanawiam się, czy Rocco nie za mocno przytrzymuje jego drugą rękę.

– Nie wiem – odpowiada szybko. – Nie wiem.

– Złam następny palec.

– Nie! – sapie. – Corricku, przysięgam. Przysięgam ci. Arella przeglądała z Roydanem dokumenty z Nabrzeża Kupców.

– Jakie dokumenty?

– Rejestry pokładowe. To wszystko, co wiem.

Rejestry pokładowe. Nie wydaje mi się to na tyle ważne, by wymagało sekretnych spotkań.

– Czy to oni finansują napady?

– Nie! – Gwałtownie nabiera powietrza, przełykając ślinę. – To znaczy... nie wiem.

Rocco patrzy na mnie.

– Konsul Cherry nie trzyma z konsulem Sallisterem.

To prawda. Arella i Allisander zdecydowanie się nie przyjaźnią.

– Wiesz, co się wydarzyło, podczas gdy tu siedzisz? – pytam go.

– Nie.

Na jego czole pojawiają się nowe krople potu.

– Buntownicy zaatakowali pałac. Wzięli pozostałych konsulów na zakładników. Harristan próbuje negocjować ich uwolnienie.

Jego reakcja jest... dość zaskakująca. Mruga z niedowierzaniem i przerażeniem.

– Zaatakowali *pałac*?

– Tak. Leander Craft nie żyje. Siostrzenica Jonasa Beechinga też. Być może zginęli już następni, bo wszystko przedłużasz. – Przerynam. – Powinieneś być mi wdzięczny, że cię tu zamknąłem.

– Mieli nie atakować pałacu.

Dopiero po chwili dociera do mnie sens tych słów.

Mieli nie atakować pałacu.

– Allisander – mówię przez zęby – Coś ty zrobił?

Milczy. Rocco wykonuje delikatny ruch i konsul zaczyna krzyczeć.

– Proszę – jęczy. – Mieli tylko atakować transporty. Leander był dobrym człowiekiem. Nie mieli atakować sektora.

Wpatruję się w niego.

– Ty? Ty współpracowałeś z buntownikami? Organizowałeś ataki na własne transporty?

– Po prostu mogli zdobyć trochę leku to tu, to tam – duka. – Zrobiliby za to wszystko, Corricku. To było bardzo proste, naprawdę, oni nie...

– Ale... – Może jestem zbyt zmęczony, zbyt pobity, zbyt tym wszystkim przytłoczony, jednak nie potrafię sobie tego poukładać. – *Ale dlaczego?*

– Bo Harristan nie chciałby płacić więcej, gdyby dostawy nie były zagrożone.

Muszę odsunąć się od krat. Mam ochotę zabić go gołymi rękami.

– Zrobiłeś to dla srebra? – pytam stanowczym głosem.

– Nie. Zrobiłem to, bo tym razem miałem szansę zmusić go, żeby dał mi to, co chcę.

Zastygam.

– Widzę, jak manipulujesz konsulami – dodaje – zmuszasz nas, żebyśmy prosili o pieniądze. Widziałem to już jako chłopiec, kiedy prosiliśmy o część ziem Lissy.

– Był twoim przyjacielem, Allisandrze!

– Nie. Nie był moim przyjacielem. *Przyjaciel* nie upokorzyłby mnie na oczach połowy możnych. *Przyjaciel* pomógłby mi ocalić twarz

przed moim ojcem. Harristan nie jest niczym przyjacielem, Corricku. Nawet twoim. Popatrz tylko, bez mrugnięcia okiem zostawił cię w więzieniu na cały *dzień*.

Zaciskam palce na kratkach.

– Wiesz, ile czasu zajęło mi przekonanie go, żeby ciebie oskarżyć?
– ciągnie. Pochyliła się w moją stronę, a jego głos przepełnia nienawiść. – *W ogóle* nie musiałem go przekonywać.

Muszę odgonić wątpliwości, jakie próbuje we mnie zasiać. Wiem, po co tu jestem. Wiem, co zrobiłem.

Lecz dopiero zaczynam rozumieć, co zrobił Allisander.

Myślę o więźniach, których mieliśmy stracić, tych pod przywództwem Lochlana. Powtarzałem, że nie byli zorganizowani, bo nie byli. To byli niewinni ludzie namówieni do przemytu przez Allisandra – człowieka, który jednocześnie domagał się ich szybkiego ukarania.

Dawał srebro i lek zdesperowanym ludziom. Podburzał ich do buntu, gdy nie potrzebowali wiele zachęty. Dawał im środki, żeby mogli to robić.

Myślę o tym, jak Tessa rozsypała płatki przed wybuchem. Chowam twarz w dłoniach, próbując zmusić umysł do pracy.

– Nawet nie dawałeś buntownikom prawdziwego lekarstwa – mamrocze spokojnym, cichym głosem.

– Dlaczego miałbym ryzykować *prawdziwe*? – prychna. – Lissa dostarcza je do pałacu od *lat*.

Robię gwałtowny krok w tył. Lissa, która nigdy niczego nie żąda. Lissa, która z zadowoleniem przyjmuje status quo.

Lissa, która stała w salonie i próbowała przekonać mnie, że nie powinienem ufać Tessie. Tu wcale nie chodziło o to, że jest dziewczyną z Dzikich.

Chodziło o wiedzę, o informacje, o to, że jej nieuczciwość może zostać zdemaskowana.

Jest dokładnie tak, jak powiedziała Tessa, zanim buntownicy zaatakowali pałac. Nie dostajemy pełnej dawki. Nic dziwnego, że potrzebujemy przyjmować lek trzy razy dziennie.

Nic dziwnego, że Harristan cały czas sprawia wrażenie, jakby miał za chwilę zachorować.

– Zacząłeś rewolucję – mówię do Allisandra – z małostkowej chęci zemsty?

– Wszyscy mieliśmy udział w jej wybuchu – cedzi przez zęby. – Ty też, Wasza Wysokość. Ty, Najwyższy Sędzia Królewski. Ja dałem im środki. Ty dałeś im powód.

Wzdrygam się. Nie jestem w stanie się powstrzymać.

Biorę wdech i spoglądam na niego. Nie cofnę tego, co już się stało, ale może uda mi się zatrzymać to, co właśnie trwa.

– Buntownicy nie posłuchają Harristana. Nie może obiecać im dostępu do Księżycowego Kwiatu, kiedy odmawiasz wysyłania transportów z powodu ryzyka napadu.

– Nie obchodzi mnie, czy Harristana obalą buntownicy, czy konsulowie – rzuca Allisander. – Tak czy siak twój brat już długo nie porządzi.

Uderzam dłonią w kraty, aż echo rozchodzi się po lochu.

– Nie słyszysz, co mówię? Nic do ciebie nie dociera? *Zabiją pozostałych konsulów.* Podpalili pałac. Jeśli nie znajdę sposobu, żeby odkręcić ten bałagan, do którego przyłożyłeś rękę, za chwilę może nie być Sektora Królewskiego płacącego srebrem za twoje cenne dostawy.

Blednie, słysząc te słowa.

– Nie będę się układał z przemytnikami – odpowiada.

– Już to zrobiłeś. A ja się nie układam. Chcę leku. Dużo leku. Harristan musi kupić trochę czasu.

– Nie ma mowy. Nie dostaniesz nawet jednego płatka.

– Zamknij się. – Odwracam się do strażnika. – Przyrowadź go tu.

Rocco wywleka Allisandra z celi. Wrzeszczy i szarpie się, jednak nie robi to na nim najmniejszego wrażenia, nawet gdy ruszamy w górę schodami. Myślę o Tessie i Harristanie, którzy stawiają czoła buntownikom. Myślę o Arelli Cherry błagającej o łaskę dla przemytników, mimo że w ten sposób za każdym razem stała w opozycji do pozostałych konsulów. Myślę o Jonasie Beechingu proszącym o więcej srebra, o tym, jak Allisander oskarżył go o próbę oszukania systemu, żeby kupić więcej leku.

A przez cały ten czas próbował sztucznie napędzić swoje ceny.

Powinienem kazać Rocco zrzucić go ze schodów.

Gdy wychodzimy z więzienia na ulicę, Allisander przestaje wrzeszczeć. Nie wiem, czy to dym, czy widok ognia nadal płonącego we wschodnim skrzydle pałacu, lecz cieszę się, że wreszcie się zamknął.

– Oni to zrobili? – pyta zdławionym głosem.

– Ty dałeś im środki – przypominam gniewnie.

Rocco związuje mu ręce. Wsiadam na konia, biorę linę, którą jest związany Allisander, i pociągam mocno, prawie go przewracając.

– Ruszaj – mówię do niego.

– Nie ma mowy.

– Jak chcesz. – Zaplątuję linę o łąk przy moim siodle i cmokam na konia. Lina się napina.

Allisander przeklina i traci równowagę; chwieje się, prawie upada, ale najwyraźniej uznał, że lepiej iść, niż być wleczonym.

– To wymuszenie – syczy wściekle.

– Lek – odpowiadam krótko. – Ile możesz dostarczyć?

– Nic.

Spoglądam na Rocco.

– Może pogalopujemy? – Ściągam lejce. Pobudzony koń zaczyna wierzgać.

– Dobra – cedzi przez zęby Allisander. – Zapas na tydzień.

– Osiem tygodni.

– Nie mogę dostarczyć zapasu leku dla całej Kandali na osiem tygodni. – Przerywa, gdy omijamy leżące na ulicy ciała dwóch strażników. Dwóch członków nocnego patrolu. Jeden dostał strzałę w klatkę piersiową, drugi wygląda, jakby zginął od ciosu siekierą w głowę. Tkanki i kości lśnią w blasku księżyca. Allisander uświadamia sobie, że stąpa po krwi i nie tylko, na co gwałtownie odskakuje w bok.

Jego oddech staje się płytki i nierówny. Pewnie przydałaby mu się jego bezcenna chusteczka.

– Jest ich o wiele więcej – mówię. Sto metrów dalej napotykamy kolejne ciała. Kobiety i dwóch mężczyzn. Szeroka struga krwi spływa po ścianie: w mroku wydaje się czarna.

– Dwa tygodnie – mruczy Allisander. Jego głos brzmi, jakby mówił wbrew sobie.

– Sześć – burczę.

- Cztery.
- Sześć.
- Cztery, Corrick! Nie dam rady więcej, wiesz o tym.

Patrzę na niego z konia.

- Owszem. Dasz radę.

- Zgodzę się na sześć, jeśli konsul Marpetta zrobi to samo.

- Zwykle robi to, co... - Urywam. Co Lochlan i Karri mówili w chacie, kiedy Tessa zakładała mi szwy? „Jest taki mężczyzna i kobieta. Nazywamy ich Benefaktorami”. Myślałem, że chodzi o Arellę i Roydana. Ale przecież Lissa była jedną z niewielu konsulów, którzy opuścili pałac, zanim to wszystko się wydarzyło. - Allisandrze - odzywam się stanowczym tonem. - Czy Lissa uczestniczyła w tym razem z tobą?

Nie odpowiada. Nie musi.

- Sześć tygodni - oznajmiam. - I będziesz miał dużo szczęścia, jeśli po tym wszystkim Harristan daruje ci życie. - Pociągam mocno za sznur. - Pospiesz się. Musimy powstrzymać wojnę.

Rozdział czterdziesty trzeci

Tessa

Wycofaliśmy się pomiędzy żołnierzy. Buntownicy nie zabili już żadnego konsula, ale wydają się mieć nieskończone zapasy ładunków wybuchowych wypełnionych szkłem, bo rzucają nimi w każdego, kto się zbliży. Ogniska są jeszcze większe. Zebrani cały czas skandują na zmianę „Zabić króla” i „Chcemy leku”.

Stoję z boku, a władcę otaczają doradcy.

– Łucznicy mogą zdjąć kilku z nich – stwierdza kapitan – jednak na pewno w tym czasie zdążą zabić część konsulów. Nie zdołamy wszystkich uratować.

Harristan przesuwa dłonią po szczęce. Jego spojrzenie jest twarde i zmęczone. Nie musi nic mówić. I tak znam prawdę. Jeśli zaatakują podest, wszyscy zginą.

Patrzę w stronę Kręgu. Widzę cienie poruszających się osób. Muszą być tak samo zmęczeni i przerażeni.

Ciekawe, czy Karri bierze w tym udział.

Odchodzę kilka kroków od wojska; nikt mnie nie zatrzymuje. Bezgłośnie idę po bruku w stronę ognisk, do miejsca, w którym wiem, że czeka Lochlan.

Szklana bomba wyłania się z dymu – odskakuję na bok. Płonące odłamki odbijają się od mojej spódnicy.

– Hej! – wrzeszczy żołnierz, lecz podnoszę ręce i odwracam się twarzą do płomieni.

– Lochlan! – wołam. – Lochlan, proszę. Proszę, porozmawiaj ze mną.

Cienie poruszają się i zmieniają. I wtedy go widzę, choć słabo.

– Nie mam ci nic do zaoferowania – odkrzykuje.

– Król próbuje znaleźć rozwiązanie – mówię z desperacją. – Proszę. On nie chce wojny. Chce pomóc.

– Miał na to czas.

– Zabije cię – krzyczę. – Rozumiesz? Zaoferował już, co mógł.
– I tak nas zabija – huczy Lochlan. W jego głosie słychać emocje. –
Wiesz to, Tesso.

– Wiem. Wiem. – Oczywiście, że wiem. To zawsze był problem.
Leku zawsze było za mało. – Ale może...

– Może co? – odkrzykuje Lochlan. – Może bogaci nas posłuchają
i wrócimy do tego, co było? Nie, Tesso. Nie.

– Nie – rozlega się za moimi plecami męski głos. Spoglądam za
siebie i nie wierzę własnym oczom. Odwracam się jeszcze raz. To
Corrick. Jest konno, a na linie prowadzi za sobą mężczyznę.

Znów nie wierzę w to, co widzę. Zerkam za siebie trzeci raz. Tym
mężczyzną jest konsul Sallister.

– Będziecie mieli lek – oznajmia Corrick. – Przez osiem tygodni.
Od samego Allisandra Sallistera. Zobowiązał się dopilnować, żeby
płatki Księżycowego Kwiatu były dostępne dla wszystkich.

– Powiedziałem sześć – syczy Allisander. Corrick dyskretnie kopie
go w ramię.

– Powiedz im – rzuca do niego książę. – Powiedz, że zapewnisz
wszystkim lek przez osiem tygodni, jeśli się wycofają.

– Tak – woła Allisander. – Zagwarantuję wszystkim obywatelom
lek przez osiem tygodni.

Kilka osób dołączyło do Lochlana stojącego na brzegu podestu.
Wśród nich jest Karri – podchodzi bardzo blisko. Patrzę, jak spleta
swoją dłoń z dłonią Lochlana.

O! To mi umknęło.

– Już mamy lek – oświadcza Lochlan. – Od Benefaktorów.

– Jest skażony! – wrzeszczę. – Zmieszany z czymś. Oszukano was.

Przez tłum przebiega szmer – i wśród armii za moimi plecami,
i wśród ludzi na podeście.

– Kłamstwa – odpowiada Lochlan, jednak po raz pierwszy jego
głos staje się niepewny.

– Musieliście to zauważyć – ciągnę. – Tris sama mówiła, że ludzie
są zdesperowani. – Głos mi się łamie. – Jest coraz więcej
zachorowań, prawda? – mówię. – Prawda?

Kolejny pomruk rozlega się w tłumie.

Słychać skrzypienie butów o bruk, a przy moim boku pojawia się
sam król.

– Osiem tygodni leku. Prawdziwego leku. To dość czasu, by opracować nowy plan, lepszy plan. – Urywa. – I będę rozmawiał nie tylko z moimi konsulami. Nie jesteście jedynymi, których oszukano. Będę rozmawiał także z wami. Z radą obywateli.

Lochlan ani drgnie. Nie patrzy na króla. Wpatruje się we mnie.

Spoglądam na Harristana.

– Amnestia – szepczę.

Bierze głęboki wdech.

– Jeśli wypuścicie pozostałych zakładników i spokojnie opuścicie sektor, moje wojsko się wycofa. Gwarantuję amnestię do tego momentu, ale ani chwili dłużej.

Lochlan zerka na Karri, potem z powrotem na mnie.

Lecz nadal nie mówi „tak”.

Cienie na podeście przesuwiają się i poruszają za płomieniami. Ktoś podszedł do Lochlana. Po chwili rozpoznaję, że to Earle z małym Forrestem. Serce mi podskakuje. Tyle tu przemocy, tyle niebezpieczeństwa.

Aż nagle rozlegają się słowa Earle’a:

– Tesso. – Jego głos unosi się ponad tłumem. – Kiedy stawałaś w obronie Wesa, księcia Corricka, mówiłaś o wszystkim, co dla nas zrobił.

– Tak – potwierdzam. – Tak, wiele dla was zrobił.

– Jednak nawet wtedy, gdy robił to wszystko, ciągle był także Najwyższym Sędzią Królewskim.

Przełykam z trudem ślinę przez ściśnięte gardło.

– Tak – odpowiadam łamiącym się głosem. Czuję nagłe napięcie wśród żołnierzy za moimi plecami. Za chwili wszystko znów wymknie się spod kontroli. Nie mają powodu ufać królowi Harristanowi czy księciu. – Tak. Wiem.

– Za to ty nie – dodaje Earle.

Wstrzymuję oddech.

– Co?

– Ty byłaś... po prostu Tessą.

Podchodzi do nich kobieta. Ledwo ją poznaję z powodu sadzy na policzkach. To Bree, młoda wdowa.

– Tesso. – Jej głos nie jest tak donośny jak Earle’a. Pochylam się do przodu, żeby ją usłyszeć. – Mówiłaś o wszystkim, co zrobił Wes.

Ale... ale nie o tym wszystkim, co ty dla nas zrobiłaś. – Wygląda na poruszoną. – Nastawiłaś mojemu synkowi rękę, kiedy złamał ją, spadając z drzewa. Pokazałaś mi, jak robić okłady.

– Ocaliłaś Forresta – oznajmia Earle – przed śmiercią z rąk nocnego patrolu.

Kolejny mężczyzna wychodzi naprzód.

– Założyłaś mi szwy, gdy zraniłem sobie dłoń siekierą.

Starsza kobieta.

– Przyniosłaś mi koce, kiedy mój stary koc pogryzły myszy.

Po kolei coraz więcej buntowników zaczęło podchodzić do krawędzi podestu, mówiąc, co dla nich zrobiłam.

– Przynosiłaś nam lek.

– Pomogłaś mi, gdy cielila się krowa. Myślałam, że zdechnie.

– Nauczyłaś mnie, jak leczyć oparzenie.

Mam ściśnięte gardło; łza spływa mi po twarzy, jednak oni nie przestają.

– Pokazałaś nam, jak używać leku, żeby starczył na dłużej.

– Pomogłaś nam ocalić samych siebie.

– Tak wielu z nas jest tu dziś dzięki tobie. Gdyby nie ty, wielu z nas by już nie żyło.

Obok mnie słychać skrzypienie butów na bruku. Przy moim boku staje Corrick. Jego szorstkie place splatają się z moimi.

– Nie ufacie mi – woła do buntowników – i wcale mnie to nie dziwi. – Spogląda na mnie. Jego błękitne oczy są pełne emocji. – Ale ufacie Tessie.

– Ja ufam Tessie – zapewnia Earle.

– Ja ufam Tessie – powtarza Bree.

Powoli te głosy zamieniają się w skandowanie, które ściska mnie za serce i odbiera dech. Tak bardzo we mnie wierzą, a wszyscy są o krok od zginienia z rąk armii, jeśli nie złożą broni.

Lochlan nadal mnie obserwuje.

– A ty? Ufasz królowi? – zwraca się do mnie.

– Kiedyś nie ufałam. – Zawieszam głos. – Jednak teraz ufam. – Przełykam ślinę. – Lochlan, proszę. Jest tu tak wielu ludzi. Nie ryzykuj ich życia.

Lochlan zerka na Harristana.

– Amnestia? – pyta. – I osiem tygodni leku?

Król Harristan potakuje głową.

– Macie moje słowo. Dałem je w obecności konsulów.

Wzdycha.

– W porządku. Obyśmy obaj nie okazali się głupcami.

Opuszcza swoją kuszę. Pozostali buntownicy robią to samo.

Przez jedną niespokojną chwilę Harristan milczy, a ja zastanawiam się, czy wojsko nie zacznie po kolei strzelać do buntowników.

Lecz wtedy król odwraca się do swoich żołnierzy.

– Cofnąć się. Pozwólcie im odejść.

Poczucie ulgi jest tak ogromne, że kręci mi się w głowie. Podnoszę wzrok na Corricka. Jego oczy przepęlnia ból. Teraz dostrzegam, że cały ciężar ciała opiera na zdrowej nodze, a rana nad okiem krwawi.

– Nie powinieneś tu być – zauważam. – Jesteś ranny.

Obejmuje mnie w pasie. Jego ręce lekko drżą, zdradzając, że pewność, z jaką mówił, to tylko pozory.

– Ktoś kiedyś powiedział mi, że powinniśmy stać na przedzie, a nie skrywać się w cieniu. Nie mogłem pozwolić, żebyście tylko ty i Harristan mieli zabawę.

Pochyla się i przyciska usta do moich, ale tylko na krótką chwilę, potem przyciąga mnie do siebie i tuli. Jego ramiona są ciepłe i silne, jednak czuję, jak bardzo jest wyczerpany. Za nami armia cofa się, a płomienie zaczynają przygasać. Buntownicy uwalniają zakładników.

Powietrze wypełnia napięcie, a mimo to po raz pierwszy rozbłyska w nim iskierka nadziei.

Rozdział czterdziesty czwarty

Corrick

Ogień i dym mocno zniszczyły wschodnie skrzydło, ale z zachodnim obeszły się o wiele łagodniej. Było wiele ofiar, jednak dzięki późnej porze ataku duża część pałacowego personelu zdążyła już wrócić na noc do domu. Gdy docieramy z Tessą do pałacu, ze zdumieniem odkrywam, że nim Quint zasnął jak kamień na szeszlengu w ogarniętym półmrokiem salonie, zdążył wydać polecenia i przygotować pokoje.

Konsulowie porozchodzili się do swoich komnat, lecz Harristan nadal stoi w korytarzu. Przygląda się marszałkowi pogrążonemu w śnie tak mocnym, że nie czuje, jak z rozchylonych lekko ust kapie mu ślina.

– Obudzę go – proponuję.

– Nie, niech śpi.

Harristan spogląda na mnie.

Nie jestem w stanie odczytać jego wyrazu twarzy, ale wzrok ma przeszywający. Może powstrzymaliśmy buntowników, przynajmniej na pewien czas, jednak nadal między nami pozostało wiele niedopowiedzeń. Mam ochotę paść na szeszleng obok Quinta, lecz biorę się w garść.

Harristan bierze wdech, żeby coś powiedzieć, tymczasem Tessa nagle podnosi rękę.

– Jutro... – szepcze.

Mój brat zamyka usta; teraz wpatruje się w nią. Dziewczyna na chwilę traci odwagę, ale zaraz ją odzyskuje.

– Jutro, Wasza Królewska Mość, jeśli mogę o to prosić. Jeśli... jeśli mogę dodać to do mojej listy żądań.

– Możesz – zgadza się.

Zerkam na nią. Mimo zmęczenia walką i znużenia drogą wygląda piękniej niż kiedykolwiek.

– Listy żądań?

Oblewa się rumieńcem, a potem przygryza wargę. Nim zdoła się odezwać, Harristan klepie mnie po ramieniu.

– Słyszałeś ją, Cory. Jutro.

Jutro przychodzi, a Harristan nie zjawia się w moich komnatach. Następnego dnia także nie. Przesyła wiadomość, żebym odpoczywał, wracał do zdrowia, czekał. Od strażników wiem, że spotyka się z osobno z każdym z konsulów, omawiając plany na przyszłość. Lissa Marpetta wróciła do swojego sektora, jednak Harristan wysłał po nią wojsko, żeby odpowiedziała za fałszowanie dostaw Księżycowego Kwiatu do pałacu.

Konsul Sallister próbował uciec, ale został zatrzymany przy bramie. Każda wiadomość, jaką wysyła, jest dokładnie analizowana. Każdy transport płatków Księżycowego Kwiatu jest sprawdzany, zanim zostanie przekazany do dystrybucji. Napięcia w sektorze nie osłabły. Ludzie boją się buntowników i boją się przerwania dostaw leku. W mieście panuje podenerwowanie, choć inne niż przedtem.

Z kolei o atakach nie słyszę. Nie słyszę wycia alarmów.

Nie słyszę o więźniach wtrącanych do Twierdzy. Nikt nie wzywa Najwyższego Sędziego Królewskiego.

Quint nie odwiedza mnie często – jest równie zajęty, jak mój brat, zatrudniając rozmaitych fachowców, stolarzy, cieśli oraz kowali do odbudowy wschodniego skrzydła.

Za to Tessa odwiedza mnie często. W każdej przerwie w spotkaniach z pałacowymi medykami, przy każdej kolacji, w każdej wolnej chwili. Uczę ją grać w szachy i już ze mną wygrywa. Mówi, że pałacowy zielarz zginął podczas ataku, ale chodzą plotki, że był w zмовie z Lissą Marpettą.

Chłonę każdą plotkę jak gąbka i martwię się o mojego brata. Martwię się o Kandalę. Martwię się, że nie znajdziemy sposobu, żeby pójść naprzód, że osiem tygodni upłynie, a my nie zbliżymy się do rozwiązania problemu.

Tessa też się tym martwi.

Posyłam mojemu bratu wiadomości, prośby, pytania. Żądania.

Za każdym razem dostaję tę samą odpowiedź. *Jutro*.

Na początku nawet podobał mi się ten czas wytchnienia.

Siódmego dnia kostka już mnie nie boli, a większość siniaków zbladła. Jestem gotowy włożyć maskę i kapelusz, a potem ruszyć do Dżicy jako Wes, żeby tylko zabić tę nudę.

Kiedy dostaję kolejną zbywającą mnie odpowiedź: „Jutro, Cory, jeśli znajdę czas”, mnę kartkę i rzuca do kominka.

Następnie ruszam korytarzem do jego komnaty.

Na służbie jest Rocco. Nigdy wcześniej strażę mojego brata nie zabraniały mi wstępu do niego, lecz nie jestem pewien, czy to się nie zmieniło.

Rocco wita mnie skinieniem głowy.

– Wasza Wysokość. Król je posiłek z marszałkiem Quintem.

– Cudownie. Dołączę do nich. – Chwytam za klamkę.

Kiedy wtaczam się do pokoju, Harristan mówi, a Quint notuje. Obaj spoglądają na mnie z zaskoczeniem.

Marszałek zrywa się na nogi.

– Wasza Wysokość.

– Corricku – odzywa się Harristan – wysłałem ci przecież wiadomość, że możemy spotkać się jutro.

– Mhm. – Podchodzę do kredensu i nalewam sobie kieliszek brandy. – Zdaje się, że już wcześniej taką dostałem.

– Czy mam zostawić Wasze Wysokości samych? – pyta Quint. Zbiera swoje papiery.

– Tak – oznajmiam.

– Nie – odpowiada Harristan. – Corricku, możemy porozmawiać jutro.

– Jestem Najwyższym Sędzią Królewskim – rzuca – a połowa konsulów była zamieszana w zdradziecki spisek przeciwko tobie, Harristanie. Powinienem uczestniczyć w twoich spotkaniach. – Podchodzę bliżej i z hukiem stawiam szklankę na stole. – Powinienem ich przesłuchiwać. Powinienem sprawdzać ich majątki, dawki leku i...

– Dość. – Harristan podnosi rękę. – Masz rację. Najwyższy Sędzia Królewski powinien to wszystko robić. – Urywa; w jego głosie nie ma cienia potępienia czy krytyki. – Tyle że doszły mnie słuchy, że ta rola cię unieszczęśliwia.

Głos mojego brata jest cichy, ale przepełniony powagą. Przez chwilę mam wrażenie, jakby podłoga się przechyliła i uciekała mi spod nóg.

Nie wiem, co powiedzieć.

Nie wiem, co *chcę* powiedzieć.

Ku mojemu przerażeniu czuję ucisk w piersi. Muszę odwrócić wzrok.

Quint kończy zbierać swoje papiery.

– Zaraz każę przysłać dodatkowe nakrycie. – Idąc w stronę drzwi, zatrzymuje się na chwilę przy mnie. – Przed twoim odjazdem z Tessą na kolację w Kręgu powiedziałem, że możesz być tylko Najwyższym Sędzią Królewskim. – Zawiesza głos. – Myliłem się. Powinieneś być Corrickiem. – Odwraca wzrok w stronę Harristana, potem znów patrzy na mnie. – Zwłaszcza tutaj. Zwłaszcza teraz. Przeszedłeś zbyt długą drogę.

Muszę przełknąć ślinę.

– Dziękuję, Quint.

– Zawsze do usług.

I już go nie ma. Zostaję sam z moim bratem.

Biorę głęboki wdech, po czym opróżniam szklaneczkę brandy. Podchodzę do kredensu, żeby nalać sobie kolejną.

Harristan pojawia się obok, a następnie zabiera mi z rąk butelkę.

– Cory.

– Kogo mianujesz na moje miejsce? – pytam. Mój głos jest ostrzejszy, niż się spodziewałem. – Wiesz, że Rocco jest bystrzejszy, niż myślałem. I nie ma skrupułów, jeśli chodzi o stosowanie przemocy.

– Nie zastępuję cię.

– Aha, więc teraz zostawisz mnie, żebym szczeł w swoich komnatach?

– Nie. – Wzdycha. – Chciałem zobaczyć, czy potrafię zrozumieć, czym się zajmujesz.

Zastygam.

– Co masz na myśli?

– Chodzi o to, że przesłuchiwałem konsulów. Byłem w Twierdzy. Byłem...

– Byłeś w *Twierdzy*?

– Tak. Miałeś rację co do używania przez więźniów krzesel jako broni.

Rozśmieszają mnie te słowa, choć wcale tego nie chcę.

– Mówiłem ci.

Harristan się nie uśmiecha. Szuka wzrokiem mojego spojrzenia.

– Nie zastępuję cię. Jednak nie chcę powrotu do status quo. Nie chcę kryć się za Najwyższym Sędzią Królewskim.

– Ty się nie kryjesz, Harristanie.

– Ojciec się krył. – Zawiesza głos. – Zastanawiam się, czy to nie przyczyniło się do jego śmierci. – Znów milknie. – Niewiele jest w pałacu osób, którym ufam. Nikt nie jest w stanie cię zastąpić.

To zdanie wydaje się niedokończone, więc unoszę brwi w oczekiwaniu.

– Ale...?

– Ale... ale nie chcę, żebyś myślał, że musisz ukrywać przede mną swoje prawdziwe ja. – Jego głos robi się ostrzejszy. – Nie chcę myśleć, że mógłbyś mnie okłamać.

Odchrząkuję i odwracam wzrok. Myślę o tej chwili w Twierdzy, kiedy Allisander oświadczył, że mój brat nie jest moim przyjacielem, że zostawił mnie w celi na cały dzień. Nie mylił się co do tamtej chwili, lecz wybory, które mnie tam doprowadziły, nie były wyborami Harristana. To była moja wina.

– Wybacz mi.

Waha się, a potem wyciąga rękę, żeby potargać mi włosy, tak jak wtedy w Twierdzy.

– Wybaczam.

Przewracam oczami i uchylam się.

– Więc... już nie chcesz, żebym był Krwawym Corrickiem?

Krzywi się.

– Jest tyle plotek i niepokoju. Nawet gdyby choć mały ułamek okazał się prawdziwy, myślę, że miałbyś mnóstwo okazji do bycia Krwawym Corrickiem. Tyle że... skupialiśmy się na przewinieniach tych, którzy nie mają nic, którzy popełniają przestępstwa z desperacji. Prawdziwe powstanie było tu, w Sektorze Królewskim. Wśród nas.

– Masz jakieś pomysły?

– Dyktowałem je Quintowi, zanim tu wpadłeś i nam przerwałeś. – Wzdycha i nalewa sobie szklaneczkę brandy, a kiedy ja sięgam po butelkę, dostaję po łapie. – Nadal nie mam pojęcia, dlaczego Roydan i Arella spotykali się w tajemnicy, żeby przeglądać rejestry pokładowe. I będziemy musieli zrobić coś z sektorem Leandera Crafta. Nie mogę mieć dwóch sektorów bez konsulów. Ładunki wybuchowe pochodziły z Nabrzeża Kupców, zatem musimy się dowiedzieć, jak je przeszmurowano. Podejrzewam, że wokół nas mamy więcej zdrajców niż tylko Allisander. – Przeciąga ręką po włosach. – Musimy wyznaczyć kogoś do nadzorowania...

Rozlega się mocne stukanie do drzwi.

– Wasza Królewska Mość – woła strażnik. – Przesłano posiłek.

Uśmiecham się do mojego brata.

– Bierzmy się do roboty.

Rozdział czterdziesty piąty

Tessa

Tydzień po buncie król Harristan prowadzi mnie do nowego pokoju w pałacu.

– Nic szczególnego – mówi, kiedy strażnik otwiera dla nas drzwi.
– Tak jak prosiłaś.

Oczy prawie wychodzą mi z orbit. Żadne moje dotychczasowe lokum nie było tak wielkie, nawet apartament, w którym mieszkam od czasu ataku na pałac. Znajduje się w końcu tego samego korytarza, gdzie swoje komnaty ma Corrick. Już sam korytarz jest tak onieśmielająco wytworny, że za każdym razem, gdy tu jestem, czuję, że powinnam mówić szeptem. Pokój jest ogromny – nie jestem w stanie ogarnąć go całego wzrokiem. Błyszczący marmur i lśniące drewno, eleganckie grube tapiserie i łóżko wielkości oceanu. Jest trzy razy większy od Pokoju Szmaragdowego, gdzie mnie ulokowano po tym, jak zakradłam się do pałacu. Za dużo tu miejsca. Za dużo luksusu. Za dużo wszystkiego.

To miejsce jest zdecydowanie zbyt bogate i król doskonale zdaje sobie z tego sprawę.

A może nie... Może w tym także tkwi część tego problemu. Nie tylko w nim. We wszystkich możliwych.

– Jest piękny – mruczę z wahaniem. – Jednak chodziło mi raczej... chodziło mi...

– Rozmawialiśmy z Corrickiem o konsulach i rebelii. O tym, co powinniśmy teraz zrobić. Podejrzewamy, że Allisander i Lissa nie są jedynymi osobami, które działały przeciwko Koronie, więc nie będę zapraszał pozostałych konsulów. Nadal nie zatrzymaliśmy rewolucji, Tesso. Co najwyżej... odrobinę odwlekliśmy ją w czasie.

Wpatruję się w niego.

– Tak, Wasza Królewska Mość.

Jeszcze nie skończył.

– Ponieważ konsulom nie można ufać, kiedy nie jesteś zajęta z pałacowymi medykami, chciałbym, żebyś była moim osobistym doradcą w kontaktach z Lochlanem i buntownikami. – Blednę, lecz to jeszcze nie wszystko, co miał do powiedzenia król. – Prosiłaś przecież o posadę, czyż nie?

– No tak, w zasadzie tak.

Potem zostawia mnie w hallu, z ustami otwartymi szeroko ze zdumienia, i idzie do swoich spraw.

– Dziękuję? – wołam za nim, ale już go nie ma.

On też, podobnie jak mój nowy pokój, wydaje się zbyt wielki. Z drugiej strony przecież chciałam zmiany, chciałam być jej częścią, chciałam stać na jej czele.

Co rano jem śniadanie z Corrickiem i Quintem. Marszałek dworu przynosi coraz to nowe plotki o konsulach i ich lojalności, o Allisandrze i jego mało zawołowanych obelgach pod adresem Harristana i Corricka, o tym, komu można ufać, a komu nie. Choć w powietrzu czuć powiew nadziei, liczbę strażników w pałacu podwojono.

Za dnia mam wiele spotkań, jednak moim ulubionym momentem jest, gdy po zachodzie słońca spaceruję z Corrickiem pod rozgwieżdżonym niebem, a księżyc okrywa delikatną poświatą jego postać w mroku.

Dziś noc jest chłodna, a niebo ponad nami tak intensywnie granatowe, że niemal czarne. Zbliżamy się do płonącego łuku; iskry z sykiem spadają i nikną w stawie.

Przeszywa mnie dreszcz. Corrick bez słowa zdejmuje swój kaftan i okrywa nim moje ramiona.

– Dziękuję – mamroczę.

– I tak lepiej w nim wyglądasz niż ja – stwierdza z uśmiechem.

Nie reaguję.

Wiem, że widział się z Harristanem. Wspomniał, że starają się zrobić, co w ich mocy, by poprawić sytuację w Kandali. Lecz to nie znaczy, że poprawili relacje między sobą. Pamiętam, jak szłam z władcą przez Dicz, kiedy mówił, że król nie zasługuje, żeby go żałować.

Ciekawe, czy Corrick czuje tak samo.

Splatam palce z jego palcami.

– Martwisz się czymś.

– Harristan powiedział, że nie chce kryć się za plecami Najwyższego Sędziego Królewskiego.

Czekam, aż doda coś więcej, ale milczy. Marszczę brwi.

– Myślę, że to rozsądne.

– Nie sędzę, że kiedykolwiek się krył, Tesso. Nigdy nie ukrywaliśmy, kim jesteśmy. – Waha się. – Stawka jest ogromna. Allisander i inni chcieli pozbawić go władzy. Boję się, że gdy nie będzie Najwyższego Sędziego Królewskiego, spróbują znowu.

Zatrzymuję się gwałtownie i wbijam w niego wzrok. Musi widzieć mój wyraz twarzy.

– No co? – pyta niemal nadąsanym tonem. – Dokładnie tak zginęli nasi rodzice.

– Czy wiesz, co właśnie powiedziałaś?

– Jeśli nie będzie Najwyższego Sędziego Królewskiego...

– Nie! Powiedziałaś: „Nigdy nie ukrywaliśmy tego, kim jesteśmy”.

– Mam ochotę nim potrząsnąć. – Corrick! Ukrywałeś *wszystko* to, kim jesteś. I myślę, że Harristan też.

Robi zdziwioną minę, a potem wzdycha. Mam wrażenie, że chce iść dalej, jednak nie daję za wygraną. Wpatruje się we mnie z ogromną intensywnością.

– Ludzie kochali Wesa i Sullivana – szepczę. – Daj im szansę na pokochanie Harristana i Corricka.

Przesuwa kciukiem po moich ustach.

– Kochali też Tessę Cade, pamiętaj o tym.

– Dasz radę – zapewniam cicho.

Potrząsa głową, po czym muska ustami moje.

– My damy radę.

Jego ręce odnajdują moją talię. Zatapiam się w jego oczach i wdycham jego oddech. Otacza nas ciemność, aż nie ma już nic poza ciepłem jego dłoni i dźwiękiem jego głosu, cichym i przekornym. Jest tyle rzeczy, które trzeba zrobić, i tyle rzeczy, na które trzeba mieć nadzieję.

Ale tu i teraz przymykam powieki, zatapiam się w jego dotyku i przypominam sobie, jak to było, gdy sami stawaliśmy na przekór nocy.

Podziękowania

Od chwili, gdy pierwszy raz obejrzałam animowaną disnejowską wersję Robin Hooda (w której się zakochałam), uwielbiałam opowieści o wyjętych spod prawa, którzy potajemnie robią coś dla dobra innych. Wychowałam się na filmach i książkach będących albo adaptacjami, albo wariacjami na temat tej historii, od czarno-białego serialu o Zorro z lat pięćdziesiątych po *Robin Hooda* z Kevinem Costnerem i całą masę powieści dla młodych dorosłych, jak *Jackaroo* Cynthii Voig czy *Szczęście w mrokach* Lynn Flewelling.

Kiedy wpadłam na pomysł Tessy Cade i Westona Larka kradnących lek, by pomagać ludowi Kandali, od samego początku wiedziałam, jak mają potoczyć się losy tych postaci i wczesną jesienią dwa tysiące dziewiętnastego roku miałam już gotową roboczą wersję *Na przekór nocy*. W tym czasie musiałam jednak skupić się na pracy nad *A Vow So Bold and Deadly*, więc gdy w styczniu dwa tysiące dwudziestego roku otrzymałam pierwsze uwagi od mojej cudownej redaktorki, e-mail czekał w mojej skrzynce odbiorczej, aż skończyłam *Vow*. Wtedy, w marcu, wybuchła pandemia COVID-19.

Ponieważ *Na przekór nocy* opowiada o królestwie dręczonym przez tajemniczą chorobę, wiem, że zaraz pojawią się porównania, i spodziewam się pytań, czy to książka o pandemii.

Jeśli dotarliście do tego momentu, to już wiecie, że nie. Choć to, jak COVID-19 wpłynął na świat, zupełnie zmieniło moje postrzeganie królestwa Kandali i obowiązków, jakie rządzący mają wobec swoich obywateli, zwłaszcza w czasach ogromnych wyzwań i walki. Zanim ta książka przybrała obecną formę, razem z moją redaktorką kilkakrotnie ją przeredagowałyśmy. Jak zwykle Mary Kate nie pozwoliła mi przerwać pracy, dopóki nie była przekonana, że już nic poprawić się nie da.

Dlatego podziękowania chciałabym zacząć od niej. Mary Kate Castellani, moja fenomenalna redaktorka, przenosi każdą moją książkę na wyższy poziom, a potem dostrzega jeszcze więcej

potencjału i pcha mnie jeszcze wyżej. Jestem jej niezmiernie wdzięczna za wsparcie i wskazówki; cieszę się na naszą dalszą współpracę przy kolejnych książkach.

Ogromne podziękowania i wyrazy wdzięczności dla mojego męża Michaela. Chyba nie ma na świecie męża, który potrafiłby bardziej wspierać żonę niż on. Nigdy nie zapomnę czasu, kiedy zaczęłam szukać dla siebie agenta literackiego, a on powiedział: „Naprawdę myślisz, że to, co piszesz, jest na tyle dobre, by ludzie chcieli płacić za przeczytanie tego?”. To było fundamentalne pytanie. Pomyślałam chwilę i odpowiedziałam: „Tak, tak myślę”. A on tylko skinął głową i oznajmił: „W takim razie bierzmy się do roboty”. Od tamtego momentu mam jego stuprocentowe poparcie. Jestem wdzięczna za każdą naszą wspólną chwilę.

Jestem pod nieustannym wrażeniem zaangażowania całego zespołu wydawnictwa Bloomsbury i ich oddania książkom, które wydają. Chcę wyrazić moją ogromną wdzięczność dla nich. Wielkie dzięki dla Adrienne Vaughan, Eriki Barmash, Faye Bi, Phoebe Dyer, Claire Stetzer, Beth Eller, Ksenii Winnicki, Rebecki McNally, Ellen Holgate, Pari Thompson, zespołu korektorskiego, działu graficznego i każdej osoby w Bloomsbury, która przyczyniła się do sukcesu moich książek. Szczególnie dziękuję Lily Yengle, Tobiasowi Maddenie, Mattei Barnes i Meenakshi Singh za ich ogromny wkład w zarządzanie Street Team.

A skoro już mowa o Street Team, jeśli ktoś z was jest jego częścią – dziękuję. Świadomość, że jest was – osób zainteresowanych moim pisarstwem – *tysiące*, znaczy dla mnie bardzo wiele. Nigdy nie zapomnę, że to dzięki wam grono moich czytelników się powiększa.

Dziękuję mojej agentce Suzie Townsend z New Leaf Literary Agency, która trwa przy mnie jak skała od samego początku naszej współpracy. Suzie, dziękuję Ci za czas, który mi poświęcasz, za to, że mnie prowadzisz, gdy dajemy światu kolejne książki. Dziękuję też Dani Segelbaum za ciężką pracę za kulisami, której nie widać.

Ogromny dług wdzięczności mam wobec moich pisarskich przyjaciół – Gillian McDunn, Jodi Picoult, Jennifer Armentrout, Phila Stampera, Avy Tusek i Amalie Howard, bo naprawdę nie wiem, gdzie bym była bez waszego wsparcia. Od czytania rękopisu po trzymanie mnie za rękę, słuchania mnie, rozmawiania ze mną,

wspierania mnie. Jestem wdzięczna, że jesteście częścią mojego życia.

Kilka osób czytało robocze fragmenty książki i przekazywało mi uwagi. Chciałabym w tym miejscu szczególnie podziękować Christinie Labib, Shyli Stokes, Rebie Gordon, Avie Tusek i Isabel Ibanez.

Specjalne podziękowania dla mojej „kwarantannowej drużyny mam” za to, że pomogły mi przetrwać rok dwa tysiące dwudziesty (i radzić sobie w dwa tysiące dwudziestym pierwszym), Christinie Labib i Siobhan Reed. Nie jesteście pisarkami, ale pomogłyście mi przebrnąć przez naprawdę trudny rok. Jestem wam obu niezmiernie wdzięczna.

Dodatkowe podziękowania dla wszystkich, którzy pomagają promować moje książki, czy to fizycznie dając je komuś do ręki, czy na swoich blogach, Twitterze, Tumblrze, Instagramie, Facebooku, a ostatnio także TikToku. Czytelnikom, recenzentom, blogerom, bibliotekarzom, księgarzom, nauczycielom, artystom i cosplayerom. Dziękuję wam wszystkim z całego serca, że pomagacie mi spełniać moje marzenia. Wiem, że czytanie, recenzowanie, sprzedawanie i tworzenie może wydawać się niewdzięcznym zajęciem. Ale bardzo doceniam waszą pracę i jestem wam niezmiernie wdzięczna.

I wielkie dzięki dla WAS! Tak, dla Was. Jeśli macie teraz tę książkę w ręku – dziękuję. Dziękuję, że jesteście częścią mojego marzenia. Jestem zaszczyczona, że znaleźliście czas i miejsce w swoim sercu dla moich bohaterów.

Wreszcie ogromne dzięki dla chłopców Kemmerer za podążanie śladami taty i wspieranie mnie co najmniej tak gorąco jak on. Każdego dnia mnie zaskakujecie. Bycie waszą mamą to wielkie szczęście.